

Nie wyobrażasz sobie,  
do czego posunie się  
dziewczyna,  
by odzyskać  
SWOJEGO  
chłopaka

**JEGO**  
**DOSKONAŁA**  
**DZIEWCZYNA**

**KAREN HAMILTON**

  
AMBER

**JEGO  
DOSKONAŁA  
DZIEWCZYNA**

**KAREN HAMILTON**

**Przekład  
EWA RATAJCZYK  
MACIEJ PINTARA**



Redaktorka prowadząca serii kryminałów i thrillerów  
psychologicznych  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Anna Tłuchowska

Korekta  
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce  
© FoodAndPhoto/Shutterstock  
© ikaew101/Shutterstock  
© Juriah Mosin/Shutterstock

Tytuł oryginału  
The Perfect Girlfriend

Copyright © 2018 Karen Hamilton  
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6865-1

Warszawa 2018.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

*Dla A, A, O i E*

# Prolog

## Lipiec 2000

Patrzę w dół, gdzie dyndają dwie pary stóp. Moje buty to ślicznie wykończone biało-żółte sandały. On ma zabłocone brązowe sandały, z paskami na rzepy i granatowymi wyżłobieniami po bokach. Skarpetki nie do pary; nigdy nie potrafię mu znaleźć dwóch takich samych. Jedna jest fioletowa, druga czarna. I są za ciasne – już pojawiły mu się na łydkach nierówne obręcze, tuż nad gumkami. Kopie w skraj muru. Bach, bach. Bach, bach. Hałas odbija się od czterech ścian. Tam w dole nartniki śmigają po nieruchomej, ciemnej wodzie. Wiem, że kryje się pod nią kafelkowa mozaika z delfinem w odcieniach srebra i błękitu, bliźniakiem tego, którego widać na płyciźnie. Wąskie pasemka szlamu ocierają się o brzeg tuż nad lustrem wody.

Słońce praży, na jego policzkach pojawiają się wypieki, czerwień dociera do koniuszka nosa. Powinien nosić kapelusz. Każdy wie, że małe dzieci powinny nosić kapelusze albo być wysmarowane kremem przeciwsłonecznym, ale nie mogłam znaleźć ani jednego, ani drugiego, kiedy przyszedł czas „Na dwór!”, i to szybko. Ale jedzenia mieliśmy dosyć, żeby urządzić sobie piknik, przygotowałam je wcześniej rano. Biała kromka, którą uciąłam nierówno, była nieco czerstwa, więc żeby to zrekompensować, posmarowałam ją grubiej topionym serem. Mieliśmy też słone chrupki i kiedy wygładziłam na betonowych płytach torbę na zakupy, żeby zrobić z niej obrus, położyłam pośrodku trochę chrupek, a po bokach trójkąćki chleba, żeby je potem złożyć.

To nie był dobry pomysł.

Zaczął płakać.

– Nie chcę chrupek na kanapce!

– To trzeba było powiedzieć.

Jego krzyk wibruje mi w uszach. Ściska mi się żołądek. Łapię go pod pachy i odciągam od brzegu. Pospiesznie wybieram chrupki i wrzucam je z powrotem do foliowej torebki. Ale i tak jest niedobrze – bo zostają na nich resztki jasnego sera. Siadam naprzeciwko niego ze skrzyżowanymi nogami.

– Weź trochę winogron!

Uspokają się i patrzy. Łezki, które jeszcze nie spłynęły, gromadzą mu się w kąciakach zapuchniętych oczu.

Matka nie chce, żeby jadł winogrona, jeśli nie są przecięte na pół albo na cztery części, bo mógłby się udławić, ale nie pomyślałam o zabranii nożyka. Mogłabym przegryźć je na pół, ale nie lubię mieć w ustach niczego słodkiego, zanim zjem kanapkę. Zresztą matka niewiele o nim wie i, mówiąc szczerze, zjedzenie kilku winogron to naprawdę jedno z najmniejszych zagrożeń, przed którymi go uratowałam.

– Weź – powtarzam głosem łagodniejszym niż to, co czuję. – To te ciemne, twoje ulubione. – Odrywam ogonki i podaję mu winogrona.

Chwyta je oburącz i zjada po jednym na raz, mocno przeżuważając. Sok spływa mu po podbródku.

Ulga. Im jest starszy, tym trudniej go zadowolić. Szybko nauczył się upominać o swoje prawa i żądać tego, na co ma ochotę.

Wgryzam się w kanapkę, mieszam chrupki z chlebem. Wietrzyk, tak łagodny, jakby wiedział, że nie jest mile widziany przy pięknej pogodzie, owiewa mi ramiona i nogi, a potem niknie. Cisza.

– Jeszcze!

– Proszę.

Marszczy się.

Wyciągam winogrona i zastanawiam się, co robi moja sąsiadka. Ma jedenaście lat, jest prawie o rok starsza ode mnie. Je lody? Zakupuje stopy w miękkim piasku? Jej rodzina zaprosiła mnie dzisiaj na plażę, ale ponieważ spoczywała na mnie odpowiedzialność w postaci opieki nad czterolatkiem, więc odmówiłam.

Wdycham silny zapach lawendy. W pobliżu brzęczą pszczoły. Trochę dalej zaczyna pracę kosiarka do trawy. Odwracam się na pięcie, na wypadek gdyby to był główny ogrodnik, ten, który zawsze się do mnie uśmiecha i mówi, że mam piękną twarz. Przykładam dłoń do czoła, mrużę oczy. Widzę ciemną postać w kombinezonie, ale twarz jest ukryta pod dzinsowym kapeluszem.

– Pić mi się chce!

– Nie mamy wody, będziesz musiał napić się tego.

Otwieram puszkę z lemoniadą. Nie wolno mu pić napojów gazowanych ani z cukrem. Tyle jest zasad, że czasem nie wiem, śmiać się czy płakać – cieszyć się, że matka troszczy się o niego, czy po prostu się irtować. Często tak się czuję, nie wiem, co mam robić w niektórych sytuacjach.

Robi minę, kiedy bąbelki trafiają mu do ust. Musi mu się naprawdę chcieć pić, bo nie grymasi. Wygląda słodko z tą skrzywioną minką i przez kilka sekund mam do niego ciepłe uczucia. Ale wtedy rzuca puszkę. Puszka upada ze stukotem na bok i staczając się, rozlewa płyn na wszystkie strony. Wpada do wody z cichym pluskiem, którego prawie nie słyszę. Oboje nachylamy się i patrzymy w dół.

– Żaby albo ryby się napiją – mówię wesoło.

Wyciągam ramiona, żeby go przytulić.

Ma silne ręce, mocno się odpycha.

– Nie! Daj mi tę puszkę.

Nie wytrzymam nawet myśli o jego krzykach. Przeszywają mnie, aż chcę zatkać uszy i też krzyczeć.

– Więc idź i poszukaj długiego kijka – mówię szybko.

Wstaje i ochoczo biegnie przez lawendę w stronę dębów.

Ostatnie, co do niego krzyknęłam, to:

– Musi być bardzo długi!

Znów macham nogami nad brzegiem i kładę się. Zamykam oczy i zanurzam się w błogosławionej ciszy. Czuję gorący beton, jak przez bawełnianą sukienkę dotyka moich bioder, reszta ciała leży na trawie. Trawa łaskocze mnie w szyję. Słyszę, jak kosiarka odjeżdża dalej. Ogarnia mnie lenistwo, głęboko wdycham powietrze lata i udaję, że czuję pod sobą piasek, a nie beton.

Realność zbliża się i oddala. Chyba słyszę plusk, jakby mewa zanurkowała, bo niespodziewanie zauważyła rybę.

Potem nic.

Zrywam się, oszołomiona, zdezorientowana. Rozglądam się, patrzę w dół.

Biegnę, wspinam się, chwytam, ciągnę.

Ale to na nic, bo Willa nie ma. A nie ma go, bo jest śmiertelnie nieruchomy. Gdzieś w głębi oddziela się jakiś kawałek mnie i niknie.

Od tej pory mój umysł potrafi bez trudu zabrać mnie w bezpieczne miejsce, kiedy najbardziej tego potrzebuję.



# 1

## Teraz

Nakładam cyklamienową szminkę, żeby dopełnić przemiany. Wszystkie najlepsze pomysły są tak genialnie oczywiste, kiedy się o nich pomyśli. Moje odbicie w opłukanym wodą lustrze przedstawia kogoś w mocnym makijażu, z ciemnobrązowymi włosami, ale z moimi oczami. Drapie mnie poliestrowy krawat i chociaż w mundurze czuję się źle, to sztywne spodnium z wywatowanymi ramionami w stylu lat osiemdziesiątych pozwala mi dokonać metamorfozy w anonimową pracownicę linii lotniczych. Minę mam obojętną, profesjonalną, spokojną, opanowaną. Nowy rok, nowa ja.

Amy, jej odbicie jest tuż obok mojego, marszczy nos.

– Smród tych toalet przypomina mi szkołę.

Odwzajemniam się, też zmarszczeniem nosa.

– Tani papier toaletowy i kapanie wody.

Obie milkniemy na sekundę, dwie. Nasłuchujemy.

Spogląda na zegarek.

– Lepiej chodźmy, nie chcemy zrobić złego wrażenia.

Wychodzę za nią. Kasztanowe włosy związane ma w tak staranny kok, że nie wyglądają na prawdziwe. Uperfumowała się kwiatowo, powściągliwie. Ja za mocno, mdlący zapach drażnił mnie przez całe rano. Kiedy mieszamy się z pozostałymi osiemnastoma praktykantkami, żeby wejść rzędkiem do klasy, Brian, jeden z instruktorów, podnosi rękę wnętrzem dłoni w naszą stronę.

– Hm.

Zapada cisza. Zastanawiam się, czy poza mną ktoś czuje się tak samo, dławi chęć, żeby krzyknąć, no bo – poważnie – jak ciężka będzie ta praca? Mam zamiar pojawić się, szybko podejść,

przynieść tacę z jedzeniem, odebrać ją i po sprawie. Spodziewam się, że po jedzeniu i piciu pasażerów przejmie pokładowy system rozrywki. Wyobrażam sobie, że po wylądowaniu będę miała mnóstwo czasu, żeby ochłonać w hotelowym basenie albo zwiedzić miejscowe markety.

Dociera do mnie, że Brian mówi nadal. Zmuszam się do słuchania.

– Nie siadajcie, idziemy do makiety, żeby obejrzeć wyposażenie treningowe.

Wychodzimy, zbieramy się na korytarzu, potem prowadzi nas Dawn, współpracowniczka w zbrodni Briana. Idziemy za nią na dół, przez recepcję główną. Dawn wbija kod w klawiaturę i wchodzimy do małego pomieszczenia. Na ścianach są rzędy kołków, z których zwisają brudne na oko kombinezony.

– Proszę wszystkie o uwagę. Chcielibyśmy, żebyście włożyły kombinezony na mundury. Postawcie buty na półeczkach na dole i włożcie białe ochraniacze na stopy.

Zamieram. Wszystkie, poza mną, zaczynają zdejmować kombinezony z kołków i sprawdzać ich wymiary. Boże, ja tego nie zrobię. Są brudne. Wyglądają, jakby nigdy nie były prane.

– Juliette? Masz jakiś problem? – Brian robi przesadnie zatroskaną minę.

– Nie. Żadnych problemów. – Uśmiecham się.

Brian odwraca się.

– A teraz, moje panie, te, które noszą spódnice, niech dokładnie sprawdzą, czy mają odpowiednio okryte nogi. Rzepy na niektórych fragmentach wyposażenia fatalnie niszczą rajstopy.

Cholera. Będę musiała to zrobić. Wpycham ramiona, potem zapinam guziki. Nie wiem, dlaczego w ogóle oddałam mundur do pralni chemicznej. Śmiesznie wyglądam w workowatym kombinezonie z elastycznymi ściągaczami wokół kostek. Brakuje tylko maski i wyglądałabym, jakbym miała przeszukać miejsce zbrodni. Nawet Amy wygląda mniej nieskazitelnie niż zazwyczaj.

– Będzie wesoło – szepczę do niej.

Amy rozpromienia się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wypróbujemy to, czego się

nauczyłyśmy. Marzyłam o tym od dzieciństwa.

– Naprawdę?

Dlaczego ktoś miałby marzyć od dzieciństwa, że zostanie kelnerką, choćby i latającą? Gdy byłam mała, miałam plany. Wielkie plany. Takie, jak trzeba.

– Juliette, polecam się na dzisiaj. – Brian przytrzymuje otwarte drzwi.

Naprawdę działa mi na nerwy, a przecież będę musiała wycierpieć jeszcze pięć tygodni w jego towarzystwie. Idę za nim do wielkiej hali składowej, w której znajdują się fragmenty różnych samolotów. Niektóre są na dole, inne na wyniesionych platformach ze schodami. Zrównujemy się z innymi chodzącymi po hali. Drzwi samolotu gwałtownie się otwierają i parę osób ubranych w kombinezony wylatuje z nich i ześlizguje się po zjeżdżalni. Drzwiami zajmuje się mężczyzna w mundurze, wyszczekuje polecenia, zagłuszając piskliwy alarm.

– Skakać! Skakać!

Przemykamy obok, aż w końcu Dawn i Brian zatrzymują się obok nadmuchiwanej, srebrzystoszarej masy, przypominającej nadmuchiwany zamek dla dzieci.

– A teraz, zanim wejdziemy na pokład trapu ewakuacyjnego, przedstawię wam wyposażenie ratunkowe. Od tej chwili lądowanie na wodzie będzie nazywane wodowaniem awaryjnym...

Wyłączam się, głos Dawn się rozmywa. Znam statystyki. Mogą to nazywać, jak chcą, ale szanse na przeżycie lądowania samolotu na wodzie nie są duże.

Punkt piąta wypuszczają nas przez bramki. Znów jesteśmy w realnym świecie, na drodze okrążającej lotnisko. Przez chwilę traci się orientację od ryku nisko lecących samolotów i odgłosów godzin szczytu na ulicy. Wdycham zimne, rześkie powietrze. Z ust leci mi para. Grupa rozdziela się, niektórzy idą na parking, reszta w stronę Hatton Cross. Tylko pobieżnie przysłuchuję się ich podnieconej konwersacji. Znów się rozdzielamy. Najpierw

odłączają się ci, którzy chcą złapać autobus, a my, w tym Amy, schodzimy na stację metra. Idę obok niej.

– Dzisiaj nie jedziesz w stronę zachodnią? – pyta. – Wydawało mi się, że metro do Reading odchodzi z Heathrow?

Waham się.

– Chcę odwiedzić przyjaciela. W Richmond.

– Masz więcej energii niż ja. Jestem taka zmęczona, że chyba nie dałabym rady wyjść dziś wieczór na miasto. I chcę przejrzeć notatki.

– Jest piątek wieczór – stwierdzam.

– Tak, ale chcę to podsumować na świeżo – odpowiada Amy.

– To dobrze. Będę wiedziała, przy kim usiąść podczas egzaminów. – Uśmiecham się.

Amy śmieje się.

Udaję, że śmieję się razem z nią, potem patrzę przez okno. Wewnętrzne światło odbija nas w ciemnościach szyby.

Amy wysiada przy Boston Manor. Macham za nią i patrzę, jak idzie w stronę schodów do wyjścia, wysoka i dumna w swoim mundurze.

Po przesiadce w Hammersmith jestem jedyną umundurowaną osobą w tłumie pasażerów. Wsiadam w Richmond, przechodzę na drugą stronę ulicy i ściślej owijam się płaszczem. Torba wrzyna mi się w ramię. Zmierzam w stronę znajomych uliczek, obcasy stukają, odbijają się echem przy każdym zdecydowanym kroku. Omijam stłuczoną butelkę, idę na przedmieścia Green. Zatrzymuję się przed cofniętą kamienicą, opieram się o poręcz schodów, zdejmuję szpilki i zamieniam je na baleriny. Podnoszę kaptur płaszcza tak, żeby opadał mi na czoło, i idę dalej. Wkładam klucz we wspólne dla mieszkańców drzwi. Wchodzę, nasłuchuję.

Cisza.

Wspinam się na drugie, najwyższe piętro i wchodzę do mieszkania 3B. Kiedy już jestem w środku, staję bez ruchu i wdycham ciepły zapach domu.

Wystarcza mi blask z akwarium, nie włączam światła. Opadam na kanapę, wydaję ubranie z torby. Rozbieram się, starannie

składałam mundur, potem wkładałam czarne dzinsy i bluzę. Z komórką w charakterze latarki idę boso do kuchni i otwieram lodówkę. Jak zwykle jest prawie pusta, nie licząc piwa, paru papryczek chili i jednej porcji makaronu z serem do podgrzania. Uśmiecham się.

Wracam do salonu, ryzykuję włączenie kinkietu. Wyjmuję z torby zdjęcie i stawiam je na półce nad kominkiem. W doskonałym świetle zdjęcie byłoby w ramkach, ale chcę, żeby było takie, jak jest, bo mogę mieć je z sobą i patrzeć na nie, kiedy zechcę. Na zdjęciu uśmiecham się ze szczęścia obok Nate'a, mężczyzny, którego mam poślubić. Przekładam mundur przez lewe ramię i idę do sypialni. Potem kładę spodnie, bluzę i marynarkę na łóżku i nachylam się, wciskając twarz w jego poduszkę. Robię głęboki wdech, potem podnoszę głowę i oświetlam pokój. Nic się nie zmieniło, odkąd byłam tu ostatni raz. Dobrze.

Zamykam przesuwane drzwi szafy z lustrem, w oko wpada mi promień odbity z komórki. Mrugam. Zapasowy mundur pilota, marynarki, koszule i spodnie Nate'a powieszono są starannie, ale nie tak starannie, jak wisiałyby, gdybym ja się nimi zajęła. Ostrożnie rozsuwam je, robię między nimi jakieś trzy centymetry przerwy. Wieszam w niej mój mundur obok jego munduru. Tak powinno być. Odsuwam się, żeby podziwiać swoje dzieło. Światło pada na złoty symbol na jego czapce. Zasuwam do końca drzwi.

Jak zawsze, ostatni przystanek jest w łazience. Sprawdzam apteczkę. Chyba się przeziębili: inhalator z mentolem i lekarstwa na kaszel są nowe.

Wracam do salonu i częstuję się jabłkiem z misy z owocami. Przciskam czoło do okna. Przeżuwam kawałki jabłka, patrząc w dół. Nie widzę nikogo. Godzina szczytu minęła, wszyscy zapewne siedzą w przytulnych domach. Nie to, co ja. Ja zatrzymałam się na przedmieściach własnego życia.

Czekam. Nic, tylko czekam i czekam. I myślę...

Tyle wiem o Nacie: że uwielbia jazdę na nartach, że zawsze pachnie świeżością, a zapach mydła cytrynowego przywiera mu do skóry. Wiem, że czeka na kapitańską promocję, zanim

ukończy trzydzieści pięć lat.

Znam na wylot jego sprawy rodzinne: wakacje w Marbelli, Nicei, Verbier i Whistler. Tenis, jazda konna, nauka krykieta. Brak aprobaty ze strony ojca, kiedy postanowił zrealizować swoje marzenie i zostać pilotem, zamiast pójść w jego ślady i być bankowcem.

Jego młodsza siostra podziwia go, ale mnie nie lubi.

Ze zdjęć znalezionych w mediach społecznościowych wiem, że przydałoby mu się strzyżenie, blond loczki sięgają prawie kołnierza.

Ale przede wszystkim wiem, że gdzieś w głębi nadal mnie kocha. Po prostu zawładnął nim przelotny strach przed małżeństwem. Chociaż wtedy go przygniótł, sądzę, że teraz mu się poprawiło. Kiedy przyjdzie właściwy czas, by ujawnić, że ja też pracuję w tych liniach lotniczych – gdy doceni, jak bardzo się starałam, żeby uratować to, co jest między nami – wszystko ułoży się jak trzeba.

Na razie muszę być cierpliwa. Ale to trudne. Ile razy widzę jego nowe zdjęcie, całymi dniami nie mogę jeść.

Budzik w komórce przypomina, że czas już wyjść. Nauczyłam się tego, bo dotarło do mnie, że raz coś może ujść na sucho. Potem drugi, a potem, zanim się człowiek zorientuje, ryzyko staje się coraz większe. Trzeba zostawić sobie zapas czasu. Sprawdzam, czy samolot Nate'a z Chicago już wylądował. Tak – pięć minut temu. Podbiegłam do torby, zaczęłam w niej gmerać. Ogryzek jabłka owinęłam chusteczką i wyjęłam paczuszkę małych czekoladowych babeczek. Nate je uwielbia. Nie potrafię zerwać z tym przyzwyczajeniem – dodaję do swoich zakupów w spożywczy, to, co lubi najbardziej. Otwieram lodówkę, białe światło zalewa ścianę. Paczuszkę wpycham głęboko, za mięso – wiem, że nigdy go nie rozmrozi – i za groszek, którego nawet nie tknie. Bardzo bym chciała zostawić je w bardziej widocznym miejscu, na przykład przy ekspresie do kawy, ale nie mogę, to musi wystarczyć. Mam nadzieję, że kiedy znajdzie babeczki, to pomyśli o mnie. Listę zakupów zawsze mam pełną tego, co on lubi. Nigdy nie zapominam.

Wracam do sypialni i ściągam swój mundur z wieszaków, które kołyszą się, stukają o plecy szafy. Wracam do salonu, z niechęcią biorę zdjęcie, wkładam je z powrotem do torby. Teraz baleriny i trzeba wyłączyć kinkiet. Kolorowe rybki przyglądają mi się z akwarium. Szczególnie jedna gapi się z otwartym pyszczkiem. Nate nadał jej imię Tęcza. Zawsze jej nienawidziłam.

Mocno przełykam. Nie chcę wychodzić. To miejsce jest jak ruchome piaski, wsysa mnie.

Podnoszę torbę i wychodzę, po cichu zamykam za sobą drzwi. Teraz wracam na stację, żeby złapać metro do mojego pudełka na buty, znaczka pocztowego, domku dla lalek, który służy mi za mieszkanie w Reading. Nie mogę nazwać tego domem, bo przebywanie w nim jest jak spędzanie czasu w poczekalni życia. Czekam, ciągle czekam, dopóki nie otworzy się brama do prawdziwego życia.

## 2

Leżę w łóżku i przeciągam się. Dzięki Bogu, jest weekend. Choć linie lotnicze pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, szkolenia odbywają się w robocze dni tygodnia. Dziś wieczorem zamierzam się wybrać na przyjęcie w luksusowym hotelu Bournemouth, połączone ze zbiórką pieniędzy na rzecz dzieci. To aukcja, z bufetem z owocami morza, bez rezerwacji miejsc, i cieszę się na nią, choć nie mam oficjalnego zaproszenia. To nic, jak się przekonałam na podobnych imprezach; pod warunkiem że odpowiednio wyglądam i nie zwracam na siebie niepotrzebnie uwagi (wiadomo), ludzi rzadko interesuje moja obecność, a dla organizatorów to oczywiste, że im więcej uczestników, tym lepiej.

Wstaję, biorę prysznic, ubieram się i wciskam guzik ekspresu do kawy. Uwielbiam odgłos i zapach mielonych ziaren. Jeżeli zamknę oczy, na sekundę czy dwie każdego dnia, mogę udawać, że jestem w domu. To dzięki tym drobnym rzeczom się trzymam. Czuję gorycz na języku, gdy popijam moje espresso. Pomiedzy łykami zerkam na tablet. Przeglądam posty. Bella, organizatorka dzisiejszego przyjęcia, zawsze zamieszcza mnóstwo zdjęć z poprzednich imprez. Jest na większości, uśmiecha się, każdy włoszek ma na swoim miejscu, a jej biżuteria, zwykle złoto i szafiry, wygląda na drogą, ale nie pretensjonalną. Nieskazitelna, jak zawsze. Celuje w zbieraniu pieniędzy na szczytne cele, dzięki czemu uchodzi za współczesną dobrą Samarytankę i nie musi sobie przy tym brudzić rąk. Każdy może zorganizować przyjęcie i snuć się, popijając szampana, ale jeżeli naprawdę, serio, chce się czynić dobro, wypiłoby się tanie wino i zgłosiło do udziału w czymś niepopularnym. Ale to, co Bella potrafi najlepiej, to robić z siebie gwiazdę.

Mój telefon wibruje. Wiadomość.



„Kumpela z mieszkania urządziła dziś imprezę. Jak nie możesz ich pokonać... No, wiesz. Wpadniesz? Oczywiście zaproszę też innych. Amy x”

Jestem rozdarta. Im więcej znajomych z linii lotniczej, tym lepiej dla mnie. A potrzebuję przyjaciół. Z mojego dawnego życia nie został prawie nikt – poza tymi, z którymi utrzymywałam kontakt przez media społecznościowe, i garstką znajomych z czasów, gdy pracowałam jako statystka – bo wszystko rzuciłam dla Nate’a Goldsmitha. Z kolei przebywanie w pobliżu Belli przypomina zrywanie strupa. Ale... im bliżej jestem jej świata, tym większe szanse na to, że powodzenie i szczęście przestaną jej dopisywać. Gapię się w telefon, niezdeterminowana, i wsłuchuję w deszcz spływający rynnami za oknem.

Dwa tygodnie po akcji z Nate’em, stanął nade mną, kiedy pakowałam swoje rzeczy.

– Zapłaciłem czynsz za pół roku w supermiejscu w Reading. To prezent. Zawiozę cię tam i nawet pomogę załatwić wszystko, co trzeba, żebyś się tam zadomowiła.

– Dlaczego Reading?

– Mieszkałem tam krótko w czasie szkolenia, to świetne miejsce na nowy początek. Tętni życiem.

– Serio?

Nie miał zamiaru odpuścić, co, biorąc pod uwagę jego trudną sytuację finansową, boleśnie dowodziło, jak bardzo chce mnie wykopać. Przynajmniej przestał chrzanić, żebym znowu zamieszkała z moją obłąkaną matką. Mieszkanie było proste, czyste i miało wszystko, co niezbędne do zwykłego, funkcjonalnego życia. Zmierzyłam wzrokiem salon, w którym oboje staliśmy sztywno, w krępującej ciszy. Chyba czekał, żebym mu podziękowała.

– Do widzenia, Elizabeth.

Elizabeth, poważnie, do kurwy nędzy! Gdzie się podziała Lily, skarbek, słoneczko, kochanie? Pocałował mnie w czoło i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi. Cisza aż huczała. Patrzyłam przez okno, przez rozmyte krople deszczu, jak znikają tylne światła jego samochodu. Gotowało się we mnie z nowej wściekłości i

upokorzenia. Kochałam go, a jednak nie byłam w stanie go powstrzymać przed największą pomyłką jego życia. On był mój. Gdy tak siedziałam, psychicznie wypompowana, na sofie z twardym oparciem – wtedy zrodził się mój Plan Działania. Elizabeth/Lily znikła w swoim kokonie i czekała, aż wyłoni się jako Juliette – to moje drugie imię – i przeobrazi w towarzyskiego motyla.

Hm. Co teraz... Amy? Bella? Bella? Amy? Ene, due... Sięgam pod ławę po torebkę, szukam portfela i wyciągam monetę. Podrzucam. Orzeł Bella, reszka Amy. Moneta kiwa się na stole i wypada reszka. Tym razem Bella przegrała. Odpisuję Amy: „Z przyjemnością przyjdę xxx”.

Przysyła mi adres. Jedyne problem w tym, że muszę sobie wymyślić jakieś zajęcie na cały dzień. Nie muszę się przejmować wyglądem, skoro idę na małą domówkę. Jest tak szaro, że prawie ciemno. Spaceruję po maleńkim pokoju. Na zewnątrz widzę, jak strumienie świateł samochodów rozpraszają rześisty deszcz. Powinnam nauczyć się jeździć. Mogłabym wtedy od razu pojechać do Richmond. Mogłabym siedzieć przed domem Nate’a. Nawet by nie wiedział, że tam jestem. To byłoby takie krzepiące, być blisko niego. Biorę prysznic, wkładam džinsy i czarny golf, chwytam tenisówki i kurtkę i pędzę na dworzec.

Deszcz okazuje się prawdziwym darem niebios. Kto by pomyślał, po tylu mokrych latach, że takim luksusem wyda mi się ukrycie pod kapturem, anonimowe przystawanie w drzwiach sklepów i w małych uliczkach. Matka Natura jest po mojej stronie. W ten ponury dzień pod koniec stycznia ludzie są rozkojarzeni, skuleni pod parasolami. Spod kół tryska brudna woda. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Światło w salonie Nate’a się świeci. Pewnie ogląda najnowszy film z zestawu płyt albo z Netfliksa. Tęsknię za nim. Nie pierwszy raz żałuję mojego zachowania i kapitulacji. Niewiele mi brakuje do chwili słabości, ogarnia mnie pragnienie, żeby przebiec przez ulicę i wyważyć jego drzwi. Ale muszę stosować się do zasad, inaczej mnie nie doceni. Za drugim razem to ja będę dyktować warunki.

Mieszkanie Amy znajduje się nad salonem fryzjerskim. Na szczęście, bo gdyby miała pod sobą prawdziwych sąsiadów, zadzwoniliby już na policję. Słysząc głośną muzykę w stylu disco-biza. Wciskam dzwonek, ale dociera do mnie, że drzwi są otwarte, więc wchodzę na klatkę. Idę po schodach i wchodzę do mieszkania. Amy śmieje się z odchyloną głową, ściskając butelkę piwa. Stoję chwilę bez ruchu. Dostrzega mnie i podchodzi, w oba policzki daje mi po buziaku.

– Wchodź! Tak się cieszę, że jesteś. To moja współlokatorka. Hannah. – Wskazuje kobietę w drugim końcu pokoju. – Niektórych już znasz... Oliver, Gabrielle...

Imiona pozostałych znajomych Amy mój umysł rejestruje tylko przelotnie: Lucy, Ben, Michelle...

Przyjmuję butelkę piwa, choć nie umiem pić z butelki, w dodatku stojąc. Popijam małymi łykami i rozmawiam grzecznie z Oliverem, co wymaga wysiłku, bo to najbardziej małomówny chłopak na kursie. Ratuje mnie Amy, która za wszelką cenę chce się dzisiaj wyluzować. Tańczymy. Amy flirtuje. Wieczór jest dość miły. Źle ją oceniłam. Nie sądziłam, że może mi się na coś przydać, ale teraz zamierzam się jej trzymać i lepiej ją poznać. Poddaję się nastrojowi chwili. Dużo się śmieję. Szczerze. Nie bawiłam się tak dobrze od... hm, właściwie nie pamiętam. Ale na pewno od Nate'a. Oczywiście.

Prawie siedem miesięcy temu Nate pojawił się w moim życiu jak w romantycznej powieści. Kiedy oderwałam wzrok od ekranu komputera w hotelowej recepcji – z zawodowym uśmiechem – musiałam się wysilić, żeby głośno nie westchnąć. Mężczyzna przede mną wyglądał, jakby wziął z życia to, co najlepsze, a wszystko, co niemiłe czy smutne, odegnał. Spod czapki wymykały mu się blond loki, twarz miał lekko opaloną. Za nim kroczyła załoga w podobnych mundurach, stawiając głośne kroki na marmurowej podłodze.

– Mam nadzieję, że ma pani dla nas rezerwację? Trafił się nam nieprzewidziany nocleg, problem z silnikiem zmusił nas do

powrotu na Heathrow.

Do tej pory najbardziej ekscytującym wydarzeniem w ciągu ośmiu miesięcy mojej pracy w Airport Inn było to, że jakiś drugorzędny celebryta przemycił do pokoju dwie kobiety, z których żadna nie była jego żoną.

– Pracuje pani dziś wieczorem? – spytał Nate, kiedy podałam mu kartę do pokoju; jego zameldowałam na samym końcu.

– Kończę o ósmej – odparłam, czując, jak uśpiony dreszcz wyczekiwania zaczyna ożywać.

– Miałaby pani ochotę pokazać nam najlepsze puby w okolicy?

– Pewnie.

Tej nocy ja też zostałam gościem hotelowym. To było nieuniknione. Od chwili, gdy nasze oczy się spotkały, postanowiłam go oczarować.

Sześć tygodni później wprowadziłam się do niego...

– Juliette?

– Przepraszam, Amy, odpłynęłam.

– Chcesz się walnąć na kanapę?

Rozglądałam się po pokoju i z zaskoczeniem spostrzegam, że zostało tylko kilka osób. Jak przez mgłę docierało do mnie, że kilka osób się żegna, a Oliver proponuje, że mnie podwiezie, ale ja nie chciałam jeszcze wychodzić. Amy przyda mi się w kontaktach towarzyskich.

Wyciągam telefon z torebki.

– Nie, dzięki. Muszę wracać.

Jadąc taksówką, oglądam na Twitterze zdjęcia z przyjęcia Belli. Kolejny sukces pięknej Belli, sądząc po lawinie komplementów w komentarzach. Światła jezdni bledną, a ją widać lepiej. Wygląda olśniewająco, jak królowa. Perły – na pewno prawdziwe – zdobią jej szyję. Długie blond włosy są elegancko upięte. Na każdym zdjęciu jest uśmiechnięta, otoczona miejscowymi osobistościami. Przesuwam palcem po jej postaci na wyświetlaczu i marzę, żeby można ją było usunąć tak łatwo, jak zdjęcie.

Spaceruję po domu.

Chyba podjęłam właściwą decyzję, unikając dziś Belli. Nie zamierzałam do niej podejść; chciałam się tylko przyglądać. Praktyka czyni mistrza. Kiedy naprawdę się zdecyduję, że nadszedł właściwy moment na konfrontację, wszystko będzie zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

Zemsta najlepiej smakuje na zimno, a moja będzie wręcz lodowata.

### 3

Pięć pozostałych tygodni szkolenia odwraca moją uwagę. Choć ciągle mam na oku Bellę online i zjawiam się pod mieszkaniem Nate'a co najmniej raz w tygodniu, kiedy go nie ma, mnóstwo czasu spędzam z Amy. Lubi wspólną naukę. Tak naprawdę to nie moje klimaty, ale to znaczy, że mnie lubi i że na mnie polega. Jej współlokatorka, Hannah, jest członkiem załogi innej linii lotniczej na dalekich lotach, a Amy należy do osób, które nie czują się dobrze w samotności. Jest szósta z siedmiorga dzieci.

Wreszcie, po niekończących się zjazdach ze zjeżdźalni, zakładaniu kapturów przeciwdymowych i wchodzeniu do pełnych dymu pomieszczeń, żeby walczyć z pozorowanym pożarem, reanimacji lalek, zakuwaniu się nawzajem w kajdanki, bandażowaniu kolegów, niedorzecznej ilości pozorowanych scenek, zwiedzaniu samolotów w hangarze, uczeniu się, jak wkładać walizkę do schowka, żeby nie rozwalić sobie pleców i, co najgorsze, słuchanie Briana i Dawn gadających, gadających i gadających... po tym wszystkim nadchodzi nasz Dzień Skrzydeł. Mam wrażenie, że moment jest idealny, bo zaczynają się pojawiać pierwsze oznaki wiosny: żonkile, cieńsze kurtki, trochę dłuższe dni, nowy początek.

Wszyscy podajemy rękę menedżerowi, który jest najwyraźniej „bardzo ważny”, według Briana, i dziękujemy mu, kiedy wręcza nam tandetnie wyglądające złote odznaki. Wpinamy je sobie do zakietów, nad plakietką z nazwiskiem, i uśmiechamy się. Uśmiechamy się jeszcze bardziej, kiedy robią nam zdjęcia. Nie tylko przechodzę na następny etap mojego planu działania, oznacza to także koniec z Brianem. W następny wtorek lecę do Bombaju. Każdy kursant został przydzielony do jakiegoś lotu na długim dystansie, żeby mieć więcej czasu na szkolenie praktyczne. Amy leci do Dallas. W pobliskim pubie ze zbyt

jaskrawym oświetleniem i wykładziną w ciemne wzory, bez wątpienia ukrywającą rozmaite plamy, świętujemy, pijąc prosecco.

– Zdrowie! – mówi Amy.

Stukamy się kieliszkami.

– Zdrowie! – odpowiadam.

Amy wypija duży łyk.

– Stresuję się pierwszym lotem, a ty?

– Nie.

Wygląda na zaskoczoną.

Czuję się pewnie, bo sprawdziłam rozkład Nate'a i w grafiku ma Nairobi w poniedziałek. Nasze ścieżki na razie się nie skrzyżują. Choć Nate usunął mnie z grona znajomych, przestał mnie obserwować, wykluczył ze wszystkiego, co możliwe, nie zmienił swoich haseł. Szczerze mówiąc, nie ma pojęcia, że je znam. Ale nie zostawił mi wyboru – to jak na razie jedyna możliwość, żeby śledzić sytuację. Media społecznościowe stały się moim głównym narzędziem. Amy wie co nieco o Nicku, ale nie wie, jak się naprawdę nazywa ani czym się zajmuje, tylko tyle, że się rozstaliśmy. Amy jest idealną powiernicą: jest dla Nicka surowa na tyle, żeby mnie wspierać, ale nie aż tak, żebym czuła, że muszę występować w jego obronie. Musiałam się z czegoś zwierzyć. Na tym polega przyjaźń: na dzieleniu się sekretami.

Dzwoni telefon. To takie nietypowe zdarzenie, że omal nie wylewam wina. Ciocia Barbara. Jej imię pojawia się na wyświetlaczu. Rozmowa jest krótka. Jednak nie polecę we wtorek do Bombaju.

Mama nie żyje.

Dom, w którym się wychowałam, stoi na południu, tuż za miasteczkiem Dorchester, w maleńkiej wiosce. Wielu ludzi mi mówi:

– Och, Dorset, uwielbiam Dorset, tak tam pięknie. – A potem wspominają o morzu. Groszkowy Domek znajduje się na odludziu, a wybrzeża nawet nie widać. Najbliższa okolica to kilka

farm, i przy tych rzadkich okazjach, kiedy myślę o moim dawnym domu, wyobrażam sobie dąb w sercu wioski, otoczony kamiennymi domami, krytymi strzechą. Przez pobliskie wzgórza wiją się ścieżki, zawsze pełne piechurów i spacerujących z psami.

Na pogrzebie zjawia się ojciec, co lekko zbija mnie z tropu. Kiedy rozbrzmiewa *In My Life* Beatlesów, przyglądam się mężczyźnie po drugiej stronie przejścia i ożywiam go wspomnieniami z dzieciństwa. Miałam dziesięć lat, kiedy odszedł. Palił fajkę; ten zapach pamiętam bardziej niż jego samego. Ból ściska mi gardło, gdy spośród wspomnień przedziera się jedno: jego obraz nieudolnie przebranego za świętego mikołaja. Dzikie, kręcone włosy nie dały się ujarzmić pod za małą obramowaną na biało czerwoną czapką. Przełykam z trudem ślinę.

To drugi pogrzeb, na jakim jestem, i chyba nie bardzo rozumiem sens całego tego smętnego nabożeństwa. Ktoś umarł, mówi się trudno. W pierwszej chwili byłam zaskoczona liczbą ludzi, ale szybko zrozumiałam, że są tu ze względu na Barbarę. Widać jest naprawdę lubiana. Czekaając, aż rozpocznie się uroczystość, opowiada szeptem fragmenty historii kościoła ludziom z przodu; w jej głosie wyraźnie słyhać dumę, lepsze to niż bezsensowne czekanie w ciszy.

- ...pochodzi z trzynastego wieku. Setki lat mszy. Wyobraźcie sobie! Tylu ludzi. W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym negatywnie nastawiony pastor ukrócił zwyczaj rozdawania chleba, babeczek bakaliowych i piwa szóstego stycznia, w dawne Boże Narodzenie...

Szmer obwieszcza, że nabożeństwo się zaczyna.

- ...gromadzimy się, żeby podziękować za życie Amelii...

Wstaję. Podnoszę śpiewnik. Siadam. Mama byłaby wściekła. Wróci i będzie straszyć Barbarę za to, że wyprawiła jej kościelny pogrzeb. Barbara stwierdziła, że ponieważ Amelia wszystko robiła po swojemu, teraz jej kolej podejmować decyzje. Ramiona jej się trzęsą. Blond włosy z szarymi pasemkami są starannie upięte w kok. Od stóp do głów jest w czerni, przełamanej jedynie srebrnym łańcuszkiem z krzyżykiem. Ja też jestem ubrana na



czarno, ale tylko dlatego, że to dominujący kolor mojej garderoby. Głazczę ją po ręce, ale szybko cofam dłoń w obawie, że będzie próbowała ją chwycić.

Pastor przestaje mówić. Skończyło się.

Idę za Barbarą do wyjścia i stoję obok niej, kiwam głową i dziękuję za wszystkie słowa współczucia. Pamiętam, żeby od czasu do czasu dotykać oczu chusteczką, ale w gardle ścisza mnie naprawdę. Nie chcę się poddać łzom, bo jeżeli pozwolę sobie na płacz, to chyba nie będę w stanie przerwać. Wokół mnie unoszą się strzępy zdań.

Przede mną pojawia się ojciec.

– Czemu tu jesteś? – pytam.

– Możemy porozmawiać u Barbary.

Przy kanapkach z jajkiem i rzeżuchą – z białego chleba, z odciętą skórką – i kubkach mocnej herbaty, ojciec i ja porównujemy swoje wspomnienia. On ma wszystkie typowe oznaki starości: siwe włosy, okulary, zmarszczki i brzuch, a do tego silny kaszel. Jego ubranie przesiąknięte jest zapachem fajczanego dymu.

– Amelia twierdziła, że właściwie zniknąłeś – mówię. – Że nie zależało ci na utrzymywaniu kontaktu...

– To prawda, ale wydawało mi się, że powinienem, jak się dowiedziałem... tu przyjechać... zobaczyć się z tobą.

– Trochę późno. W latach dziewięćdziesiątych istniały telefony. Nawet Amelia miała telefon.

– Ożeniłem się drugi raz.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Na kartkach urodzinowych, które były jedyną próbą kontaktu z jego strony, zawsze pisał: „Kochanej Lili”.

– Elizabeth Juliette Magnolia. – Uśmiecha się ze swojego przestarzałego żartu.

Zawsze powtarzał, że gdyby to zależało od niego, miałabym na imię Imogen, ale matka była uparta. Chociaż kobiety w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych robiły sobie trwałą,

nosiły bluzki z poduszkami na ramionach i poddały się konsumpcjonizmowi, moja matka postanowiła trzymać się lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kwiaty. Beatlesi. Imprezy. Narkotyki. Alkohol. Zabawa, zabawa, zabawa. Mój ojciec był kierowcą ciężarówki na dalekich trasach i matka miała wymówkę, że nie czuje się dobrze jako jedyna dorosła osoba w domu. Twierdziła, że boi się morderców i złodziei ustawiających się w równiutkiej kolejce przed drzwiami, gdy tylko wychodził do pracy.

Ojciec stuka w zegarek.

– Muszę iść. Złapać pociąg. Nie bądźmy dla siebie obcy. Mam teraz już nawet mejla. Zapiszę ci. Może mnie kiedyś odwiedzisz?

– Może. – Mało prawdopodobne.

– Pamiętam o niej i o nim, no wiesz...

– Do widzenia.

Waha się. Przez jedną straszną chwilę myślę, że będzie próbował mnie przytulić, ale nie.

– Do widzenia, Lilio.

Odwracam się do pokoju pełnego obcych ludzi. Amy proponowała, że przyjedzie, ale trudno wykorzenić stare nawyki; nigdy nie lubiłam łączyć rodziny i przyjaciół.

– Mam nadzieję, że zostaniesz na parę dni – mówi Barbara. – Musisz pomóc przejrzeć rzeczy w domu.

Nie dodaje, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Okazuje się niespodziewanie, że moja matka zostawiła testament. Z jej skrzywioną logiką pewnie myślała, że zrekompensuje tym przeszłość. Jestem teraz dumną jedyną właścicielką Groszkowego Domku.

– Zostanę tu na noc.

– Sama?

– Tak.

– Do widzenia, Babs. Wspaniały poczęstunek – mówi wysoki, chudy mężczyzna, ściskający laskę.

– Do widzenia. Uważaj na siebie. – Jakaś kobieta dotyka przelotnie ramienia ciotki, a potem chwyta płaszcz.

Wszyscy się rozchodzą. Kuchnia jest nieskazitelnie czysta dzięki

wielu chętnym do pomocy. Każdy lubi jakieś zajęcie, jeżeli alternatywą są pogawędki z ludźmi, których tak właściwie się nie zna, na temat zmarłej osoby, którą znało się jeszcze mniej.

– Jesteś pewna? – pyta Barbara, kiedy pakuję torbę, szykując się do krótkiego spaceru do Groszkowego Domku. Macham małą latarką – tą, którą w pracy polecono nam kupić do użytku w sekretnym pomieszczeniu dla załogi.

– Całkowicie. Do zobaczenia rano.

Nie mam w sobie pokładów współczucia i marzę o samotności. Poza tym jestem w idealnym nastroju do tego, żeby zmierzyć się z duchami.

Kroki niosą się echem po jezdni, a potem po ścieżce. Wyciągam swoje stare klucze, biorę głęboki wdech i otwieram. Drewniane drzwi skrzypią. Zawsze skrzypiały, ale słyhać to dopiero teraz, w pustym domu.

Kiedyś był pełen ludzi. Po prostu byli, kręcili się, śmiali. Pamiętam mnóstwo śmiechu. Hałaśliwego, pijackiego, wesołego. To pamiętam najbardziej. I debaty. Matka ubzdurzała sobie, że na świecie złe jest to, że ludzie przestali siebie wyrażać.

– Tony Blair nie przestał – rzucił ktoś.

– Księżna Diana też nie – powiedział ktoś inny. – I patrzcie, co spowodowała jej śmierć. Ludzie się otworzyli i zaczęli wyrażać swoje emocje.

Im więcej myśli wlewał w ich mózgi alkohol, tym głośniejsze stawały się debaty przy akompaniamencie eklektycznej mieszanki muzycznej. Nauczyłam się, jak stawać się niewidzialną. Nic nie psuje zabawy tak jak dzieciak. Co innego mój dwuletni brat. Kiedy mama rozmawiała o nim z innymi, używała przymiotników: „fajny”, „pocieszny”, „słodki”, ja za to byłam „cicha”, „ponura” i „zdystansowana”.

Później, kiedy skończył się nieustający strumień gości, matka popołudniem zwykle już spała, przy ryczącej telewizji, radiu, czasami obu naraz. Ściszałam je, zdejmowałam jej buty i przykrywałam kocem. Kiedy położyłam Willa spać, siadałam w fotelu, czytałam albo wymyślałam historie i zabawy.

Teraz tyka zegar. Zawsze nienawidziłam tego odgłosu, jeszcze

przed „Wypadkiem”, jak wszyscy to nazywali. Czteroletni William Florian Jaśmin uśmiecha się do mnie z kominkowej półki. Miałby na imię Nicholas, gdyby decyzję mógł podjąć tata. Sześć lat młodszy ode mnie miał wrodzony talent do czarowania ludzi. Teraz to wszystko nieważne, martwa informacja. Kieruję się do lśniącego drewnianego barku. Wśród przypadkowej kolekcji alkoholi stoi butelka dzinu. Co ciekawe, jest prawie pełna. Otwieram lodówkę, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Wśród gotowych dań, paru cebul i trzech zwiędniętych jabłek stoi sześć puszek toniku. Cytryny ani limonek nie ma. W zamrażarce jest kilka tacek lodu. Ściskając w garści ulubiony drink matki, idę na górę. Stuknięcie kostek lodu sprawia, że podskakuję, kiedy otwieram drzwi jej sypialni i wdycham chłód i wilgoć.

Wchodzę. Klepki w podłodze skrzypią w znajomych miejscach. Otwieram drzwi szafy i uderza mnie charakterystyczny zapach perfum matki. Opium. Nienawidzę perfum, które krzyczą, że są kamuflażem, żeby ukryć odór alkoholu i zaniedbania. Wzdrygam się na to wspomnienie i odwracam za siebie, jakbym się spodziewała, że Amelia wniesie drinki na górę na tacy wyłożonej serwetką, co miało nadać jej uzależnieniu nieco dostojeństwa. Czuję dym, choć nikt nie palił papierosów w tym domu od lat.

Wracam do swojego zadania, zdejmuję wieszaki z drążka, na którym wiszą głównie sukienki. Przyglądam się jednej w różę i przykładam do siebie. Przeglądam się w lustrze, nie pasuje do mnie. To jej ulubiona. Rano czasami zabierała mnie i Willa do lasu i po drodze uczyła nas nazw kwiatów. Pamiętam pierwiosnki, dzwoneczki i naparstnicę.

Po drodze mieszkała jedna zapalona ogrodniczka, Amelia uwielbiała jej ogród, zwłaszcza wiosną. Zmarła niedługo po Wypadku. Nowi właściciele domku chcieli zmienić przestrzeń, wieloletnia budowa zniszczyła całe jego piękno. Ale wtedy Amelia już tego nie zauważała ani nie miało to dla niej znaczenia.

Wysuwam z szafy szuflady z drewnianymi frontami, z wygrawerowanymi ładnie kwiatami. Bielizna. Rajstopy. Stęchłe golfy. Poradnik ogrodniczy. Za przednią okładką dwie zasuszone

stokrotki. Opróżniam kieliszek i schodzę na dół po worki na śmieci i po dolewkę.

Szarpięciem otwieram ostatnią szufladę. Jest lżejsza, niż się spodziewałam, więc wypada, a ja się przewracam. Jest pusta, nie licząc pośliskiej koperty przyklejonej do pleców szuflady taśmą klejącą. Rozdzieram ją. Wtedy wszystko dopada mnie na nowo; stłumione wspomnienia przetaczają mi się przez głowę jak woda w wodospadzie. Dociera to do mnie.

Biegnę do łazienki i wymiotuję. Odkręcam kurek z zimną wodą, spryskuję sobie twarz, unikając odbicia w lustrze. Muszę wyjść.

Wychodzę i wzywam taksówkę, żeby zawiozła mnie na dworzec. Czekam na końcu drogi przy drewnianej furtce. Kiedy taksówka podejżdża, jej światła oświetlają przerośnięte żywopłoty i rozrośnięty bluszcz, który zawsze groził tym, że połknie dom. Muszę być silna i nie pozwolić, żeby wciągnęła mnie przeszłość. Po cichu pod nosem powtarzam swoją mantrę, ukrywając się w ciemności tylnego siedzenia, a kierowca słucha meczu piłkarskiego w radiu.

– Trzymaj się planu, trzymaj się planu.

Jeśli zawalisz plan, zawali się wszystko.

Dopóki nie zbczę z kursu, nigdy więcej nic mnie nie zrani.

## 4

Wysiadam z autobusu na Heathrow. Automatyczne drzwi do części centrum zgłoszeniowego. Migają skrawki zieleni i błękitu – nasze firmowe kolory. W stołówce wypatruję wolny stolik w kącie, zamawiam podwójne espresso. W górze monitory nieustannie aktualizują kuszącą listę miejsc docelowych. Rzym. Nairobi. Ateny. Widzę Los Angeles: mój pierwszy cel w roli czynnego członka załogi. Chcę się oddalić od Groszkowego Domku, Dorset i przeszłości. Myśli zalewają mi umysł.

„Załoga LAX pokój numer dziewięć”, pojawia się na ekranach.

Wstaję, zbieram rzeczy i kieruję się do sali odpraw przed odlotem. Zostaję przydzielona do obsługi tylnej części samolotu.

Sam lot byłby o wiele łatwiejszy, gdyby nie było tylu pasażerów. Wejście do klasy ekonomicznej niewiele się różni od tego, jak wyobrażam sobie wyjście na scenę, bo obserwują mnie setki oczu, a ja wyczuwam ich milczące zniecierpliwienie. Zwalniam hamulec wózka i pcham go przed sobą. Butelki pobrzękują. Kiedy zatrzymuję się w wyznaczonym miejscu – przy rzędzie trzydziestym szóstym – niemal słyszę, jak pasażerowie w myślach obliczają, w jakiej kolejności zostaną obsłużeni, a to daje mi przyptyw poczucia władzy.

Uśmiecham się.

– Lasagne czy curry z kurczaka? Wino białe czy czerwone?

W pierwszej klasie jest znany kucharz i chyba dzieli się poradami z członkami załogi i pasażerami. Kusi mnie, żeby się do nich przyłączyć; może podać mi jakiś nowy przepis, którym mogłabym zrobić wrażenie na Nacie. Ale zatrzymuje mnie przygotowanie tac z podwieczorkiem. Kiedy już jestem wolna, zaczynamy schodzić do lądowania.

Ludzie w autobusie dla personelu robią plany.

– Czy ktoś ma ochotę na wycieczkę do domów gwiazd?

Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego niż płacenie za to, żeby zobaczyć skrawki nieosiągalnego stylu życia. Postanawiam przyłączyć się do pięciosobowej grupy, która proponuje późne śniadanie jutro na wybrzeżu. Tu jest osiem godzin wcześniej niż w Wielkiej Brytanii, więc do tej pory nawet mnie będzie potrzeba czegoś więcej niż tylko kawy. Nie wspomniałam, że to mój pierwszy lot, tylko że jestem nowa i że nigdy wcześniej nie byłam w LA. Słyszałam o „kawałach” – nienawidzę samego tego słowa i obrazów, jakie przywołuje – takich jak informowanie nowych, że ich obowiązkiem jest przynieść worek lodu z samolotu na imprezę do pokoju albo że mają zanieść kapitanowi walizkę do hotelu.

Venice Beach.

Jestem tutaj, w miejscu tak znajomym, że mam wrażenie, jakbym weszła na plan filmowy, aż chcę się uszczypnąć. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem, że żyję życiem Nate’a. Pomyśleć tylko... tyle razy siedziałam w domu i czekałam na niego, a on hasał po świecie i balował. Ależ byłam głupia. Wpatruję się w szeroką plażę. Pod wysokimi, smukłymi palmami ludzie trenują w siłowniach na świeżym powietrzu. Mój wzrok przyciąga wieża ratownicza. U Babs kilka razy oglądałam *Słoneczny patrol* i byłam zachwycona.

Idę promenadą z moimi nowymi przyjaciółmi – kolegami z pracy – oglądam stoiska pełne okularów słonecznych, koszulek, kryształów, pamiątek, wymijam pięknych, szczupłych ludzi, biegających, jeżdżących na rołkach albo na desce. Jakiś artysta chce narysować mój portret, ale odmawiam z uśmiechem. Czuję się prawie swobodnie.

Decydujemy się na brunch w restauracji z miejscami na zewnątrz. Zamawiam omlet z białek i wodę gazowaną.

– Nie masz ochoty na mimozę? – pyta Alan, kierownik obsługi kabiny. – Możesz pić, pod warunkiem że skończysz co najmniej

dwanaście godzin przed dyżurem.

– Nie piję – mówię. – Nie jestem aż tak zestresowana.

Wszyscy parszczają śmiechem.

– No co? – mówię. – To prawda. – Rozglądam się po przemądrzałych twarzach przy stole.

– Już niedługo przestaniesz mówić, że nie pijesz – stwierdza Alan i upija dwa łyki z wysokiego kieliszka. – Daję ci sześć miesięcy. Maks.

Mogą się śmiać i twierdzić, co tylko chcą. Wyłączam się.

Kiedy spaceruję po pokładzie jedenaście tysięcy metrów nad Atlantykiem, obsługując lot powrotny, jedyne, co pozwala mi wytrzymać niekończące się prośby, to świadomość, że to wszystko jest środkiem do celu. Przeżywam krępującą chwilę, kiedy zostaję wezwana przez Alana przez telefon pokładowy, żeby porozmawiać z francuskim pasażerem, który ma jakieś pytania.

– A ten pan nie mówi po angielsku? – pytam.

– Pani. Niezbyt dobrze. Dlatego cię potrzebujemy.

Idę przejściem najwolniej jak się da, marzę, żeby ktoś zemdlał i zablokował przejście albo zarzucił mnie mnóstwem trudnych pytań. Problem w tym, że w formularzu zgłoszeniowym przesadziłam ze znajomością francuskiego. Znam go na poziomie gimnazjum. Jednak zaryzykowałam i przebrnęłam przez krótki, na szczęście ustny, egzamin, tylko dzięki temu, że przerobiłam audiobook z samouczkiem kilka tygodni wcześniej i udawałam, że jestem tego dnia strasznie przeziębiona. Z sali egzaminacyjnej wychodziłam z taką ulgą, że nie myślałam o skutkach na dłuższą metę. Traktowałam to jako kolejną przeszkodę, której się pozbyłam, a nie potencjalny przyszły problem.

Uśmiecham się, kiedy przedstawiają mnie madame Chauvin, starszej pani, która uśmiecha się do mnie z nadzieją ze swojego fotela i zaczyna długą przemowę.

– Poradzę sobie – mówię do Alana, który pochyla się służalczo obok.



Wzrusza ramionami i znika w kuchni.

Nauczyłam się po francusku jednego zdania na pamięć i powtarzam je.

– *Je ne parle pas très bien . . .* Nie mówię za dobrze po francusku. Mogłaby pani mówić wolniej?

Marszczy czoło, a później znów uśmiecha się i zaczyna mówić wolniej.

Kucam przy jej fotelu z nadzieją, że nikt inny nas nie usłyszy. Wychwytuję słowa „bagaż” i „Paryż”. Chyba.

– *Pas de problème* – mówię, nadal się uśmiechając, niewiele głośniejsze od szeptu i proponuję jej *café au lait*.

Otwiera usta, ale ja klepię ją po ręce i mówię po francusku:

– Nie ma za co. – Wstaję i odchodzę.

Zanim przejdę do klasy ekonomicznej, proszę obsługę kuchni, żeby zanieśli jej kawę z trzema ciasteczkami, jeżeli to możliwe, czekoladowymi.

Alan, który opiera się o blat, stukając w iPada, przerywa i zerka na mnie zza okularów.

– Czego chciała madame Chauvin?

– Martwiła się, czy jej bagaże zdążą na następny lot do Paryża.

– Aha. I to wszystko?

– No, tęskni też za wnukami i cieszy się, że je zobaczy. Długo była poza domem, odwiedzała krewnych. Muszę wracać, nie zrobiłam jeszcze papierów do baru.

Przechodzę szybko przez klasę biznes, później premium i docieram do bezpiecznego tyłu samolotu. Morze twarzy z klasy ekonomicznej przynosi przyjemną ulgę, ale nie uspokoję się zupełnie, dopóki nie wylądujemy. Za każdym razem, gdy dzwoni telefon pokładowy, serce podchodzi mi do gardła na myśl, że może znowu chodzi o „francuskiego pasażera”.

Po wylądowaniu wracam na chwilę do domu, żeby zostawić bagaże, wziąć prysznic i przebrać się, a potem wsiadam do pociągu do Dorchester. Wysyłam do Babs wiadomość z prośbą, żeby mnie odebrała, a potem zamykam oczy na krótką drzemkę

w pociągu. Czeka na mnie na dworcu w swoim czerwonym mini.

– Chyba sprzedam dom – mówię, kiedy koło niego przejeżdżamy. – Ale będę musiała liczyć na to, że trafi się jakiś wielbiciel Jasia i Małgosi, baśni, kwiatów i muchomorów, w radosnym leśnym stylu.

– Zgadzasz się, kochanie.

Spodziewałam się litanii uwag, jednej za drugą po kolei, jak samoloty czekające na zezwolenie kontrolerów. Moja matka dostała dom od dziadków, którzy zmarli, zanim doczekałam moich pierwszych urodzin. Barbara była wtedy żoną Ernigo i żyli szczęśliwie w nowoczesnym wolno stojącym domu, w którym „wszystko działało”.

– Od lat namawiałam ją, żeby go sprzedała, ale kategorycznie się sprzeciwiała. Domek był dla rodziny, a ziemia...

– ...dżungla, z tego, co widziałam przez okno.

Amelia lubiła kupować mieszanki nasion, wrzucała je wszystkie do wielkiej miski, a potem stawiała na środku ogrodu, rzucała garściami w niebo i z radosną niecierpliwością obserwowała, jak spadają z góry. Niektóre wyrastały; plamy koloru pomiędzy różnymi chwastami i trawą, póki chwasty ich nie zadusiły albo w końcu poddawały się po długich okresach upałów bez wody.

– Nie było szans, żeby tu wyzdrowiała, sama, otoczona wspomnieniami – mówi łagodnie Babs, właściwie do siebie.

– Miała mnie – odzywam się.

Nie wspominam o kolejnych niewłaściwych facetach po odejściu taty.

– Ale ja miałam cię na oku – mówi szybko Babs. – Gotowałam ci kupę i piekłam szarlotkę. I wiedziałaś, że mój dom jest dla ciebie zawsze otwarty.

Czasami brakuje mi słów. Zupa i cholerna szarlotka. Kartki urodzinowe od ojca. Moja rodzina jak Waltonowie. Amelia zrezygnowała z matczynej odpowiedzialności, kiedy dostałam stypendium teatralne w szkole z internatem, instytucji, która szczyliła się swoimi wartościami. Łacińskie słowa oznaczające światło i prawdę – *lux et veritas* – były wyryte na drewnianym

panelu w stołówce. Kiedy nie miałam na sobie szkolnego mundurka, moje niemodne ubrania i dziecinne piżamy Disneya sprawiały, że byłam jeszcze dalej od królowej matki pszczoł i jej koleżanek w jedwabnych piżamach i swetrach, spodniach i butach znanych marek.

Docieramy do domu Barbary. Parkuje przed garażem, z którego nie korzysta od czasu nagłej śmierci Erniego, spowodowanej atakiem serca siedem lat temu. Uwielbiał się tam chować, słuchać Radio Four i rzeźbić drewniane kredensy, które sprzedawał na wyprzedazach garażowych. Babs przekręca klucz w zamku białych plastikowych drzwi wejściowych, a ja wchodzę za nią i zanoszę torby do wolnego pokoju.

– Pomożesz mi uprzątnąć dom? – mówię, kiedy zesłam na dół.

– Chcę tu ściągnąć agentów nieruchomości. Jak już będzie sprzedany, może nabiorę przekonania, że jakaś część przeszłości da się zostawić za sobą.

– Oczywiście, Lily, skarbie.

– Teraz mam na imię Juliette.

Nic się nie stanie, jeśli się dowie.

– Aha. W porządku. Pod warunkiem że nie oczekujesz, że nigdy się nie pomylę.

– Napijmy się kawy i chodźmy tam – mówię. – Chcę mieć to z głowy.

Zimowy chłód ustępuje, zbliża się koniec marca. Kwiaty pokrywają gałęzie drzew w miasteczku, a wśród plam trawy przebijają się kępki krokusów. Ulubiona pora roku Amelii. Ale nie moja, bo brutalnie przypomina, że czas płynie. Bez Nate'a. Zaczęliśmy być ze sobą w lipcu zeszłego roku i zamierzam doprowadzić do tego, żebyśmy się zeszli przed rocznicą. Przyspieszam kroku i z nową determinacją, zamaszystym ruchem otwieram furtkę Groszkowego Domku.

Najpierw idę na górę do pokoju matki i podnoszę zdjęcie, które upuściłam tamtego wieczoru, zdjęcie jej ślicznego Willa, mnie i mojej ówczesnej przyjaciółki, Kim, która mieszkała w sąsiednim

domu. Zmuszam się, żeby patrzeć na nie przez kilka sekund, a potem drę je na strzępy. Było to jedno z ostatnich zdjęć, jakie mu zrobiono – wiem, bo milutkiego błękitnego słonika, którego ściska, dostał od Babs zaledwie tydzień przed śmiercią, to dlatego Amelia usunęła je z pola widzenia. Nie chcę pamiątek. Rodzina Kim zabrała ją niedługo po Wypadku, zostawiając mnie z pozostałymi dziećmi z naszej małej szkoły, które albo nie wiedziały, co mi powiedzieć, albo po prostu traktowały mnie jak wyklętą.

Stoję nieruchomo.

Cisza.

Zamykam oczy.

Niemal czuję słońce na skórze, zupełnie jak wtedy. Powietrze jest właściwie nieruchome. Rzadko to robię. Rzadko się tam zapuszczam, a teraz nie ma takiej potrzeby, ale przemożne pragnienie samookaleczenia popycha mnie do tego. Jeszcze tylko jeden raz. Mój oddech przyspiesza na wspomnienie nieostrożności. I lenistwa. Aż podskoczyłam i usiadłam. Było mi niedobrze, poczułam ledwie wyczuwalną strużkę z boku warg. Wytarłam ją, a cisza zagłuszała nieprzerwane brzęczenie pszczół.

Wtedy to się skończyło albo zaczęło, do końca nie wiem.

Wzdrygam się, otwieram oczy, zbiegam po schodach i przeszukuję kuchnię. Oddzieram z rolki kilka worków na śmieci i podaję je Babs.

– Masz. Jeżeli coś chcesz, weź sobie. Jak nie, oddaję wszystko dla biednych albo wyrzucam.

Zajmuje to dwa dni. Muszę nocować u Barbary, ale praca jest skończona.

Przed wyjazdem do Dorchester dorabiam kilka kluczy. Zostawiam je u kilku agentów nieruchomości, a potem wsiadam w powrotny pociąg.

Moje życie powoli wraca do normy. Kiedy już sprzedam dom, będę mieć pieniądze. Może ostatnio sprawy toczą się wolniej, ale wiadomo, kto w końcu wygra.

Po raz pierwszy, odkąd się tu wprowadziłam, przesypiam całą noc.

Przedostatniego wolnego dnia przed pracą wstaję wcześniej i jadę do Nate'a. Niestety, jest w domu, ale potrzebuję tego. Mijam teatr i bank, a potem przechodzę przez ulicę. Gapię się na jego blok, w którym jest pięć innych mieszkań. Jest oddalony od głównego terenu Green, przy małej uliczce. Budynek otaczają z przodu i z tyłu zadbane ogrody komunalne. Spaceruję po nich, zataczając okręgi na szerokiej otwartej przestrzeni. Szwendam się, czekam, aż Nate jak zwykle wyjdzie pobiegać około dziewiątej, a potem w nagrodę wypije kawę w swojej ulubionej kawiarni. Pogoda znów mi sprzyja. Choć ciemne chmury zwiastują deszcz, nie spadła jeszcze kropla, ale mój kaptur kurtki przeciwdeszczowej na głowie jest usprawiedliwiony.

Z miejsca przy wejściu do kawiarni widzę przez szybę, że Nate zamówił rogalika. Nietypowe. Przyptyw nadziei; pocieszenie się jedzeniem może być oznaką samotności. Wyciągam telefon i wpatruję się w wyświetlacz. Nate nie spieszy się z piciem kawy i odczo wykorzystuje bezpłatne gazety. Gdy zerkam znad telefonu, zalewa mnie strach. Nate idzie prosto do wyjścia. Ze spuszczoną głową oddalam się i chowam w drzwiach najbliższego sklepu, wstrzymując oddech. Mija mnie. Serce łomocze mi jak oszalałe. Głębokie oddechy.

Idę w przeciwną stronę, w kierunku rzeki, i dzwonię do Amy. Muszę się oderwać.

– Masz ochotę spotkać się dziś wieczorem w Richmond na tapas? – proponuję. – Znam dobre miejsce, tanie i przyjemne.

Nie ma obawy, że wpadniemy na Nate'a, bo poleciał do Bostonu.

Amy zgadza się.

– Przyjedź najpierw do mnie na drinka – mówi.

Ta restauracja tapas była naszą ulubioną. Alejandro, menedżer z długim językiem, doniesie Nate'owi, że wyglądam na szczęśliwą, jeżeli wspomnę – raz czy dwa – jaka jestem szczęśliwa z moim nowym wymyślonym chłopakiem. Nate

powinien poczuć choćby ukłucie zazdrości. W ludzkiej naturze leży to, że się chce mieć to, czego mieć nie można, wiem o tym zbyt dobrze, i założę się, że Nate od czasu do czasu wchodzi na mój profil na Facebooku, z ciekawości, mimo że chce stwarzać wrażenie, że już go nie obchodzi. Dobrze mu robi, jak zobaczy, że wychodzę z nową przyjaciółką. A nawet, jeżeli on nie zobaczy, może zobaczy ktoś inny i wspomni o mnie pozytywnie. Musiałam założyć na Facebooku dwa konta – dla Elizabeth i dla Juliette – i bardzo uważać, jakie zdjęcia zamieszczam na każdym z nich, bo zabawa by się wydała, gdybym jednego dnia była w Melbourne, a następnego w Singapurze.

Wracam na dworzec i zerkam w górę na kwadratowy zegar – nie ma jeszcze południa – po południu jestem w domu. Mogę jakoś sensownie spożytkować czas, zanim wyjadę do Amy, wyciągam więc laptop i biorę się do roboty. Wyszukuję kilku agentów nieruchomości i sprawdzam, co planuje Bella. Wspiera kolejną organizację dobroczynną. Tym razem walczącą z dręczeniem. Zalewa mnie złość. Nie ma prawa, żadnego. Wdech, do cholery, wydech, do cholery. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Cierpliwość jest cnotą.

Trzymaj się planu.

Zajmuję myśli szukaniem instruktora nauki jazdy i w końcu rezerwuję lekcje.

Łapię autobus na Heathrow, a potem następny do Brentford, choć to wydłuża podróż. Nieważne, mam jeszcze mnóstwo czasu, mimo zajętego dnia. Każdy zrealizowany lot daje nam od dwóch do pięciu dni wolnego, w zależności od miejsca docelowego – dni w bazie, nazywane powszechnie dniami TAB. Autobus staje i rusza, wleczę się przez Hounslow, potem wraca na A4, mija rzędy domów oddalone od głównej drogi. Nawet mimo warkotu silnika słyszę nieustanny huk samolotów podchodzących do lądowania. Patrząc w górę przez okno, przy każdym zbliżającym się samolocie widzę – mimo dziennego światła – migające światła

antykolizyjne i podwozie; grube, czarne opony wystające spod metalowego podbrzusza.

Wysiadam przy Brentford High Street, przed Sądem Rejonowym, stąd do Amy jest czterdzieści minut spacerem. Mijam wysokie budynki z lśniącego szkła i przygnębiające szare kolumny, podtrzymujące mosty M4. Ostatni odcinek trasy prowadzi w górę szeroką osiedlową drogą.

Jestem spocona, gdy wciskam dzwonek Amy.

Otwiera drzwi w brzoskwiniowym ręczniku.

– Przepraszam! Trochę się nie wyrobiłam. Weź sobie coś do picia z lodówki! – krzyczy przez ramię i znika w sypialni. – Pospiesz się.

Siadam na kanapie. Mijają wieki. Znudzona, wysuwam szufladę z ławy. Pełno w niej głównie niepotrzebnych gratów. Nie mogę się powstrzymać i zaczynam ją sprzątać, porządkuję zbieraninę długopisów, wyciągam rozpadającą się paczkę lepkich cukierków na kaszel, musi wylądować w śmieciach. Jest breloczek z Homerem Simpsonem, eksplozja błękitu i żółci, z dwoma kluczami. Dodatkowe klucze? Biorę je i wkładam do torebki – nigdy nie wiadomo, kiedy co się przyda.

– Pamiętasz Jacka z imprezy? – mówi Amy, gdy w końcu wyruszamy i nie czekając na odpowiedź, dodaje: – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Nie miał co robić wieczorem, więc powiedziałam, że może się do nas przyłączyć.

Uśmiecham się.

– Cudownie. Im więcej, tym weselej.

Oczywiście, że mam coś przeciwko temu, do cholery.

Zaraz po wejściu do restauracji humor psuje mi się jeszcze bardziej. Nie ma śladu po sympatycznym Alejandro, wyczuwam jego nieobecność, podkreśloną brakiem usychającego kaktusa na parapecie wysokiego okna i papierowych obrusów w kiepsko narysowane sombrera. Wnętrze wygląda teraz... na wymuskane. Od razu wiem, że je sprzedał, zajął się czymś innym. Czuję lekkie ukłucie, jakbym była zdradzona. Ja jestem lojalną klientką.

Kelnerka prowadzi nas do stolika nakrytego dla czworga. Widzę tył męskiej głowy; odwraca się i uśmiecha.

– Cześć, Jack – mówię z szerokim uśmiechem. – Dla kogo to puste miejsce? – Wsuwam się swobodnie na krzesło naprzeciw Amy.

– Dla mojego kumpla, Chrisa – odpowiada Jack z uśmiechem.

Przez piersi przebiega mi dreszcz niepokoju, jak zawsze, kiedy sprawy wymykają się spod kontroli. Nie chcę podwójnych randek ani spotkań z innymi facetami – to nie ma sensu. Mam Nate'a. Zaciskam dłonie pod stołem, zmuszam się, żeby wziąć menu, i przeglądam je.

Kiedy już mam zaproponować, żebyśmy odpuścili sobie jedzenie i przenieśli się do baru, zjawia się Chris. Jest wielkich rozmiarów, pod każdym względem: wysoki, głośny i z brzuchem piwnym. Choć się uśmiecham i sprawiam wrażenie sympatycznej, kilka następnych godzin jest męczarnią. Czuję się jak w pułapce. Nie mogę znieść tego, że tu tkwię, zachowując pozory w niewłaściwym życiu, z niewłaściwymi ludźmi. Chyba nie po to przetrwałam koszmarne rollercoaster zaraz po dwudziestce, żeby teraz tak przeżywać brutalne ukłucie pustki. Moje doświadczenia uprawniają mnie do kosmicznej nagrody, jak na przykład... satysfakcja czy stabilizacja. Moim miejscem jest dom, z Nate'em. Każda chwila spędzona osobno jest stratą czasu, bo skutek jest oczywisty – będziemy razem. Będąc z Nate'em czułam się, jakbym rozpoczęła podróż pociągiem do domu i zostałam z niego wykopana w połowie drogi, w zimową noc, z poleceniem, żebyśmy do celu dotarła kilkoma autobusami zastępczymi.

Chcę wszystkiego: Nate'a, serdecznej akceptacji jego rodziny, wygodnego życia i dzieci, które zostaną piłkarzem – Will uwielbiał kopać piłkę – i aktorką. Dziećmi będę się zajmowała sama; nie miałabym zaufania do nikogo innego. Chcę być taką osobą, na którą inni będą zerkać – na przykład w restauracji, albo nawet gdy będę z dziećmi w parku – i do której będą chcieli się upodobnić. Chcę, żeby myśleli, że jestem osobą, która wszystko ma pod kontrolą, i wyobrażali sobie mój uporządkowany dom, z



rysunkami dzieci przyczepionymi magnesami do lodówki i mężem, który otwiera butelkę schłodzonego drogiego wina, gdy ja mieszam risotto.

Kiedy dochodzi północ, wszyscy są nawaleni i śmieją się z rzeczy, które wcale nie są śmieszne. Jeżeli Jack pokaże mi jeszcze jeden filmik na Youtube, na którym mężczyzna spada z motoru w dogodnie umiejscowiony stos siana, zacznę krzyczeć. I chyba nie będę w stanie przestać.

Jesteśmy teraz uwięzieni w długiej kolejce na pustym postoju taksówek. Zapach kebabu z pobliskiej budki jest nieznośny. Nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Dziecinny bunt bierze górę.

– Mam pomysł – mówię. – Niedaleko mieszka mój znajomy. Nie ma go, ale czasami pozwala mi korzystać z mieszkania. Chce, żebym karmiła rybki i miała dom na oku. Chodźmy do niego na rozchodniaczka.

– Jesteś pewna? – pyta Amy. – A co...

– Chodź! Nie wytrzymam w tej kolejce ani sekundy dłużej. Wypijemy drinka w cieple i zadzwonię po taksówkę.

Amy waha się.

– Chodźcie za mną – mówię i ruszam uliczką w stronę Green. – Będziecie musieli być cicho, jak będziemy wchodzić, niektórzy sąsiedzi pracują na nocki. W mieszkaniu możecie już gadać.

Jestem zadowolona z siebie, kiedy wpuszczam ich do środka, mam wrażenie, że panuję nad wszystkim. Obiegam salon wzrokiem. Jest czysty. Żadnych instrukcji, żadnych listów, nic zbyt osobistego. Nate i ja lubimy porządek. Nie wierzę, że przeciwieństwa się przyciągają; jestem pewna, że to mit. Zaciągam zasłony i nalegam, żeby wszyscy napili się likieru kawowego. Nate nie zauważy, że ubyło go w butelce, nie cierpi go. Jack siedzi na sofie obok Amy. Jest miejsce obok Chrisa, który siedzi na drugiej, na miejscu Nate'a. Zasłużył sobie na to, żeby inny mężczyzna – choć nieodpowiedni – zajął jego miejsce.

Ryby podskakują. Gdyby mogły mówić... Po raz pierwszy w życiu karmię je, rozsypując warstewkę śmierzącego konfetti na powierzchni wody. Tęcza otwiera i zamyka pyszczek, spoglądając na mnie groźnie.

– Zaraz wracam – mówię. – Wskoczę tylko do łazienki, a potem wezwę taksówkę.

Nie zwracają na mnie uwagi; ryczą ze śmiechu z kolejnego filmiku Youtube z telefonu Jacka.

W pokoju gościnnym Nate'a sprawdzam jego biurko. Jest prawie puste, jak zwykle, poza pojemnikiem z różnymi długopisami hotelowymi. Swój kalendarz zabiera na ogół ze sobą, ale nie mogę oprzeć się pokusie i przeszukuję jego szuflady. Z telefonem wciśniętym między ucho a ramię wybieram numer zrzeczenia taksówek.

Dzwoni.

Odzywa się męski głos.

– Halo?

Mój wzrok zatrzymuje się na drogiej kremowej kopercie. Zaproszenie? Na co? Od kogo? Ostrożnie wydaję kartkę, choć koperta została już otwarta nożykiem do papieru Nate'a.

– Halo? Taxi Bob? – odzywam się z trudem. – A, dobry wieczór, tak... Chciałabym zamówić taksówkę...

Rozłączam się, opadam na łóżko i czytam słowa, które rozmywają mi się przed oczami.

## 5

Zawsze, kiedy decyduję się zobaczyć Bellę online, z daleka czy na zdjęciach, przygotowuję się do tego psychicznie. W wyobraźni tworzę wokół siebie barierę ochronną. Każdemu innemu to, na co patrzę, nie wydałoby się niczym niezwykłym – ale dla mnie to kolejne niepowodzenie. Kolejne przypomnienie tego, że ona prowadzi takie życie, jakiego pragnę ja.

Zaproszenie do Belli na trzydzieste urodziny jej przyjaciółki. Ale to mnie nie rusza, że ta przyjaciółka jest dość znaną celebrytką – to mnie zupełnie nie obchodzi – mnie kłuje bezceremonialny elitaryzm. Bardzo chciałabym zostać zaproszona i poruszać się w tych samych kręgach, co Nate. Też kiedyś znałam Bellę.

– Juliette?

Amy stoi w drzwiach, marszcząc czoło, wyraźnie zmieszana mimo zamglonego spojrzenia.

– Przepraszam, rozkojarzyłam się. Napisałam do kumpla, żeby mu powiedzieć, że tu jesteśmy, i poprosił mnie, żebym mu coś sprawdziła.

Odkładam zaproszenie do szuflady, wyłączam światło i wracam za nią do salonu.

– Jeszcze po likierze kawowym? – mówię z uśmiechem gospodyni. – Dyspozytorka powiedziała, że mają naprawdę duży ruch. Taksówka będzie za jakąś godzinę.

Trudno mi się skupić. Uśmiecham się, kiwam głową i staram się być obecna, najbardziej jak potrafię. Ale mam ochotę krzyknąć z ulgą, kiedy po czterdziestu pięciu minutach taksówkarz dzwoni, że czeka na dole.

– Zamówiłam dwie – kłamię. – Ja wrócę do siebie następną. I tak chcę zostać i trochę tu ogarnąć – dodaję, gdy Amy otwiera usta, jakby chciała zaprotestować.

To prawda, że muszę sprawdzić, czy wszystko odpowiednio

odłożyłam. Nie mogę zostawić żadnych śladów; Nate jest drobiazgowy. Upewniam się, że jego samolot do Bostonu naprawdę wystartował, i dopiero wtedy czuję się wystarczająco pewnie, żeby zostać na noc. Nie widzę powodu, dla którego nie powinnam. Wracam do gościnnego pokoju i jeszcze raz wyjmuję szytywne zaproszenie.

*Będę zaszczycona Pana obecnością na przyjęciu...*

Decyzja Amelii o tym, żeby ubiegać się dla mnie o stypendium w szkole z internatem, zamiast pozwolić mi uczyć się dalej w najbliższej szkole średniej, zbiegła się idealnie z początkiem działania moich hormonów. Pomogła mi się do niej przygotować, choć wygłaszanie monologów i odgrywanie różnych improwizacji wydało mi się proste. Przewodnicząca mojego rocznika, Bella, została wyznaczona przez wychowawczynię, żeby się mną opiekować i pokazać mi to i owo. I rzeczywiście robiła to. Na początku. Była elegancka, inteligentna, bystra, szczupła i piękna. Pod skrzydłami Belli byłam chroniona przed tymi, którzy zwracali uwagę na moje zbyt ciasne, ponure ciuchy, które nie były w stanie ukryć grubej pupy.

Większość „elity” stanowiły dziewczyny mieszkające w internacie tylko w ciągu tygodnia. Rodzina Belli mieszkała w ekskluzywnej dzielnicy w Bournemouth. Ja nie chwaliłam się, jak blisko leży mój dom.

– Na wsi – odpowiadałam zwykle, gdy mnie o to pytano, choć w rzeczywistości dom znajdował się w odległości trzydziestu dwóch minut drogi – zmierzyłam czas taksówkarzowi, który wiozł mnie na rozpoczęcie roku. Weekendy ciągnęły się długo. Zwykle przesiadywałam w bibliotece i znajdowałam ucieczkę w przeglądaniu dozwolonych czasopism – „Vogue’a” i „Tatlera” – i wyobrażałam sobie moje przyszłe zaproszenia na przyjęcia, po których ja też znajdę się na zdjęciach na ostatnich stronach.

W naszych występach role Belli były zawsze odpowiednikiem roli Maryi w jasełkach, a role jej najbliższych przyjaciółek – Stephanie i Lucy – można było porównać znaczeniem do roli

mędrców. Moje były epizodyczne – na przykład pasterza czy osła – mimo stypendium, choć powierzano mi dodatkowe role zakulisowe, jak na przykład pisanie scenariusza czy reżyserię. Staralam się nie przejmować, ale to bolało, bo chciałam mieć własny moment chwały, żeby wszyscy mnie oklaskiwali i żebym stała się bardziej lubiana.

– To dlatego, że jej rodzina ma kupę forsy. Przekazują hojne darowizny na szkołę. Nikt inny nigdy nie ma szans – wyszeptęła do mnie kiedyś Claire, spokojna koleżanka z klasy, która odnosiła sukcesy w większości dyscyplin sportowych. Bella dostała właśnie kolejną pożądaną rolę.

Nawet polubiłam Claire, ale nie mogłam się z nią zaprzyjaźnić, bo wyczuwałam, że Bella – choć pozornie traktowała mnie wyjątkowo – ogólnie nie pochwała tego, że uczniowie ze stypendium dostają coś za darmo, podczas gdy rodzice większości dziewczyn z elity ciężko pracują na swój majątek. Myśl o tym, że Bella mogłaby zobaczyć kiedykolwiek, skąd pochodzę, napełniała mnie wstydem. Wieczorami wylewałam moje uczucia odszczepieńca, piszę pamiętnik przy latarce, w skupieniu, żeby nie pominąć żadnego szczegółu.

Przeżycia bolą bardziej, gdy się je odpowiednio utrwali.

Ziewam; jest trzecia w nocy. Na niebie wisi księżyc w pełni.

Idę do łazienki, zmywam makijaż letnią wodą z mydłem i myję zęby elektryczną szczoteczką Nate'a (ma jedną na baterie, którą zabiera do pracy).

Kładę się po jego stronie łóżka i zasypiam.

Kiedy się budzę, przez kilka cennych sekund mam wrażenie, że wszystko jest jak dawniej. Leżę w naszym łóżku, cała w skowronkach, a Nate robi śniadanie albo wyszedł pobiegać. Ale, jak zwykle, dopada mnie przytłaczająca rzeczywistość i lekkie, nieuchwytnie szczęście pryska.

Patrzę na telefon; jest południe. Parzę kawę i przeglądam zawartość lodówki. Muffinki są nieruszone.

Dzwoni mój telefon. Agent nieruchomości.

– Świetne wieści, pani Price – odzywa się młody męski głos. – Dostaliśmy ofertę niemal równą cenie sprzedaży. Bez czekania, mieszkają w wynajętym lokum.

Dzięki temu wkrótce będę miała więcej pieniędzy niż kiedykolwiek w życiu. Pieniądzy pochodzących z poczucia winy Amelii. Będę mogła sobie wybrać miejsce, gdzie zamieszkać, nie będę musiała dłużej siedzieć na wygnaniu w Reading. Przeglądałam oferty nieruchomości w Richmond, ale ceny są horrendalne. Właściwie mogę sobie pozwolić na małe mieszkanie. Zaznaczam kilka potencjalnych ofert.

Przełączam się na Facebooka. Amy milczy. Kumpel w połowie włoskiego pochodzenia, z moich dawnych czasów statystki, Michele Bianchi, dostał małą rolę w serialu telewizyjnym jako pomocnik weterynarza. Piszę: „Gratulacje!” Nikt nigdy nie nazwał go samym imieniem, zawsze był znany jako Michele Bianchi. Jadaliśmy razem lunch, oglądając prawdziwych aktorów w pracy. Gdybym się postarała, mogłabym się uczyć aktorstwa. Podobała mi się myśl o prowadzeniu podwójnego życia; jednego prawdziwego, drugiego postaci fikcyjnej. Ale ponieważ odeszłam ze szkoły przy pierwszej okazji, skończyłam, przeskakując z jednej pracy do drugiej: byłam kwiaciarką, kelnerką, asystentką biurową, przedstawicielką handlową, to tylko kilka posad. Podobnie z mieszkaniami. Wynajmowałam różne pokoje, ale zawsze po paru miesiącach wracałam do Dorset, bo nie znosiłam mieszkania z obcymi. Zasadniczo moje życie w kwestii przyjaźni i mężczyzn wyglądało podobnie. Zawsze gdy poznaję ludzi, rozczarowują mnie. Ale w Nate’a wierzę. Przy nim czuję się dobrze. Nie umiem opisać tego inaczej.

Przeoglądam jego profil na Facebooku; jest na siłowni w Bostonie.

Bella napisała, że idzie dziś rano wypróbować zajęcia jogi.

Rozglądam się, jak zwykle. Nie zaszkodzi, i nawet, gdy tu mieszkałam, zawsze znalazło się coś, co warto było skopiować czy zatrzymać. W życiu nigdy nic nie wiadomo, zwyczajnie nie wiadomo. Nie rzuca mi się w oczy nic nowego ani niezwykłego, więc myję i wycieram kubek, odstawiam go na stojak z kubkami,

a potem trzy razy sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. Gapię się na drzwi lodówki; dostrzegam plamy gładkości między niewielką ilością zdjęć i kartek. Kiedyś była pełna kolorów. Nate kupował mi magnesy na lodówkę albo kubki z każdego nowego kraju, do którego leciał. Odpowiednie pamiątki, bo wiedział, że kocham takie rzeczy – dla mnie nie są tandetne. Mówił, że robi to, żebym widziała, że „myślę o tobie, jak jestem daleko”. Zatrzymałam je wszystkie spakowane; nie będę ich używać, dopóki nie będę mogła powiesić ich znowu tutaj, w naszym pierwszym domu.

Rozglądam się po raz ostatni po moim dawnym i przyszłym mieszkaniu, a potem zmuszam się do wyjścia i powrotu pociągiem do mojego pudełka na buty. Już z domu wybieram numer fryzjerki Belli, żeby się umówić. Bella nadal mieszka w Bournemouth, niedaleko domu rodzinnego, blisko stąd. Siadam na sofie i uczę się do testu teoretycznego na prawo jazdy. Nate nie pozna swojej pewnej siebie, niezależnej przyszłej żony, której pozwolił się wymknąć.

    Nie będzie miał okazji.

Wstaję wcześnie na krótki lot do Frankfurtu i z powrotem.

Po powrocie przebieram się w toalecie lotniskowej, mundur oddaję do pralni chemicznej i wsiadam do pociągu do Bournemouth.

– Co dziś robimy? – pyta ulubiona stylistka Belli, uśmiechnięta Natasha.

Waham się. Byłam zdecydowana na blond, jak Bella, ale jak się nad tym zastanowić, Amy jest taka pewna siebie z tymi swoimi kasztanowatymi włosami. Ma wystarczająco dużo pewności siebie, ale kiedy trzeba, jest też zdyscyplinowana. Może nauczyłabym się czegoś, naśladowując ją.

– Mam ochotę na eksperyment – mówię. – Myślę o czymś bardziej radykalnym...

Przy kawie oglądam wzornik kolorów i wybieram odcień najbardziej zbliżony do koloru włosów Amy, a później, kiedy

Natasha układa i przycina mi włosy, rozluźniam się i przeglądam czasopismo.

- Tylko końcówki - podkreślam (nie chcę wyglądać dokładnie tak jak Amy). Opowiadam o paru najtrudniejszych pasażerach, na jakich trafiłam, starając się wydobyć z niej coś o jej najtrudniejszych klientach. Bella na pewno do nich należy. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że traktuje kogokolwiek z szacunkiem. Jednak Natasha nie łapie przynęty. Zostawiam jej spory napiwek, może następnym razem będzie rozmowniejsza. Po drodze na dworzec nadmorski wiatr rozwiewa mi włosy, zaskakując mnie za każdym razem, kiedy widzę kasztanowate kosmyki.

Na peronie, na tablicy odjazdów dostrzegam nazwę miejscowości, w której znajdowała się moja szkoła z internatem. Nie ma powodu, żebym tam jechała, ale czuję impuls, żeby tam wrócić, choć szkoła jest teraz domem opieki. Zanim zdążę to sobie wybić z głowy, kupuję bilet i wsiadam do pociągu. Jednak popełniłam błąd i nie sprawdziłam czasu trwania podróży, a droga do środka Dorset trwa ponad godzinę. Od dworca na podjazd jest jakiś kilometr. Błyszczący złoty szyld ogłasza nową nazwę, pod którą widnieje napis: „Dbamy o was”. Mam nadzieję, że rzeczywiście bardziej dbają o starszych niż kiedyś o nastolatki. Idę dalej wąskim chodnikiem znajomą drogą.

Kiosk z gazetami stoi nadal. W czasie popołudniowej przerwy, między szesnastą a szesnastą dwadzieścia pięć, mogliśmy wypuścić się na trzyminutowy spacer i nakupić sobie śmieciowego jedzenia. Popycham drzwi. Nie pamiętam obsługi, nie mam więc pojęcia, czy mężczyzna za staroświecką ladą obsługiwał mnie kiedyś, ale podejrzewam, że tak.

- Widzę, że szkoła zmieniła właściciela? - mówię, udając, że przyglądam się stoisku z czasopismami.

Kiwa głową.

- Chodziłam do niej jako nastolatka.

- Tak? Tyle was tu było.

Nie wspomina o miejscowych chłopakach, którzy stali po przeciwnej stronie ulicy i naśmiewali się z nas. Zawsze nam



mówiono, że mam ich ignorować, ale nie miałam do nich pretensji. Każde złamanie zasad noszenia mundurków było natychmiast karane szlabanem, więc jeżeli nie byliśmy w letnich kapeluszach słomkowych, nosiliśmy zimowe płaszcze – nie kurtki, jak normalni uczniowie – co zwracało na nas uwagę i narażało na śmiech, jakbyśmy były nastolatkami z surowego obrządku religijnego albo z innej epoki.

Wybieram dwa czasopisma ślubne. Kiedy dostaję resztę, dostrzegam brązowe papierowe torebki. Napelniałam je kiedyś po brzegi łakociami, bezceremonialnie próbując przekupić innych, żeby spędzali ze mną czas. Mówię „do widzenia” i oddalam się w kierunku domu opieki. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, ale teraz, skoro już tu jestem, muszę tam zajrzeć.

Podchodzę do wiktoriańskiego budynku i od razu widzę, że recepcja znajduje się w tym samym miejscu, choć główne wejście jest szersze. Podwójne drzwi, otwierające się na zewnątrz, w miejscu starych, białych, drewnianych, skrzypiących drzwi. Z boku metalowa rampa dla wózków inwalidzkich. Liście wirują, porywane lekkimi podmuchami. Samochody są nowe, nie ma już starego rovera dyrektorki i volkswagena polo nauczycielki teatru. Z miejsca, w którym stoję, widziałam czarne drzwi po mojej lewej stronie. Teraz w tym miejscu jest mur. W czasie porannej przerwy stare czarne drzwi otwierały się, a wychowawcy rozdawali paczki i listy z domu: kartki urodzinowe, walentynkowe czy pocztówki i listy od starszych krewnych, zwłaszcza tych, którzy nie oswoili się jeszcze z mejlem.

Biorę głęboki oddech i wchodzę do dawnej szkoły. Przestrzeń wygląda zupełnie inaczej, ale zapach jest ten sam. Przeżywam szok, spodziewam się, że ją zobaczę albo usłyszę charakterystyczne kroki. Stoję jak wryta i przypominam sobie coś – jak któregoś wieczoru Bella mi mówi, że nie mogę usiąść obok niej na kolacji, bo zajęta miejsce dla Stephanie. Potrzebowałam kilku upokarzających minut, żeby znaleźć wolne miejsce w zatłoczonej stołówce. Dodaję to do listy jej grzeszków.

Skupiam się na obecnym wyglądzie pomieszczeń. Okna z witrażami pozostały wkomponowane w wysokie mury, a

oryginalny wielki kominek nadal jest na swoim miejscu. Ale nad nim przytwierdzono do ściany lśniący drewniany szyld. Przebiegam wzrokiem łacinę i skupiam się na angielskim tłumaczeniu: „Szczęście sprzyja odważnym”. Usiłuję rozszyfrować, jaki związek ma to motto z domem starców, ale moje rozmyślenia zostają przerwane.

– W czym mogę pomóc? – odzywa się kobięcy głos.

Odwracam się i uśmiecham do recepcjonistki, ubranej w wyszukaną, niebieskawą bluzkę. Jej okulary do czytania wiszą na łańcuszku na szyi. Wygląda, jakby się mną przejmowała.

– Przepraszam – mówię. – Chodziłam tu do szkoły. Dziwnie tu wrócić.

– A kiedy to było?

– Skończyłam jakieś dziesięć lat temu. Myślałam... Czy mogłabym się rozejrzeć?

– Raczej nie, obawiam się. Trzeba się wcześniej umówić. A jeżeli nie ma tu pani żadnych krewnych, to przykro mi, ale nie.

– A po okolicy? Czy w dole nadal płynie strumyk?

– Tak, ale muszę się upewnić, czy może pani tam pójść – mówi i chwyta telefon stacjonarny. – Ale nie widzę przeciwwskazań.

Strumyk jest płytki. W moich wspomnieniach był głębszy. Choć porośnięte trawą brzegi są zarośnięte, nadal można do niego dojść ścieżką. Zastanawiam się, czy teraz ktoś tu przychodzi, ale nie wygląda na to, żeby mieszkańcy domu musieli się potajemnie wymykać na papierosa czy inne niedozwolone rzeczy.

Tu była moja kryjówka. Zdejmo wałam buty i zanurzałam bosc stopy.

Wszyscy myśleli, że po Willu instynktownie będę się bać wody. Ale wręcz przeciwnie, niosła mi pociechę.

Wierzby płaczące nadal pochylają się nad wodą, a chłodny wiatr marszczy jej powierzchnię. Ostatnio siedziałam tu w noc balu na zakończenie szkoły.

Dziesięć lat temu.

Piąto- i szóstoklasiści z innych szkół – też chłopcy – zostali zaproszeni i zwiezieni z całego hrabstwa. Szybko rozniosły się pogłoski, że poncz owocowy jest przez szóstoklasistki ochrzczony, że dzieli się swoim dozwolonym alkoholem. Popijałam mój, choć smakował jak syrop na kaszel, ale w głowie miałam to, że nie chcę się zachowywać głupio, jak moja matka, rozchichotana i prostacka. Miałam na sobie czerwoną suknię, kupioną za pieniądze, które przysłała mi Babs. Ale choć z zewnątrz wyglądałam inaczej, w środku byłam nadal sobą. Znudziłam się już poczuciem, że nic nie znaczę, siedzeniem z Claire na korytarzu, więc kiedy dyżurujący nauczyciele nie zwracali uwagi, wymknęłam się z głównego budynku i przeszłam przez spadzisty trawnik w dół do mojej kryjówki. W gardle mnie paliło i było mi gorąco. Zdjęłam szpilki i zanurzyłam stopy w wodzie. Ciemna szarość nadchodzącej nocy zgęstniała, temperatura opadła. Czułam się niemal szczęśliwa; niedługo miałam się uwolnić od miejsca, którego nienawidziłam. Lekki wiatr owiewał mi nogi, a ja czułam się anonimowa, bezpieczna i otulona. Usiadłam nad brzegiem strumyka i objęłam rękami kolana.

Zamierzałam wrócić ukradkiem do swojego pokoju i skulić się pod kołdrą, ale ślizgające się kamienie i kroki uprzedziły mnie o czyjeś obecności. Wstałam szybko, gotowa się bronić, ale ku mojemu zaskoczeniu udało mi się wypatrzyć, że to chłopak z szóstej klasy, jeden z tych „fajnych”, który należał do grupy kręcących się wokół Belli, Stephanie i ich paczki.

Sam.

Szybko zastanowiłam się, czy mnie śledził, ale wzrok miał nieobecny i wydawał się zaskoczony moją obecnością. Pozbył się czarnego krawatu, dwa guziki koszuli miał rozpięte. W prawej ręce ścisnął szklankę. Usiadłam z powrotem, a on podszedł do mnie, postawił napój na ziemi i lekko wkręcił szklankę tak, żeby stworzyć pod nią wystarczająco płaską powierzchnię.

– Cześć – powiedział i zapalił papierosa, płomieniem zapałki oświetlając przy tym swoją twarz. Wolną ręką zdjął buty i

skarpetki i zanurzył palce w wodzie. – Zimna!

Roześmiałam się.

Bursztynowy koniuszek papierosa lśnił. Zaproponował mi go.

Nie chciałam odmówić, więc go wzięłam, ale zaciągnęłam się najlżej, jak mogłam. Poczułam, że zakręciło mi się w głowie. Wysilałam się, żeby coś powiedzieć, coś, z czego by się roześmiał albo co skłoniłoby go, żeby tu zostać, ze mną, bo zaczynała się we mnie rodzić nikła nadzieja. Może ten wieczór zamieni się w coś, że wszystko odmieni.

– Byłeś na wielu balach czy imprezach? – wypaliłam, w duchu przeklinając niezdarne, naiwnie brzmiące słowa.

– Na trzech, w tym sezonie.

Nie byłam w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi, choć dał mi odczuć, że warto ze mną rozmawiać; że nie jestem brzydka. Ani za gruba. Poczułam pustkę w żołądku. Żałowałam, że nie zabrałam ze sobą mojego napoju.

– Mogę łyka? – spytałam, wskazując jego do połowy pełną szklankę.

– Jasne. – Podniósł ją i przysunął krawędź do moich warg.

Wypiłam mały łyk, potem następny, większy. Smakował lepiej niż wcześniej. Pokręciłam głową, kiedy zaproponował mi kolejny.

– A ty?

– Ja już swoje wypięm. Co tu robisz sama?

Zawahałam się.

– Poczułam, że muszę odetchnąć. Przebywanie z tymi samymi ludźmi dzień w dzień jest trochę męczące.

Roześmiał się.

– Doskonale cię rozumiem. Twoja szkoła jest przynajmniej dość duża, żeby można się było ukryć w takich miejscach. I jest w niej o wiele więcej uczniów niż w mojej.

Zgasił papierosa o ziemię, a ja byłam zaskoczona tym, ile światła dawał taki mały punkcik, bo boleśnie dotarło do mnie, że szybko robi się ciemno. Żadne z nas się nie odzywało. Słyszałam cichy szmer wody i, znacznie dalej, huk ogłuszającej muzyki, ale nie byłam w stanie rozpoznać piosenki. Uderzyło mnie, jak

nierealna jest ta chwila, jakbym na chwilę została wyłączona z prawdziwego życia.

Nie wiem, kto pochylił się pierwszy, ale nasze wargi się zetknęły i pocałowaliśmy się. Smakował alkoholem i papierosami.

– Naprawdę ładnie pachniesz – powiedział, kiedy się odsunęliśmy.

To musiał być lakier do włosów, bo nie było mnie stać na perfumy, a nie zaryzykowałam, żeby podkraść któreś Belli. Pochyliłam się i wypłam mały łyk z jego szklanki, a potem odstawiłam ją. Znów się pocałowaliśmy. A potem położyliśmy się. Pod plecami czułam ziemię, kamienie i mech i tylko przez chwilę przejmowałam się sukienką. Potem pocałował mnie mocniej i zapomniałam o wszystkim. Nic się nie liczyło. Czas się zatrzymał. Pamiętam, że pomyślałam, że to jest to. Że on jest moją przepustką do prawdziwego życia i że od tej pory zacznę je na nowo. Wszystko znów będzie w porządku.

Poddałam się uczuciom. Czułam się chroniona. Czułam się dobrze.

Kiedy było po wszystkim, cała ta chwila zaczęła się rozmywać, jak cień znikający we śnie.

– Masz papierosa? – spytał. – Tamten był ostatni.

– Nie – odpowiedziałam, choć rozpaczliwie pragnęłam mieć.

Zanim odezwaliśmy się znów do siebie, usłyszałam, jak wciąga spodnie i zapina pasek. Włożył buty. Wysilałam się, żeby zebrać się do kupy, nogi miałam jak z waty.

– Wracasz? – spytał.

– Tak. Za chwilę. – Brzmiało to lepiej niż: proszę, nie odchodź.

– Okej. To na razie.

Wstałam i próbowałam się do niego przytulić. Uścisnął mnie przelotnie i cmoknął w usta. Chciałam mu powiedzieć, że go kocham, ale czułam, że to za wcześnie. Pozwoliłam mu odejść. Usłyszałam, jak pokonuje wzgórze. Oddala się ode mnie. Sięgnęłam po jego drinka, ale szklanka przewróciła się i była pusta. Próbowałam jakoś to sobie wszystko poukładać, zastanawiałam się, czy teraz jestem dorosła, choć nadal miałam

piętnaście lat, od czasu do czasu delikatnie kładąc palce na wargach, na których złożył ostatni pocałunek. Skupiłam się na głośnej muzyce i w końcu udało mi się rozpoznać piosenkę – Will Smith *Switch*.

Kiedy chłód i niewygodna mnie zmogły, zakradłam się do pokoju i umyłam się. Krew, spernę, błoto. Zmusiłam się, żeby wrócić na bal. On też tam był, a ja naiwnie zakładałam, że podejdzie do mnie, że ogłosi, że jesteśmy parą i że w jednej chwili mój status towarzyski wzrośnie, choćby na jakiś czas. Ale on żartował z Bellą. Ona śmiała się z czegoś, co powiedział. Po chwili obejmował Stephanie. Przez resztę wieczoru patrzyłam się z boku, zmuszona jednym uchem słuchać Claire, i wychodziłam niby do toalety z nadzieją, że pójdzie za mną. Nienawidziłam siebie za to, że nie miałam odwagi po prostu do nich podejść, choć nic nie stało na przeszkodzie. Obwinałam Bellę o mój brak pewności siebie. Nadal ją o to winię. Gdyby była lepszym człowiekiem, przyjaciółką, w naturalny sposób przyłączyłabym się do ich grupki. Ale się jej bałam. Bałam się, że zrobi ze mnie przy nim idiotkę.

Wydawało mi się, że dwa razy się odwrócił. Ale za każdym razem było to tak przelotne, że nie zdążyłam złapać wzrokiem jego spojrzenia. Spoglądałam na zegarek co chwilę; za piętnaście dwunasta miały odjechać autobusy. Przed jedenastą zaczęłam się czuć beznadziejnie. Ograniczyłam moje nadzieje do przelotnej obietnicy, że zadzwoni czy napisze. Do piętnaście po jedenastej wmówiłam sobie, że jest zawstydzony. Ale nie było ukradkowych spojrzeń, żadnego wrażenia, że w ogóle coś się wydarzyło. Ani razu nie odnalazł mnie wzrokiem. Zaczęłam podejrzewać, że to sobie wyobraziłam – ale to niemożliwe – i odezwały się we mnie złość i nienawiść, wraz z gorzką determinacją.

Przyrzekłam sobie, że nigdy więcej nikt nie potraktuje mnie w ten sposób. Nigdy więcej nie pozwolę, żeby ktoś mnie odrzucił.

Jednak nie byłam gotowa zrezygnować zupełnie z nadziei. Przez pozostałe tygodnie semestru sprawdzałam mejle za każdym razem, kiedy szłam do biblioteki. I czekałam w pobliżu czarnych drzwi na romantyczną kartkę czy drobny upominek – coś,

cokolwiek – w czasie każdej przerwy. Za każdym razem, kiedy przy świetlicy dzwonił telefon, marzyłam, że to do mnie. Bo wpleciony w całą tę tęsknotę i nadzieję odmieniłby sytuację; sprawił, że kolejny potworny skutek tego wieczoru byłby lżejszy do zniesienia. Jeszcze teraz krzywię się, gdy przestaję być czujna i słyszę słowa, którymi zostałam nazwana, gdy o mojej pomyłce dowiedzieli się wszyscy.

Wstaję, czując przyływ optymizmu i wiary w siebie. Dobrze, że tu wróciłam, przypomniałam sobie obietnicę sprzed dziesięciu lat, tę, że zasługuję na to, żeby inni mnie szanowali.

Zwłaszcza mężczyźni.

W drodze powrotnej w pociągu mam mnóstwo czasu, żeby przemyśleć sobie wszystko:

Nate nie miał prawa porzucić mnie w Reading, jakbym była bezwartościowa.

Z całą pewnością dał mi powody, żebym miała nadzieję na wspólną przyszłość, że mnie kocha tak bardzo, jak ja jego.

Powinam była zająć się ciążą. Pozwoliłam sobie na luksus miodowego miesiąca i słono za to zapłaciłam, ale się nie poddam. Odzyskam go i ze wszystkich sił się postaram, żeby nasze życie sploty nierozzerwalne więzy.

Przeczytałam w wielu poradnikach psychologicznych, że przeszłości odmienić nie można, jedynie przyszłość niesie nadzieję na zmianę. Więc czas pomiędzy nadchodzącymi lotami do Bahrajnu, Waszyngtonu, Lusaki i na Barbados muszę wypełnić pozytywnymi krokami, na przykład wciśnięciem gdzie się da lekcji nauki jazdy. I poszukiwaniem mieszkania. Generalnie czuję się o wiele lepiej, kiedy mam odpowiedni cel.

Przeglądam czasopisma, które kupiłam w kiosku w miasteczku. Jedna z modelek jest podobna do Belli. W domu wytnę jej zdjęcie i przypnę do kolekcji na tablicy, która jest dziełem sztuki, mieszaniną setek zdjęć Belli i Nate'a: twarzy, rąk, nóg, ubrań, ciał.

Na dobre i na złe. W bogactwie i w biedzie. W chorobie i zdrowiu. Dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

Zamiast mojej mantry powtarzam sobie w głowie te słowa, fantazując o mojej przyszłości z Nate'em, żeby mieć zajęcie w podróży do mojego tymczasowego życia.



## 6

Lot na Barbados opóźnia się po przyjęciu pasażerów na pokład. Jak na razie, o dwie godziny. Na początku jestem cierpliwa wobec narzekań, ale po chwili muszę walczyć, żeby nie okazywać frustracji. Jest problem z jednymi drzwiami luku bagażowego. Inżynierowie starają się to naprawić. Koniec. Ja – grzecznie – wyjaśniam, że nie możemy w tej sytuacji startować, pozwalając, żeby cenne walizki pasażerów wyleciały i zasypały Londyn. Obsługa gości hotelowych była łatwiejsza. Oni nie byli uwięzieni w pokojach, zamknięci w hotelu bez zajęcia, poza domaganiem się nieustannie mojej uwagi.

– Przepraszam?

Obracam się, gotowa zbyć prośbę, ale uświadamiam sobie, że głos należy do dziewczynki, która ma nie więcej niż dziewięć czy dziesięć lat. Miejsce obok jest puste.

Kucam do jej poziomu.

– Tak?

– Czy z samolotem nic się nie stanie? Lecę sama.

– Nic się nie stanie. Jest mały problem z drzwiami, zacięły się, ale zaraz to naprawią. Dlaczego lecisz sama?

– Jadę do mamy. Mieszkam z babcią, bo mama ma nowego chłopaka. Ale teraz powiedziała, że mogę przyjechać do niej na wakacje.

Znajoma fala wściekłości zalewa mnie z taką siłą, że o mało nie tracę równowagi. Przytrzymuję się o podłokietnik i wstaję.

– Wiesz co, nie mogę zabrać cię do kokpitu w czasie lotu, ale po lądowaniu, gdy wszyscy będą wysiadać, zaprowadzę cię tam, jeżeli chcesz?

Kiwa głową.

– A w czasie lotu, gdybyś się bała, przyjdź mi powiedzieć. – Wskazuję moje imię na plakietce. – Pytaj o Juliette.

– Dobrze. – Odwraca się i wygląda przez okno. – Dziękuję.

Odnajduję osobę z załogi odpowiedzialną za opiekę nad dziewczynką i mówię jej, że biorę to na siebie.

W końcu ruszamy. Duża grupa wybierających się na wakacje turystów na przedzie zaczyna klaskać. Mam ochotę się przyłączyć.

Barbados.

Upał. Słońce. Piasek. Relaks.

Według pracowników recepcji hotelu ta pora roku – koniec kwietnia – jest idealna na przyjazd. Słońce świeci przez dziewięć godzin dziennie, a pora huraganów jest jeszcze odległa. Dołączam do wszystkich przy basenie pierwszego ranka, kładę się na leżaku i popijam słabą margaritę. Spływa na mnie rzadkie poczucie spokoju. Zamykam oczy i pozwalam, żeby ciepło przenikało mi kości.

Nate jest w Szanghaju. Zastanawiam się, co robi, siadam, wyciągam telefon i idę do cienia pod drzewem.

Przeglądam.

Cały czas liczę się z tym, że Nate zmieni hasła. Będę wtedy wścicka. Ale jak na razie mogę sobie do woli sprawdzać, co u niego. Nie czuję się z tym źle. W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Poza tym on nie myślał o moich uczuciach, kiedy mnie poprosił, żebym się wyprowadziła.

Tamtego wieczoru ugotowałam mu specjalne curry, i to właśnie wtedy – siedem miesięcy temu – zaczęłam miewać momenty, kiedy wydawało mi się, że się przewrócę. Pamiętam, że któregoś razu chwyciłam się krawędzi kuchennego blatu, jakby to miało mnie uratować. Skrywane uczucia przedostały się do mojej świadomości z taką siłą, że groziły, że mnie powalą. Jedna myśl zaświtała mi w głowie w tym całym chaosie: pomyliłam się. Byłam przekonana, że nasza wspólna przyszłość jest oczywista, że po prostu stawiamy kolejne kroki w odpowiedniej kolejności –

wspólne mieszkanie, oświadczyzny, zaręczyny, ślub i tak dalej.

Byłam w kuchni, kiedy usłyszałam, że drzwi wejściowe się zatrzasnęły. Wybiegłam mu na powitanie, ale on nie odwzajemnił mojego uścisku.

– To nie tak, że nic do ciebie nie czuję, tylko nie sędzę, że jestem w stanie dać ci to, czego w tej chwili oczekujesz od związku. Potrzebuję przestrzeni – powiedział, a potem oznajmił, że z nami koniec.

Spojrzałam mu w oczy.

– Będziesz musiał się wysilić na coś więcej niż: nie chodzi o ciebie, tylko o mnie...

– Więc spójrzmy prawdzie w oczy. Nawet ty musisz przyznać, że wszystko potoczyło się dość szybko. Ty... ja... powinniśmy byli podejść do tego trochę spokojniej.

Starłam się oddychać. Myśleć. Czułam, że wspólny wieczór rozpływa się w nicość, a mój mózg jeszcze tego nie przyswoił. Wiedziałam, że muszę to poskładać, naprawić. Zmierzyłam otwartą przestrzeń jadalni poza nim. Wszystkie kobiece akcenty były moją zasługą. Półki pełne gustownych ozdób i wazonów. Obrazy, podstawki do napojów, sztucce, porcelana, kieliszki do wina, misa z owocami. Przedmioty. Kilka poduszek w salonie. I dywan, bogaty w jesienne kolory. Zamieniłam to miejsce w dom.

Odwrociłam się do niego tyłem i ostrożnie odłożyłam drewnianą łyżkę, którą mieszałam – całe popołudnie poświęciłam na to, żeby ściśle trzymać się przepisu, na miłość boską – i rozwiązuję fartuch, żeby pokazać moją nową, krótką, obcisłą sukienkę. Pozornie spokojna, gotując się w środku, odwróciłam się do niego.

– Jesteś zmęczony pracą i zmianą czasu. Pewnie wręcz wyczerpany, biedaku. Skakanie pomiędzy wschodem a zachodem nie jest zdrowe. Należę ci drinka, pogadamy i wspólnie znajdziemy wyjście z sytuacji. – Nawet ja byłam zaskoczona własną wielkodusznością, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Wiem, co powiedziałem. – Nate podniósł głos i nawet nie wyciągnął ręki, żeby wziąć butelkę idealnie schłodzonego piwa, którą usiłowałam mu podać. – Lily, Elizabeth... To nie działa. Z

mojego punktu widzenia. To wszystko jest zbyt intensywne. Chcę, nie, ja naprawdę potrzebuję... przestrzeni. – Przeczesał dłońmi włosy, wpatrując się we mnie tak uważnie, jakby naprawdę myślał, że się poddam.

– Chodzi o inną kobietę?

– Nie. Nie ma nikogo innego. Daję ci słowo.

Znów odwróciłam się, nie dowierzając własnemu głosowi, i wlałam piwo do jego curry. Ten odgłos przyniósł natychmiastową ulgę. Dodałam jeszcze kilka posiekanych papryczek chili i dwie całe scotch bonnet. Zamieszałam z furją.

Moje myśli galopowały.

Mogłam się postawić, że się nie wyprowadzę. Mowy nie ma – mowy nie ma! – żebym wróciła do matki. Richmond stało się moim domem.

Pętle niepokoju zacisnęły się, dusząc mi wnętrze i przywołując znajome wrażenie niesprawiedliwości. To nie w porządku, byłam idealną dziewczyną. Nie może mi tego zrobić. Marzenia wysunęły mi się z ręki, a ja chciałam je chwycić z powrotem. Jednak w całej tej sytuacji miałam chwilę zupełnej trzeźwości. Jeżeli to jednak ma coś wspólnego z inną kobietą, jeżeli Nate mnie okłamuje, to niech lepiej się boi, i to bardzo.

Bo wiedziałam, że jeśli się dowiem, że moje marzenia zniszczyła inna kobieta, nie będę miała żadnych oporów, żeby zniszczyć jej marzenia.

Teraz, kiedy jestem w rajach, złość nie ma sensu.

Słońce zachodzi. *Carribbean Queen* Billy’ego Oceana rozbrzmiewa z głośników, przymocowanych z boku do krytego strzechą baru. Mieszane są koktajle, drinki serwowane jeden za drugim. Wdycham zapach morza i kremu z filtrami.

Śmiech. Szczęście. Zabawa.

To właśnie chciałam robić z Nate’em.

Podróżować.

Potrzebuję chwili samotności, wracam więc na leżak, wkładam telefon do torebki i wyciągam okulary. Zanurzam się w ciepłym

basenie i zaczynam unosić się jak rozgwiazda. Woda tłumi dźwięki. Uwielbiam poczucie odosobnienia i obojętności, poczucie, że jestem sama, odcięta od wypaczonego świata.

Jedną z niewielu dobrych rzeczy, którą przyniosły mi lata spędzone w szkole z internatem, było to, że zostałam zmuszona, żeby nauczyć się pływać.

Trzy tygodnie po rozstaniu z Nate'em wpadam na parę, z którą raz czy dwa rozmawialiśmy w pubie.

Wydają się zaskoczeni, kiedy przekazuję im informację o decyzji Nate'a.

– Ale wyglądaliście na takich szczęśliwych – powiedziała kobieta. – Planowaliście wakacje, prawda?

– Tak, na Bali.

Spędziłam godziny w Internecie, wybierając idealne miejsce. Masaże dla par, romantyczne spacery, plaże na odludziu. Joga i medytacja. Byłaby to idealna okazja dla Nate'a, żeby zasmakować sensu życia, którego chyba poszukuje. Jego niepewność wywołana strachem przed zobowiązaniem uleciałaby w mgnieniu oka.

– Tak mi przykro – mówi kobieta. – Jest chyba szalony, że pozwolił ci odejść. Tak było z wami wesoło. Wydawało mi się, że cię uwielbia.

Wzruszyłam ramionami.

– Muszę szanować jego uczucia. Nic nie mogę zrobić.

Ale pociesza mnie świadomość, że nie tylko ja byłam zaślepiona.

A tak zupełnie zaślepiona nie byłam, nie, bo on nie zachowywał się tak, jakby całkiem się odkochał. Spaliśmy ze sobą jeszcze raz, zanim się wyprowadziłam.

Wynurzam się z basenu, czuję się odświeżona. Przeczesuję włosy i siadam, żeby wyschnąć, zanim pójdę się przebrać na kolację.

Wyciągam telefon i zamieszczam kilka zdjęć z basenu na moim profilu Juliette.

Sprawdzam świeżo opublikowany grafik Nate'a. On i ja lecimy w przyszłym miesiącu do Nowego Jorku w tym samym czasie, na szczęście różnymi lotami. Mimo wszystko będę musiała być czujna.

Bella milczy, a ja się zastanawiam, co planuje. Rzadko robi sobie przerwę od promocji samej siebie.

Amy baluje w Nairobi; cała jej załoga jest na dwudniowym safari.

W czasie lotu powrotnego następnego dnia, podczas startu i wznoszenia, patrzę przez okno na intensywnie błękitne niebo ponad dywanem chmur. Tęsknię za Nate'em. Już niedługo będę mogła mu pokazać, że spełniłam jego prośbę i dałam mu przestrzeń.

Załoga proszona do swoich stanowisk.

Ogłoszenie rozbrzmiewa przez system głośników i rozprasza moje fantazje. To alarm, który nas uprzedza, że mamy być gotowi na coś niespodziewanego. Nie jestem w nastroju żeby: a) dzisiaj umrzeć, ani b) ewakuować chmarę nieposłusznych, spanikowanych pasażerów przez zjeżdżalnie ratunkowe. Zaglądam do kabiny. Pasażerowie wyczuli, że coś jest nie tak, i zdjęli słuchawki. Niektórzy spoglądają na mnie wyczekująco. Moja koleżanka przy drzwiach naprzeciwko patrzy na mnie. Twarz ma białą. Dzwoni telefon pokładowy, sygnalizacja awaryjna miga na panelu u góry. To kierownik lotu.

- Mamy podejrzenie pożaru silnika po prawej stronie i wracamy do Bridgetown. Kapitan poinformował, że zrzucanie paliwa może potrwać do trzydziestu minut. Silnik został przezornie wyłączony, ale z powodu innych potencjalnych komplikacji mamy przygotować pasażerów na możliwość lądowania awaryjnego. Jakież pytania?

Cisza.

- W porządku, zaczynając od drzwi jeden, powtórzcie swoje

czynności...

Wsuwam telefon z powrotem na miejsce, a Anya, moja koleżanka od drzwi czwartych, zaczyna płakać i trząść się w kuchni.

- Dopiero wróciłam z macierzyńskiego. - Szlocha. - Nie chcę umierać.

- No to nie umieraj. Weź się w garść. Zostałaś przeszkolona. Weź się w garść, a potem wyjdź i rób, co do ciebie należy. Czas ci szybciej minie. Bądź gotowa, żeby otworzyć drzwi, jak wylądujemy i jak będzie trzeba, ratuj się. Nie przejmuj się nikim innym. - Nagle przemyka mi przez głowę makabryczna myśl. Mnie też może się coś stać. Więc szybko dodaję: - Chyba że to ja będę potrzebować pomocy.

Spogląda na mnie, wyciera oczy i drepcze na przydzielone jej miejsce w kabine pasażerskiej. Obie stoimy sztywno jak policjantki z drogówki, kiedy z głośników rozlega się nagrana wcześniej instrukcja procedury ewakuacyjnej, a potem zaczynamy przygotowywać pasażerów. Zmuszam się, żeby skupić się na zadaniu, nie pozwolić sobie ulec panice. Wiem, co robić, i mam tę przewagę, że siedzę przy drzwiach. Jestem przyjemnie zaskoczona tym, że mimo wszystko ludzie zachowują spokój i choć raz chcą słuchać. Ćwiczymy pozycję bezpieczną - pasy mocno zaciśnięte, pasażerowie pochyleni z dłońmi nad głową - wszyscy pokazują najbliższe wyjście. Wygląda na to, że niekończące się powtarzanie zasad i ćwiczenia przydały się. Zabezpieczamabinę, usuwając torby i drobne przedmioty. Sprawdzam wszystkie zaczepy kanistrów i wózków.

„Załoga. Zająć miejsca do lądowania”.

Zapinam się mocno pasem. Wargi Anyi poruszają się, jakby odmawiała modlitwę.

Żałuję, że za sterami nie siedzi Nate. Jest zbyt samolubny, by zginać. Samolot buja się na boki. Widocznie wiatr się wzmógł. Przypomina mi to przejażdżkę na karuzeli, na którą zabrała mnie kiedyś matka z jednym ze swoich chłopaków. Byłam zachwycona emocjami, oszołomieniem, jakie dawał rollercoaster, i chciałam przejechać się jeszcze raz, ale nigdy tego nie zrobiłam.

Przebijamy się przez chmury. Widać ziemię. Z kabiny pilotów dobiega informacja: „Trzy tysiące metrów”.

W oddali pojawia się granatowe morze i domy z turkusowymi basenami wśród plam zielono-brązowego lądu.

Wycie silników się wzmacnia.

W kabinie widzę pasażerów trzymających się za ręce.

Dziecko płacze.

W kuchence panuje cisza poza pobrzękiwaniem dzbanków do kawy w metalowych stojakach.

„Trzysta metrów”.

– Pozycja bezpieczna, pozycja bezpieczna! – krzyczę, sama pochylając się i osłaniając dłońmi głowę, choć nie wiem, czy to coś da.

– Pozycja bezpieczna, pozycja bezpieczna! – krzyczy Anya z siłą, o jaką jej nie podejrzewałam.

Pas wpija mi się w tułów. Ziemia zbliża się na powitanie i dostrzegam fragment pasa startowego, opadamy na asfalt z ogłuszającym rykiem. Samolot zaczyna wytracać prędkość. Ucisk pasa zmniejsza się, zwalniamy jeszcze bardziej. Samolot wykonuje ostry zakręt, a potem gwałtownie staje.

Jesteśmy bezpieczni. Koniec dramatu.

Aż... wycie alarmów ewakuacyjnych burzy spokój. Czerwone światła awaryjne migają na wszystkich panelach.

Dym. Czuję dym.

Rozpinam pas, otwieram ciężkie drzwi i odsuwam się na bok, żeby nie dać się wypchnąć w panicznej ucieczce. Szara nadmuchiwana zjeżdżalnia rozwija się przez kilka sekund. Uderza we mnie gorące powietrze, ostry kontrast z klimatyzacją.

– Tędy i skakać! – krzyczę. – Przesuwać się!

Popycham mężczyznę, który waha się chwilę za długo. Krzyczy przez całą drogę w dół. W mgnieniu oka kabina pasażerska zostaje opróżniona.

Nie ma śladu ognia i nie czuję już dymu, ale nie mam zamiaru tkwić tu ani chwili dłużej, Wykonałam swoje zadanie. Chwytam moje torby. Wiem, że nie powinnam, ale jeżeli utkniemy tu na jakiś czas, nie mam zamiaru zostawić rzeczy, żeby się spaliły albo



zginęły. Cieszę się, że zostałam w służbowych butach na płaskiej podszewie; asfalt na pewno jest rozpalony. Przy zjeżdżaniu spódnica z poliestru ociera mi uda.

Czterdzieści osiem godzin potrzeba na wypełnienie niekończących się dokumentów, przesłuchania, składanie zeznań i odmowę skorzystania z pomocy psychologa. Za każdym razem, kiedy myślę, że moja rola w tym niewyreżyserowanym przedstawieniu dobiegła końca, ktoś z notatnikiem albo tabletem przywołuje mnie znad basenu i wypytuje o coś, co już opowiadałam.

Rozweselałam się myślą, że za pobyt tutaj – kiedy pracuję nad opalenizną, szpieguję mojego wroga i ukochanego – nalicza mi się ogromna liczba nadgodzin.

Wracamy na Heathrow dwa dni później, podróżujemy jako pasażerowie, nie czynna załoga. Oglądam dwa najnowsze filmy – komedię i horror.

Przy lądowaniu czuję niepokój. Zbliży się długi weekend majowy, a ja będę uwięziona w domu, bo mam cztery dni dyżuru w gotowości. To znaczy, że mogę zostać wezwana z dwugodzinnym uprzedzeniem, jeżeli będzie potrzebne zastępstwo z powodu czyjejś choroby albo zakłóceń w lotach. Babs wyjechała do Krainy Jezior z koleżankami z tenisa. Nie chcę wracać do mojego klaustrofobicznego mieszkania. Nate jest w domu, więc nie mogę się tam zatrzymać.

Ale... Mam klucz Amy.

Śledzę jej grafik, wiem, że nadal jest w Kenii i że Hanna poleciała do Nowej Zelandii na trzy tygodnie, odwiedzić rodzinę. Mogę do nich iść. Podleję kwiatek czy dwa i nie będę taka zła. Zrobię coś pożytecznego. Choć nie wiem, czy w ogóle mają jakieś rośliny.

Zamiast pójść na dworzec autobusowy, kieruję się do metra. Czuję się zadowolona z siebie, co mącą mi jedynie nieustanne mdłości spowodowane różnicą czasu. Ciągnę walizkę i torbę na kółkach do metra. Podskakują na połączeniach płyt

chodnikowych.

Wysiadam na stacji Amy, po drodze do jej mieszkania zalewa mnie ciepłe słońce. Lato już niedaleko. Czuję optymistycznie, że nieuchronnie nadchodzi czas, gdy poinformuję Nate'a, że znów jestem obecna w jego życiu.

Dzwoni telefon. W pierwszej chwili nie dociera to do mnie, bo niedawno zmieniałam dzwonek, więc serce nie podskakuje na próżno w nadziei, że to Nate, za każdym razem, kiedy go słyszę. Włącza się skrzynka głosowa. Znowu dzwoni. Nie rozpoznaję numeru. Leżę w łóżku Amy. Jestem lekko dezorientowana. Białe słońce przedziera się spoza prostokątnej rolety.

Odbieram.

– Halo?

– Elizabeth? – odzywa się radosny głos.

– Kto mówi?

Na ogół trudno mi sobie przypomnieć, co to za ludzie i co mnie z nimi łączy. Potrzebuję kawy. Wstaję z łóżka, nadal trzymając telefon, i idę do kuchni.

– Lorraine – mówi głos. – Twoja nowa kierowniczką zespołu. Chcemy cię zaprosić na rozmowę na temat lotu na Barbados.

– Cześć, Lorraine. W pracy posługuję się drugim imieniem, Juliette. Jest w systemie. Poinformowałam wszystkie możliwe działy, ale nadal wyskakuję jako Elizabeth. Możesz to poprawić? Bardzo mnie to dezorientuje. – Włączam czajnik.

– Obawiam się, że to sprawa dla centralnej administracji. Podam ci ich adres mejlowy.

– Nie trzeba, dzięki. Pisałam do nich co najmniej dziesięć razy. Co do rozmowy, świetnie, ale obawiam się, że w niczym więcej nie pomogę. Przepraszam.

Muszę ją spławić. Mam tyle spraw do przemyślenia. Muszę poważnie rozważyć i określić idealny czas na zbliżenie się do Nate'a. Jest też kwestia podtrzymania przyjaźni z Amy, aktualizacji moich kont w mediach społecznościowych, Babs chce, żebym niedługo ją odwiedziła. Do tego lekcje nauki jazdy i polowanie na mieszkanie, które muszę wcisnąć w grafik. Moje

życie jest naprawdę wypełnione i wyczerpujące i teraz w pełni rozumiem wszystkie te debaty o równowadze pomiędzy życiem a pracą, których słuchałam w programach radiowych. Nalewam wody na granulki kawy. Nie przepadam za rozpuszczalną, ale innej nie ma.

– Elizabeth? Przepraszam, to znaczy, Juliette? Musimy cię zaprosić, żebyś przyszła na rozmowę najszybciej, jak to możliwe. Czwarta po południu dzisiaj czy jedenasta jutro rano? Będzie to czas płatny, więc warto. – Ścisza głos. – Nie chcę zbyt wiele mówić przez telefon, ale obiecuję, że będziesz zadowolona.

Wątpię, ale im szybciej odbębnię sprawy zawodowe, tym prędzej będę mogła zająć się prawdziwym życiem.

– Będę dziś o czwartej – słyszę, jak się zgadzam.

Zabieram kawę do sypialni i kładę się w łóżku. Odgłosy na zewnątrz są nieznanym. Śmieciarka przyjeżdża o innej porze niż u mnie. To dezorientujące. Czuję się wykończona, zamykam oczy. Nie tylko pracą, wszystkim. Jak aktorka na scenie, czekam, kiedy moja rola się skończy. Od czasu do czasu przemyka mi przez myśl, żeby się poddać, zacząć żyć dalej. Ale nie wiem, jak to zrobić. Wszystko jest inne, gdy przydarza się tobie. Jak mam po prostu zapomnieć? Działanie wydaje się jedynym wyjściem. Poza tym, naprawdę kocham Nate'a. A to, czego pragnę, nie jest takie straszne: paru przyjaciół, praca na teraz. A później prawdziwe, dorosłe życie, zakończone w słusznym wieku, o ile to możliwe bez znęcania się nade mną w domu starców, przesyconym zapachem szkolnej stołówki. Nie proszę o wiele.

Tyle mi się należy.

Wstaję, biorę prysznic i przebieram się. Będę musiała zostawić walizkę na półce na bagaż przed Centrum Raportowania, zanim udam się na tajemnicze spotkanie, bo nie mogę jej tu zostawić. Nagle przebiega mi przez głowę myśl: może chcą mnie przydzielić na lot specjalny, na przykład z premierem udającym się na szczyt pokojowy albo z ceniącą prywatność gwiazdą, lecącą na własną wyspę. Humor mi się poprawia.

Przed wyjściem nie mogę się powstrzymać i sprzątam szafkę z suszarką, składam starannie ścierki i układam je kolorami. Tyle

pożytku ze współlokatorów, pomyśla, że zrobiła to ta druga, a powinny dziękować mnie. Ulegam pokusie i rozglądam się po mieszkaniu, bez żadnego powodu, poza tym, że chcę lepiej poznać Amy i wiedzieć, co sprawia, że jest tak silna. Czuje się tak dobrze we własnej skórze, jest taka pewna siebie. Nie chcę nosić serca na dłoni, tylko być do niej podobna.

Sypialnie są miejscami, w których odkrywam tajemnice, i sypiania Amy nie jest wyjątkiem. Złodzieje muszą uwielbiać powszechny brak wyobraźni. Trzecia szuflada jej szafy skrywa małą kolekcję erotycznych gadżetów, kuse stroje i kilka peruk, ale tak naprawdę szokuje mnie zawartość szuflady nocnej szafki. Antydepresanty. Kto by pomyślał? Czuję się lekko zdradzona. No cóż, bycie szczęśliwym przez cały czas nie jest chyba rzeczą normalną. Może powinnam spróbować? Wyłuskuję sześć tabletek z bistra, owijam je w chusteczkę i wkładam zawiniątko do torebki.

W salonie nastawiam cicho płytę, potem drugą. Wszystko kojarzy mi się z Nate'em. Wszystkie teksty mogłyby mówić o nas i naszej miłości, jakby artyści przeżywali dokładnie taki sam ból, jak ja. Ależ ludzie komplikują sobie życie. Tyle zmarnowanego czasu, spędzonego osobno, kiedy wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Wybieram ostatnią piosenkę i śpiewam refren.

Łykam dwie tabletki Amy i wychodzę. Transport publiczny staje się męczący, postanawiam zwiększyć liczbę godzin nauki jazdy. Czytałam, że przeciętny człowiek potrzebuje czterdziestu pięciu godzin teorii i dwudziestu dwóch praktycznej nauki, żeby zdać egzamin. Zamierzam być o wiele szybsza.

W Centrum Raportowania prowadzą mnie obok kilku pokoi, których nigdy wcześniej nie zauważyłam, aż docieramy do ostatniego. Troje ludzi siedzi przy stole naprzeciwko mnie. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, Lorraine. Są dobrzy czy źli? Na wielkim ekranie pojawiają się zdjęcia miejsca, w którym nie doszło do katastrofy. Samolot wygląda jak biały owad z szarymi nogami.

– Proszę usiąść. – Lorraine uśmiecha się. – Bardzo dziękujemy, że pani przysłała. Zaprosiliśmy panią tu dzisiaj, ponieważ chcemy

pani osobiście podziękować. Otrzymaliśmy wiele pochwał od pasażerów, których obsługiwała pani w czasie niedawnego zdarzenia. Proszę nam pozwolić odczytać słowa, jakimi panią opisano. „Spokojna. Profesjonalna. Opanowana. Rozsądna. Uspokajająca. Odważna. Chłuba waszych linii. Zaradna. Bohaterka”. – przerywa.

Wszyscy na mnie patrzą.

– Rany – mówię i czuję, jak ogarnia mnie przerażenie.

– Dlatego, oprócz nagrody za zaangażowanie, chcielibyśmy także, żeby stała się pani naszym ambasadorem bezpieczeństwa. To nowa funkcja o kluczowym znaczeniu, która będzie wymagać, żeby była pani rozpoznawalna wśród społeczności naszych linii lotniczych. To niezwykle osiągnięcie jak na kogoś, kto lata od niedawna. Gratulacje. Otrzyma pani wiele dodatkowych korzyści i...

Nie mogę tego słuchać. Chcę zakryć sobie uszy dłońmi. Katastrofa. Każdy wizerunek linii jest w nieskończoność promowany w wewnętrznej gazecie. Zdjęcia uśmiechniętych wybranych członków załogi, oczywiście, nieprzypadkowych, zdobią okładkę. Cholera. Mężczyzna po prawej stronie podnosi gigantyczny aparat fotograficzny z długim obiektywem. Zakrywam twarz dłońią.

– Stop! Proszę. To wszystko bardzo miłe i wyjątkowo pochlebne, ale wszyscy państwo wiedzą, że to nie ja posadziłam samolot, prawda? Czy nie nastąpiła jakaś pomyłka? Wykonałam swoją pracę, do której zostałam należycie przygotowana przez firmę. I choć nie przychodzi mi do głowy nic miłszego niż rola ambasadora bezpieczeństwa, muszę zaznaczyć, że to nie ja powinnam pełnić tę funkcję. Jest wielu członków załogi, którzy mają o wiele większe pojęcie o bezpieczeństwie niż ja...

Przerywam, bo czuję się bardziej rozluźniona i wyłączona niż zwykle. Zastanawiam się, czy ma to jakiś związek z tabletkami Amy?

Lorraine uśmiecha się.

– Na tym proszę zakończyć, Juliette. Być może panią przytłoczyliśmy. Proszę pójść do domu i przemyśleć to.

Zadzwoń do pani jutro.

Jasna dupa. Wszystko się sprzysięgło, żeby zabierać mi cenny czas i energię, akurat w chwili, kiedy cały wysiłek powinnam skupić na ważniejszych rzeczach, jak doprowadzenie do zejścia się z Nate'em.

Po drodze do domu popuszczam wodze fantazji. Mogłabym pracować. Kiedy już wrócimy do siebie, mógłby pozować ze mną, bylibyśmy jak para celebrytów w czasopiśmie „Hello!”

„Nathan i Elizabeth w swoim mieszkaniu w Richmond”. „Nathan i Elizabeth w pierwszej klasie”.

Nie, nie jestem pewna...

Mam wrażenie, że to trochę za wcześnie, żeby znaleźć się na okładce, a Nate na pewno mnie rozpozna, jeżeli będę porozwieszana dookoła Centrum Raportowania, bez względu na moje imię czy kolor włosów. Chciał przestrzeni. Jeżeli pojawię się w jego życiu za wcześnie, istnieje ryzyko, że wyczuje podstęp. Zadzwoń jutro do Lorraine i wymyślę jakąś fobię albo dwie. Strach przed publicznym przemawianiem, tego rodzaju rzeczy. Przypomnę jej, jak Anya trzymała za rękę starszą panią, kiedy zjeżdżały razem ze zjeżdżalni ewakuacyjnej. Spodoba im się to.

W domu pracuję nad planem działania. Rezerwuję kilka dodatkowych intensywnych lekcji jazdy i zaczynam umawiać się na oglądanie mieszkań.

Nie wiem kiedy, robi się północ. Zmuszam się, żeby iść spać. Rano muszę mieć siłę, ale nie mogę zasnąć, bo pomyślałam o czymś, o co zapomniałam zapytać.

Dzwonię do Lorraine, gdy tylko zaczyna pracę.

– Jeżeli zgodzę się zostać ambasadorem bezpieczeństwa, od kiedy to wejdzie w życie?

– Planujemy stworzenie tej nowej funkcji w sierpniu lub wrześniu, nie mam jeszcze dokładnej daty, ale prawdopodobnie zostanie pani skierowana na szkolenie pod koniec lata.

– W takim razie z przyjemnością przyjmuję propozycję, dziękuję.

Przyjeżdżam na stację w Bournemouth i idę na siłownię Belli. Umówiłam się na spotkanie z menedżerką, Stephanie Quentin.

Podaję nazwisko recepcjonistce i zostaję skierowana na sofę, na której czekam, obserwując wejście na wypadek, gdyby zjawiła się Bella. Anonimowi ludzie przeciskają się przez bramki wejściowe, ściskając torby sportowe, butelki z wodą czy rakiетки tenisowe.

- Elizabeth?

Wstaję, Stephanie, prawa ręka Belli, wyłania się z drzwi i idzie do mnie. Jej chód jest taki znajomy.

- Stephanie? Co za niespodzianka. Nie spodziewałam się, że spotkam cię w pracy na siłowni. To nic złego - dodaję szybko, co jest dość wspaniałomyślne z mojej strony, biorąc pod uwagę obelgi, jakie rzucała pod moim adresem.

Uśmiecha się, ale jej oczy zdradzają, że trafiłam w czuły punkt. Naprawdę byłam zaskoczona, kiedy zaczęłam się rozglądać w świecie Belli i Stephanie wyskoczyła jako menedżerka jej siłowni. Wszystko wskazywało na to, że zostanie prawniczką, jak jej matka.

Idę za nią i zajmuję miejsce naprzeciwko biurka. Stoi na nim kilka zdjęć chłopca, który, na oko, może mieć z osiem lat. To jest ta jej długa historia.

- Napijesz się herbaty albo kawy? - mówi, podając mi kwestionariusz na podkładce.

- Czarną kawę poproszę. Wypełniłam już formularz przez Internet i wyjaśniłam, że jestem niezdecydowana, jak na razie, czy się zapisać i jaki rodzaj członkostwa będzie dla mnie najlepszy.

Robi przepraszającą minę.

- Tak, ale chcemy, żebyś wypełniła również ten. Zaraz wracam. Przyniosę ci kawę.

Wychodzi.

Wdech. Wydech.

Świadoma, że widać mnie przez szybę, rozglądam się dyskretnie, ale nie ma nic więcej interesującego. Żadnych zdjęć



szkolnych koleżanek – choć się tego nie spodziewałam – ale gdyby były, to na pewno jej, Belli, Lucy i Gemmy.

Głównej czwórki.

Bella mogła zabierać dwie koleżanki na coroczne rodzinne ferie zimowe do swojej ciotki z Whistler. Stephanie wybierała zawsze, a Lucy i Gemma musiały się zmieniać. Ja kłamałam i udawałam, że też jeżdżę na narty do Francji.

Formularz rozmywa się przede mną. Nie mogę sobie przypomnieć zmyślonego adresu, który wcześniej podałam. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, przypominam sobie, bo ona już nie ma nade mną żadnej mocy.

Pierwszy semestr w szkole był do zniesienia. Poznałam – i niechętnie zaakceptowałam – moje miejsce. Rozpaczliwie chciałam stać się prawdziwą przyjaciółką Belli. Głęboko w sercu wiedziałam, że nigdy nie zostanę dopuszczona do jej najbliższego kręgu, ale chciałam się zadowolić tym dalszym.

Wszystkie dziewczyny pochodziły z tego samego środowiska, po prostu wiedziały, co powiedzieć i zrobić, po prostu miały potencjał, żeby odpowiednio się zachowywać z niewymuszoną łatwością. Jeździły na nartach, mówiły płynnie po francusku i umiały piec suflet.

Usiłowałam się dopasować – mówić i robić właściwe rzeczy – ale im bardziej się myliłam, tym było gorzej. W ich obecności stawałam się niezdarą i zapominałam języka w gębie. Leżałam w nocy w łóżku i udawałam, że śpię, a tak naprawdę słuchałam ich rozmów o chłopakach, makijażu, modzie, muzyce i nauczycielach, których lubiły lub nie, usiłując wymyślić, w jaki sposób się do nich przyłączyć.

A kiedy to nie zadziało, zaczęłam wymyślać inne sposoby.

– Twoja kawa – mówi Stephanie, wracając, i stawia kubek na swoim biurku. – Dobrze, przejdźmy...

– Od jak dawna tu pracujesz? – pytam, pochylając się, i wypijam

powoli łyk.

– Parę lat. Dokończ kwestionariusz, to zerknę na parę rzeczy i poproszę kogoś, żeby cię oprowadził.

– A ty nie możesz? Miło byłoby nadrobić zaległości...

– Hm...

– To ty jesteś kierowniczką – mówię z uśmiechem.

– Ale obawiam się, że będziemy musiały się spieszyć. Mam kolejne spotkanie. – Zerka na zegar na ścianie. – Niedługo.

– Dziękuję.

Po wypełnieniu i podpisaniu formularzy prowadzi mnie do głównej sali siłowni, a ja grzecznie kiwam głową, kiedy pokazuje najnowszy sprzęt, salki ćwiczeń i opowiada o zajęciach z trenerem personalnym i ogólnych. Idę za nią po schodach na dół, na basen. Mogłabym ją zepchnąć. Musiałabym użyć sporej siły, ale jeżeli zrobiłabym to dobrze, zaliczyłaby niezły upadek. Zerka w górę na ciemne, okrągłe obiektywy kamery monitoringu.

– Masz kontakt z Bellą i innymi dziewczynami?

– Tak.

Obcasy jej szpilek stukają o drewniane schody. Moje adidas są ciche.

– Co u Belli?

Zatrzymuje się i rozgląda, jakby chciała ocenić moją reakcję.

– W porządku.

Wzruszam ramionami.

– Tak się tylko zastanawiałam. To było dawno.

– Niedługo ma zamiar ogłosić zaręczyny.

Ściskam poręcz.

– Z kim?

– Z doradcą zarządzania majątkiem, Milesem.

Zauważyłam, że jest oznaczony na paru zdjęciach z różnych imprez. Wygląda jak przecinek.

Wyciągam telefon z torebki i zerka na wyświetlacz.

– Cholera, muszę lecieć. Zorientuję się sama, jak się zapiszę. Bądźmy w kontakcie, co?

– Tak. – Uśmiecha się, odwracając się, żeby wejść z powrotem

po schodach.

- Podasz mi numer komórki? - mówię, przystając przed jej gabinetem.

- Zawsze możesz mnie złapać przez recepcję - odpowiada. - Jeżeli będziesz musiała.

- A Facebook? - Szukam. - O, mam, tu jesteś. Wysłałam ci zaproszenie.

Stoję nieruchomo. Nie ma wyjścia, musi wyjąć telefon i mnie zaakceptować. Ręce jej lekko drżą.

- Cudownie. Naprawdę się cieszę, Stephanie. Świetnie cię widzieć.

Wychodzę, nie odwracając się za siebie.

Droga do domu mija mi jak z bicza trzask, kiedy zagłębiam się w jej profilu facebookowym.

Dzięki Stephanie zyskuję nowe wejrzenie w życie Belli. Otworzyły się przede mną kolejne drzwi.

Kocham Internet; jest moim przyjacielem.

## 8

Wiedziałam, że Nate będzie w domu sam. Zamieścił post, że ma zamiar zostać w domu i obejrzeć ostatnie odcinki serialu o seryjnym zabójcy. I rzeczywiście, jego czarny jaguar stoi na swoim miejscu. Spaceruję tam i z powrotem. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, jakie stare albo historyczne role byśmy wybrali, gdybyśmy mieli wybór. Jego to był Maximus Decimus Meridius Russella Crowe'a w *Gladiatorze*, moja – Helen Gwyneth Paltrow w *Przypadkowej dziewczynie*.

– Z całą pewnością byłabym tą, która ścina włosy na krótko i rzuca go – powiedziałam, upajając się pewnością miłości. – Mowy nie ma, żebym dała się źle traktować.

Usłyszałam kiedyś, że zawsze trzeba się zmierzyć z tym, co się powiedziało, mam szczerą nadzieję, że to nieprawda. Nie chcę, żeby moje przekonania zamieniły się w samospełniającą przepowiednię.

Nate nie opuścił jeszcze rolet, czekam więc jeszcze chwilę w nadziei, że dostrzegę choć jego cień. Nie widziałam go z bliska już ponad tydzień, bo dwa dni spędziłam uwięziona w moim pudełku, na dyżurze, a potem wezwano mnie do Kingston z minimalnym dwugodzinnym uprzedzeniem. Kiedy jasna szarość nietypowo ponurego maja gęstnieje, moja cierpliwość zostaje nagrodzona. Jego sylwetka pozostaje chwilę w oknie, a ja jestem pewna, że patrzy w moją stronę. Odwracam się i powoli oddalam, choć nogi mam jak z waty, a pierś zaczyna mi wypełniać ta sama co zwykle pustka.

Nate urodził się w uprzywilejowanej rodzinie, więc to niezupełnie jego wina, że przyjmuje pewne rzeczy za oczywiste. Nie wie, jak to jest ich nie mieć. Dostaje wszystko, czego chce. Jak Bella i jej podobne. Pieniądze zapewniają im ochronę przed niewygodami życia. Staram się usprawiedliwiać Nate'a,

naprawdę, robię, co mogę. Ale czasami, tak jak teraz, mogłabym go stłuc z żalu za to, że marnuje nasz czas. Przystaję, opieram się o zimny ceglany mur.

Wdech.

Wydech.

Cierpliwość jest cnotą. Trzymaj się planu.

Moje ramiona się rozluźniają.

Idę dalej.

Z domu wysłałam do Amy wiadomość z pytaniem, czy miałyby ochotę przyjechać do Reading w przyszłym tygodniu, kiedy będziemy miały wolne w tym samym czasie. Nasze grafiki ostatnio kolidowały i nie widziałam się z nią od tygodni. Czuję, że rozerwałybyśmy się na mieście. I możliwe, że dzięki niej mogłabym realizować mój plan rozszerzania grona znajomych.

Odpisuje: tak.

Rezerwuję restaurację z azjatycką kuchnią *fusion* przy rzece Kennet na następną środę.

Przed przyjazdem Amy starannie porządkuję mieszkanie, likwiduję tablicę na notatki i chowam ją w bezpieczne miejsca na szafie w sypialni. Kiedy otwieram drzwi, przygląda mi się.

– Twoje włosy?

Zdążyłam się do nich przyzwyczaić, więc zapomniałam.

– Podobają ci się? Wiem, że trochę podobne do twoich.

– Są okej... ale wyglądamy jak Tweedle Dee i Tweedle Dum.

Cholera. Wkurzyłam swoją jedyną koleżankę. A jak się zastanowić, kasztanowaty kolor raczej ściąga wzrok, niż odwraca.

– To szampon koloryzujący. Eksperymentowałam. – Biorę od niej torbę z rzeczami na nocleg i stawiam na sofie. – Ruszajmy od razu.

Zamawiamy szampana, żeby uczcić nasze trzy pierwsze miesiące latania.

– To jak spełnienie marzeń – mówi Amy. – Za każdym razem, kiedy ląduję w nowym miejscu, za każdym razem, kiedy wchodzę

do cztero- czy pięciogwiazdkowego hotelu, po prostu nie mogę uwierzyć, że to moje życie.

– Powinnyśmy poprosić o wspólny lot. Chyba tylko tak byłobyśmy w stanie pracować razem.

– Tak, świetny pomysł. – Milknie. – Coś dziwnego się stało, jak mnie nie było – mówi.

– Miałam cię spytać, jak tam na safari. Słyszałam, że przypomina trochę *I'm a Celebrity*, że są węże, obrzydliwe robale i naprawdę dziwne restauracje, które serwują egzotyczne stworzenia.

– Czułam się raczej bezpieczna. Były lokale, gdzie podawano mięso krokodyla. Ale nie, to nie było w czasie pobytu w Nairobi, tylko kiedy wróciłam do domu.

– Tak?

– Tak. Hannah wciąż nie ma, ale miałam wrażenie... że ktoś u nas był. Wszystko wyglądało porządniej.

Parskam śmiechem.

– To chyba dobrze, co?

– No, może. Ale nie mogę tego rozgryźć. Na pewno nikt się nie włamał, bo złodziej by...

– Coś ukradł – kończę.

Obie wybuchamy śmiechem.

Biorę kalmara, ale jest twardy. Wybieram więc oliwki zanurzone w wasabi i starannie odkładam pestki z brzegu mojego talerza.

– Tak właściwie dała mi do myślenia płyta. Kiedy włączyłam odtwarzacz, był ustawiony na powtarzanie. Na bardzo specyficzne kawałki.

– Twoja wina, że masz przedpotopowy sprzęt.

Odwzajemnia mój uśmiech,

– No, może.

– Nie przejmuj się, koniec końców zawsze znajduje się logiczne wytłumaczenie takich rzeczy. Wierz mi, wiem coś o tym. Jak tam Jack?

– Nie spotykam się już z nim za wiele. Nie wypaliło.

– Przykro mi. – Powstrzymuję uśmiech. – Co się stało?

– Nie zamknął profilu na portalu randkowym. Zostawił sobie otwarte drzwi. Ale mam zajęcie. Paru moich znajomych ze starej szkoły spotyka się na obiedzie w przyszłym tygodniu, bardzo się cieszę.

– A kiedy? Może wybrałabym się z tobą?

Wierci się na krześle i mruczy mętnie, że ona tego nie organizuje.

Wyłapuję aluzję, ale czuję się urażona.

Oczy Amy błyszczą nad drugim kieliszkiem szampana. Nie dziwi mnie to. Na jej ukrywanych tabletkach było ostrzeżenie, żeby nie łączyć ich z alkoholem. Dziwne, kiedy coś się o kimś wie, a ten ktoś nie podejrzewa, że ty to wiesz. Ma się wrażenie, że jak ktoś wystarczająco głęboko zajrzy ci w oczy, to się domyśli.

Sporo myślę na takie tematy.

– Chodźmy na dyskotekę – proponuję, żeby ją rozbudzić.

Kiedy wychodzimy do naszego ubera, trzymając się pod rękę i śmiejąc, chcę powiedzieć głośno, jak to fajnie mieć koleżankę, ale się powstrzymuję. Kiedyś powiedziałam to jednej dziewczynie i dziwnie na mnie spojrzała.

Mam nadzieję, że Amy będzie taka, jaka jest, i że nie zrobi nic, co zniszczyłoby naszą przyjaźń.

Zaraz po wyjściu Amy następnego dnia dzwonię, żeby umówić się do fryzjerki Belli i zmienić kolor na blond.

Niestety, ma urlop.

Postanawiam, że zrobię to w czasie następnej podróży służbowej – do Miami – pojutrze.

Lot do Miami trwa prawie dziewięć godzin. Wszystkie klasy są pełne wczasowiczów – tych wsiadających na wycieczkowce i tych, którzy wybierają się do Disneylandu. Prawie nie siadam, brakuje nam soku, wina i zabawek dla dzieci.

Po trzech godzinach dzwonię do kapitana, żeby poprosić, by skontaktował się z lekarzem, obsługującym linię lotniczą, gdyż

kobieta w szóstym miesiącu ciąży zaczyna się skarżyć na silne bóle brzucha. Zostaje przywołana do kokpitu, żeby osobiście z nim porozmawiać. Zakładam słuchawki i słucham. Głos – lekarz z Arizony – zadaje niekończące się pytania i w końcu radzi, żeby podać kobiecie tabletki na trawienie.

Działają; po pół godzinie ból przechodzi, a ona uspokaja się, że jej pierwsze dziecko nie przyjdzie na świat w powietrzu.

Ja też czuję ulgę.

Po lądowaniu opóźnienie się zwiększa, bo lotnisko jest pełne ludzi. Nawet w przejściu dla personelu stoją przed nami pracownicy dwóch innych samolotów. Po przejściu przez odprawę i czekaniu na bagaż bolą mnie nogi, kiedy siadam w autobusie dla załogi.

W hotelowym lobby kapitan zaprasza wszystkich za godzinę do siebie na imprezę. Postanawiam pójść. W Miami jest jeszcze wcześnie, a jeżeli zostanę w swoim pokoju, na pewno zasnę.

Pytam recepcjonistkę o najbliższy salon fryzjerski, a ona umawia mnie na wizytę.

Później wjeżdżam windą do swojego pokoju, rozpakowuję się i biorę prysznic.

Drzwi do pokoju 342 są uchylone i zastawione walizką. Są już cztery osoby, siedzą na brzegu łóżka i cisną się na małej sofie. Jim, kapitan, opiera się o biurko, ściskając puszkę piwa.

– Cześć. Wchodź – mówi.

– Cześć. – Siadam na łóżku i nagle czuję się dziwnie.

Wszyscy przynieśli swoje bagaże podręczne z zakupami lotniskowymi: winem, piwem czy drinkami.

– Napijesz się? – proponuje kapitan, podając mi piwo.

– Dzięki – odpowiadam i pociągam metalowe uszko.

Jest ciepło i nie chcę go, ale nie muszę siedzieć tu długo, a skoro już jestem, mogę się dopasować.

Godzinę później w pokoju cisną się prawie wszyscy. Steward, Rick, który pracuje w równoległym korytarzu, siedzi obok kobiety obsługującej klasę biznes. Śmieje się prawie ze



wszystkiego, co mówi, a to mnie irytuje, choć właściwie sama nie jestem w stanie stwierdzić dlaczego.

Nagle uświadamiam sobie, że w pewnym sensie przez to, że przypomina mi mnie – jak spijałam każde słowo z ust Nate'a. Zastanawiam się, co Nate w tej chwili porabia i czy jest na imprezie podobnej do tej, ale w Meksyku.

Postanawiam zakończyć wieczór, choć nadal widać późnopołudniowe słońce.

Następnego ranka włosy potrzebują trzech godzin, żeby zmienić się na blond, ale jestem zadowolona z efektu.

Wracam spacerem, mijam plaże, palmy i róże, żółcie i pudrowy błękit dzielniczy art déco, przechodzę obok hotelu Park Central, w którym, jak napisano w folderze w moim pokoju, bywał Clark Gable.

Po powrocie do mojego nijakiego numeru – wszystkie hotelowe wnętrza zaczynają mi się wydawać podobne – przygotowuję się do lotu powrotnego: prasuję bluzkę, pastuję buty, pakuję się i wciskam miniaturowe szampony hotelowe do kosmetyczki.

Samolot w drodze powrotnej jest tak samo pełny jak w tamtą stronę. Nie ma ani jednego wolnego miejsca, a pasażerowie w większości dopiero co zeszli z pokładów wycieczkowców i przyzwyczajeni są do wysokiego standardu i paru posiłków dziennie, nie licząc przekąsek – zredukowanych do tacy z gorącym śniadaniem, twardą jak kamień bułką i sałatką owocową.

W czasie godzinnej przerwy personelu wyraźnie widać, że zeszłej nocy po imprezie coś zaszło pomiędzy Rickiem a rozchichotaną kobietą. Nie idą na górę na leżanki, ale siedzą na fotelach na dole, obok mnie. Ona próbuje wciągnąć go w rozmowę, ale boleśnie wyraźnie widzę, że on chce po prostu czytać.

Wiem, do czego ona dąży. Rozpoznaję te sygnały, znam je z

autopsji.

Ona jest taka, jaka byłam kiedyś ja. Mandy czegoś chce po ich wspólnej nocy. Desperacko pragnie nadziei: symbolicznego gestu, choćby drobnego, nawet gdyby był fałszywą obietnicą dalszego kontaktu.

Obrzucam go krzywym spojrzeniem za jej plecami.

Nie reaguje.

Następnego ranka nie mogę zwlec się z łóżka na lekcje jazdy, całe ciało mam obolałe.

Zanim zaczęłam latać, nie przeszło mi przez myśl, jaka to ciężka fizyczna praca, nie wspominając o podnoszeniu i dźwiganiu bagażu, pojemników i zaopatrzenia. Często wychodzą mi siniaki na udach i rękach od uderzeń pasażerów, niosących zbyt wiele bagaży albo kiedy spadnie na mnie w kuchni jakiś przedmiot w czasie niespodziewanych turbulencji.

Spóźniona, wybiegam na dwór, wsiadam do samochodu instruktora, a później rozpoczynam procedurę sprawdzania lusterek i ustawienia fotela kierowcy. Jest strasznie wyczulony na takie drobiazgi.

Zadowolony z moich postępów zapisuje mnie na testy – najpierw teorię, potem praktyczny. W przerwach od nauki przez resztę trzech wolnych dni oglądam kilka nieruchomości w Richmond. Mówię: nieruchomości, a tak naprawdę to małe mieszkania, jeszcze mniejsze niż moje obecne pudełko. Ale nie wchodzi w rachubę żadne inne miasto po wyprowadzce z Reading.

Richmond jest moim domem. Poza tym, kiedy zejdziemy się z Nate'em, to będzie inwestycja.

Składałam ofertę na najmniejsze mieszkanie, położone najbliżej Nate'a, a mój agent mówi, że niedługo powinnam otrzymać pieniądze ze sprzedaży Groszkowego Domku.

Szykując się do lotu, nie mogę się powstrzymać i śpiewam: *New York, New York*. Upewniam się jeszcze raz: Nate już wystartował.

W końcu lecimy w to samo miejsce.

Samolot jest pełny w dwóch trzecich, ale ciągle jestem zajęta sprzedażą towarów bezcłowych. Pokonuję długość samolotu kilka razy, przeszukując różne wózki – po dwa w każdej ze skrytek – szukając odpowiedniego towaru.

Przedmioty o większej wartości przechowywane są w mniejszym pojemniku w pobliżu pierwszej klasy. Po dwudziestu minutach poszukiwania bransoletki, a potem zegarka, pasażerka, która chciała je obejrzeć, dochodzi do wniosku, że jej nie odpowiadają. Nędzna marża, jaką dostajemy ze sprzedaży, nie jest warta zachodu. Kiedy piloci ogłaszają podchodzenie do lądowania, serce zaczyna mi szybciej bić, co jest głupotą, bo przecież Nate wylądował kilka godzin temu.

Gdy autobus dla personelu wynurza się z tunelu, ukazuje się niesamowity pejzaż miejski. Obejrzałam mapę w samolotowej gazetce i zapoznałam się z prostym układem ulic. Samochody jadą i zatrzymują się, a ja patrzę przez okno. Przyglądam się, jak tłumy jak mrówki szybko mijają reklamy kawałków pizzy za jednego dolara i chińskie bufety z jedzeniem do woli. Czerwone turystyczne otwarte autobusy, niewiele różniące się od tych londyńskich, mieszają się z żółtymi taksówkami i wyjącmi pojazdami ratunkowymi. Portierzy w uniformach stoją cierpliwie przed wejściami do szklanych biurowców. Chwilę po przejechaniu Bloomingdale nasz autobus zatrzymuje się przed wąskim wysokim hotelem, wciśniętym pomiędzy dwa inne budynki.

Taka szkoda, że choć Nate i ja jesteśmy tu oboje, nie możemy iść razem pozwiedzać miasta.

Uważam, meldując się w recepcji, i mam oczy szeroko otwarte, proszę o listę personelu pokładowego. Nate mieszka na dwudziestym siódmym piętrze.

W moim pokoju na piątym piętrze, kiedy czekam, aż przyniosą mi walizkę, wyglądam przez okno na biurowiec naprzeciwko. Wpisuję kod wi-fi do telefonu. Nate nie zamieścił żadnego wpisu,

co zamierza tu robić. Najprawdopodobniej wcześniej rano pójdzie pobić. A do tego czasu jestem wolna.

Zerkam na blog Belli. Choć byłam przygotowana – dzięki Stephanie – choć wiedziałam, że na to się zanosi, serce mi staje. I zalewa mnie zazdrość. Bella i Miles ogłosili zaręczyny. Sprawdzam profil Stephanie na Facebooku. Przychodzi mi do głowy wyrażenie „kot-dziwak”. Pierścionek Belli to kawał diamentu oprawionego w platynę.

Gratulacje, Bella i Miles.

Wspaniała wiadomość.

Tak się cieszę.

Idealna para.

Pierdu-pierdu.

Ostatni komentarz napisał Nate: *Życzę Wam szczęścia, witaj w rodzinie, Miles. Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz! Żartowałem :)*

Dbalam, bardzo o to dbalam, żebyśmy, Nate i ja, nie mieli kontaktu z jego rodziną, gdy byliśmy ze sobą. Nie było to takie trudne, biorąc pod uwagę, jak często wyjeżdżał za granicę, a w dni wolne zapewniałam mu zajęcie. Nie mogłam ryzykować, że Bella zacznie wymyślać kłamstwa na mój temat i zatruwać Nate'owi umysł. Uwielbia swojego starszego brata i chroni go. Jedyne rozwiązanie, w jaki sposób mogę zostać jej oficjalnie przedstawiona na nowo, to stawiając ją przed faktem dokonanym – jako oficjalna żona i jej szwagierka. Bardzo bym chciała, żeby widziała, jak idę do ołtarza, żeby musiała być obecna na moim ślubie, robić dobrą minę do złej gry, żeby do niej dotarło, że nie ma wyjścia i od tej pory będzie musiała być dla mnie miła.

Wychodzę na spacer. Przecinam kolejne przecznice, ale zbyt wiele rzeczy kojarzy mi się ze ślubami: jubilerzy, centra handlowe, hotele, salony sukien ślubnych, nawet przejeżdżająca biała limuzyna.

Muszę wymyślać nieskończoną ilość sposobów, żeby mieć zajęcie. Piję kawę. Czekam i czekam.

Z powrotem w pokoju nie mogę się na niczym skupić ani zasnąć. Przeskakuję po kanałach w telewizji, ale mój umysł nie

jest w stanie się skoncentrować, łapię się więc na tym, że oglądam półgodzinne reklamy. Uśmiechnięta kobieta w srebrnym czepku prezentuje elegancką krajalnicę do warzyw. Specjalna oferta pojawia się na ekranie kilka razy. Gapię się. Może mi się przyda, gdy już znowu zamieszkać u Nate'a. Lubi moją kuchnię. A ja od zawsze nie cierpię, jak zapach cebuli przywiera mi do palców na długo, mimo wielokrotnego mycia rąk.

Zmiana czasu zaczyna się na mnie odbijać.

O szóstej rano idę do lobby w stroju do biegania. Siadam na kanapie i chowam się za egzemplarzem „New York Post”. Wlepiam wzrok w artykuł, który czytam na okrągło. Za każdym razem, gdy odzywa się dzwonek windy, serce mi łomocze. Spora część załogi już wstała – ale to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że w kraju jest późny ranek.

Może źle sobie założyłam?

Może Nate poszedł na siłownię. Nie będzie siedział cały dzień w hotelu, ale i tak mam zamiar na niego poczekać.

Siedem po cholernej siódmej. Dzwonek windy się odzywa. Wiem, po prostu czuję, zanim drzwi zdążą się otworzyć, że to będzie on. Dudni mi w piersiach. Wstrzymuję oddech. Tak! Nate ma na sobie strój do biegania, w ręce ściska butelkę wody, w uszach ma słuchawki. Wychodzi przez rozsuwane drzwi i kieruje się w prawo.

Naciągam mocno kaptur i idę za nim. Warunki są znakomite. Tłumy zmierzające do pracy są dość gęste, ale nie na tyle, żeby stanowiły przeszkodę.

Jedna przecznica, dwie.

Kafejki, reklamujące kawę, bajgle i pączki. Klaksony samochodów. Wycie syren w oddali. Na każdym skrzyżowaniu czekam do ostatniej chwili przed zmianą na czerwone światło.

Nate przyspiesza.

Ja też.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegam dorożki. Spoza kół i bud widać otwartą przestrzeń i zieleń.

Central Park.

Nabieram odwagi na tyle, że od Nate'a dzielą mnie teraz tylko dwa kroki. Zatrzymuje się przy wejściu, żeby ustawić czasomierz w zegarku. Zostaję z tyłu i wdycham smród końskiego łajna. Zapaleni turyści już zapełniają alejki. Przymocowany do pobliskiej poręczy plakat informuje o nabożeństwach z okazji Dnia Pamięci w ostatni poniedziałek maja, za kilka dni.

Nate zaczyna biec.

Ja też.

Wieżowce spoglądają na nas z góry. Przy pierwszej okazji opuszcza główną aleję i trzyma się ścieżek – jak inni biegacze – co bardzo mi odpowiada. Cienie oblepionych kwiatami drzew tworzą plamy na trawie oprószonej jasnymi płatkami. Zaczynam szybciej oddychać. Ten plan ma jedną wadę – nie jestem tak szybka, jak on. Mam nadzieję, że nie wybrał się na zbyt długi bieg, bo wiem, że park jest olbrzymi. Wdycham zapach bzów. Przebiegamy przez most, pomiędzy bujne azalie.

Amelia byłaby zachwycona Central Parkiem, opowiadałaby mi o każdej roślinie i mówiła nazwę każdego kwiatu. Will też by się cieszył. Zdjęlibyśmy buty i biegali po trawie.

Chce mi się pić i jest mi gorąco.

Nate nagle się zatrzymuje. Koszulka przykleiła się mu do spoconych pleców.

Pochyla się, kładzie dłonie na udach i wypija duży łyk wody. Chcę podbiec i wyrwać mu ją.

Oddycham najciszej, jak mogę. Stoi nieruchomo.

Słońce jest zdradziecko gorące jak na tę porę dnia; naiwnie założyłam, że będzie tu tak chłodno, jak u nas. Nate kieruje się na pobliską ławkę. Cholera, przodem do mnie.

Biegnę dalej, aż jestem za nim. Staję, opieram się o drzewo i łapię oddech.

Nate siedzi nieruchomo, jakby podziwiał okolicę, ale pewnie po prostu robi sobie przerwę. Był u fryzjera. Nie wiem, czy dobrze wygląda, włosy ma trochę za krótkie.

Odwracam się i czuję zawroty głowy. Pień jest szorstki i chłodny. Jestem zaledwie kilka metrów od niego. Pstrykam kilka zdjęć telefonem. Czemu nie podejść do niego teraz? Na co

czekam? To już ponad siedem miesięcy. Dałam mu tę jego bezsensowną przestrzeń.

Przestrzeń. Nienawidzę tego słowa.

Przewijało się prawie w każdym zdaniu zmierzającym do końca. Może powinnam zapomnieć o planie działania i wykorzystać chwilę. Może sprowadził nas tu los, razem, z daleka od codziennych problemów.

Pieprzyć to! Zrobię to! Będę żyć odważnie.

Robię krok do przodu. Nie! W głowie zaczyna mi pobrzmiwać moja mantra.

Trzymaj się planu.

Modyfikuj plan.

W głowie mi dudni, kiedy rodzi się pulsujący, gwałtowny ból. Potrzebuję wody. Robię kolejny krok przed siebie.

Wdech.

Wydech.

Nie wiem czemu, ale czuję się przymuszona do tego, jak ćma do światła.

Waham się.

Robiąc kolejny krok naprzód, nadeptuję na gałąź. Jest krótka, ale dość gruba, rozmiaru kija bejsbolowego. Oddycham. Nate wydaje się taki zrelaksowany. Kiedyś mogłabym podejść do niego i przytulić go, gdy tylko naszła mnie ochota. Teraz mi nie wolno.

Takie są zasady.

Nie miałam wyboru ani nic do powiedzenia w tej kwestii.

Nate odwraca się i kładzie lewą nogę na ławce, a potem zgina się w pasie i rozciąga się. Widocznie odzywają się mięśnie łydki, co mu się zdarza od czasu do czasu.

Kucam, jakbym coś podnosiła, ale nie ma nic oprócz patyka. Gram na zwłokę, udając, że poprawiam sznurowadła. Kiedy to robię, fala goryczy i wściekłości zalewa mi umysł. Ta sytuacja jest niedorzeczna; ja też mam swoje prawa. Chwytam mocno patyk prawą ręką i wstaję. Trzymam go przy nodze.

Nate też już stoi, wyciąga ręce, splatając palce w kolejnym rozciągającym ćwiczeniu. Robię krok w jego stronę. Jego ręce

opadają na boki. Biorę głęboki oddech.

Zerka na zegarek, a potem oddala się ode mnie biegiem. Stoję nieruchomo i rozluźniam dłoń, trzymającą gałąź. Uderza mnie w kostkę, kiedy patrzę, jak zakręca zgodnie z torem ścieżki i znika mi z pola widzenia.



## 9

Chyba oszalałam. Co ja sobie wyobrażałam? Nie trzymałam się własnych zasad.

Trzymaj się planu.

Jeśli ty zawalisz plan, to plan się zawali.

Stoję jak wryta. Widziałam go na obcym terytorium. Moje granice się zachwiały. Dzięki Bogu, że Nate uciekł. Nie mogę dopuszczać do tego, żeby tracić czujność.

Nigdy więcej.

– Nic pani nie jest?

Podnoszę wzrok. Starszy mężczyzna w garniturze patrzy na mnie.

Staję prosto.

– Nie, dziękuję. Już mi przeszło. Wysłałam pobiegać bez wody, to głupota.

– Tam jest sklep. – Wskazuje przed siebie. – Już sześćdziesiąt cztery stopnie.

Przeliczam w myślach. To jakieś osiemnaście stopni Celsjusza.

– Dziękuję.

Kieruję się w stronę, którą mi wskazał, i odnajduję kiosk. Oprócz wody kupuję kawę i pachnący precel.

– Przepraszam, którędy do wyjścia? – pytam sprzedawcę.

Zupełnie straciłam orientację. Siadam na trawie i łapczywie piję wodę.

Precel jest słony i suchy; przykleja mi się do gardła. Po drodze do wyjścia wyrzucam resztkę w kształcie podkowy.

Kiedy w końcu widzę hotel, doświadczam tej samej ulgi jak zawsze w chwili, gdy koła samolotu dotykają pasa startowego. Wsuwam kartę do zamka, padam na łóżko i ganię się w myślach.

O mało nie spaliłam.

To przez to, że znalazłam się tak blisko celu. Ale muszę trzymać

się planu, bo w lipcu minie prawie dziesięć miesięcy, odkąd się rozstaliśmy.

Prawie rok.

W ten sposób udowodnię mu, że dałam mu przestrzeń, żeby mógł się odnaleźć – czy zrobił cokolwiek innego, co uznał za potrzebne. To boli, myśl o tym, że sypia z innymi kobietami, oczywiście, że boli, ale żadna nie pojawia się na jego facebookowym profilu ani na chwilę, oczyszczam więc umysł z takich myśli i staram się patrzeć na to pozytywnie. Nie zostawił mnie dla żadnej konkretnej kobiety. Będzie gotowy do tego, żeby się ustatkować, kiedy już się zejdziemy.

Muszę wypracować nowe mantry i częściej je powtarzać.

Kiedy masz wątpliwości, nie rób niczego.

Cierpliwość jest cnotą.

Trzymaj się planu.

Choć głowa już mnie nie boli, biorę dwie mocne tabletki przeciwbólowe i popijam kilkoma szklankami wody.

Bez względu na powód, nie mogę się ujawnić.

Jestem zmęczona i zdenerwowana.

Przyjęcie załogi na pokład samolotu lecącego na Heathrow jest opóźnione z powodu opóźnionego przylotu maszyny. Kiedy w końcu dostajemy pozwolenia na wejście, musimy lawirować pomiędzy sprzątaczkami i ich odkurzaczami, które blokują przejścia, tak że ledwie starcza nam czasu na kontrolę bezpieczeństwa, ale nie dajemy rady przygotować nic w kuchni.

W połowie lotu dwie osoby źle się czują i proszą o tlen, jest za dużo hałasujących dzieci. Mam wrażenie, że prośby się nie kończą, jest wiele skarg na to, że pokładowy system rozrywki nie działa.

Może jednak nie wytrzymam za długo w tej pracy.

W czasie odpoczynku śni mi się Will. Jest młodszy, ma jakieś osiemnaście miesięcy i stawia niepewne kroki. Pływa jak urodzony w wodzie. Amelia skrywa się w cieniu w ogrodzie, zrywa kwiaty. Usiłuje coś do mnie wykrzyknąć, ale jej słowa są

niewyraźne, jakby była pod wodą. Zanim zdążę się połapać, co próbuje mi powiedzieć, zanim zdążę się połapać w całej sytuacji, jest za późno.

Siadam i szukam latarki. Wypijam wodę małymi łykami. W ekonomicznej klasie premium siedzi chłopiec w niebieskich ogrodnickach. On mi o tym przypomniał.

Do końca lotu jestem niespokojna. Nie czuję się dobrze. Kiedy siedzę przypięta pasami do mojego fotela przy podchodzeniu do lądowania, jestem o krok od tego, żeby opowiedzieć historię o Willu mojej koleżance. Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać i mam tak ciągle. Potrzebowałam czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Tylu członków załogi ciągle nadmiernie się uzewnętrznia, dzieląc się różnymi skrawkami osobistych informacji, jakby wierzyli, że pozostaną tajemnicą, bezpieczną na środku nieba.

Ale ja w to nie wierzę, oczywiście. Bez sensu.

Zamiast tego opowiadam o „Nicku” i o tym, jak wiedziałam w chwili, gdy go poznałam, że nikt inny nigdy mu nie dorówna. Wystarczy popatrzeć, co działo się z Elizabeth Taylor za każdym razem, kiedy próbowała żyć bez Richarda Burtona. Przeczytałam, że ich miłosna historia została opisana jako „śmiertelna miłość, która nigdy nie umarła”. Bez siebie nawzajem życie właściwie nie ma sensu.

Nate sprawia, że czuję się dopełniona, mimo jego wad, stąd wiem, że to miłość. Zakochanie by mnie zaślepiło. Prawdziwa miłość oznacza akceptację.

Pierwszy wolny dzień spędzam sama w mieszkaniu. Odpoczywam, przeglądając zdjęcia z zaręczyn Belli i Milesa. W przyszłym miesiącu wyprawiają przyjęcie. Drukuję zdjęcia Nate’a zrobione ukradkiem w Nowym Jorku i przyczepiam je na tablicy. Nie są dobrej jakości – nie do końca – ale muszę mieć wszystko mniej więcej na bieżąco, bo nasze życie musi być splecione i uaktualnione, choćby tak.

Wpatruję się w tablicę; coś jest nie tak. Patrę i patrę, aż w

końcu dociera do mnie, co to takiego. Szczęśliwa twarz Belli nie należy do mojej osobistej przestrzeni. Chwytam nożyczki i zaczynam dźgać, aż głowa jej odpada. Jest podziurawiona na każdym zdjęciu, na którym się uśmiecha. Nie ruszam tylko tych, na których nie jest zadowolona z siebie.

Wypuszczam powietrze. Czuję się lepiej.

Wyciągam obie lalki wudu z pudełka na buty na szafie. Dziewczyna ma szpilki w głowie, a chłopak tylko jedną, w piersi. Chcę, żeby serce Nate'a było twarde, aż zakocha się we mnie ponownie. Kiedy zobaczyłam lalki na straganie w czasie jednego z karaibskich lotów, koleżanka, z którą byłam, wyśmiała mnie, gdy je kupiłam.

– Obrzydliwe lalki dla turystów – skwitowała. – Po co ci one, do diabła?

– Dla żartu – odpowiedziałam.

Nienawidzę chodzić na zakupy z innymi. Problem z kolegami z pracy polega na tym, że niektórzy nie są po prostu samodzielni, uczepiają się mnie już od meldunku przed wylotem, usiłują wyciągnąć ode mnie, jakie mam plany, a potem się wpraszają.

W drugim wolnym dniu zdaję teorię jazdy. Zostaje mi tylko egzamin praktyczny i zyskam nową wolność. Odwiedzam kilka salonów samochodowych i decyduję się na zgrabne, szare kabrio. Wydaje mi się, że w bagażniku powinna się zmieścić akurat mała walizka.

Później mam dwudniową przerwę do zapełnienia przed następnym lotem do Bangkoku. Trzymam się z daleka od Nate'a, bo przestraszyłam się własnego zachowania w Nowym Jorku. Muszę skupić się na nowo i nabrać pewności, że jestem dość silna, żeby przebywać blisko niego i niczego nie schrzanić.

Amy poleciała do Australii, więc na nic mi się nie przyda. Moje profile Juliette i Elizabeth na Facebooku są uaktualnione, z odpowiednimi komentarzami i zdjęciami dla odpowiednich osób.

Dzwonię do Babs.

– Masz ochotę na odwiedziny?

– Jasne, skarbie. Idealnie trafiłaś, zrobiłam zapiekanekę wołową. Pakuję małą torbę i ruszam na dworzec.

Nie wspomniałam, o której przyjadę, więc wsiadam w autobus, który zawozi mnie do Groszkowego Domku. Znak „Na sprzedaż” informuje: „W trakcie transakcji”.

Czekam, aż coś poczuję – jakieś emocje – ale nie, niczego nie czuję.

Babs otwiera szeroko drzwi, gdy tylko naciskam dzwonek, ma na sobie fartuszek w czereśnie. A na twarzy mąkę. Wygląda tak, jak pewnie powinna wyglądać matka.

– Cudownie cię widzieć – mówi. – Naszykuję kolację.

Przy zapiekance – rezygnuję z ciasta – młodych ziemniakach i groszku, Babs przekazuje mi miejscowe plotki: dwa rozwody, jedna śmierć i jedno włamanie.

Ja opowiadam jej o moich lekcjach jazdy.

– Wspaniała wiadomość, teraz będziesz mogła częściej przyjeżdżać.

Kiwam głową.

Cisza.

Dominującym odgłosem w kuchni staje się pobrzękiwanie naszych sztućców, co oznacza, że Babs zbiera się w sobie, żeby przekazać mi złą wiadomość albo mnie o coś zapytać.

Czekam.

– Wybierzesz się jutro? Do Williama?

Wstaję i nalewam nam z kranu wody do szklanek.

– Niedługo są jego urodziny i... – Babs nie odpuszcza.

– Nie, przepraszam, nie chcę iść.

– Byłoby mi miło, gdybym miała towarzystwo. Mogłybyśmy też zanieść kwiaty na grób Amelii.

– Zmarłym wszystko jedno, czy mają na grobie kwiaty, czy nie.

– Ja pójdę. Zawsze chodzę.

– Jego tam nie ma. Jej też nie.

Babs odkasłuje.

Chyba wiem, czego się spodziewać, i nie chcę tego słyszeć.

– Co dziś w telewizji? – pytam, wstając, i zaczynam sprzątać ze stołu. – Włącz coś, a ja pozmywam.

Odkręcam kurek z ciepłą wodą, wlewam do miski sporą porcję cytrynowego płynu do zmywania i patrzę na tworzącą się pianę.

Babs wybiera operę mydlaną; słyszę melodię dobiegającą z salonu. Oglądałyśmy ją kiedyś w szkolnej świetlicy, stłoczone na sofach i poduchach na podłodze, w piżamach i koszulkach nocnych.

Siadam obok niej na sofie dziesięć minut później. Gdybym nie wiedziała, że ogląda ją regularnie, pomyślałabym, że nastawiła ją celowo. Bo w dzisiejszym odcinku pojawia się scena nad grobem, w której bohater zamyka pewien etap.

Wyjeżdżam wcześniej następnego ranka, obiecując, że niedługo znów przyjadę.

W pociągu dzwoni mój telefon. Agent. Sprzedaż domu została dopięta.

Jestem bogata.

Wyobrażam sobie, jak jakiś młodszy stażem agent nieruchomości zostaje skierowany do domku, żeby zmienić znak „W trakcie transakcji” na „Sprzedany”.

Jak na złość mieszkanie, które miałam na oku w Richmond, zniknęło z oferty, a to oznacza, że będę musiała od nowa zacząć szukać innego. Przynajmniej będę mieć zajęcie, zanim wrócę do pracy.

Gdzieś ponad Europą, potem nad Azją, zawieszona w ziemi niczyjej, zmierzając w stronę Bangkoku, siedzę w kuchni na odwróconym metalowym kontenerze, przemarznięta, i słucham, jak moja koleżanka Nancy papie bez końca. Pokazała mi zdjęcia swojego kota, konia, chrześniaków, opowiedziała ze szczegółami o operacji, jaką miała cztery lata temu i powiedziała, że jej były mąż okazał się transwestytą.

– Ale nie przez to się rozstaliśmy...

– Och! – mówię. – Chcesz kawy?

Wstaję, wkładam papierowy filtr do ekspresu i włączam go,

marząc, żeby jakiś pasażer wszedł i zemdlał albo zrobił coś, co będzie wymagało chwili zaangażowania.

– Tak, napiję się. W każdym razie, jak mówię, nie chodziło o to, że jest transwestytą...

– Wrócę za parę minut, Nancy. Moja kolej kontroli bezpieczeństwa.

Normalnie bym się nie wczuwała, ale dziś chodzę po ciemnej kabinie, sprawdzam, czy w toaletach nie ma podejrzanych wiadomości ani konstruktorów bomb, upewniam się, czy pasażerowie dobrze się czują i czy nikt nie robi niczego niezwykłego. Jest spokojnie. Żadna z par nie usiłuje się zakraść wspólnie do łazienki, żeby dołączyć do klubu Seks w Przestworzach, nie, żebym się przejmowała, jak to robią. Po prostu udaję, że nie widzę.

Kiedy wracam do kuchni, Nancy zdążyła dorwać innego członka załogi, Kevina, który, sądząc po niewyraźnej minie, z całą pewnością żałuje, że opuścił sanktuarium pierwszej klasy.

– ...chodziło o to, że był takim egoistą. Skończonym egoistą. Wracam po locie, wykończona, obsługiwałam setkom ludzi przez całą noc, a on nie kiwnął w domu palcem. Nie zrobił zakupów, nie...

Ściągam go wzrokiem i uśmiecham się.

– Wpadłem tu tylko po serwetki – mówi. – Zostawiłem kuchnię pierwszej klasy bez obsługi. Będę wracał.

Kevin był księgowym, ale tak bardzo ciągnęło go do podróży, że po czterdziestce zmienił zawód. Wydaje się zabawny. Rozśmieszył wszystkich w czasie meldunku opowieścią o tym, jak nie zdążył na autobus dla personelu na odległy terminal przed poprzednim lotem i zgubił się w labiryncie korytarzy pod terminalem. Puszczą do mnie oko i znikają za grubymi kotarami kuchni. Może się z nim umówię. Sprawia wrażenie inteligentnego i wesołego, jak na razie.

Rozlega się dzwonek. Hura!

Idę przez korytarz wśród śpiących mas schowanych pod kocami, wymijając wystające stopy i leżące buty, aż docieram do fotela 43A, nad którym lampka przywołująca świeci się na biało.

– Mogłabym poprosić o herbatę? – pyta starsza pani, włączając lampkę do czytania.

– Oczywiście.

W ciemności szukam wzrokiem innych światel. Do tego sprowadziło się moje życie: do wyszukiwania ludzi, których mogę obsłużyć, żeby nie musieć wysłuchiwać dalszej paplaniny.

W kuchni, kiedy zalewam torebkę herbaty wrzątkiem, Nancy podsumowuje.

– Masz plany na Bangkok?

Zastanawiam się. Czego nie zrobiłaby Nancy? Hm. Nie wiem. Lepiej być ostrożnym i rozegrać to spokojnie.

– Raczej nie, wolę zobaczyć, co i jak, i nie robić dokładnych planów. Nigdy nie wiem, jak się będę czuła ani jak będę spała.

Wlewam mleko do herbaty, biorę kilka saszetek z cukrem, kładę je na tacy i wracam do kabiny.

W chwili, gdy wracam, Nancy otwiera usta.

– Ja chcę zobaczyć Wielki Pałac Królewski, z pierwszą oficer, Katie. Jesteśmy z tej samej miejscowości i kiedy zobaczyłyśmy, że mamy ten sam lot, postanowiłyśmy, że pora się trochę ukulturalnić i zrobić coś innego niż łożenie po sklepach.

– Prawidłowo.

– Możesz się do nas przyłączyć.

– Dzięki, miło z twojej strony, zobaczę.

– Pewnie mądrze robisz. Katie jest w tej chwili zakochana. Jest na tym początkowym etapie, kiedy nie może się powstrzymać i wtrąca imię swojego nowego chłopaka w każdej rozmowie, niezależnie od tematu. Nie dziwię jej się, nie, była jakiś czas sama, nigdy nie miała szczęścia do facetów. Ale, tak między nami, założę się, że będzie ciągle: „Nate to” i „Nate tamto”, jak będziemy w pałacu.

– Nate? Oryginalne imię? – Jestem zaskoczona, jak normalnie i beztrzesko brzmi mój głos, choć kłuje mnie w sercu.

– Oryginalne? Nie zastanawiałam się nad tym. To chyba zdrobnienie od Nathan, czy coś takiego.

– A jak się nazywa? – Serce bije mi trochę szybciej.

– Nie wiem. Trzeba budzić resztę, teraz nasza pora odpoczynku.



Przygotowuję kilka gorących ręczników i nalewam sok do kilku szklanek. Kładę je na tacy. Dłonie mi lekko drżą. Idę na koniec samolotu, znów omijając kończyny i śmieci, z których najbardziej niebezpieczne są gazety – widziałam, jak ludzie się na nich przewracają. Kluczem otwieram drzwi pokoju dla personelu i zatraskuję je za sobą – zdarza się, że wchodzą tu pasażerowie, jeżeli są otwarte – włączam światło na półmrok, jedną ręką trzymam się poręczy, w drugiej ściskam tacę, pokonując niskie schody.

– Dzień dobry! – mówię.

Niektórzy się zrywają, zabierają swoje rzeczy i idą do łazienek.

Inni siadają, wyraźnie wykończeni i zdezorientowani i widać, że marzą o tym, żeby być w domu, we własnym łóżku.

Piętnaście minut później leżę na górnej pryczy w szarym dresie i wiercę się w śpiworze. Pasy ześlizgują mi się na biodra, kiedy się kręcę jak ciuch w automatycznej pralce, gdy wpadamy w turbulencje. Czuję się tak, jakbym znalazła się w jakimś równoległym, nieistniejącym wszechświecie.

Jednego jestem pewna: jednak wybiorę się z Nancy i Katie do Pałacu Królewskiego.

## 10

Po godzinie odpuszczam sobie przerwę trzech godzin i dwudziestu minut. Nie jestem w stanie wytrzymać ani chwili dłużej, leżąc tak uwięziona. Pójdę obczaić tę całą Katie. Muszę ją zobaczyć na własne oczy, żeby ocenić.

Kręci mi się w głowie, kiedy w łazience nakładam ponownie makijaż. Na początku lotu wyglądałam przyzwoicie. Teraz jest mi niedobrze. Wiedziałam, że Nate nie będzie żył w celibacie, jasne. Nie jestem naiwna. Ale znać imię i znajdować się w powietrzu z kimś, kto jest potencjalną rywalką, to przerażająca sytuacja.

Przechodzę na przód samolotu i wchodzę na górę do klasy biznes. Steward – starszy mężczyzna – przygotowuje w małej górnej kuchni tace ze śniadaniem.

– Cześć. Chcę tylko zajrzeć do kokpitu – mówię. – Mam spytać, czy czegoś nie potrzebują?

Zerka na zegarek.

– Tak, spytaj. Niedługo trzeba do nich dzwonić.

Wiem, kiedy dzwoni się w czasie lotu do pilotów, dlatego przyszedłam o tej właśnie porze. Biorę telefon pokładowy i wybieram numer kokpitu. Serce mi łomocze na myśl, że w słuchawce odezwie się głos Katie, ale nie. Mówi mężczyzna.

– Cześć, tu Mike.

– Cześć, tu Juliette z pokładu. Jestem na górze, chciałam wejść o coś zapytać. Przynieść wam coś?

– Poczekaj chwilę.

Stłumione głosy.

– Tak, poprosimy dwie kawy. Jedną białą, jedną czarną, bez cukru. A jeżeli zostały jakieś kanapki dla załogi, to też poprosimy, dzięki.

– Okej.

Parzę kawę. Która jest dla Katie? Wysuwam tacę z kanapkami z

wózka dla personelu. Dzwonię jeszcze raz, żeby zapowiedzieć, że idę.

Przechodzę przez korytarz i czekam przed drzwiami kokpitu. Otwiera kapitan i jak tylko wchodzę, zamyka je za mną dokładnie. Białe, zielone i niebieskie lampki świecą jasno w ciemnym zamkniętym pomieszczeniu. Na fotelu pierwszego oficera siedzi mężczyzna. Nie Katie. Drzwi do kabiny wypoczynkowej pilotów są zamknięte, widocznie śpi.

– Czy ktoś ma przerwę? – pytam.

– Tak.

Cholera.

Kapitan bierze ode mnie tacę. Zdejmuję kawę i stawiam kubki przy każdym z foteli.

– Przyszłam spytać, czy byłaby szansa, żebym usiadła tu na czas lądowania – mówię. – Jestem dość nowa i...

– Przykro mi, ale nie, to miejsce szkoleniowe. James... – Wskazuje pierwszego oficera. – Przygotowuje się do awansu na kapitana, więc obawiam się, że muszę odmówić. – James odwraca się i kiwa głową przepraszająco.

– Aha.

– Mam nadzieję, że niedługo będziesz miała okazję, normalnie bym się zgodził.

– Dziękuję.

– Dzięki za kawę. – Wygląda przez wizjer, a James śledzi obraz monitoringu. – Czysto.

Otwiera mi drzwi, a ja wychodzę, przybita, ale nie pokonana.

Po drodze do hotelu siedzę za Katie i słucham jej rozmowy z drugim pierwszym oficerem.

Włosy ma splecione w warkocze i upięte – czego nie lubię.

Will uwielbiał moje warkocze. To znaczy, lubił mnie za nie ciągnąć.

Jest nijaka.

Rozmowa nie jest interesująca. Dyskutują głównie o jeździe na rowerze. Nie mogę sobie wyobrazić Nate'a na rowerze. Nie wyglądałby dobrze w kasku.

Nie i koniec.

Jak większość załogi, Katie wygląda zupełnie inaczej w cywilnym ubraniu, kiedy spotykamy się następnego ranka w recepcji. Jest tylko Nancy, Katie, chłopak o imieniu Ajay i ja.

Katie ma długie, kręcone rude włosy i mnóstwo piegów. Wygląda na miłą i rzeczową, na taką osobę, jaką spytałoby się o drogę. Sprawia wrażenie chłopczycy, z umięśnionymi ramionami, w prostych beżowych spodniach, jakby ze wszystkich sił starała się dopasować do męskiego świata pilotów. Jednak kiedy się uśmiecha, cała jej twarz staje się ładna.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co Nate w niej zobaczył. Wydaje mi się, że to dlatego, że jest dorodna, taka „dziewczyna z sąsiedztwa”.

W autobusie turystycznym przyglądam jej się znowu. Patrzy przez okno z lekko otwartymi ustami. Stoimy w korku całe wieki, ale nie jestem w stanie nawiązać z nią żadnej pożytecznej rozmowy, bo entuzjastyczna przewodniczka nadaje bez przerwy, stojąc na przedzie autobusu z mikrofonem.

Wyłączam się.

To, że Nate mnie kocha, wiem, bo mi to powiedział.

Kiedy mu powiedziałam, że go kocham, odpowiedział:

– No, ja ciebie też.

Gdyby było inaczej, nie odezwałby się.

Przyznaję, że był sceptyczny – na początku – wobec mojej przeprowadzki do niego niedługo po tym, jak zaczęliśmy być ze sobą. Ale powiedziałam, że ta miłość, choć trochę szalona, może jest nam pisana.

Mieszkanie, które wynajmowałam, zostało sprzedane. To była prawda, choć właściciel powiedział, że mogłabym mieszkać w nim jeszcze przez trzy miesiące. Ale zupełnie nie było sensu, żebym szukała innego. Drobne białe kłamstwo dla naszego wspólnego dobra.

Przelotnie rozważałam wtedy, czy nie rozpocząć pracy dla tej

linii lotniczej, ale chciałam być dziewczyną idealną. Być zawsze dla Nate'a, kiedy wraca do domu.

Żebyśmy byli tylko we dwoje.

Słowa, które pojawiają mi się w głowie, gdy mój wzrok pada na ten pałac to: zieleń i złoto. Wpatruję się w oszałamiające budowle, wielowarstwowy dach i wypielęgnowane ogrody.

Jest gorąco. Jak mówi przewodniczka, jest prawie pora deszczowa, a ja mam na sobie długi rękaw, żeby uszanować święte miejsce.

- Ale tu romantycznie, nie uważacie? - odzywam się do pozostałych.

Kiwają głową, ale nie odpowiadają, bo wszyscy, niestety, należą do ludzi, którzy szczerze interesują się architekturą. Słuchają przewodniczki, która nas oprowadza. Pot cieknie mi po kręgosłupie. Moim zdaniem można zachwycać się szybko, nie trzeba się snuć w żółtym tempie, żeby wryć dane miejsce w pamięci. Od tego są aparaty.

Bez końca chodzimy i chodzimy, i słuchamy. W świątyni Szmaragdowego Buddy wzdychamy nad figurą Buddy z jadeitu, którego złote szaty na początku każdego sezonu zmienia sam król.

W końcu zostajemy zaprowadzeni na lunch do przepelnionej restauracji. Dzięki Bogu, jest klimatyzowana. Nie zniosę takiego popołudnia. Chcę tylko, żeby Katie wspomniała o Nacie, a potem znajdę wymówkę i wrócę do hotelowego sanktuarium. Siadam na krześle obok niej. I papuguję jej zamówienie: dietetyczna cola i pad thai.

- I jak ci się podoba? - zagaduję.

- Jest... niesamowicie - mówi Nancy.

- Niezwykłe - odzywa się Katie, wypijając łyk swojej coli.

Ajay tylko kiwa głową; cały czas wertuje przewodnik.

- Jak już mówiłam, to naprawdę romantyczne miejsce - stwierdzam.

Katie nie łapie przynęty. Będę musiała być mniej subtelna.

Zjawia się nasze jedzenie, parujące. Żałuję, że nie zamówiłam czegoś zimnego, z tym nie dam rady. Chwytam pałeczki i wyławiam małą krewetkę. Od zapachu trawy cytrynowej robi mi się niedobrze. To dominujący zapach, który panował w całej kuchni tej strasznej nocy, gdy Nate ze mną zerwał.

– Czyli... – zagajam, odwracając się do Katie. – Nancy mówiła, że jesteście z tej samej miejscowości. Gdzie to jest?

– Zaraz za Peterborough – mówi i wypowiada nazwę, której nigdy nie słyszałam.

– No, to kawałek drogi? – Przechyliłam głowę na bok i udaję zaciekawioną.

– Tak. Ale ja to lubię. Słucham muzyki albo audiobooków. Pomagamą mi ochłonać, kiedy mam długą noc.

Nie widziałam żadnych śladów jej obecności u Nate'a. On też u niej nie był. Nate nie lubi jeździć daleko w wolne dni. Może Nancy źle ją zrozumiała albo przesadziła. Katie ani razu nie powiedziała „Nate to” czy „Nate tamto”. Może to był przelotny romans, po którym nie ma śladu.

Dziubię makaron.

Katie ziewa i szybko zakrywa usta.

– Popołudnie wygląda naprawdę obiecująco – mówi Ajay. – W przewodniku piszą, że czeka nas prawdziwa gratka...

– Zależy, co kto lubi. – Nie mogę się powstrzymać.

Cała trójka spogląda na mnie.

Piecze mnie w ustach, bo chili zaczyna działać, gryzie mnie w gardle, rozpala twarz.

– Przepraszam. Ja chyba odpadam. Wezmę taksówkę i wrócę do hotelu. Spotykacie się wieczorem na drinka i na kolację?

– Zostań – mówi Nancy. – Będziesz żałować.

– Właściwie zgadzam się z Juliette – dodaje Katie. – Muszę się zdrzemnąć po południu, jeżeli mam wytrzymać do wieczora.

Jestem podekscytowana.

Zostawiamy Nancy i Ajaya, a przewodniczka załatwia nam taksówkę. Dajemy jej duży napiwek, bo wygląda na rozczarowaną tym, że odłączamy się od grupy.

Droga powrotna mija szybko, kierowca jest rozmowny i chce

pogadać o futbolu angielskim. Katie chyba się na tym zna, więc zostawiam to jej. Może będzie trochę bardziej wylewna po paru drinkach wieczorem, choć podejrzewam, że Nate dość szybko się nią znudził.

U nas w kraju jest południe, ale w Bangkoku zapada zmrok, kiedy z kilkoma innymi członkami załogi, włącznie z Kevinem z pierwszej klasy i Katie, spotykamy się w barze na dachu. Światła rozjaśniają pobliskie drapacze chmur.

Sączę miejscowe piwo z wysokiej szklanki. Chłodzi mi gardło, upał i wilgoć lekko mnie duszą.

– Pójdziemy na dyskotekę? – rzuca ktoś.

Czekam na reakcję Katie.

– Brzmi nieźle – mówi.

– Świetny pomysł – wtrącam.

Katie odwraca się do mnie.

– Nie chcesz się wcześniej przebrać?

Spoglądam w dół na moje czarne dżinsy.

– Po co?

– Jest ukrop, chociaż jest noc. Pamiętasz, jak gorąco było w dzień?

Katie okręca się. Czerwone i białe groszki na jej sukience wirują, bransoletki pobrzękują. Na prawej kostce pokazuje się tatuaż motyla.

Przypływ ulgi; Nate uważa, że tatuaże są tandetne. Ona jest pewnie kolejnym środkiem, kolejną zabawką, żeby miał zajęcie.

Nie chce mi się przebierać. Zatrzymujemy tuk-tuk, który kiwa się niebezpiecznie, kiedy nasz kierowca manewruje w gęstym ruchu. Ściskam metalową poręcz i wydycham opary benzyny. Girlanda z różowych kwiatów zwisa ze wstecznego lusterka, kołysząc się w rytm gwałtownych manewrów. Docieramy do zaadoptowanego dawnego magazynu, który sprawia wrażenie, jakby nie był objęty żadnymi standardami higieny i bezpieczeństwa; groźne kable elektryczne krzyżują się nad nami, a drewniane klepki gdzieś wystają. Sobowtór Elvisa

masakruje *Always On My Mind*. Małeńki mikrofon rzeźbi w regularnych odstępach.

– Chciałabym być w domu z moim chłopakiem – mówię do Katie, kiedy przepychamy się przy barze.

– Ja też. Tak mówię, ale mój chłopak jest w tej chwili poza domem. Też jest pilotem.

Nogi się pode mną uginają.

Barman zaczyna nas obsługiwać. Zamawiamy piwo.

Przypominam sobie, żeby oddychać.

Wracamy do pozostałych ściśniętych dookoła wysokiego metalowego stolika. Rozmawiamy o pracy tak długo, dopóki wystarcza mi cierpliwości.

– Masz jakieś zdjęcie twojego faceta? – pytam tak nonszalancko, jak tylko potrafię.

– Mnóstwo. Uwielbiam zanudzać ludzi Nate'em.

Prawie żal mi Katie – prawie – ale to nie moja wina, że Nate jest próżny. I słaby, jeśli chodzi o kobiety, które się na niego rzucają.

– Spójrz... – Katie uśmiecha się. – Byliśmy w Rio i...

Zdjęcie Nate'a promienieje z jej telefonu.

Zamieram i słucham każdego bolesnego słowa z jej pełnego zadowolenia, trwającego minutę monologu, a potem znajduję wymówkę. Na dworze powtarzam moje mantry, od nowa i od nowa. Ledwie mogę oddychać. Muzyka grzmi z różnych stron. Grupy miejscowych przewijają się wśród taksówek i motocykli. Stragany skrzypią pod ciężarem podróbek designerskich artykułów, koszulek, butów, torebek. Neonowe szyldy reklamują drinki, masaże, tabletki nasenne. Z pobliskiej budki z jedzeniem dolatuje smród smażonej cebuli.

Wyciągam telefon z tylnej kieszeni i loguję się. Załoga Nate'a spędza czas na safari w Narodowym Parku Krugera. Wstawił zdjęcia wysokiej, smukłej trawy poprzecinanej strzelistymi drzewami z niewielką ilością liści z podpisem: „Ktoś widzi lwa?!” Jest, buszuje wśród dzikiej natury, a ja zmagam się ze świeżą zdradą po drugiej stronie świata.

Głębokie oddechy. Wdech, do cholery. Wydech, do cholery.

Powiew odoru ścieków na chwilę przywołuje mnie do



rzeczywistości.

Tabletki nasenne? Słowa znów przyciągają wzrok. Może powinnam zażyć. Spędzę resztę czasu tutaj w błogiej nieświadomości. Mogą przynieść ukojenie. Chwilową poprawę.

– Ile kosztuje opakowanie dwudziestu tabletek? – pytam farmaceutkę za ladą.

– Lepiej kupić czterdzieści – odpowiada. – Wychodzi taniej.

Co za różnica. Stawiam na oszczędności... Wrzucam tabletki do torebki, a potem rozglądam się po straganach. Dostrzegam małego drewnianego Buddę. Jego też kupuję, może przyniesie mi szczęście.

Zmuszam się, żeby wrócić do baru. Krzesło Katie jest puste. Idę za znakami do toalety. Stoi przed lustrem i wiąże włosy w koński ogon. Od progu czuję mdlący zapach jej perfum.

Nie zniosę tego ani chwili dłużej, krzyczą w milczeniu moje myśli.

Robię krok naprzód, omijając mokre plamy na brudnych płytkach, i staję obok niej. Uśmiecham się do lustra. Odwzajemnia uśmiech, choć z lekko zmieszaną miną.

– Chyba rozpoznałam Nate’a ze zdjęcia, które mi pokazałaś. Jego twarz jest jakaś znajoma – mówię. – Nie daje mi to spokoju, ale to na pewno on.

– O. Leciałaś z nim?

– Nie.

– To skąd go znasz?

– Nie znam. Coś zaszło między nim a moją przyjaciółką. Nie wiem dokładnie co, ale dość mocno nią wstrząsnęło. Powiedziała, że nigdy nie będzie w stanie nikomu o tym powiedzieć.

– To nie mógł być Nate. On jest stuprocentowym dżentelmenem.

– Możliwe.

Spuszczam wzrok i przeszukuję torebkę, żeby mieć jakieś zajęcie, ale wcześniej dostrzegam przelotny niepokój na jej twarzy. Sięgam po tusz do rzęs. Kiedy podnoszę wzrok, Katie kieruje się do drzwi.

– Za chwilę przyjdę! – krzyczę.

Jeżeli odpowiedziała, nie usłyszałam. Drzwi zatrzasują się za nią z hukiem. Nakładam powoli masce, poirytowana tym lekceważącym podejściem. To, co jej powiedziałam, nie do końca było zmyślane; Nate ma ciemną stronę. Kiedy odwracam się do wyjścia, chowam tusz do torebki, a on uderza z brzękiem o butelkę z tabletkami nasennymi.

Wtedy przychodzi mi do głowy myśl.

W kabinie wyciągam z torebki niebieskie tabletki. Zalecana dawka to jedna pastylka co dwanaście godzin. Hm. Więc jaka ilość będzie odpowiednia? Dwie? Trzy? Cztery? Odkręcam nakrętkę, wyciągam trzy kapsułki i chowam do kieszeni džinsów. Zakręcam butelkę z powrotem i szukam w torebce małej koperty z kartą do drzwi pokoju hotelowego. Kartę wrzucam do torebki. Ostrożnie otwieram kapsułki i wsypuję proszek do koperty. Osłonki spłukuję w toalecie, a względny spokój łazienki zamieniam na hałas i zamęt na zewnątrz.

# 11

Naśladowca Elvisa przeobraził się w Toma Jonesa. Te same skórzane spodnie, inna bluzka. Zaczyna od *Sex Bomb*, obracając się i wymachując skórzaną kurtką jak lassem.

Zamawiam kilka piw. Biorę jedno, opuszczam i wsypuję do butelki zawartość koperty.

– Mogę poprosić o szklanki? – pytam barmana.

Kręci głową, pytająco.

– Szklanki proszę. I... – Rozglądam się po ladzie. – Jeszcze to. – Wskazuję orzeszki w chili. – Pięć paczek.

Podaje mi cztery ciepłe szklanki, prosto ze zmywarki, i małą czarną tacę.

Wracam do Katie i innych, a potem przy niej nalewam piwo do szklanki. Muszę, nie mogę wstrząsnąć butelki.

– Przepraszam za to, co powiedziałam – mówię, podając jej piwo. – Na zgodę. Czasami mam niewyparzoną gębę. Na pewno się pomyliłam.

Waha się, bierze szklankę i podnosi ją, jakby wznosiła toast.

Otwieram orzeszki i wyglądam torebkę.

– Częstujcie się – zwracam się do wszystkich, ale, oczywiście, mam na myśli Katie.

Potencjalnym mankamentem mojego planu może być to, że tabletki mają wyraźny smak. Mam nadzieję, że orzeszki go zabiją. Tom Jones wyśpiewuje refren *Delilah*. Parę osób z naszej grupy przyłącza się do niego ze śmiechem, Katie również.

Uśmiecham się i udaję, że dobrze się bawię. Mam nadzieję, że spadnie ze stołka. Wygląda na tak przytomną, że obawiam się, że mogę potrzebować czegoś mocniejszego, idę więc do baru i zamawiam parę kieliszków miejscowego rumu.

– Dalej! – krzyczę. – Ostatni stawia następną kolejkę!

Większość osób, włącznie z Katie – uff – podejmuje wyzwanie.

– Szalejesz dzisiaj – mówi ktoś. – Wygrałaś na loterii?  
Śmieję się grzecznie, jakby naprawdę powiedział coś zabawnego.

– Raz, dwa, trzy... – odliczają wszyscy.

Prawie dostają mdłości.

– Boże, jakie to obrzydliwe! – krzyczę.

– Co to jest? – pyta Kevin.

Oczy mam mokre.

– Rum. Ja już dziękuję.

– Cienias. – Kevin uśmiecha się.

Ma miłe, brązowe oczy, dopełnienie ciemnej karnacji i szelmowskiego uśmiechu.

Odwzajemniam uśmiech i zerkam na Katie. W końcu wygląda na zamroczoną.

– Chyba niedługo będę wracać – mówię do Kevina. Wskazuję na Katie. – Ona też chyba powinna wracać do hotelu.

– Pojadę z tobą. Nie miałem w planach imprezy do rana.

Przysiadam się do Katie.

– Kevin i ja wracamy. Masz ochotę jechać z nami? Wyglądasz na zmęczoną.

– Zmęczoną? – Jest zdezorientowana. – Nie, nie, nic mi nie jest. Wy jedźcie. Ja wrócę później z resztą.

– Ja myślę, że powinnaś wracać. – Odwracam się do Kevina. – A ty?

Wzrusza ramionami.

– Decyzja należy do zainteresowanej – odpowiada.

Odciągam go na bok.

– Widać, że ma już dość.

– Na moje oko nic jej nie jest.

Katie zsuwa się ze stołka i chwyta się stołu, wypuszczając przy tym torebkę. Chaotycznie usiłuje ratować swoje rzeczy: szczotkę do włosów, miętówki i szminkę.

Kevin podbiega do niej. Pomaga jej wstać.

Rzucam mu spojrzeń: „a nie mówiłam?”

Na zewnątrz zatrzymujemy taksówkę. Z prawdziwego zdarzenia. W tuk-tuku mogłaby oprzytomnieć. Po drodze opiera

głowę o okno, z trudem utrzymuje powieki, aż w końcu oczy jej się zamykają.

Portier otwiera tylne drzwi, gdy podjeżdżamy pod hotel.

– Pomóż mi ją zaprowadzić do jej pokoju – mówię do Kevina. – Chyba powinna się porządnie wyspać.

– Nic mi nie jest – mamrocze, ale nie protestuje, kiedy Kevin ją obejmuje, żeby jej pomóc.

– Jaki masz numer pokoju? – pyta.

– Eee... siedemnaście... sześć... dwa. – Ziewa i marszczy czoło, jakby bardzo się skupiała. – Jeden. Siedem. Sześć. Dwa.

Kiedy docieramy na jej piętro, idzie jak lunatyczka. Zdejmuję torbę z jej ramienia i szukam klucza. Wsuwam go w drzwi, a Kevin prowadzi ją do łóżka. Zdejmuję jej buty. Stoimy z Kevinem obok siebie, jak zatroskani rodzice, i patrzymy na nią.

– Myślisz, że nic jej nie będzie? – pytam.

– Nie. Chyba musi się porządnie wyspać.

– Położmy ją w pozycji bezpiecznej, na wszelki wypadek.

– Myślisz?

– Tak. Będziesz musiał mi pomóc.

Chwyta ją za tułów. Ja trzymam ją za nogi i obracamy ją na bok, układając ręce w odpowiedniej pozycji. Lekko pochrapuje. Bardzo kobieco.

– Chodźmy – mówi.

Przyciemniam światła i wsuwam sobie do kieszeni kartę do jej pokoju, kiedy wychodzimy. Drzwi zamykają się za nami kliknięciem.

Czekamy na windę.

– Masz ochotę na rozchodniaczka? – pyta Kevin.

– Dziękuję. Przepraszam, ale jestem wykończona.

– Nie ma sprawy.

Przyjeżdża winda. W innym czasie i miejscu, może. To kolejny problem, jakiego przysparza mi Nate. Kevin jest miły i, spójrzmy prawdzie w oczy, dlaczego tylko Nate może się zabawiać? Ale, niestety, nie tylko jestem monogamiczna, jestem też bardzo zajęta. Mam dużo do zrobienia.

Jego pokój znajduje się piętro wyżej od mojego, to znaczy, że on

wysiada pierwszy.

– Dobranoc – mówimy jednocześnie.

Drzwi się zamykają. Otwierają się na moim piętrze, ale nie wysiadam, czekam, aż znów się zamkną. Wciskam siedemnaste. Kiedy drzwi się otwierają, upewniam się, czy na korytarzu jest pusto. Nie widać kamer. Wyciągam z kieszeni kartę Katie. Na zamku zapala się zielona dioda. Wchodzę.

Już nie chrapie, ale ciężko oddycha. Włosy opadły jej na twarz. Odgarniam je ostrożnie. Siadam na fotelu i przyglądam się jej. Czy Nate patrzy na nią, kiedy śpi? Ja patrzyłam na niego bez przerwy. Zawsze wyglądał na takiego bezbronnego, spokojnego, pozbawionego jakichkolwiek śladów zmartwienia czy złości. Chciałam zakraść się do jego głowy. Chciałam wiedzieć, o czym myśli, przez cały czas.

Mówił, że myśli ma poplątane i ulotne. No, to było kłamstwo. Były na tyle rzeczowe, żeby zaplanować, jak się mnie pozbyć.

Jakbym była niczym.

Wstaję i wyciągam jej telefon, choć przeglądanie wiadomości od niego będzie jak zdrapywanie strupów, ale jest zablokowany. Przeszukuję dokładnie torebkę; nie ma śladu jej paszportu. Otwieram szafę i widzę, że sejf jest zamknięty. Znów sprawdzam torebkę i w portfelu znajduję prawo jazdy. Ale nawet wpisując do telefonu i do sejfu różne kombinacje jej daty urodzenia, nie mogę nic wskórać.

Przeszukuję łazienkę, przeglądam jej produkty. Używa szamponu zapobiegającemu elektryzowaniu się włosów. Zakładam się, że Nate o tym nie wie. Że włosy ma naturalnie rozczochrane. Przeszukuję jej walizkę, są w niej głównie ciuchy, a potem przeglądam torbę pilota. Instrukcje. Thriller. Książka podróżnicza. Rozpoznaję ją. To ta, którą mu kupiłam. *Pięćset miejsc, które warto zobaczyć przed śmiercią.*

Dał albo pożyczył jej książkę ode mnie! Jak śmiał?

Kartkuję ją. Ten facet nie ma za grosz fantazji. Jego standardowym prezentem są czekoladki. Na pewno zapomniał o jej urodzinach – albo czymś innym – postanowił więc dać jej coś mojego. Chyba że... sama ją sobie wzięła z jego półki. Gapię się na

nią, taką spokojną, nie z tego świata, a potem niosę książkę na biurko i biorę długopis.

Na ostatniej stronie wpisuję spóźnioną dedykację: *Mojemu ukochanemu Nate'owi. Kocham Cię na zawsze. Chcę zwiedzać z Tobą świat. E XXX*

Nate, w najlepszym przypadku, przejrzał tylko książkę. Na pewno nie zauważył, czy coś napisałam.

Dobrze mu tak.

Odkładałam ją. Mam nadzieję, że wzbudzi w niej zazdrość, kiedy skonfrontuje się z dowodem romantycznej przeszłości Nate'a, jeżeli natknie się na moje słowa. Myszkuje w jej torebce i zapisuję w telefonie jej adres i inne przydatne informacje. Na razie nic więcej nie mogę zrobić, odkładam więc kartę na jej szafce nocnej i wychodzę.

W swoim pokoju w Internecie szukam pomysłów. Potrzebuję większego dostępu do świata Nate'a. Odkrywam aplikację, która pozwala śledzić wszystkie jego wiadomości i czynności. Spełnienie marzeń porzuconej kochanki. Głowę dam, że ten, kto to wymyślił, był w podobnej sytuacji jak ja, bo jak wiadomo, potrzeba jest matką wynalazków. Jest oznaczona jako narzędzie przeciw włamaniom albo dla osób, które chcą mieć na oku swoje nastoletnie dzieci albo starszych rodziców. Zamieszczono uwagę, że surowo zakazuje się instalacji aplikacji na telefonie, którego nie jest się właścicielem, ale się nią nie przejmuję.

Muszę tylko zdobyć dostęp do jego telefonu. Wygląda na to, że większość osób zainstalowała ją bez zgody właściciela, gdy ten spał albo był pod prysznicem. Żeby to zrobić, musiałabym się włamać do Nate'a, kiedy będzie w domu, w środku nocy, albo ukrywać się w mieszkaniu, czekając, aż pójdzie pod prysznic.

Nie najlepsze rozwiązanie.

Katie schodzi na autobus dla personelu zdrowa jak ryba. Nie wspomina wczorajszego wieczoru, ja też nie, ani Kevin, o ile wiem. Jest pewnie zawstydzona, myśli, że nie wie, kiedy przestać pić.

Tabletki przydadzą mi się bardziej, niż w pierwszej chwili sądziłam.

Zastanawiam się nad wszystkim przez całą drogę do domu, w myślach modyfikując plan działania.

Kiedy lądujemy na Heathrow, doznaję olśnienia.

Nate nie zabiera telefonu, gdy wychodzi pobiegać. To dla niego jedyna okazja, że może odciąć się od świata. Muszę tylko być w pobliżu, poczekać, aż wyjdzie, wejść i zainstalować aplikację, zanim wróci.

Proste.

Pierwszego wolnego dnia mam dwugodzinną intensywną lekcję jazdy, żeby przygotować się do egzaminu praktycznego. Skupiam się najbardziej, jak potrafię, żeby opanować kluczowe umiejętności, ale frustruje mnie to, że nie mam wpływu na innych kierowców, którzy mnie wyprzedzają czy ruszają przede mną na światłach.

Wsiadam do pociągu wcześniej rano następnego dnia, żeby zdążyć, zanim Nate wyjdzie z domu. Jednak teraz, kiedy lato jest w pełni, czuję się bardziej widoczna. Światło nie jest moim sprzymierzeńcem. Trochę się martwię, że może wyjrzeć przez okno i zauważyć mnie. Powinam się lepiej zamaskować.

Siadam na ławce. Gołębie dziobią placki nagiej ziemi przy moich stopach. Odganiem je.

Czekam i czekam, ale się nie pojawia. Samolot ryczy mi nad głową co minutę.

Z frustracji mam ochotę kopnąć pobliskie drzewo. Wiem, że jest w domu. Głowę dam, że jest z nim Katie. Kiedy był ze mną, zawsze wychodził pobiegać.

Idę na główną ulicę. Później włączę się nad rzeką, licząc na to, że może go tam spotkam, ale Nate'a ani śladu.

Możliwe, żeby pojechał do Peterborough? Raczej nie, ale kto wie?

W tym sęk. Dlatego potrzebuję dostępu do jego telefonu.

Wracam do domu przybita.



Nate ma jeszcze dwa dni wolnego, a to oznacza, że nie mam wyjścia, będę musiała wlec się tam co rano i czekać.

Cierpliwość zawsze popłaca. Nigdy, przenigdy nie zawodzi.

Następnego dnia Nate wychodzi pobiegać. Obserwuję go zza pobliskiego drzewa, udając, że wiążę sznurowadła. Szkoda, że nie mogę mu radośnie pomachać w podziękowaniu za to, że jest taki uczynny; nie ma pojęcia, ile wspólnych sił wymaga nasze zejście.

Patrzę na mój telefon. Mam jakieś czterdzieści minut, jeżeli zachowa się rutynowo. Pogoda jest sprzyjająca, jest słonecznie, ale nie za gorąco. Nie zwlekając, biegnę do jego mieszkania, jakbym miała pełne prawo zmierzać w tym kierunku. Naciągam na głowę kaptur, kiedy zbliżam się do drzwi budynku i wkładam słoneczne okulary. Nie znam za dobrze jego sąsiadów, ale nie ma co niepotrzebnie ryzykować. Wbiegam lekko po schodach i wchodzę do środka, najciszej, jak umiem.

Stoję i czekam.

Żadnych odgłosów.

Zakradam się do sypialni i łazienki. Obie są puste. Robi mi się lżej na sercu, kiedy widzę, że nie ma Katie ani żadnej innej kobiety. Idę do kuchni. Telefon Nate'a leży na stole, obok kubka z napisem *I ♥ NY*. Kupił mi taki sam. Podnoszę go do ust. Nie jest ciepły, ale też nie jest zimny, więc wiem, że Nate pił z niego dziś rano. To takie osobiste i satysfakcjonujące. Ale nie mogę się rozpraszać. Wpisuję PIN Nate'a.

Nieprawidłowy PIN.

Niech to szlag!

Wpisuję jeszcze raz. Działa. Muszę się skupić i myśleć, co robię. Aplikacja zaczyna się ładować. W połowie się zatrzymuje. Tak jak moje serce, o mały włos. Cały ekran się blokuje. Wyłączam telefon, przytrzymując przez kilka sekund główny przycisk, a potem czekam, aż ponownie się uruchomi. Przy drugiej próbie aplikacja ładuje się w całości. Przeglądam ją i ukrywam ikonę, a potem odkładam telefon na miejsce. Będę musiała założyć specjalne konto, żeby śledzić dane, ale zrobię to w domu. Mam

czterdzieści osiem godzin okresu próbnego, żeby sprawdzić, jak to działa.

Wygłądam szybko przez okno. Nate'a nie widać.

Nie mogę się powstrzymać. Rozglądam się szybko po mieszkaniu. Prostokątna torba pilota ze złotymi okuciami leży otwarta. Przeglądam ją. Dokumenty, instrukcje, plany lotów, mapy. Nuda. Walizka jest zamknięta. Podnoszę ją; jest pusta. Portfel leży z boku. Otwieram go. Rachunki. Restauracja, hotel i bar. Przeglądam je. Białe wino, hm. Sea Breeze. Cosmopolitan. Kobiece drinki. Ze snobistycznego pubu w Kapsztadzie, Bar on the Rocks. Może jednak Katie ma się czym przejmować. Dostrzegam jego paszport i legitymację lotniczą na stoliku wśród stosiku zagranicznych monet. Wertuję delikatne kartki paszportu. Robiłam to wiele razy; starałam się pochłaniać każdy okrucuch informacji na jego temat. Wyciągam telefon i robię zdjęcia, żeby uaktualnić kolekcję. Nate jest jedną z niewielu znanych mi osób, która ma przyzwoite zdjęcie w paszporcie.

Otwieram szafę. Nic kobiecego, podobnie w łazience. Zerkam na telefon. Cholera, minęło trzydzieści pięć minut. Wyciągam z plecaka butelkę jego ulubionego czerwonego wina i szybko kładę ją na stojaku na wino, bo niedługo są jego urodziny. Potem idę do drzwi, machając po drodze rybce. Tęcza musi się gotować z cichego wzburzenia.

Kiedy zaczynam schodzić, słyszę trzaśnięcie drzwi na klatkę.

Czekam.

Słyszę kroki na górę. Potem głosy.

– Co słyhać?

– W porządku, dzięki. A u ciebie?

Cholera.

Głos Nate'a.

Ucina sobie kurtuazyjną pogawędkę z sąsiadem.

– Dobrze, dziękuję. Dokucza mi trochę kolano...

Nie mam się gdzie schować. Myślę. Wbiegam z powrotem na drugie piętro i wciskam guzik windy. Słyszę, jak się uruchamia. Jest taka stara. Mam nadzieję, że się nie zepsuje. Raz się tak stało, jak mieszkałam z Nate'em. Serwisant, który ją naprawiał,

wspomniał, że choć mieszkańcy głosowali za tym, żeby ją wyremontować, pewnie i tak niedługo trzeba będzie ją wymienić. Światło się zapala. Parter. Drugie piętro.

Głosy milkną.

Kroki.

Cholera, cholera, cholera.

Drzwi windy się otwierają. Wchodzę i wciskam literę P. Drzwi zamykają się z drżeniem. Zjeżdżając, wstrzymuję oddech, dopóki winda się nie zatrzyma. Zakładam kaptur i okulary. Wystawiam jedną nogę i rozglądam się.

Pusto.

Kieruję się do drzwi, a potem biegnę ścieżką, oddalając się od mieszkań, bez oglądania się za siebie.

W domu dopada mnie euforia.

Zrobiłam to!

Mam pełny dostęp do świata Nate'a. To jak najlepsze reality show. Mogę przeglądać sobie do woli, choć dostęp do informacji jest wolniejszy, niż się spodziewałam.

Widzę nawet historie jego wyszukiwań w Internecie. Zaprosił Katie na przyjęcie zaręczynowe Belli i Milesa w pięciogwiazdkowym hotelu położonym na skraju New Forest w przyszłym miesiącu, w ostatnią sobotę czerwca. Nie zjawił się na trzydziestych urodzinach znanej przyjaciółki Belli – nie widać go na ani jednym zdjęciu – ale, oczywiście, Bella na pewno wybrała taką datę swojego zaręczynowego przyjęcia, żeby pasowała jej czcigodnemu bratu.

Robię kawę i piję ją powoli, zastanawiając się. Wpatruję się w moją tablicę w poszukiwaniu inspiracji, a potem wchodzę do Internetu i wpisuję przypadkowe słowa, jak „zemsta” czy „zdradzający partner”. Nie zwracam uwagi na niedorzeczne posty, które wspominają o morderstwie, publicznych billboardach czy wyprzedazach garażowych własności zdradzającego. Jednak Internet dowodzi swojej lojalności i wierności prawdziwego przyjaciela, podpowiadając rozmaite

rozwiązania. Moje myśli powracają do dwóch słów: słodka pułapka. Pociągają za sobą różne pomysły, ale odrzucam je wszystkie jako zbyt ryzykowne. A jednak czuję, że rozwiązanie mam w zasięgu ręki, jeżeli odpowiednio długo będę się zastanawiać.

W pewnym sensie to jak odpowiednik promocji „drugi produkt gratis”. Mam nadzieję, że przy okazji zepsuję przyjęcie Belli, jeżeli uda mi się odpowiednio pokierować biegiem zdarzeń na imprezie. Nate nie należy do ludzi, którzy skrywają uczucia, kiedy są w złym nastroju.

Wracam do tablicy. Zdjęcia są podzielone na przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Mały Nate uśmiecha się do mnie. Jest w krótkich spodenkach i koszulce i wygląda na szczęśliwego. Bella miała rodzinną fotografię na szafce nocnej. Już wtedy widać było w jego oczach ledwie skrywaną pewność siebie.

Dawne zdjęcia Belli są wycięte z kronik szkolnych, bo była ich główną bohaterką, w związku z teatrem, gotowaniem, osiągnięciami w nauce czy sporcie. Świetnie jeździła konno, grała w hokeja i w tenisa, ale jej prawdziwą mocną stroną było pływanie. Była przerażona, kiedy odkryła moją wstydliwą tajemnicę – to, że nie umiem pływać.

– Myślałam, że każdy się tego uczy w dzieciństwie? – skwitowała drwiącym tonem, którego zaczęła używać coraz częściej, gdy się do mnie zwracała.

Na lekcje pływania musiałam przychodzić piętnaście minut przed innymi, na dodatkową naukę, a w czasie samej lekcji trzymałam się płytkiej wody jak kilkulatek. Raz, kiedy wyłoniłam się ze śmierzących, wilgotnych przebieralni, na basenie było pusto – nie licząc Belli, która nic sobie nie robiła z zasad, bo jej, oczywiście, nie dotyczyły. Usiadłam na ławce z boku i czekałam na panią Gibbons, ale nie było jej widać, choć mijały minuty.

Bella zauważyła mnie.

– Wskakuj, będę cię mieć na oku – powiedziała.

Chciałam powiedzieć: nie, ale nigdy nie sprzeciwiałam się Belli.

Powoli, niechętnie, zesłam po drabinie i zanurzyłam się w wodzie od płytkiej strony. Wzdrygnęłam się. Spirala wspomnień zaczęła się kręcić, z początku powoli. Później szybciej, aż w końcu wybuchły. Postanowiłam być odważniejsza, popłynąć na głębszą wodę, zachęcana przez Bellę. Woda nalała mi się nosem i podrażniła gardło. Kiedy uniosłam głowę, dostrzegłam Bellę. Zauważyłam fragment jej granatowego kostiumu, a potem nasze kończyny się splotły i razem zniknęłyśmy pod wodą.

Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy i, na szczęście, przed oczami ukazała mi się rozmazana krawędź basenu. Wyciągnęłam ręce i złapałam się jej najmocniej jak mogłam.

Poczułam, że ktoś pomaga mi wyjść. Pani Gibbons. Siedziałam na brzegu, trzęsłam się i kaszlałam tak bardzo, że myślałam, że zwymiotuję. Ledwie słyszałam, jak pani Gibbons krzyczy na mnie i dziękuje Belli.

Choć nie miałam dowodu, byłam prawie pewna, że Bella przeczytała mój dziennik i chciała mnie przestraszyć. Znalazłam go kiedyś przodem do góry na dnie mojego biurka, a zawsze odkładałam go odwrotnie. Moje poczucie winy z powodu Willa wyszło na jaw i przerażająca była myśl, że moje słowa – „To moja wina” – zostały źle odczytane, jakby wzięła mnie za morderczynię.

Coraz trudniej przychodziło mi ignorować fakt, że Bella jest wredna, że zmęczyła się mną tak, jak niektórzy nudzą się zwierzakiem. Złośliwy przytyk tu, kpina tam. Moje szuflady rozgrzebane w naszym pokoju, znikający dezodorant i pasta do zębów. Staralam się udawać, że to się nie dzieje, nosić wysoko głowę i mieć nadzieję, że jej paczka się tym znudzi. Ale musiałam zmierzyć się z faktem, że całkowicie się pomyliłam z tą swoją lojalnością. I przez to nie wiem, kogo nienawidziłam bardziej: jej czy siebie samej.

Tej nocy wydarłam kilka kartek z dziennika i podarłam je na drobne strzępki. Na wcześniejszych stronach ze szczegółami opisywałam moje fantazje związane z przyszłością, frustracje z powodu matki i trudności w opiece nad wkurzającym młodszym bratem. I to, co się stało z Willem. Stres, strach z powodu

najgorszego błędu, jaki w życiu popełniłam, własne słowa, potępiające mnie samą, czytane przez Bellę i innych, paliły mnie w żołądku jak kwas niemal bez przerwy.

A to nie była najgorsza rzecz, jaką zrobiła.

Muszę się skupić na teraźniejszości, jeżeli Bella ma zawiązką zapłacić za przeszłość. Miesiąc po miesiącu, krok po roku, zbliżam się do tego.

Podobnie jak do mojej przyszłości z Nate'em. Dlatego Katie z całą pewnością musi zniknąć. Odrzucam pomysł za pomysłem, aż wpada mi do głowy coś, co może się udać, ponieważ Nate będzie nocował w hotelu New Forest już dzień przed przyjęciem Belli, żeby spotkać się ze swoimi szkolnymi kumplami.

Kiedy modyfikuję plan działania, ogarnia mnie spokój.

Czasami, teraz, kiedy już nabrałam trochę dystansu do sytuacji, zastanawiam się, dlaczego tak się upieram w kwestii Nate'a. Zawsze dochodzę do tego samego wniosku, że gdybym nie zajrzała do wewnątrz i nie dostrzegła mężczyzny, który potrafi być miły, zabawny, czuły i troskliwy – oczywiście, byłoby mi trudniej. Ale go kocham. Pogodziłam się z tym, że po prostu nie mogę walczyć z przeznaczeniem. I, ponieważ chwilowo jestem bezradna, słodka pułapka wydaje się rozsądnym sposobem na to, żeby pomóc Katie się oddalić, bo czarno na białym pokaże jej słabość i próżność Nate'a. A Nate, przy okazji, dostanie cenną lekcję życia i zobaczy, jak to jest zostać porzuconym.

## 12

W dniu urodzin Nate'a – piętnastego czerwca – po ośmiu kolejnych intensywnych lekcjach jazdy, zdaję egzamin. W końcu mogę odebrać samochód. Prezent dla mnie, skoro nie mogę kupić Nate'owi prezentu z prawdziwego zdarzenia. Z salonu samochodowego wyjeżdżam z opuszczonym dachem, w okularach słonecznych w stylu Sophii Loren.

Dwadzieścia minut później już jestem pogubiona, GPS gaśnie. Wjeżdżam do warsztatu i pytam mechanika, jak prawidłowo zresetować nawigację. Przed wyjazdem dzwonię do Amy.

– Cześć, masz ochotę przejechać się moim nowym samochodem?

Waha się.

– Przepraszam, nie mogę. Mama przychodzi i...

– To może później?

– No, nie wiem.

Czuję się trochę nieswojo, kiedy się rozłączam. Amy była dziwna, jakby ktoś z nią był. Lubię ją, naprawdę, ale czasami jest taka samolubna. Należy do osób, które zapytane, jak się mają, opowiedzą wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Dzwonię do agenta nieruchomości i pytam, czy mogę obejrzeć nieruchomości, które dla mnie przygotowali, wcześniej niż o umówionej porze. Wpisuję w nawigację: „Richmond”, i wyruszam.

Szybko przekonuję się, że wadą posiadania samochodu jest to, że trzeba go zaparkować. Jeżdżę wkoło, wlokąc się za autobusami i rowerami, aż w końcu parkuję na przedmieściach Richmond. Wysyłam Amy esemes, przypominając, żeby dała znać, jak zmieni zdanie. Nie odpisuje.

Gdy tylko wchodzę za agentką w granatowej garsonce do nowoczesnego mieszkania z jedną sypialnią, wiem, że to będzie

dla mnie idealny dom. Już czuję, jakby był mój. Z okna sypialni prawie widać wejściowe drzwi do Nate'a. Z lornetką będę mogła obserwować, kiedy wychodzi i wraca, a to może się przydać, nawet gdy do siebie wrócimy.

Już nigdy nikomu nie zaufam. Zaufanie to luksus.

Po powrocie do domu, czekając, aż woda w czajniku się zagotuje, dzwonię i składam ofertę na mieszkanie. Wracam do pracy nad moimi planami i jeszcze raz wyszukuję w Google słodką pułapkę. Wystarczy, że wyślę zdjęcie Nate'a – to nie jest trudne – dostarczę dane mojej karty kredytowej, godziny zwyczajowych czynności i adres. Najtrudniejszym pytaniem jest to, jakie kobiety są w typie Nate'a. Chciałabym powiedzieć, że takie, jak ja. Ale, tak naprawdę, nie wiem. Mam brązowe włosy – obecnie blond – jestem średniego wzrostu. Przejrzałam zdjęcia byłych dziewczyn Nate'a, ale im więcej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że nie ma określonego typu. Powiem w agencji, że musi to być ktoś dyskretny i z klasą, bez widocznych tatuaży.

Nie wypytywałam Nate'a o przeszłość, gdy byliśmy razem. Nie musiałam, miałam go na oku od lat. Przecież znaczna część mojej przeszłości została upiększona, poza tym, z jakiego regionu pochodzę, mojej szkoły i faktu, że nie udało mi się zostać aktorką. Chciałam mieć wytłumaczenie częstych zmian pracy.

Kiedyś spytał mnie, jak dobrze znałam Bellę.

– Wszyscy znali Bellę – odpowiedziałam. – Ale nie miałam z nią wiele wspólnego. – A później zmieniłam temat. Nie mogłam przecież powiedzieć prawdy – że jestem odludkiem, dryfuję w poszukiwaniu tej jednej osoby, której mogłabym się ucześcić. Jego.

Nie mogłam też przyznać, że nie mam żadnych przyjaciół. Dlatego Amy jest taka ważna – każda dziewczyna potrzebuje przyjaciółki, dzięki niej będę wyglądać dobrze.

Nate zaaprobuje moją przyjaźń. Ona będzie żywym dowodem, że nie jestem zupełnym odszczepieńcem.



Dzień przed przyjęciem dzwonię do kadr, bo nie mogę być na dwóch kontynentach jednocześnie.

- Numer pracownika?

- 959840. Dzwonię, żeby poinformować, że jestem chora i nie będę mogła lecieć wieczorem do Perth.

Słyszę stukanie klawiatury.

- Czy to wypadek przy pracy? Potrzebuje pani pomocy menedżera?

- Nie, dziękuję. Zadzwoń, gdy poczuję się lepiej - mówię „chorym” głosem. Uśmiecham się i kończę rozmowę.

Uwielbiam tę anonimowość. Zawsze, kiedy w poprzednich miejscach pracy udawałam chorobę, musiałam znosić przejawy udawanej troski, choć koledzy byli wkurzeni, że muszą wykonywać moje zadania.

Na jutrzejszym przyjęciu spodziewanych jest trzystu gości. Idealna liczba. Motywem jest James Bond. Katie ma wystąpić w chińskiej jedwabnej błękitnej sukni, podobnej do tej, którą nosiła podwójna agentka Miss Taro w *Doktorze No*. Będzie potrzebować ciemnej peruki. Nate będzie Jamesem Bondem. Broń Boże, żeby wystąpił w roli kogoś interesującego, na przykład Bużki. Bella utrzymuje swoje przebranie w tajemnicy, jakby kogoś to obchodziło. To samo robiła w szkole, czy chodziło o imprezę, czy o przedstawienie. Wyszukuję w Google „dziewczyny Bonda” i podejrzewam, że wiem, za kogo się przebierze, bo tylko jedna jest opisana jako „najsłynniejsza”. Moje przebranie to elegancka, skromna suknia, podobna do tej, jaką nosiła agentka KGB w *Szpiegu, który mnie kochał*. Nie mogę się ubrać jak kocica, muszę wpasować się z subtelną elegancją.

Sprawdzam wiadomości Nate'a. Uwielbiam moją szpiegowską aplikację, kiedy nie porusza wątków uczuciowych; to prawie jak jasnowidztwo. Zgodnie z planem Nate będzie dziś nocował w hotelu.

Ja też.

Hotel jest położony na kilku akrach ziemi i ma ogrodowy labirynt, jezioro i pole golfowe. Szpaler starych dębów rośnie wzdłuż długiego, okazałego podjazdu. Zmniejszam prędkość na progach zwalniających i przypomina mi się szkoła. Czuję lekkie mdłości na widok imponującego starego budynku. Poza nim widać prześwit w chmurach, przez który przedziera się słabe, wieczorne słońce. Przyjęcie jest ciche, ale to pewnie cisza przed burzą, bo większość gości przyjedzie jutro. Melduję się, nie chcę skorzystać z pomocy przy wniesieniu walizek i idę schodami na górę, bo uznaję, że to bezpieczniejsze niż zamknięta winda.

Pokój jest mroczny, kwiecisty wystrój depresyjnie staroświecki. Na poduszkach leżą saszetki z lawendą o delikatnym, mdłym zapachu, przewiązane pretensjonalną fioletową wstążką. Wszechogarniający zapach lawendy niemal mnie dusi. Otwieram okno z rozmachem, ale zatrzymuje się po kilku centymetrach. Wdycham przez szparę świeże powietrze, a potem przeszukuję torebkę, wyciągam perfumy i obficie spryskuję nimi pokój. Wyrzucam lawendowe „usypiacze” przez szparę w oknie i patrzę, jak znikają połknięte przez krzew. Niepokojące wspomnienie, jakie przywołuje ten zapach, jest nie do zniesienia.

Dzwonię do agencji od słodkiej pułapki.

– Czy ta kobieta już podrywa mojego chłopaka na przyjęciu? – pytam. Zachowuję się pewnie jak zdesperowana, niepewna siebie dziewczyna, ale nie przejmuję się tym.

– Tak, ale proszę się nie martwić. Większość mężczyzn jest wierna swoim partnerkom. Zwykle okazuje się, że nie ma powodu do niepokoju.

– Naprawdę?

Co za pech.

Siadam na łóżku.

Telefon Nate’a milczy. Żadnych wiadomości, postów, nic. Widać, że jest zajęty.

Wdech. Wydech.

Nie powinnam tu dziś przyjeżdżać, powinnam poczekać do jutra. Jestem uwięziona w pokoju i mogę sobie tylko wyobrażać,

jak się rozwija romantyczny scenariusz. Mogłabym pójść do baru, ale chyba nie będzie dość pełny, żebym mogła odpowiednio ukryć się w tłumie. Mogłabym zamówić posiłek na górę albo obejrzeć film, ale żadna z tych opcji do mnie nie przemawia.

Muszę wyjść.

O zmierzchu idę na parking. Wciskam pilota i wsuwam się na fotel kierowcy. Kieruję się do wyjazdu, nie bardzo wiedząc dokąd. Jadę wąskimi drogami porośniętymi z dwóch stron gigantycznymi rododendronami, które zaczynają przekwitać i zwieszają liście. Mijam kilka starych domków ze stadami bydła pasącego się przy podjazdach, aż w końcu droga prowadzi na wrzosowisko z łątami wrzосу i częstymi znakami ostrzegającymi jadących przed dzikimi kucykami i nakazującymi „Zwolnij”. Grupki kucyków stoją przy skraju drogi, po dwa lub trzy, pod dębowymi baldachimami. Z początku zamierzałam jechać godzinę albo dwie, żeby zająć myśli, ale po paru minutach muszę włączyć długie światła. Zamiast otwartych przestrzeni jest las skurczony w ciemności, a ja czuję się odizolowana – bliska niewidzialnemu zagrożeniu.

Wracam na parking hotelowy. Wyłączam silnik i siedzę w ciemności, wpatrując się w jasne światła budynku. Nadjeżdża taksówka, z budynku wychodzi para i schodzi po schodach. Mężczyzna z nadwagą, w garniturze, wychodzi na papierosa.

Nie ruszam się. Nie ufam sobie.

Po hotelowych schodach schodzi kobieta i wsiada do innej czekającej taksówki. Prostuję się. Zobaczyłam tylko jej cień, ale miała wydatny biust, długie kręcone blond włosy i z całą pewnością była w szpilkach. To na pewno ta kobieta z agencji, bo kto inny wychodziłby sam o tej porze, elegancko ubrany?

Ze świeżym poczuciem misji uruchamiam silnik i wyjeżdżam za taksówką z podjazdu. Skręca w prawo. Pilnuję, żeby nie być za blisko, ale nie spuszczam auta z zasięgu wzroku. Jak podejrzewałam, zjeżdża z niewielkiego wzgórza w stronę dworca kolejowego. Zatrzymuję się na małym parkingu za dużym autem z napędem na cztery koła. Widzę, że kierowca czyta z czytnika lub tabletu, a ekran oświetla jego twarz.

Wysiadam z samochodu, ciesząc się, że na nogach mam adidas, i idę w stronę wejścia. Kobieta stoi sama na peronie. Zerkam na tablicę informacyjną; za siedem minut odjeżdża pociąg do Londynu. Opiera się o białą kolumnę, oddaloną od żółtej linii na peronie i stuka w telefon. Siadam na zimnym metalowym krześle i rozglądam się. Nie ma na co patrzeć: automat z biletami, informacja i, oczywiście, kamera. Muszę wiedzieć, czy podobało jej się dzisiaj towarzystwo Nate'a. Mogłabym zadzwonić do agencji, ale jest za późno. A nawet jeżeli odbiorą, zbędą mnie obietnicą „pełnego raportu wkrótce”.

Podchodzę do niej. Wzdryga się lekko, kiedy stoję obok.

– Przepraszam, może pani wie, jak długo trwa podróż do Waterloo? – To najlepsze, co mogę wymyślić naprędce.

– Prawie dwie godziny.

– Oj, to długo. Myślałam, że dojadę wcześniej.

– Ja też. – Uśmiecha się. – Ma pani szczęście, to dzisiaj ostatni pociąg.

Duże brązowe oczy są mocno pomalowane, na wargach ma błyszczęk. Wyobrażam sobie, jak kusi Nate'a, i czuję znajome ukłucie zazdrości.

– Była pani w jakimś miłym miejscu? Ja odwiedzałam ciotkę.

Przerywa nam głośny komunikat:

– Na peron wjeżdża pociąg do...

W oddali pojawiają się białe światła, skierowane na nas.

– Miło było panią poznać – mówi, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie chce być skazana na pogawędkę ze mną przez całą drogę o Londynu.

– Wzajemnie – odpowiadam.

Szyny wibrują, kiedy pociąg nadjeżdża.

W pewnym sensie rozumiem, że to nie jest wina tej kobiety, jeżeli Nate się nią zauroczył. Ale w tej właśnie chwili dla mnie uosabia każdą inną kobietę. Każdą Katie, każdą wcześniejszą i późniejszą. Próbuję wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić, ale płuca i gardło mam ściśnięte. Nie mogę uspokoić myśli. Kiedy pociąg się zatrzymuje, robię krok naprzód. Za mną otwierają się drzwi poczekalni. Kierowca, który zaparkował obok mnie,

pojawia się przy mnie na peronie.

W pociągu widzę niewiele głów pogrążonych w czytaniu, patrzeniu w monitor czy drzemiących. Przelotnie zastanawiam się, czy wsiąść i wrócić jutro, ale to byłoby bezsensowne. Już i tak zmarnowałam cały wieczór. Kobieta wciska przycisk, żeby otworzyć drzwi i wsiada do pociągu. Przyglądam się, jak wybiera miejsce przy oknie. Mężczyzna obok mnie wita się ze starszym panem, bierze od niego małą walizkę i prowadzi go pod rękę do wyjścia.

Gdy pociąg odjeżdża, widzę zdezorientowaną minę kobiety, kiedy mnie dostrzega stojącą nieruchomo na peronie. Stoję tak jeszcze przez kilka chwil, zagubiona, aż w końcu godzę się z faktem, że najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić, to wrócić do hotelu i iść spać.

Następnego ranka leżę w łóżku i gapię się w sufit. Dzwoni telefon.

– Juliette? Juliette Price?

– Słucham.

– Tu Stacy, z agencji.

Siadam.

– Tak?

– Powiedziała pani, że chce pani raport w formie pisemnej i ustnej?

– Zgadza się.

– Obawiam się, że mam złe wiadomości. Ma pani przyjaciółkę albo kogoś bliskiego, do kogo może się pani zwrócić po wsparcie?

Dreszcz nadziei i podniecenia.

– Dam sobie radę. Proszę mówić.

– Jak pani wie, nasz zespół nie prowokuje nikogo celowo ani...

– Tak, tak, tak. Wiem. Proszę mi powiedzieć. Co zrobił?

– Poprosił ją o szczegóły. Konkretnie o numer telefonu. Nie dała mu go.

– Coś jeszcze?

– Nie.

- A z państwa doświadczenia, co to znaczy?
- Że musi pani być uważna.
- Jak miała na imię?
- Miranda.
- Jest blondynką?
- Tak, ale nie zalecam, żeby traktowała to pani jako ważną informację. Wkrótce otrzyma pani pełny raport.
- W porządku. Dziękuję.

Wstaję z nowym poczuciem misji.

Wychodzę z hotelu, jadę do pobliskiej wioski, siadam w kawiarni i pracuję nad tym, w jaki sposób najlepiej przekazać tę informację Katie.

Późnym popołudniem wsuwam sukienkę przez głowę, nakładam mocny makijaż i perukę. Ostatnio w Stanach kupiłam sobie niebieskie szkła kontaktowe, cholernie trudno się je zakłada. Mrużę oczy, parę razy dotykam źrenicy, ale wytrzymuję. Okulary byłyby zbyt oczywistym przebraniem. Nakładam ponownie tusz do rzęs.

Teraz mam niebieskie oczy, długie, ciemnobrązowe włosy. Uśmiecham się do siebie w lustrze.

Jestem gotowa.

Odczekuję godzinę po rozpoczęciu przyjęcia i dopiero wtedy z wdziękiem schodzę na dół, z wysoko podniesioną głową, i wchodzę do sali balowej, jakbym miała pełne prawo w niej przebywać.

Bo mam.

Biorę kieliszek szampana od przechodzącego kelnera i wtapiam się w tłum. Wszystkiemu się przyglądam. Nikogo jeszcze nie rozpoznałam, ale czuję się niepewnie. Znajduję kąt, w którym popijam szampana. Ściany zdobią oprawione zdjęcia miłosnej historii Belli i Milesa – narty w Whistler, na pokładzie jachtu w Monako, w gondoli w Wenecji. Biorę kanapkę od przechodzącej kelnerki, żeby mieć jakieś zajęcie. Zjadam parę ziaren kawioru z łososia, ale ma zbyt intensywny smak. Robi mi się niedobrze.

Mdłości przybierają na sile, gdy dostrzegam Bellę. Stoi w drugim końcu sali. Moje przypuszczenia się sprawdziły: Honey Ryder z *Doktora No* w białym bikini. Wygląda, jakby zeszła z planu filmowego. Jest, dosłownie, olśniewająca.

Odwracam się do starszej kobiety obok mnie. Wpatruje się w Bellę.

– Jest pani przyjaciółką Belli albo Milesa? – pytam.

– Nie – odpowiada. – Mój mąż pracuje z Milesem i...

Uśmiecham się i kiwam głową, ale nogi mam jak z waty. Migają mi rude włosy. Katie. Idzie do baru, sama. Nie widzę Nate'a. Ale na pewno tu jest.

Znajduję wymówkę i przechodzę na bok, z daleka od Belli. Jakiś mężczyzna nadeptuje mi na palce. Ignoruję ból i idę dalej. Zespół zajmuje miejsca i po chwili parkiet się zapełnia. Po dwóch utworach zapada cisza i robi się jeszcze ciemniej. Bella jest na pierwszym planie, oświetla ją światło z góry. Przyglądam się. Przywołuje kogoś. Dołącza do niej czarownik wudu z *Żyj i pozwól umrzeć*. Rozpoznaję go: to Miles.

Ścisza mnie w żołądku, kiedy dostrzegam Nate'a. Oparty o ścianę, trzyma kieliszek czerwonego wina i sprawia wrażenie, jakby był pogrążony w rozmyślaniach. Podchodzi do niego Katie. Nie wyglądają na szczęśliwych, ale też nie wyglądają na nieszczęśliwych. Katie bierze od niego kieliszek i odstawia na stół. Ciągnie go na parkiet. Stoję jak wryta i przyglądam się, jak znikają.

Przesuwam się ostrożnie na parkiet i przyłączam do grupy. Lustra, światła, ciemność. Rockowa wersja *Człowieka ze złotym pistoletem* rozlega się z głośników, ludzie rozbiegają się na boki, zostawiając na środku Bellę, która kręci się i wije w wyraźnie wyreżyserowanym pokazie. Mam ochotę krzyczeć, wszyscy klaszczą i wiwatują na końcu. Dlaczego nie widzą, jaka jest naprawdę? Gdyby to było moje przyjęcie, byłoby eleganckie i subtelne. Nie zrobiłabym przedstawienia. Robi mi się słabo, gdy Bella wskazuje w moją stronę i mam koszmarną wizję, że wyciąga mnie na parkiet i zwraca na mnie uwagę wszystkich. Kobieta z tłumu przede mną przyłącza się do niej. Piszczą,

obejmują się i cmokają się w powietrzu.

Dopiero gdy wypuszczam powietrze, dociera do mnie, że wstrzymywałam oddech. Nie mam poczucia, że ten wieczór jest moim sukcesem. To Bella ma bal. Podobnie jak Nate i Katie. Co za strata czasu. Wychodzę, ale wcześniej wyciągam z torebki prezent i dokładam go do sterty innych na stole w rogu. Mój niepodpisany prezent to poradnik o tym, jak pracować nad szwankującym związkiem.

Mam dość szczęśliwych par.



Czekam czterdzieści osiem godzin, zanim wyślę anonimowy, ale szczegółowy list od „życzliwej osoby”, przedstawiający Katie moje „podejrzenia”. Słyszałam kiedyś te słowa w jakimś programie telewizyjnym, wyraźnie zdenerwowały odbiorcę.

Czując lekką euforię z powodu tego, że wtrącam swoje trzy grosze, podkręcam radio i gotuję potrawkę z krewetek. Ale, jak to często bywa, gotuję za dużo i widok ilości, która wystarczyłaby dla dwojga, znów mnie przybija. Tęsknię za gotowaniem dla Nate’a, zawsze doceniał domowe posiłki po samolotowym i hotelowym jedzeniu. Wyłączam muzykę i dziubię w talerzu przed laptopem, przeglądam, szukam, zamieszczam posty.

W przyszłości, jeżeli rodzina Nate’a będzie sprawdzać moją historię, chcę, żeby wiedzieli, jaką jestem wspaniałą obywatelką. Ludzie widzą to, co chcą widzieć. We mnie zobaczą idealną żonę dla ich ukochanego syna i miłą, rozsądną synową. Nie jestem ograniczona. Moje wymyślone barwne i urozmaicone CV sprawia, że jestem idealną kandydatką na to miejsce. Piekę, szyję, tworzę. Będę wyprawiać każde Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc – każde cholerne święta. Chcę, żeby Bella bała się świąt – tak jak ja bałam się każdego nowego semestru – bo subtelnie zza kulis będę podkopywać jej pozycję i izolować ją od rodziny.

Czytam mejla od mojej menedżerki. Stanowisko w dziale promocji linii zostanie uruchomione we wrześniu, a to oznacza, że muszę zejść się z Nate’em raczej wcześniej niż później. Moją wielką przewagą jest element zaskoczenia i nie mogę tego zaprzepaścić.

Sprawdzam moją szpiegowską aplikację. Jest cisza, jeżeli chodzi o Katie, jak na razie. Nate został przydzielony do Vegas za trzy tygodnie. To może być doskonała okazja, żeby wkręcić się na ten

lot, bo Vegas nie jest lubianym kierunkiem: pełne samoloty i nadmiernie podekscytowani, mocno pijący faceci i babki. Sprawdzam ogłoszenia o zamianie. Cholera. Nikt nie poprosił o zamianę tego akurat lotu. Będę sprawdzać w przyszłym tygodniu, a potem sama dam ogłoszenie. Idealnie byłoby, gdybym nie musiała zostawiać online żadnego śladu, że nie jest to tylko przypadek, że obsługujemy ten sam lot.

Brakuje mi zajęć, włączam więc telewizję i oglądam mecz tenisowy na Wimbledonie. Będę miała temat do rozmowy z Barbarą, bo domyślam się, że siedzi teraz przed telewizorem z pimm'sem w jednej ręce, z miską truskawek z bitą śmietaną w zasięgu drugiej. To jej coroczny rytuał. Ale trudno mi się skupić, bo cały czas sprawdzam wiadomości od Katie do Nate'a i odwrotnie, aż aplikacja szpiegowska się blokuje i nie mogę jej uruchomić. To wkurzające, jakby ktoś odłączył mi moją nadprzyrodzoną moc. Muszę być ostrożniejsza, bo czytałam, że może szybko zużywać baterię Nate'a, a jeżeli będzie się to zdarzać zbyt często, albo spróbuje to naprawić, albo uruchomi aktualizację.

Działa znów po kilku godzinach, pewnie Nate naładował telefon. Pilnuję się, żeby sprawdzać tylko raz na kilka godzin. Dowiaduję się, że zatrudnił do domu sprzątaczkę, która przychodzi dwa razy w tygodniu. To, jak podejrzewam, dobra wiadomość; jeżeli kiedyś zdarzy mi się popełnić błąd, winna będzie sprzątaczką.

Drugą dobrą rzeczą jest to, że do mojego kolejnego wylotu do Delhi parę dni później Katie i Nate niewiele się kontaktowali.

Autobus wiozący załogę podskakuje po drodze, a źle zawieszony zasłony za każdym razem ocierają się o moją twarz, kiedy wpadamy w dziurę. Próbuję związać cienki materiał opaską do włosów, żeby widzieć coś przez okno. To mój pierwszy raz w Delhi, jest urzekające. Riksze, rowery i krowy walczą o przestrzeń na drodze, nie zważając na hałas i ryk silników jaskrawo ozdobionych ciężarówek i autobusów, z którymi się mijają. Upał, z powodu słabej klimatyzacji, przeplata się z przenikliwym zapachem owoców i ścieków, który zlewa się

z silną wonią białych plastikowych odświeżaczy powietrza.

Jestem podeksycytowana. Od jednego z pasażerów dowiedziałam się, że w naszym hotelu można się umówić do wróżki, a ponieważ są moje urodziny, będzie to dla mnie miły prezent. Zwłaszcza że cały czas sprawdzam wiadomości od Nate'a, choć wiem, że to daremne – nigdy nie będzie pamiętał sam z siebie – ale podobnie jak z wieloma innymi rzeczami, po prostu nie mogę się powstrzymać.

Przy zameldowaniu pytam recepcjonistkę o umówienie wizyty.

– Zobaczę, co będę w stanie zrobić – obiecuje.

Niecałą godzinę później dzwoni telefon w pokoju.

– Madam. Tu Reyansh. Chce się pani ze mną spotkać?

Jestem zdezorientowana. Spodziewałam się kobiety.

– Tak, zgadza się.

– Ma dziś pani dużo szczęścia. Mam wolną godzinę, jeżeli może pani zejść na dół teraz.

Moja cyniczna natura podejrzewa, że wcale nie jestem aż taką szczęściarą, ale mimo to jestem ciekawa i coś mnie kusi, żeby to zrobić, więc się zgadzam. W podziemiach, wśród sklepów z dywanami i biżuterią z ekspozycjami żółtego złota, szafirów i szmaragdów, grzecznie odmawiam rozmaitym właścicielom, proponującym herbatę – *chai* – bo niski, starszy mężczyzna przywołuje mnie do odgrodzonego zasłonami miejsca na końcu szerokiego korytarza. Za kotarą zaprasza, żebym usiadła, zajmuję więc miejsce naprzeciwko Reyansha, po drugiej stronie dużego drewnianego biurka.

– Proszę. Możesz mi dać element biżuterii albo coś, co ma dla ciebie duże znaczenie?

Podaję mu obrączkę. Jest bezwartościowa, ale lubię ją, bo jest repliką tej, jaką chciałam kiedyś dostać od Nate'a. Reyansh ogląda ją przez jakiś czas na dłoni, a potem zaczyna mówić z taką prędkością, że trudno za nim nadążyć.

Jednak kiedy wychodzę – po godzinie – dociera do mnie powoli główna myśl tego, co powiedział. Czekałam na kogoś bardzo długo i ten mężczyzna rzeczywiście mnie kocha. W głębi duszy nie obchodzi mnie, czy naprawdę to „zobaczył”, czy „poczuł”, ta

myśl daje mi silne poczucie nowej nadziei i optymizmu. Każdemu od czasu do czasu potrzeba doładowania, a ja nie jestem wyjątkowa, nie żałuję więc tych pięciu tysięcy rupii zapłaconych Reyanshowi.

Później spotykam się z pozostałą częścią załogi w miejscowej wegetariańskiej restauracji i próbuję curry z pieczonego kalafiora. Po kolacji zostajemy zaproszeni do pokoju kapitana na drinka, bo w restauracji jest drętwo.

Po kilku piwach wywiązuje się kłótnia między dwiema stewardesami, które orientują się, że spotykają się z tym samym facetem, pokazały sobie zdjęcia swoich chłopaków. Obie chowają się w kącie apartamentu i wydzwanają wściekle do tego faceta – Sebastiana – który jest w Dubaju i ma wyłączony telefon. Wyobrażam sobie, że nie włączy go przez jakiś czas, kiedy odsłucha pełne złości wiadomości głosowe.

Kobieta siedząca obok mnie robi wymowną minę.

– Każdej się wydaje, że jej Sebastian, Tim, Dave, Jane, czy jak go zwał, jest inny – mówi.

Uczucie mdłości, które niemal bez ustanku gości mi w żołądku, jak kula zmieszanych trucizn, ściska mi wnętrzości. Zawsze wiedziałam, że Nate jest narażony na pokusy za każdym razem, kiedy wychodzi do pracy, ale nigdy nie pozwalałam myślom się zagalopować.

– Ale chyba zdarzają się przyzwoici? – pytam. – Chyba wielu członków załogi ma żony i dzieci?

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiała, o czym mówię.

– Tylko mi nie mów, że przyszedłeś do pracy w lotnictwie, żeby wyjść za pilota!

Kręcę głową na znak, że taka myśl w ogóle nie zaświtała mi w głowie.

– Fakt, zdarzają się chlubne wyjątki. Ale to trudne. Posłuchaj mojej rady i umawiaj się z kimś, kto pracuje na ziemi. Oczywiście, to pociąga za sobą inne problemy, bo oni nie zawsze rozumieją, kiedy musisz pracować trzecie Boże Narodzenie z rzędu.

Wyłączam się i skupiam na pozytywnych informacjach, które wcześniej wyjawiał mi Reyansh.

Dookoła mnie rodzi się plan jutrzejszego zwiedzania Tadż Mahal. Nie chcę iść. Nie dość, że to daleko, to na dodatek trudna do zniesienia świadomość, że stoję przed budowlą – dowodem miłości – której wzniesienie zajęło ponad dwadzieścia lat. Bo właśnie tego chcę – żeby Nate tak bardzo mnie kochał.

Powrotny lot jest pełny i pracowity.

W czasie serwowania pierwszego posiłku dziewczynka siedząca na fotelu przy przejściu krztusi się. Odruchowo uderzam ją w plecy i, na szczęście, kawałek chleba wypada jej z przełyku, ale jej płacz mnie denerwuje. Jej matka nadal jest w panice i staram się ją uspokoić, ale chcę zniknąć z tego miejsca. Idę do kuchni po nowy zapas butelek wody i staram się odciąć od ogólnego zamieszania i hałasu w kabinie. Spoglądam z nadzieją na zegarek, ale do lądowania jest jeszcze parę godzin.

Serwis wreszcie kończy się bez dalszych niespodzianek. Siadam na moim fotelu dla załogi, kuchnia została w końcu posprzątana, i popijam czarną kawę.

Wyglądam przez okno na wielką nicość i myślę o tym, jak wiele osiągnęłam, a nie o tym, ile straciłam.

Wizyta u Reyansha pomogła mi przynajmniej przypomnieć sobie, że mam cel. I starać się zachować wiarę, że wszystko dobrze się skończy.

Lądujemy w upalne popołudnie.

Samolot Nate'a z Lusaki ma wylądować za dwie godziny. Sprawdzam. Jest opóźniony o półtorej godziny. Tym lepiej.

Zdejmuję służbowy strój w toalecie na lotnisku i jadę do Richmond. Udaje mi się znaleźć miejsce parkingowe zaledwie dwie przecznice dalej. Mimo upału biegnę tam truchtem. Strój do biegania jest najlepszym letnim przebraniem, bo mam usprawiedliwienie, żeby mieć na sobie coś z kapturem – który w

razie potrzeby mogę szybko naciągnąć na głowę. Podchodzę do drzwi budynku i wpadam na kogoś. To starsza kobieta, której nie znam.

– Przepraszam! – mówi.

– Ja też! Muszę uważniej patrzeć, gdzie idę – mruczę, idąc dalej, i nie odwracam się za siebie.

Mam nadzieję, że to tylko przypadkowy gość któregoś z sąsiadów Nate’a. Siadam na jego sofie i rozmyślam. Katie i Nate kontaktowali się wczoraj przez telefon, więc nie mam pojęcia, o czym rozmawiali. Dwadzieścia trzy minuty za pierwszym razem, siedemnaście za drugim. Później wiadomość od niej do niego, w której potwierdza, że przyjedzie i będzie u niego nocować następnego dnia. To pewnie oznacza, że udało mu się jakoś wybrnąć z sytuacji, czyli potrzeba jej kolejnego bodźca.

Ograniczyłam listę przedmiotów do czterech: opaska na głowę, fioletowa świeca o różanym zapachu, stare zdjęcie i różowa szczoteczka do zębów. Co i gdzie? Więcej niż kilka byłoby podejrzane, ale muszą to być przedmioty, które mógł ktoś kiedyś zostawić, w miejscu, na które Katie spojrzy.

Okazuje się to zadaniem trudniejszym, niż przypuszczałam, ale postanawiam świecę postawić na kominku – jeżeli Nate ją zauważy, mam nadzieję, że pomyśli, że to nowa sprzątaczką znalazła ją w szafce i postanowiła zrobić z niej użytek. Wyglądam szybko przez okno; nie widać, żeby wracał. Opaskę kładę na podłodze tak, by wystawała spod łóżka po przeciwnej stronie niż Nate’a, a potem wyciągam szczoteczkę. Ukrywam ją w szafce z lekami.

Nate ma na lodówce poprzyczepiane rozmaite zdjęcia i dołączam jedno z tych, które zabrałam wieki temu. Stoi przed japońską świątynią, obejmując dwie kobiety. Wygląda na szczęśliwego – to dlatego ukradłam to zdjęcie. Kiedy byliśmy ze sobą, nie cierpiałam świadomości, że ma koleżanki. Z tyłu ktoś napisał: „Dobre czasy XX”. Nie jest to pismo Nate’a.

Sprawdzam stojak z winem. Nie tknął urodzinowej butelki.

Po powrocie do domu postanawiam zaryzykować i zamieszczam prośbę o zamianę na lot do Vegas, oferując mój do San Diego. W ciągu godziny dostaję odpowiedź. Teraz, kiedy mam już potwierdzoną datę ponownego spotkania, muszę się przygotować i zaczynam od Internetu. Ale gdy tylko zaczynam poszukiwania, czuję lekki niepokój. Pewne wyszukiwania zawsze wiążą się z ryzykiem, a nie chcę, żeby później coś mnie prześladowało. Więc się powstrzymuję. Może powinnam gdzieś pójść i skorzystać z publicznego komputera, na przykład w bibliotece, ale mimo wszystko... jeżeli kupię przez Internet to, czego potrzebuję, będzie musiało przyjść pocztą, a to nastrocza inne problemy.

Zastanawiam się, przeglądając swoje konta na portalach społecznościowych i kilka razy wciskam „lubię to” przy przypadkowych postach, aż mój wzrok zawiesza się na wpisie dawnego kolegi z czasów statystowania, Michelego Bianchiego. Nie jest już asystentem weterynarza w serialu telewizyjnym, teraz dostał rolę w chórze znanego przedstawienia na West Endzie. Michele nie miał nic przeciwko łamaniu prawa, kiedy chodziło o narkotyki dla rozrywki czy zakup sprzętu elektronicznego z szemranego źródła. Mógłby mi się teraz przydać.

Piszę do niego prywatną wiadomość, czy chciałby się spotkać na kawie.

Jest online i odpisuje w kilka sekund.

„Świetnie trafiłaś, nudzi mi się w przerwie między próbami. Miło będzie posłuchać, co u Ciebie. Jutro? PS Jestem spłukany, drobna sugestia, więc gdzieś, żeby było tanio i miło”.

Odpowiadam uśmieżkiem, obietnicą ciastka z kawą (ja stawiam) i radosnym „Ciao, Bello! X”.

Miło znów widzieć Michelego. Dostrzegam go, zanim on widzi mnie. Siedzi na stołku przy oknie kawiarni. Macham mu przez szybę, a on odwzajemnia uśmiech, ukazując śnieżnobiałe zęby. Dajemy sobie po buziaku w policzek na powitanie, a on bierze

mnie w swoje przepastne ramiona.

Jest krzepiący, jak starszy brat. To miłe. Nigdy nie było między nami nawet cienia pożądania, zawsze czułam się przy nim... bezpiecznie.

Gawędzi się tak miło, że czekam z moją prośbą, aż wypijemy kawę.

– Czyli coś takiego jak gratisowa kawa z ciastkiem nie istnieją? – mówi, rozkładając ręce. – Po co takiej cudownej kobiecie pigułka gwałtu?

– Nie nazywaj jej tak. Mówiłam ci, pomogła mojej przyjaciółce w trudnych chwilach, ze snem. Jestem załamana. Za-ła-ma-na. Myślałam, że Nick i ja... – Zawieszam głos, jakby zbierało mi się na płacz.

– A nie możesz po prostu załatwić sobie tabletek nasennych, od lekarza, czy jakoś tak? Naprawdę nie wiem.

– Zapłacę za ryzyko. Tylko ten jeden raz. Obiecuję. Moja koleżanka je wychwalała. A ja... jestem w rozpacz.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie zrobisz czegoś głupiego?

– Chcę się tylko wyspać. Ta nowa robota też się na mnie odbija. Serio.

Nie składa żadnych obietnic, ale umawiamy się w tym samym miejscu za dwa dni.

Tej nocy, którą Katie spędza u Nate'a, wykonuję trzy głuche połączenia na jego telefon z zastrzeżonego numeru, zaczynając o północy.

Pierwsze dwa odbiera Nate.

Przy trzeciej próbie włącza się poczta głosowa.

Moje następne spotkanie z Michele okazuje się szczęśliwe – poza kolejnym krótkim pouczeniem – a w następnych dniach wygląda na to, że Katie i Nate przechodzą kryzys.

Jej wiadomości do niego są pełne wymówek i braku zaufania:

„Co kombinujesz? Wygląda na to, że świetnie się bawisz beze mnie”.

Żadnych buziaczków.



On, z kolei, się broni, odpisuje lakonicznie po dłuższej chwili:  
„Nie wróciłem tak późno. Jestem z chłopakami”.

Przestają się do siebie odzywać. Nate nie jest mężczyzną, który się przejmuje niedokończonymi sprawami.

Do wieczora przed moim wylotem do Vegas nie kontaktowali się ze sobą.

Pozwalam sobie na odważną myśl, że to koniec.

Dwie godziny przed wylotem wchodzę do pokoju odpraw i biorę wydrukowany egzemplarz karty odprawy załogi; zapomniałam ściągnąć go sobie w telefonie.

– Witam wszystkich. Przejdziemy od razu do przedstawienia personelu i stanowisk – mówi kierownik załogi. – Niektórzy z was pewnie już ze mną lecieli, ale dla przypomnienia, chciałbym, żebyście mówili mi: Stuart, a nie David, jak wpisano na liście.

Wtrącam, że też posługuję się moim drugim imieniem.

– Omówimy dziś scenariusz ewakuacji w razie pożaru. Juliette, załóżmy, że ty pierwsza zauważasz ogień, co robisz natychmiast?

Przerywa nam wejście kapitana.

– Dzień dobry. Barry Fitzgerald. Może być trochę ostro nad Atlantykiem. Pamiętajcie, żeby być wyjątkowo wyczulonym przy kontroli bezpieczeństwa, bo stopień zagrożenia terrorystycznego został podniesiony z dużego na poważny. Jakies pytania?

Podnoszę rękę.

– Czy w czasie lądowania mogłabym siedzieć w kokpicie?

Zerka na Stuarta/Davida, który wygląda na niezainteresowanego; chodzą plotki, że chce zakończyć karierę. Kiwa głową.

Kapitan znika, a odprawa trwa dalej. Trudno mi się skupić na bezpieczeństwie i pytaniach dotyczących medycyny, bo taka jestem pobudzona, ale zmuszam się, żeby myśleć, i odpowiadam poprawnie.

Byłaby katastrofa, gdybym nie została dopuszczona do lotu z powodu nieznamości podstawowych kwestii.

Samolot cofa się. Świat zewnętrzny kurczy się do rozmiaru pokładu. To świat miniaturowy, zamknięty i wycięty z prawdziwego na najbliższe dziesięć godzin i czterdzieści pięć minut.

Dołączamy do kolejki na pasie i przesuujemy się do przodu. Jestem przypięta pasem do fotela i wyglądam przez okno na pochmurny letni dzień. Zaczyna padać i krople uderzają w szybę. Samolot zakręca i staje przodem do pasa. Bezruch. Ryk silników i zryw mocy. Mój pas przylega mocno do ciała. Żołądek unosi się razem z samolotem. Trzęsiemy się i podskakujemy, przedzierając się przez chmury, aż osiągamy poziom.

Biorę wdech i nastawiam się psychicznie na rolę stewardesy.

Przygotowując wózki, odtwarzam w głowie plan. To ten moment. Dzień, w którym moje życie zacznie się na nowo. Wypycham wózek poza kuchenne kotary.

– Dla pani czerwone czy białe wino do obiadu? – Uśmiecham się.

Zapiekanka z kurczakiem kończy nam się po sześciu pierwszych rzędach. Parę osób twierdzi, że są wegetarianami – siedzą z założonymi rękami i zaciśniętymi wargami, kiedy okazuje się została tylko lazania.

Nie jestem w stanie wykrzesać z siebie standardowego: „Posiłki wegetariańskie trzeba zamawiać z wyprzedzeniem”. Narzekania ciągną się.

– Dlaczego nigdy nie ma wyboru?

– To samo było przy moim ostatnim locie, i przedostatnim.

– W innych liniach lotniczych nigdy tak się nie dzieje.

Usiłuję wytłumaczyć ograniczenia przestrzeni, ale dociera do mnie, że strzępię język. Kucam przy wyjątkowo marudnej parze – z tych, co pewnie kupili bilet w najtańszej taryfie i całe wakacje spędzą na narzekaniu – i mówię konspiracyjnym szeptem:

– W drodze powrotnej proszę nie siadać w środkowej części. Serwis zaczyna się od czterech końcowych części klasy ekonomicznej, więc osobom siedzącym w środku rzadko zostaje wybór.

Oboje promienieją.

– Dziękujemy – odpowiadają szeptem.

Mężczyzna zgadza się na lazanie i przestaje gderać. Kobieta nie chce poddać się tak łatwo i bierze tacę, pod warunkiem że znajdzie dla niej dodatkową bułkę i jakieś przyzwoite wino z pierwszej klasy. Przelewam zawartość małej butelki ekonomicznego czerwonego, na które wcześniej kręciła nosem, do kieliszka klasy biznes i podaję jej go. Wypija łyk i kiwa głową z aprobatą.

Opadam na twarde fotele dla personelu, kiedy obsługa wreszcie się kończy, i dziubię sałatkę z homara, którą wzięłam z kuchni pierwszej klasy, ale trudno mi ją przełknąć.

W czasie serwowania podwieczorku czuję się słaba i senna. Jestem tak blisko. Nie mogę tego schrzanić. Dziela mnie od Nate'a tylko stalowe drzwi do kokpitu.

Podskakuję, kiedy kabinę wypełnia jego głos.

– Panie i panowie, mówi pierwszy oficer, Nathan Goldsmith. Za około pół godziny będziemy lądować w słonecznym Las Vegas, w którym jest trzydzieści osiem stopni Celsjusza. Ale mimo upału w czasie lądowania mogą być odczuwalne lekkie turbulencje z powodu silnego wiatru.

Stoję nieruchomo, usiłując odgradzić się od chaosu na zapleczu, i zamykam oczy, rozkoszując się wspomnieniem jego ramion wokół mnie i jego uśmiechem. Jednak zakrada się też wspomnienie niechciane – jego złości, gdy w pierwszej chwili nie zgodziłam się, żeby się od niego wyprowadzić. I wtedy, kiedy schowałam mu paszport, żeby nie mógł iść do pracy, bo chciałam, żeby ze mną porozmawiał. Ale to było kiedyś, a teraz jest teraz.

Wtedy byłam inną osobą, którą odrzucenie popychało do szaleństwa. Posłuchałam jego prośby i dałam mu przestrzeń. I dlatego powinien mi wybaczyć. Było wiele szczęśliwych chwil. Uwielbiał moje poczucie humoru.

Rozpoczynają się standardowe ogłoszenia poprzedzające lądowanie. Sprawdzam kabinę i przypominam ludziom nieskończoną ilość razy, żeby zapięli pasy. Samolot zaczyna się kołysać i bujać, gdy przebijamy się pod chmury.

– Załoga, proszę zająć miejsca do lądowania.

To ta chwila.

Zjawia się steward, który ma mnie zastąpić. Dziękuję mu i idę do przodu, a potem wchodzę po schodach. Samolot nagle opada. Chwytam mocno poręcz. Silniki wyją. Na górnym pokładzie idę powoli przez korytarz, mijam wszystkich pasażerów klasy biznes, zdenerwowana jak panna młoda. Omal nie krzyczę, kiedy jakaś starsza kobieta chwyta mnie za rękę, gdy koło niej przechodzę.

– Przepraszam – mówi i puszcza mnie. – Nie wie pani, czy te turbulencje będą jeszcze gorsze? Nie lubię latać.

– Wszystko będzie dobrze – mówię i idę dalej.

Staję przed drzwiami kokpitu i macham ręką do kamery. Zapala się zielona lampka. Popycham drzwi, wpadam do środka i zatraskuję je za sobą. Wsuwam się na fotel obok Nate'a. Jest zbyt skupiony, żeby mnie zauważyć, jesteśmy właściwie w końcowym podejściu. Kapitan pokazuje słuchawki. Zakładam je. Słucham kontroli lotów i wpatruję się w kark Nate'a. Widzę włoski na odsłoniętej skórze.

Na zewnątrz wita nas horyzont Vegas. Słysząc alarm zagłuszający nieustanny strumień słów z wieży kontrolnej. Automatyczny głos odlicza.

– Trzy tysiące metrów. Tysiąc pięćset metrów.

Kołysanie i bujanie w kokpicie jest mniej odczuwalne.

– Trzysta metrów. Sto pięćdziesiąt, sto dwadzieścia, sto, pięćdziesiąt, trzydzieści.

Dotykamy ziemi.

Pęcznieję z dumy.

Kiedy wytracamy prędkość, zdejmuję słuchawki, a ryk silników słabnie. Obserwuję, jak Barry i Nate wypełniają procedury i listy.

Gdy zjeżdżamy z pasa, Nate odwraca się z uśmiechem na twarzy.

Odwzajemniam uśmiech.

Zamiera, jakby zobaczył ducha, a potem znów odwraca się do sterów.

Naszym oczom ukazuje się terminal.

– Witamy na Międzynarodowym Lotnisku McCarran.

## 14

Niedawno natknęłam się na słowa: „Ludzie wybaczą, co powiedziałaś, wybaczą, co zrobiłaś, ale nigdy nie wybaczą tego, jak się przez ciebie poczuli”. Chcę, żeby Nate nie czuł się zagrożony, kiedy będzie się oswajał z sytuacją, postanawiam więc się wycofać.

– Dziękuję – mówię i wychodzę, po cichu zamykając za sobą drzwi.

Po sanktuarium kokpitu kabina wydaje się szaleństwem. Przedzieram się przez masę ciał wyciągających bagaże ze schowków nad głowami i pochylających się, żeby zebrać swoje rzeczy, i przeciskam się na dół.

– Przepraszam. Przepraszam – powtarzam, brnąc wśród śmieci: słuchawek, porzuconych zatyczek do uszu, masek na oczy i gazet.

Jestem jak ogłuszona. Myślałam, że poczuję szczęście, radość, błogość, jakieś dziwne emocje. Tymczasem moje emocje są martwe; zmysły oszołomione. Hałas jest stłumiony, poza wyraźnym głosem w mojej głowie.

Skup się. Nie możesz nawalić.

Automatycznie pakuję do torby służbowy fartuch i buty na płaskiej podeszwie. Stoję na brzegu rzędu foteli i sprawdzam, czy schowki są puste, zerkam, czy na fotelach nie zostały pomarańczowe pasy dla dzieci. Znajduję dwa i odnoszę je do wysuwanego schowka za ostatnim rzędem.

Wysiadam razem z kolegami z klasy ekonomicznej. Mijamy automaty do gier umieszczone pod lawiną reklam – hoteli, samochodów na wynajem, klubów, barów, restauracji, ślubów – aż w końcu docieramy do stoiska odprawy dla personelu. Kolejki pasażerów są długie. Zbieranina ludzi, wyglądających na zmęczonych, ale zrezygnowanych, przesuwa się do przodu, w przeróżnych strojach – od letnich sukienek, legginsów trzy

czwarte, czapek bejsbolowych i koszulek po tych ubranych rozważniej w spodnie, z kurtką albo swetrem zarzuconym na ramiona.

Bagaż załogi został rozładowany i stoi obok taśmy bagażowej, ustawiony równo. Biorę walizkę i idę przez odprawę celną, nie patrząc w oczy żadnemu z celników, jakbym nie miała nic do ukrycia, aż drzwi automatyczne się rozsuwają. Ciągnąc walizki za sobą, wchodzę do hali przylotów. Wśród balonów, kwiatów, znaków i innych akcesoriów dzierzonych przez tłum witających, szukam znaku wyjścia.

Uciekam.

Uderza mnie późne popołudnie, które jest dziwnie otrzeźwiający, w głowie mi się rozjaśnia.

Głębokie oddechy. Lekka obawa tworzy dziurę w brzuchu.

Do autobusu dla załogi podchodzę ze spuszczoną głową. Czekam na swoją kolejkę, a kierowca wrzuca bagaże do przyczepy z tyłu. Widzę, że są na niej już trzy walizki. Stoję jak wryta i próbuję wybrać najlepszy czas na to, żeby wsiąść.

Zazwyczaj pierwsi oficerowie siadają przy pierwszych rzędach, bo zwyczaj nakazuje zostawić pierwsze miejsce dla kapitana. Bardzo prawdopodobne, że będę musiała przejść obok niego. Czekam, aż ostatni maruderzy z załogi wyjdą z budynku lotniska i wsiadam do autobusu.

Od razu napotykam wzrok Nate'a. Uśmiecham się i mówię:

– Cześć. – Jakbyśmy widzieli się całkiem niedawno. Idę dalej, na tył, nie czekając, żeby się przekonać, czy odpowiedział na moje powitanie. Siadam obok Aleksa, jednego z chłopaków, z którym pracowałam w ekonomicznej. Ma na nosie okulary do czytania i jest zajęty patrzeniem w telefon, ale mimo wszystko wciągam go w rozmowę. Potrzebuję towarzyskiej podpory.

– Jakie masz plany?

Alex podnosi wzrok, spogląda znad okularów i wzrusza ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Siłka. Basen. Bar. Jak zwykle.

– Jestem tu pierwszy raz. Jakież wskazówki?

Uśmiecha się.

- Mnóstwo. Jeżeli zejdiesz później na drinka, zabiorę cię do niesamowitego klubu. Możemy zobaczyć, czy będą jeszcze jacyś chętni, bo trzeba zarezerwować stół. Możesz też pójść na koncert, ale bilety są dość drogie.

- Dziękuję.

Znów spogląda na telefon.

Ja też wyciągam swój, ale wcześniej zerkam ukradkiem na Nate'a. Patrzy przed siebie i z nikim nie rozmawia.

Podróż jest krótka - zbyt krótka - przetykam z trudem ślinę, wysiadając z autobusu. Ale jestem skupiona, wyciągam walizkę na kółkach, portierzy pospiesznie ładują bagaże na wózki, w sposób oczywisty starając się rozładować tłok przy wejściu. Trzymam się z tyłu, udaję, że jestem zajęta wiadomością w telefonie, gdy załoga i pilot odbierają klucze do swoich pokoi. Turyści w wakacyjnych mundurkach składających się z koszulki ozdobionej różnymi sloganami spacerują po lobby, razem z przebywającymi służbowo, bardziej oficjalnie ubranymi ludźmi i obsługą hotelową w uniformach. Mam wrażenie, że czuję na sobie wzrok Nate'a, ale nie jest chyba dobrym pomysłem sprawdzać to.

Alex podchodzi do mnie, żeby podać mi numer swojego pokoju, parę innych osób zbiera się przy nas, umawiamy się na szóstą miejscowego czasu jutro.

- Muszę wcześniej zarezerwować bilety do klubu. Właśnie sprawdziłem i gdzieś jest reklamowany jako „wschodząca wielka gwiazda”. - Wykonuje w powietrzu gest cudzysłowu. - Więc to będzie naprawdę oblegana noc.

- Kupię dwa bilety - mówię. - Moja koleżanka przylatuje jutrzejszym lotem.

Dzięki temu będę miała bilet dla Nate'a, jeżeli uda mi się go namówić. Robię krok naprzód, żeby odebrać klucz do pokoju, i szybko rozglądam się dookoła. Ścisła mnie w żołądku pod wpływem rozczarowania - jestem ostatnią osobą z załogi w recepcji.

Nate zdezerterował.

- Czy mogłabym wypłacić dwieście dolarów z mojego

służbowego rachunku? – pytam recepcjonistkę.

Byłam tak pochłonięta przygotowaniami do lotu, że zapomniałam o przyziemnych praktycznych sprawach, takich jak wymiana waluty po przyzwoitym kursie.

– Oczywiście.

Odlicza je dla mnie, wkłada do koperty i podaje z przyjacielskim uśmiechem.

Kieruję się do windy i wciskam strzałkę „do góry”, cały czas licząc skrycie na to, że pojawi się Nate.

Kilka sekund po wejściu do pokoju, słyszę głośne pukanie do drzwi. Otwieram je. Portier.

– Walizka pani Price – mówi i mija mnie. Jedną ręką podnosi i rozkłada przenośny stojak na bagaż, drugą kładzie na nim moją walizkę. Wyciągam z torebki portfel i podaję mu kilka dolarowych banknotów.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Przyjemnego pobytu.

Podchodzę do okna, rozsuwam firanki i opieram czoło o szybę. Hotel jest oddalony od stripu, a mój pokój znajduje się na tyłach. Poniżej jest masa budynków, ulic, znaków – zwyczajne miasto. Tłumię ziewnięcie, choć czuję się zbyt nabuzowana, żeby odczuwać prawdziwe zmęczenie. Mam wrażenie, że jestem oderwana od rzeczywistości, jak we śnie. Odwracam się i bez przekonania zabieram do rozpakowywania.

Walizka jest wyjątkowo pełna. Zwykle wylatuję z pustą i wracam z pełną. Starannie wieszam ubrania, zwłaszcza sukienki. Przykładam do siebie jedną wyjątkową i przyglądam się sobie w lustrze w nadziei, że ciągle mi się podoba i że nie wygląda tu inaczej. Uśmiecham się. Dalej jest idealna. Ma jedwabną podszewkę z naszytą koronką, jest chabrowa, sięga lekko nad kolano. Była droższa niż jakakolwiek inna moja sukienka. Uwielbiam ją. Dekolt jest głęboki, mogę więc założyć prosty łańcuszek.

Postanawiam wziąć prysznic, żeby oprzytomnieć. Kiedy poczuję się odświeżona, wymyślę najlepszy sposób zbliżenia się do Nate'a. Pewnie tej nocy nie pójdzie szybko spać, wiem, że jest



zwolennikiem trzymania się miejscowego czasu. Z rozmów z innymi członkami załogi wiem, że wiele osób jest tego samego zdania. Ja nie widzę w tym sensu. Nie mam nic przeciwko temu, żeby siedzieć długo w nocy albo wstać wcześniej rano, zawsze umiem znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Wchodzę do wanny, zaciągam plastikową zasłonę przy uchwycie z baterią prysznica. To nowo nabyta umiejętność życiowa, odkrywanie, jak dobrać odpowiednią temperaturę wody w hotelach, kiedy temperatura skacze od wrzątku do lodowatej. Wcieram szampon we włosy, żeby usunąć lepki lakier i zapach pokładowej kuchni, i próbuję przemienić wcześniejszy brak reakcji Nate'a na coś przyjemniejszego. Głośny, staroświecki dźwięk telefonu wyrywa mnie z rozmyślań. Wyciągam rękę przez szparę pomiędzy ścianą a zasłoną prysznica, podnoszę słuchawkę ze ściany, odsuwam głowę i rękę od strumienia wody. Oczywiście od szamponu, mrużę je z całej siły.

- Halo?

Cisza.

- Halo?

Wolną ręką macam w poszukiwaniu kurków, wyłączam kaskadę wody i klepię ścianę, aż trafiam na metalową poręcz. Wyczuwam miękkie ręcznik i zrywam go z wieszaka. Wycieram oczy.

- Elizabeth? Lily?

Fala radości.

- Nate?

- Co tu się dzieje? Mało nie dostałem zawału!

Uśmieciam się. Nie słyhać, żeby był wściekły.

- Przepraszam. Nie chciałam. Na odprawie poprosiłam kapitana, czy mogłabym wejść do kokpitu na lądowanie. Dowiedziałam się, że pilotujesz dopiero wtedy, gdy usłyszałam twój głos w komunikacie dla pasażerów. - Drzę. - Poczekaj chwilę, muszę wyjść spod prysznica. - Wydostaję się niezdarne i siadam na brzegu wanny, dziwacznie owinięta ręcznikiem, ciągle ściskając staroświecką słuchawkę. Szczypanie w oczach ustępuje.

- Posłuchałam twojej rady, kiedy się rozstawaliśmy, i

postanowiłam zacząć od nowa. Spróbować czegoś nowego. Ale wiesz, co?

– Co?

– Inne linie – trzy – odrzuciły mnie!

– Poważnie?

– Poważnie. W ostatniej usłyszałam, że jestem zbyt entuzjastyczna. Jak stewardesa może być zbyt entuzjastyczna?

Śmieje się.

Czysta ulga zalewa moje ciało, pojawia się nowa nadzieja.

– Ale żarty żartami – mówię dalej. – Myślałam o tobie. Chciałam ci to powiedzieć, ale chciałam ci też dać przestrzeń. Nie musisz czuć się zobowiązany spotkać się ze mną w stołówce na kawie czy coś takiego, tylko dlatego, że teraz pracujemy razem.

– Aha. – Brzmi, jakby przepuszczał emocje przez filtr. – Od jak dawna dla nas pracujesz?

Uśmiecham się. Moja odpowiedź jest dowodem, że jak najbardziej jestem w stanie dać mu tę jego cenną przestrzeń.

– Siedem miesięcy.

– Ooo. – Cisza. – Wybierasz się do baru?

– Nie, nie dzisiaj. Może jutro. Przepraszam jeszcze raz, jeżeli cię wystraszyłam, ale mam nadzieję, że będzie okazja pogadać. Muszę lecieć, mój chłopak zaraz będzie do mnie dzwonił na Skypie.

– Aha, tak, jasne. To nie przeszkadza.

Odwieszam słuchawkę i wyciągam z radości rękę w geście zwycięstwa. Zakładam się, że tego się nie spodziewał. Nie, pewnie sobie wyobrażał, że będę klęczeć pod jego drzwiami i rozpaczliwie błagać o okrucz uwagi. Wchodzę z powrotem pod prysznic i splukuję szampon.

Siedemdziesiąt dwie godziny, to wszystko, co mam.

Później owijam się hotelowym szlafrokiem. Jest raczej szorstki, nie miękki, ale spełnia swoją funkcję.

Wyłączam klimatyzację i siadam przy biurku. Otwieram hotelowy folder informacyjny i wyciągam z okładki dwa arkusze papieru. Bazgrzę.

*Elizabeth Goldsmith, Juliette Goldsmith, Elizabeth Juliette Goldsmith, Mrs E.J. Goldsmith.*

*Miss Price, Miss Elizabeth Juliette Price.*

Kiedy postanawiam zadzwonić do spa i umówić się na kilka zabiegów – włącznie z pedikiurem i manikiurem – na jutrzejsze popołudnie, włosy mam już prawie suche. Dosuszam je podmuchem z suszarki, a potem pozwalam sobie na luksus łóżka.

Zasypiając, czuję, jak ogarnia mnie błoga amnezja, poddaję się jej.

Moje szczęście zakłóca hałas. To Amelia. Jej zdania nie mają sensu, ale wychwytyuję pojedyncze słowa, takie jak: odpowiedzialność. Jakbym przeskoczyła na inną chmurę, pojawia się w innej scenie. Will i ja jesteśmy w starym parku w miasteczku, z jedną zjeżdżalnią, dwiema czerwonymi huśtawkami dla małych dzieci i drabinkami, które rozpaczliwie potrzebują świeżej farby w żywym, podstawowym kolorze, jak słoneczna żółć. Huśtam go na huśtawce, a on to się boi, to znów każe mi bujać mocniej.

W oddali, ponad ogrodzeniem, widzę wzgórze otaczające przedmieścia. Wiem, że nieco dalej jest wybrzeże. Krzyk przywołuje mnie z powrotem do parku. Will spadł. Nie wiem jak; ale coś mnie rozproszyło. Oba kolana na pozdierane. Amelia będzie wściekła.

Bella wbiega do parku w stroju pielęgniarki, wymachując apteczką z plastrami. Fala poczucia krzywdy wzbiera. Mówi mi, że powinnam go była ochronić. Za nią widzę rzekę. Wpycham ją do niej i przyglądam się, jak stado zdezorientowanych łabędzi pod pływa do jej unoszącego się ciała.

Budzę się przestraszona. W pokoju jest ciemno. Sięgam po światło telefonu, a William, Amelia i Bella rozplływają się w niebycie. Sprawdzam, która godzina. Wpół do piątej.

Wpół do piątej gdzie? Jakiego czasu? W jakim kraju?

Zamykam oczy. Park wydaje mi się realny. Włączam lampkę nocną i sięgam po butelkę wody. Piję wielkimi łykami. Krople spływają na górę piżamy. Kończyny mam ciężkie, ale zmuszam

się, żeby wstać, opierając się chęci powrotu do parku we śnie, gdzie problemy – te prawdziwe – jeszcze nie istniały.

Zamawiam posiłek do pokoju – omlet i dzbanek mocnej kawy – a potem postanawiam pójść popływać.

Na basenie jest spokojnie, jedynie para starszych ludzi przepływa powoli basen. Zanurzam się i czuję, jak zapach chemikaliów uderza mi do nosa, kiedy poruszam rękami i ciągnę za nimi ciało. Wynurzam się, żeby nabrać powietrza, a potem znów nurkuję pod powierzchnię. Dawno nie narzucałam sobie takiego wysiłku, aż w końcu podciągam się na brzeg. Opuszczam stopy do wody i zamykam oczy, drżę lekko, kiedy w myślach ćwiczę najbliższe dni.

Grunt, żebym to dobrze rozegrała.

Po powrocie do pokoju zmuszam się, żeby odpocząć – energia będzie mi potrzebna – leżę w łóżku przy włączonej telewizji. Zapadam w drzemkę i budzę się przy dźwięku policyjnych samochodów, śmiechu i reklam. Słowa i odgłosy mieszają się w mojej świadomości, splatając rzeczywistość i fikcję.

Kiedy dzwoni budzik, siadam chora i skołowana.

Nawet po wzięciu prysznic nie czuję się przytomna, ale zmuszam się, żeby podnieść pokrywę laptopa i wziąć się do pracy, zaktualizować plany i sprawdzić, czy o niczym nie zapomniałam. Nie chcę kusić losu, ale nie da się uciec od faktu, że pewne sprawy wymagają przygotowania, że nie wszystko może być spontaniczne i naturalne.

Zadowolona, że zrobiłam wszystko, co mogłam, zaszywam się w spa. Przyjmuję propozycję ziołowej herbaty, a ciepło imbiru i cynamonu działa na mnie kojąco. Po paznokciach i zabiegu na twarz siadam w salonie fryzjerskim i staram się nie wiercić, gdy nakładają mi makijaż i suszą włosy. Proszę stylistkę, żeby podkręciła je na końcach, tak jak lubi Nate.

Wsuwam kartę do czytnika i wchodzę do mojego pokoju, serce zaczyna mi szybciej bić z nadzieją, kiedy dostrzegam czerwoną lampkę wiadomości, migoczącą na telefonie na biurku. Podnoszę słuchawkę, wciskam „siedem” – jak polecił automatyczny głos – i odsłuchuję wiadomość, ale nie jest to głos Nate’a.

To Alex.

– Cześć, chciałem ci tylko dać znać, że spotykamy się trochę później. Koło siódmej.

Mam dodatkową godzinę, którą muszę zapełnić.

Ubieram się. Nie w moją nową ulubioną sukienkę, ale w prostą czarną. Ona też jest przed kolano, ale luźna. To taka sukienka, w której możesz być wystrojona albo zwyczajna, elegancka albo swobodna. Przekładam przez głowę łańcuszek ze srebrnym wisiorkiem w kształcie serca, który łąduje na środku piersi. Wsuwam stopy w bladofioletowe szpilki bez palców. Cofam się i przeglądam w lustrze. Stylistka się spisała. Wsuwam ręce w gładki czarny sweter i biorę telefon.

– Czy mogę prosić o numer pokoju Nathana Goldsmitha?

– Sprawdzę na liście załogi – odzywa się męski głos. – Mam panią połączyć?

– Nie, dziękuję, poproszę tylko numer pokoju.

– Siedemset osiemdziesiąt dwa.

Odkładam słuchawkę i ostatni raz spoglądam na swoje odbicie, a potem chwytam kopertówkę i wychodzę.

Drzwi zamykają się za mną cicho, gdy idę po wyłożonym dywanem korytarzu. Dzwonek windy brzęczy, drzwi otwierają się, trzęsąc. Wchodzę i wciskam siódme piętro. Mam sucho w ustach, opieram się pragnieniu, żeby zawrócić.

Zatrzymuję się przed pokojem 782 i słucham. Słyszę daleki śmiech w telewizji.

Biorę głęboki oddech i pukam.

Odgłos czegoś stawianego na twardej powierzchni. Drzwi się otwierają i Nate, w dżinsach i granatowej koszulce, patrzy na mnie.

– Cześć.

– Cześć. Mogę na chwilę wejść?

Cofa się, żeby mnie wpuścić.

– Tak, jasne, proszę.

– Wszyscy w pracy znają mnie jako Juliette – mówię, mijając go.  
– To moje drugie imię.

– Juliette? – Milknie, jakby przetwarzał informację.

Odwracam krzesło przy biurku przodem do pokoju i siadam. Łóżko wydaje się zbyt znajome, zbyt intymne. Chcę, żeby czuł się bezpiecznie; żeby miał stuprocentową pewność, że może mi ufać, teraz, kiedy udowodniłam, że moje uczucia do niego wyparowały.

– Alex, chłopak, z którym pracuję, właśnie zadzwonił powiedzieć, że spotykają się później, więc mam chwilę czasu. Pomyślałam, że wpadnę pogadać – tak uczciwie – skoro już znaleźliśmy się w tej sytuacji.

– Świetny pomysł – mówi i siada na łóżku naprzeciwko mnie. – Coś do picia? Mam wino.

– Poproszę, dzięki.

Przyglądam się, kiedy wyciąga dwie miniaturowe butelki czerwonego wina. Odwracam się i sięgam po szklanki z tacy przy czajniku. Zdejmuję plastikowe opakowania i odwracam je w odpowiednią stronę. Nate nalewa. Ręka mu lekko drży.

– Zdrowie! – mówimy jednocześnie i unosimy szklanki, a potem on znowu siada naprzeciwko mnie.

Wypijam łyk. Mam pustkę w głowie.

– Nie spodziewałem się, że spotkam cię w Vegas.

Śmieję się.

– Wiem. To wszystko wydaje się trochę nieprawdopodobne. Co u ciebie?

– Bez zmian. Wyjazd, dom, znowu wyjazd.

Uśmiecham się.

– Tak w ogóle, to miałaś rację co do Reading. Mam świetnych sąsiadów, dużo razem wychodzimy. Właściwie dzięki tobie poznałam mojego nowego faceta, mieszka dwa domy dalej. Nie mogłam sobie poradzić z wi-fi i on zaproponował, że mi pomoże. Ale to świeża sprawa... – Milknę. – Przepraszam, trajkoczę, jestem zdenerwowana. – Wypijam łyk wina; ma gorzki smak.

– Nie, nie ma za co. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. To dobrze.

– Dzięki. – Zerkam za zegarek. – Zaraz muszę schodzić do baru. Alex zna jakiś świetny klub na wieczór.

– Jakies plany na pobyt?

– Nigdy tu nie byłam, więc jest mnóstwo rzeczy. Dziś sobie odpuściłam, byłam taka zmęczona. Teraz rozumiem, jak się czułeś. Zwłaszcza gdy wracałeś po locie do domu, a tam ja. Nic dziwnego, że mnie spławiłeś do Reading – pewnie potrzebowałeś ciszy i spokoju.

Porusza się skrępowany.

– Niezupełnie tak było.

Uśmiecham się.

– Żartuję. Ale skoro już na siebie wpadliśmy, możesz mi postawić kawę, jeśli jeszcze kiedyś się na siebie napatoczmy.

– Oczywiście.

– Przepraszam – mówię. – Za wszystko. To było za wiele, za szybko. Miałaś rację. Po prostu tak nam się dobrze układało, że straciłam zdrowy rozsądek.

– Było dobrze – przyznaje. – Na ogół.

Raczej nie może powiedzieć nic innego. Nie można się kłócić z faktami. I to ja nawałam. Za mocno wciskałam przyspieszenie w związek, nie zdając sobie sprawy z tego, że od czasu do czasu trzeba wrzucić na luz. Teraz doskonale o tym wiem.

– Miałaś rację, żeby się wycofać. Dzięki za wino. – Odstawiam szklanę. Jest prawie pełna, ale nie jestem w stanie wypić więcej.

– Idę do reszty. Macie jakieś plany?

– Barry ma tu rodzinę, więc nie, a drugi pierwszy oficer wstaje jutro wcześniej rano na wycieczkę do Wielkiego Kanionu.

– Chodź z nami, jak masz ochotę – proponuję.

– Miałem zamiar zejść później do baru.

– To może zobaczymy się później – mówię, wstając. – Jeżeli nie, widzimy się na zbiórce.

– Właściwie... – odzywa się. – Może i zszedłbym teraz z tobą, ale muszę się szybko przebrać. Zwłaszcza że potem mamy gdzieś iść. Wyglądasz elegancko.

Wzruszam ramionami.

– Nie przesadzaj. Trudno wyczuć, w co się ubrać. Na dworze jest strasznie gorąco, a w pomieszczeniach koszmarne zimno przy włączonej klimatyzacji.

– Zmieniłaś fryzurę – mówi. – Ładnie ci.

Serce mi przyspiesza. Teraz, kiedy wydają się nieosiągalna, wyłania się dawny Nate. Zdejmuje koszulkę i wyciąga z walizki bardziej elegancką. Udaję, że nie patrzę, ale widzę w lustrze jego odbicie.

Idziemy obok siebie korytarzem. Bez problemu mogłabym wsunąć dłoń w jego dłoń albo objąć go, ale patrzę przed siebie. Kiedy zjawia się winda, jest prawie pełna, i jesteśmy zmuszeni rozdzielić się i wcisnąć między holenderskich turystów a rodzinę z trzema chłopcami. Wytrzymujemy, wysiadamy i idziemy do baru.

Wchodzimy i od razu oszałamia mnie światło i hałas. Nie da się uciec przed automatami do gry. Mrużę oczy i od razu dostrzegam Aleksa z kilkoma innymi osobami, co nie zawsze jest proste, biorąc pod uwagę, że mężczyźni po zdjęciu uniformu wyglądają jakoś inaczej. Widzę puste miejsce obok niego i zamawiam u kelnerki wodę gazowaną.

Skupiam się na Aleksie. Nate rozmawia ze stewardesą z górnego pokładu, Joanną.

Alex i ja angażujemy się w ogólną rozmowę, która dotyczy niepochwalnych gruntownych zmian w schemacie serwisu pokładowego, wymyślonych przez pracowników biura, którzy



nigdy nie obsługiwali ludzi w zamkniętym pomieszczeniu. Udaję, że w niej uczestniczę, kiwam głową i zgadzam się z niektórymi uwagami, ale usiłuję podsłuchiwać Nate'a.

– Co z tym klubem? – mówię do Aleksa. – Znudziło mnie gadanie o pracy.

– Masz ochotę najpierw coś zjeść? W tym samym hotelu co klub jest wietnamska restauracja, która serwuje fantastyczny makaron.

– Super. Aha, możesz komuś odstąpić mój wolny bilet. Moja koleżanka jednak nie przyleciała, spóźniła się do pracy i wysłano ją do Hongkongu.

Idę do łazienki, a Alex i reszta grupy zajmują się logistyką. Nie chcę przypadkiem wysłać Nate'owi podświadomych sygnałów tego, jak desperacko pragnę, żeby się do nas przyłączył – mam nadzieję, że Alex zaproponuje mu mój „wolny” bilet, żebym ja nie musiała tego robić. Kiedy wracam, grupa kieruje się do lobby, a Alex z portierem organizują taksówki. Przechodzimy przez obrotowe drzwi, trzymam się z tyłu, cztery osoby wsiadają do pierwszej taksówki, a ja, Alex, Nate i Joanna zostajemy. Podjeżdża druga.

– Mogłabym usiąść z przodu? – pyta Joanna. – Mam straszną chorobę lokomocyjną.

Zgadzamy się. Nate podchodzi do taksówki i otwiera tylne drzwi, ja wsuwam się na środek, Alex siada po mojej lewej stronie. Jestem wciśnięta między nich dwóch i czuję udo Nate'a na moim.

Ledwie mogę oddychać.

Wjeżdżamy na strip i moje zmysły doznają jeszcze większego oszołomienia od samego natężenia ruchu, świateł i neonów. Kiedy przejeżdżamy obok podświetlonych fontann Bellagio, korci mnie, żeby chwycić Nate'a za rękę. Może by nawet nie zaprotestował; wygląda przez okno, jest swobodny. Odwracam się do Aleksa, gdy nasz kierowca wyprzedza wielką czarną ciężarówkę, która mści się trąbieniem.

– Wygląda na to, że za zabawę trzeba zapłacić – mówię, wskazując billboardy z reklamami prawników zajmujących się

szkodami na zdrowiu i kaucjami. Staram się zignorować lekki niepokój, kiedy przypominam sobie pigułki schowane w buteleczce po witaminach, zdobyte dzięki uprzejmości Michelego Bianchiego.

- Domyślam się.

Podjeżdżamy pod inny hotel, bardzo podobny do naszego. Pozostała część grupy wysiadła już z taksówki i czeka przed schodami. Nate, ja, Alex i Joanna szukamy dolarów, ale taksówkarzowi płaci Alex.

- Postawicie mi później drinka - mówi, zbywając propozycje zwrotu gotówki.

Kiedy zostajemy zaprowadzeni do naszego stolika, siadam obok Aleksa i pytam go o radę przy wyborze dań. Nate siedzi naprzeciwko. Zamawiamy piwo i wszyscy słuchamy kelnera, który recytuje listę dań specjalnych. Jesteśmy grupą, wybieramy więc na przystawkę letnie roladki, a ja zamawiam kokosowe curry z tofu. Słyszę, jak Nate wybiera pikantną zupę z makaronem. Alex zaczyna opowiadać, jak to ostatni raz był w tym klubie. Jedna z dziewczyn z jego załogi upiła się tak, że chodziła i prosiła nieznajomych, żeby ktoś się z nią ożenił. Została odprowadzona do hotelu przez szefa załogi, bo ochrona zagroziła, że wyrzuci całą grupę.

To daje początek ożywionej rozmowie z podobnymi wątkami, z których jeden jest gorszy od drugiego. Nikt się nie przyznaje, że był głównym bohaterem którejś z tych historii, a ich wspólnym mianownikiem jest to, że przewijają się w nich spore ilości alkoholu, zmęczenie spowodowane różnicą czasu albo chęć zabawienia się z daleka od domu.

Problem z tym zawodem jest taki - choć większość załogi po cichu to kocha, dla większości było to marzenie dzieciństwa i są przyzwyczajeni do tymczasowości związanej tą pracą - że wiąże się z nim samotność. Byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że choć samobójstwa są rzadkie, jednak się zdarzają. I zwykle mają miejsce w trasie, gdy problemy mogą wydawać się większe, z dala od przyjaciół i rodziny. Rozglądałam się wokół stołu - wszyscy wyglądają na swobodnych, śmieją się, piją, jedzą,

rozmawiają. Osoba patrząca z boku mogłaby nas wziąć za paczkę turystów. Ale poza Nate'em, oczywiście, nie znam tych ludzi. Poznałam ich zaledwie trzydzieści sześć godzin temu i możliwe, że niektórych, a może i wszystkich, nigdy więcej nie zobaczę. Mimo wyjawionych tajemnic, dzielenia się doświadczeniami większość tych ulotnych więzi przestanie istnieć, kiedy koła samolotu dotkną pasa na Heathrow.

Z suchych mejli i biuletynów wysyłanych z „biura” przebija ogólne wrażenie, że załoga „ma fajnie”. W jednym tygodniu Rio, w następnym Sidney. Z pozoru to idylla. Ale choć przemieszczanie członków załogi po świecie jak pionków wydaje się rzeczą dość prostą, w czasie każdej podróży wysłuchuję narzekań. Załoga ma takie same problemy jak każdy, okraszone niepokojem z powodu rosnącego zagrożenia terroryzmem. Słyszałam też, że częstym problemem kobiet jest bezpłodność. Krąży też miejska legenda o tym, że piloci pładzą głównie dziewczynki.

Spoglądam na Nate'a.

Dostrzega mój wzrok i uśmiecha się. Uśmiech pojawia się w jego oczach, ma zmarszczki w kącikach.

Odkładam widelec. Nie jestem w stanie przełknąć kolejnego kęsa. Wyciągam z torebki telefon, sprawdzam i uśmiecham się do wymyślonej wiadomości.

– Przepraszam – mówię do siedzących przy stole i wychodzę na zewnątrz.

Jest upał, ale muszę odetchnąć od własnych emocji. Przez kilka minut staram się uspokoić myśli i uczucia.

Klub jest nie z tego świata. Niemal dosłownie. Nie mogę znaleźć innego słowa, żeby go opisać. Wydaje się, że w tej chwili wszystko inne przestaje istnieć. Obiecującego didżeja prawie nie widać – ciemny cień w słuchawkach nad tłumami, jakby wyniesiono go do godności boga. Jego wielbiciiele podnoszą ręce i tańczą w ledowych światłach. Muzyka pulsuje mi w ciele.

– Przyniosę ci drinka! – krzyczę Aleksowi do ucha. – Na co masz

ochotę?!

– Poproszę kieliszek wódki! – odpowiada krzykiem.

Tłoczmy się przy barze, otoczeni tancerzami na podium. Ich kostiumy wirują, połyskując złotem, srebrem i czernią. Kupuję kolejkę wódki, wszyscy odliczamy, żeby wypić ją jednocześnie, a mnie przez myśl przemykają słowa Alana z pierwszego lotu do Los Angeles – o tym, że niedługo przywyknę do alkoholu. Alkohol jest kolejnym problemem załogi.

Przypomina mi się historia, którą usłyszałam wcześniej przy stole – o chłopaku, który został przyłapany i wyrzucony z pracy za to, że nie oddawał pieniędzy zebranych na cele dobroczynne pod koniec każdego lotu. Został oskarżony o kradzież – przywłaszczył sobie tysiące, także przez oszustwa na sprzedaży produktów bezcłowych – i pierwsze plotki mówiły o tym, że sporo pije. Ale w czasie procesu okazało się, że jego syn był dręczony w szkole przez to, że cierpiał na lekki autyzm, i ojciec rozpaczliwie chciał go przenieść do szkoły prywatnej. Ten przynajmniej próbował pomóc dziecku. Wątpię, by bywał w miejscach takich jak to. Zakładam się, że siedział w swoim pokoju i jadł przywiezione ze sobą tanie kanapki.

– Chodźmy zatańczyć. – Alex chwytą mnie za rękę i wtapiamy się w tłum na głównym parkiecie.

Jestem świadoma innych ludzi przy nas – w tym Nate’a – ale po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna jestem taka szczęśliwa, że nie kontroluję bez przerwy swoich zachowań i myśli tylko po to, by zrobić dobre wrażenie na Nacie.

Kiedy zerkam, która godzina, dziwię się, że już po pierwszej, to znaczy, że w kraju jest po dziewiątej. Wymykam się na taras. Upał zelżał odrobinę. Wpatruję się w oświetlony horyzont i zastanawiam się, ilu ludzi przeżywa najlepszy czas w swoim życiu, a ilu zmaga się ze złamanym sercem czy rozczarowaniem. Drzę. Chyba ogarnia mnie zmęczenie.

– Niesamowite, co? – To głos Nate’a.

Pojawia się przy mnie.

– Byłeś tu wcześniej? – pytam.

– Nie, tutaj nie. To twój chłopak do ciebie pisał?

Wlepiam wzrok w wysoki budynek naprzeciwko, okolony różowymi światłami.

– Tak, tęskni za mną. – Odwracam się do niego. – A w twoim życiu nie ma nikogo szczególnego?

– No, nie. Był ktoś niedawno. Też jest pilotką, ale nam nie wyszło.

– Przykro mi to słyszeć. – Chwytam go za rękę, kiedy zza drzwi dobiega piosenka, którą znam. – Uwielbiam ten kawałek. Wracajmy.

Tańczymy cały utwór. Nate wydaje się spokojny. Ja jestem ostrożnie szczęśliwa. Zastanawiam się, czy to jedna z tych wyjątkowych chwil w moim życiu. Z tych, kiedy patrząc za siebie, będę wspominać, jak było miło. Chciałabym, żeby te szczególne chwile w życiu mogły być jakoś z góry oznaczone, żebym wiedziała z wyprzedzeniem. Zawsze, kiedy wspominam dawne chwile z Nate'em, żałuję, że nie cieszyłam się bardziej i niepotrzebnie zamartwiałam się przyziemnymi rzeczami, na przykład, co ugotować albo czy jego samolot się rozbije i zostanę wdową, jeszcze zanim zdążymy się pobrać. Tak bardzo marzyłam o stabilizacji, że się nie cieszyłam.

Znam teraz odpowiedź – jeżeli wzbudzę w nim większe poczucie bezpieczeństwa i pewności, nasz związek szybko przejdzie na wyższy poziom. Całe to rozmyślanie uświadamia mi, że to idealny moment, żeby zniknąć.

Jak Kopciuszek, muszę go zostawić z pragnieniem czegoś więcej.

– Ja będę już chyba wracać – mówię mu do ucha. – Pożegnaj ode mnie resztę. Matt będzie do mnie niedługo dzwonił.

– Wyjdę z tobą, złapię ci taksówkę.

– Nie trzeba, poradzę sobie. Baw się dobrze – obstawę przy swoim.

Tego właśnie chcę. Myśli, że mnie nie chce, ale udowadnia, że jest inaczej. To ja mam mu pomóc zrozumieć jego uczucia, żeby przerwać tę całą plątaninę sprzecznych sygnałów. Zostawienie go jest jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłam, ale nie mam wyjścia.

Tym razem decyduję się na to w imię sukcesu.

Śpię zaledwie kilka godzin, taka jestem niespokojna. Leżę w łóżku i odtwarzam każdą chwilę tego wieczoru. Rozmyślam nad każdym gestem, każdym zdaniem, każdym słowem. I za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku: Nate jest gotowy, żeby zrobić z niego z powrotem mężczyznę, jakiego znałam.

Zamieścił kilka zdjęć z widokiem z tarasu w klubie, dwadzieścia minut po moim wyjściu. Połączenie z Internetem w moim pokoju jest naprawdę powolne, frustruje mnie to, zwłaszcza że nie mam dostępu do mojej szpiegowskiej aplikacji. Choć ogólny plan grupy jest taki, żeby znów spotkać się jutro wieczorem w barze, muszę zobaczyć się z Nate'em wcześniej. Sama. Ponieważ nie jestem w stanie ustalić niczego konkretnego, najpewniejsza jest siłownia. Na bieganie jest stanowczo za gorąco.

Późnym rankiem idę na siłownię. W rogu jest mała kawiarnia, co oznacza, że mogę siedzieć i patrzeć, nie musząc godzinami udawać, że ćwiczę. Dwie kawy później nadal tkwię na swoim krześle. Przeczytałam miejscową gazetę i znudziłam się sprawdzaniem, czy szpiegowska aplikacja działa, ale nie działa. Podnoszę słuchawkę stacjonarnego telefonu i wybieram numer pokoju Nate'a. Rozłączę się, jeżeli odbierze. Przynajmniej go obudzę.

Dzwoni. I dzwoni. Cholera. Wyszedł.

Czekam kolejne dziesięć minut, na wypadek gdyby szedł tutaj. Zastanawiam się, czy aż tak głęboko śpi, że nie usłyszał telefonu. A może – ścisza mnie w sercu na samą myśl – może w ogóle nie wrócił do siebie? Może teraz, w tej właśnie chwili, jest w czymś łóżku. Joanny? Wstaję, być może zbyt gwałtownie, bo mężczyzna pijący smoothie przy stoliku obok dziwnie na mnie spogląda.

Wracam do pokoju i zaglądam na Facebook. Nic. Szpiegowska aplikacja nadal odmawia współpracy. Możliwe, że Nate poszedł

popływać. Nie jest to jego ulubiona rozrywka, ale może przy kacu uznał, że lepsze to, niż w ogóle sobie odpuścić.

Wkładam kostium, strój z siłowni zastępuję sukienką, biorę torebkę i schodzę na dół. Przez szybę zaglądam na basen. Parę osób pływa, kilkoro dzieci pluszcze się w płytkiej wodzie, ale nikt nie przypomina Nate'a. Gdy się odwracam, dostrzegam go. Ma czarne slipki i idzie w stronę jacuzzi na końcu basenu.

Wpadam do przebieralni i przebieram się najszybciej, jak można, zamykam rzeczy w szafce i przekręcam kluczyk. Wychodzę na basen, uderza mnie zapach chloru i chemicznych środków do mycia podłogi. Stoję, wahając się, ale widzę, że jacuzzi jest puste. W basenie też Nate'a nie ma. Jasna dupa, musiałam się pomylić. Stoję, nagle niepewna, co robić, aż widzę dwie pary drzwi: sauna i łaźnia parowa.

Podchodzę i otwieram pierwsze.

Pusto.

Zatraskuję je i zaglądam za drugie. Osacza mnie silny mentolowy zapach.

W kłębach pary na drewnianej ławce siedzi Nate, pochylony, z głową w dłoniach. Nie podnosi wzroku.

Kładę ręcznik na ławce naprzeciwko, siadam cicho i czuję ciepło między nogami, które rozlewa się po całym ciele. Wdycham. Odchylam się i zamykam oczy, wdzięczna za tych kilka sekund na to, żeby się pozbierać. Drzwi się otwierają. Otwieram oczy, gotowa iść za Nate'em, ale do środka wchodzi kobieta. Nate siada prosto. Widzę, że jego wzrok oswaja się z półmrokiem i mgłą, aż nagle jego oczy otwierają się szeroko na mój widok.

– Lily?

– Boże, Nate. Przestraszyłeś mnie!

Kobieta spogląda na mnie gniewnie.

– Przepraszam – mówię.

Uśmiecham się do Nate'a, a on odwzajemnia uśmiech. Proponuję, żebyśmy wyszli, kiwając głową w stronę drzwi. Wstaje, a ja idę za nim do względnego chłodu.

Wieszam ręcznik na haczyku i biorę szybki prysznic, nastawiając letnią wodę, żeby się ochłodzić. Nate czeka

cierpliwie na swoją kolej. Gdy bierze prysznic, ja wchodzę do jacuzzi, w którym, na szczęście, nie ma innych ludzi. Leżę na plecach i zamykam oczy, jakbym była tak wyluzowana, że nie ma dla nie znaczenia, czy on przyłączy się do mnie, czy nie.

Siada obok mnie. Nie za blisko, ale też nie za daleko.

– Myślałam, że wolisz siłownię? – mówię.

– Bo wołę. Obudziłem się z takim bólem głowy – najgorszym od lat – że nie byłem w stanie się do niej zmusić. Pomyślałem, że to – wskazuje basen – mi pomoże.

– I pomogło?

– Trochę.

– Potrzebny ci klin. Tylko to pomaga przy poważnym kacu. Chodź ze mną później do hotelu Venetian. Mam zamiar pozwiedzać.

– No nie wiem. Chyba nie powinienem dziś szaleć, skoro jutro lecimy.

– Nie bądź nudny. – Trącam go łokciem. – No, dalej. W pokoju możesz siedzieć w każdym miejscu na świecie. Jeżeli nie pójdziesz, będę musiała poprosić Aleksa czy kogoś innego, ale z tobą byłoby fajniej. Byłeś tam już kiedyś?

Kręci głową.

– No właśnie. Zdecydowałam za ciebie. Przyjdę po ciebie do pokoju koło piątej. Już mi się tu znudziło, idę do spa. – Wstaję. – Do zobaczenia.

– Okej.

Wchodzę po stopniach, trzymając się miniaturowej drabinki.

– Ubierz się elegancko – rzucam przez ramię.

Z ręcznikiem przewieszonym przez ramię – jest za gorąco, żeby się nim owijać – obchodzę brzeg basenu i popycham ciężkie drzwi damskich przebieralni, nie oglądając się za siebie. Znów biorę prysznic i nakładam ciekawą warstwę balsamu. To ulubiona marka Nate'a, zawsze zwracał uwagę, gdy nim pachniałam.

Idę do recepcji spa, siadam w wygodnym fotelu w spokojnej, chłodnej poczekalni i popijam ziołową herbatę. Czuję, że mogłabym zasnąć i przespać wiele godzin. Wywołują moje nazwisko. Ta sama, co wczoraj, stylistka, myje i suszy mi włosy,



dobrze się składa, bo nie muszę od nowa tłumaczyć, jak chcę mieć to zrobione. Proszę kosmetyczkę, która nakłada mi makijaż, o bardziej wyraziste ciemne podkreślenie oczu, o wiele ciemniejsze kolory i tusz wydłużający rzęsy. Kiedy kończy, przeglądam się w lustrze. Wyglądam jak inna osoba. Szczęśliwa, pewna siebie i panująca nad wszystkim.

Wyglądam jak kobieta, która mogłaby być drugą połówką Nate'a. Yin i yang.

Jestem taka zadowolona, że, kiedy proszę, by zabiegi dopisano do rachunku za pokój, daję spory napiwek.

Do pokoju wracam przed czwartą, mam więc dokładnie godzinę. Upewniam się, że limuzyna, którą zamówiłam, przyjedzie piętnaście po piątej i wysyłam Aleksowi wiadomość, żeby mu powiedzieć, że dziś nie dam rady spotkać się z nimi w barze.

Rozbieram się. Otwieram walizkę i wybieram nowy komplet czarnej bielizny, który wkładam, zanim wyjmę z szafy niebieską sukienkę. Zdieram plastikowy ochroniacz i ostrożnie zsuwam ją z wieszaka, a potem przekładam przez głowę. Trochę szarpię się z zamkiem, ale sobie radzę.

Otwieram pudełko z biżuterią i wybieram proste srebrne kolczyki, które dostałam od Babs w zeszłe Boże Narodzenie. Na nadgarstek wsuwam skromną, gładką bransoletkę. Pożyczyłam ją od Amy wieki temu, ale nigdy nie poprosiła, żebym ją oddała. Wklepuję perfumy za uszy, potem spryskuję powietrze i przechodzę przez nie. W końcu przymierzam dwie pary butów, na wyższych i na niższych obcasach. Po długim zastanowieniu wybieram te niższe. Są czarne, bez pięty, wystarczająco eleganckie, ale nie zdradzają, jak bardzo się starałam.

Po ocenie rezultatu w lustrze biorę głęboki oddech.

O to mi chodziło.

Biorę torebkę, gładką czarną, w której mam paszport, kartę kredytową, trochę gotówki i szminkę oraz kilka innych przedmiotów, które mogą okazać się przydatne, i idę do windy.

Czekając, obserwuję, jak czerwone światło zapala się i gaśnie na każdym piętrze, i czuję, jak ogarnia mnie spokój.

Winda dźwięczy. Wsiadam.

Nate nie jest gotowy. Otwiera drzwi w hotelowym szlafroku, włosy ma mokre.

– Przepraszam, zasnęłam.

– Mam ci znaleźć coś do ubrania? – mówię, od razu żałując moich słów.

– Nie trzeba. Pospiesz się. – Znika w łazience i zamyka za sobą drzwi.

Siadam na brzegu łóżka i wsuwam dłonie pod uda, żeby się powstrzymać i nie zacząć szperać w jego rzeczach, na szczęście, bo Nate wraca po kilku minutach. Wyłania się w jasnoniebieskiej koszuli, którą wkłada, kiedy musi lecieć jako pasażer do pracy.

Obserwuję, jak się pochyla, wysuwa szufladę i wyciąga parę czarnych skarpet. Nie wiem, jaki jest sens rozpakowywać się zupełnie w czasie wyjazdu. Przecież to nie są tygodniowe wakacje, potem trzeba to z powrotem pakować – czasami zaledwie dwadzieścia cztery godziny później – co zwiększa ryzyko, się że czegoś zapomni. Siada obok mnie; czuję jego ciężar, gdy materac lekko się zapada. Wkłada skarpetki, kuca przed lustrem nad biurkiem, przeczesuje palcami włosy, wsuwa portfel do tylnej kieszeni, a potem odwraca się do mnie.

– Jak wyglądam?

– Dobrze – mówię i zerkam na zegarek. – Zarezerwowałam samochód. – Wstaję.

Patrzy na mnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– Rany. Wyglądasz... niesamowicie.

– Dzięki. – Wskazuję paszport na biurku. – Nie zapomnij dokumentów, bo jeszcze będziesz musiał przez całą noc pić herbatę. – Odwracam się do drzwi.

– A on nie ma nic przeciwko temu? No, wiesz. Hm. Nie pamiętam, jak ma na imię twój chłopak...

Staję i odwracam się do niego.

– Matt. Nie wspomniałam mu jeszcze, że wychodzę z tobą na godzinę czy dwie. A zresztą, co miałby powiedzieć? To początki, spotykamy się od niedawna. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Jesteś pewna?

Wzruszam ramionami.

– To świetny facet. Dogadalibyście się. Nie ma się czym przejmować.

W windzie mam nadzieję, że nie wpadniemy na nikogo. Nie chcę przypadkowego, niepożądanego towarzystwa. Zajmuję się udawaniem, że sprawdzam coś w telefonie. Kiedy idziemy do wyjścia, ulegam impulsowi, ale wydaje mi się to właściwe. Wsuwam rękę pod ramię Nate'a i idę dalej, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Nie protestuje – a właściwie odwraca się do mnie z uśmiechem.

Portier otwiera nam drzwi i życzy wspaniałego wieczoru.

– Na pewno taki będzie – odpowiadam, kiedy schodzimy w kierunku czekającej czarnej limuzyny.

– Co to jest? – Nate odwraca się i patrzy na mnie.

– Była niewiele droższa od zwykłej taksówki, pomyślałam więc, że możemy zaszaleć i podjechać pod Venetian z klasą. Mieli promocję. Kierowca może nas później przewieźć po mieście. Nie wiem, jak ty, ale ja miałabym ochotę zobaczyć Vegas.

– Cześć, mam na imię Jackson – wita nas kierowca w uniformie, otwierając drzwi.

– Dziękuję – mówię i wsiadam pierwsza.

Tak jak poprosiłam, jest butelka szampana i dwa kieliszki z boku. Napełniam, podaję jeden Nate'owi, a później nalewam sobie.

– Nie wierzę, że szampan był wliczony w cenę – mówi, wypijając łyk.

Śmieję się.

– No pewnie, że nie. Ale nie mogłam się oprzeć, kiedy zaproponowali taką opcję dodatkową. Ale musisz pić szybko, Venetian nie jest zbyt daleko. Zdrowie!

Opieram się o poduszki, Nate też, a Jackson odwraca się i

sugeruje, żebyśmy zapięli pasy.

Kiedy oddaliśmy się od hotelu dla załogi i wjeżdżamy w hałas i światła nastającego wieczoru, przypadkiem przesuwam się w stronę Nate'a. Odsuwam się. Iskra ekscytacji, nad którą ledwie jestem w stanie zapanować, wdziera się do mojej piersi, kiedy zmierzamy w stronę naszego przeznaczenia: tego, które starannie wybrałam. Figuruje wśród dziesięciu najbardziej romantycznych hoteli w Vegas.

Nate'a czeka noc życia.

Po spacerze pod rękę po placu Świętego Marka siadamy naprzeciwko siebie w restauracji i jemy marynowane krewetki nad kanałem. Obok nas przepływa gondola. Podnoszę kieliszek białego wina i wypijam łyk. Wśród lekkiego zapachu chloru wyczuwam woń czosnku, gdy kelner przynosi przystawkę do stolika obok. Mam wrażenie, że tylko kilka chwil dzieli mnie od życia, na jakie zasługuję.

Rozmowa toczy się naturalnie. On też jest szczęśliwy. Wiem, bo wyznał kilka chwil temu, że cieszy się, że namówiłam go na ten wieczór. Dostajemy przystawki, lód w wiaderku chręści, gdy kelner wyciąga butelkę, żeby dolać nam wina.

– Aż boję się myśleć, jaki będzie rachunek – mówi Nate.

– Niepotrzebnie. Ja stawiam. W ramach podziękowania.

– Podziękowania?

– Tak. Zachowałeś się bardzo przyzwoicie, gdy się rozstawaliśmy, opłaciłeś mi czynsz i zadbałeś o mnie. Jeszcze raz cię przepraszam, że tak źle to zniosłam. Byłam wtedy zagubiona. Teraz, kiedy moje życie znów ma sens, jestem w stanie spojrzeć w przeszłość i wiem, że mogłam się inaczej zachować w paru sytuacjach.

– Cóż. Ja też. Ale teraz to już musztarda po obiedzie.

Oboje się śmiejemy, biorąc pod uwagę sytuację.

– Jak ci się podobał wczorajszy klub?

– Niesamowity – mówi. – Zawsze, kiedy wcześniej byłem w Vegas, zwiedzałem w dzień. Wycieczka nad Wielki Kanion, tego typu rzeczy. Byłem w paru znanych restauracjach i miejscach, ale ten pobyt to prawdziwa zabawa.

Milkniemy.

Myślę o tym, że jesteśmy tu, w tej chwili odcięci od świata, dopóki rzeczywistość znów nas nie rozdzieli. Dlatego dzisiejszy

wieczór jest taki ważny. Od przebiegu tej nocy zależy moja przyszłość.

Nie, nasza przyszłość.

– Nie wiem, czy przebijemy wczorajszy wieczór, czułam się taka podekscytowana. Patrzyłam na bilety na dzisiejsze koncerty, ale wszystko, co zapowiadało się dobrze, było wyprzedane lub w kosmicznych cenach.

– Tu jest bardzo miło. Chyba powinny tu być jakieś rozrywki? Widziałem kiedyś film dokumentalny o Michaelu Jacksonie. Przyszedł tu na zakupy, a sklepy wyglądały jak jaskinia Aladyna.

Parskam śmiechem.

– Zakupy? Ty?

On też się śmieje.

– No właśnie. Raczej nie.

– Chyba powinniśmy wejść na górę do któregoś z barów i przy drinku popatrzeć sobie na Wenecję z góry. Chciałabym pojechać kiedyś do tej prawdziwej.

Wyciągam rękę i dolewam nam wina.

Dużo Nate'owi, niewiele sobie.

Odwracam jego uwagę, pokazując podejrzanie wyglądającego gondoliera, który stoi trochę niepewnie, gdy podpływa do białego mostu, a niebo nad nami ciemnieje, zwiastując zbliżającą się noc.

W barze upieram się na kir royale z większą ilością likieru z czarnej porzeczki, choć Nate mruczy bez przekonania, że jutro pilotuje samolot. Siedzimy na środku sali, więc nie mamy zbyt dobrego widoku, ale w samym barze jest co oglądać – wysokie sufity, przebogate dekoracje w odcieniach czerni, złota i srebra. Za głównym barem, z tylną ścianą zastawioną ciemnymi lustrzanymi półkami, na których stoją setki kieliszków do wina, szampana i butelki w rozmaitych kolorach, zręczna obsługa miesza drinki, wprawnie radząc sobie z miejscem za ladą.

– Wypijemy tylko ten jeden drink – mówię z uspokajającym uśmiechem. – Poza tym wylot jest późno.

Kiedy Nate wstaje, żeby poszukać toalety, szybko rozglądam się dookoła. W barze jest dość ciemno i nikt nie zwraca na mnie uwagi. Sięgam do torebki, wyciągam pigułkę, wsuwam kieliszek pod stół i wrzucam ją sobie do drinka. Rozpuszczam ją za pomocą mieszadełka do drinków. Sięgam po kir royale Nate'a i zamieniam kieliszki. Kiedy wraca do stolika, biorę głęboki oddech.

– Muszę ci coś wyznać – mówię, wypijając łyk i unikając jego wzorku.

– Mów.

Podnoszę głowę. Od czasu doświadczenia z Katie przeczytałam trochę o narkotykach, dawka jest odpowiednia. Może upłynąć od pół godziny do godziny, zanim rohypnol zacznie działać, ale teraz muszę pilnować, ile alkoholu pije, bo inaczej wszystko może się skończyć tragicznie. Czuję na sobie odpowiedzialność jak anestezjolog.

– Jackson niedługo przyjedzie. Poprosiłam go, żeby obwiózł nas po mieście. Pomyślałam, że fajnie będzie pozwiedzać wygodnie. Tak się świetnie bawię, że nie chcę, żeby ten wieczór się już skończył. Potem mam cztery dni w Rijadzie, a to, z tego co słyszałam, oznacza zero siłowni, zero basenu, pewnie zero lokali – poza osłoniętą kotarą rodzinną kawiarnią – wygląda więc na to, że będę uwięziona w pokoju z jedynym towarzyszem w postaci BBC World Service.

– Nie jest tak źle; są też inne kanały. – Uśmiecha się. – Ale masz rację, co do tego wieczoru, ja też się świetnie bawię – mówi. – Korzystajmy.

Jego odpowiedź biorę za znak, że jest gotowy na wszystko. Przyglądam się, jak pije drinka. Ja nie dopijam mojego, bo muszę nad wszystkim panować.

– Możemy pojechać najdłuższą możliwą trasą? – proszę Jacksona, kiedy pozostawiamy za sobą złoto i światła hotelu Venetian.

– Jasne.

Butelka szampana została wymieniona na nową. Nate chyba nie zauważył. Ta cała nierealność jest hipnotyzująca; nawet ja odczuwam przyływ podniecenia i ekscytacji. Przysuwam się do niego i pokazuję wysoką wieżę.

– Hotel Stratosphere – mówi.

Nasze uda się stykają.

Nate odwraca się i patrzy na mnie.

Odstawiam kieliszek, wyciągam mu z dłoni jego i odstawiam na bok, a potem pochylam się do niego.

Całujemy się.

Jest jak za pierwszym razem, tylko lepiej i jeszcze bardziej jak ze snów, bo marzyłam o tym tak długo, że mam wrażenie, że każda sekunda cierpienia zostaje teraz wymazana. Obezwładniający zapach jego wody po goleniu jest odurzający, kręci mi się w głowie.

Limuzyna zatrzymuje się. Odsuwam się od niego. Muszę uporządkować myśli, ale wszystko, co chcę powiedzieć, płacze mi się w głowie. Wyglądam za okno. Zalewa mnie ulga. Tylko stoimy na światłach, więc jeszcze nie dotarliśmy tam. Samochód przemieszcza się szybko. Jestem zdezorientowana, nie mam pojęcia, jak daleko jeszcze do najważniejszego miejsca. Mam nadzieję, że przypadkiem nie podałam tabletki sobie. Cofam się pamięcią. Nie, na pewno zamieniłam drinki.

– Mam pomysł – mówię, odwracając się do Nate'a. – Trochę szalony, ale mnie posłuchaj.

– Zamówiłaś skok na bungee z wieżowca.

– No, nie.

Oddycha ciężko, twarz ma czerwoną. Oczy mu się świecą. Widziałam go pijanego tylko kilka razy, na ogół po wieczorach spędzonym z kumplami z uczelni. Wpatruje się we mnie, jakby chciał mnie wysłuchać. Wygląda inaczej niż zwykle, uśmiecha się, ale wydaje się nieobecny. Przyjemnie potulny. W tej chwili mogę mu powiedzieć wszystko i zrobić wszystko, i pewnie nie będzie protestował.

– W ramach tej wycieczki jest wizyta w Małej Białej Kaplicy. Ma Tunel Miłości, przez który się przejeżdża. Zaszalejmy na całego w



Vegas.

– Weźmiemy ślub?

– No, tak. Ludzie widocznie często dają się ponieść, musieli więc wymyślić jakieś miejsce na to, żeby ochłonąć albo... – Wysilam się, żeby znaleźć odpowiednie słowo. – Jakieś zabezpieczenie – wypalam. – To, co się wydarzy w Vegas, pozostaje w Vegas. Chyba wielu twoich kumpli tak mówi? Kiedyś mi powiedziałeś.

– To takie powiedzenie. – Milknie.

Posyłam mu uśmiech pełen zrozumienia, a potem pochylam się i odzywam przez interkom do Jacksona.

– Możemy poprosić o muzykę?

– Jasne. Jaką?

– Niech pan wybierze. Coś optymistycznego. I głośnego.

Spełnia moją prośbę – raczy nas nie tylko muzyką, ale też dyskotekowymi światłami.

Parskamy śmiechem i znów stukamy się kieliszkami.

– Pewnie lepiej trochę wyhamować – mówię, kiedy wypija łyk. – Sporo dziś wypiliśmy.

Nate uśmiecha się, jakby nic nie stanowiło już dla niego żadnego problemu. Ruch w nocy jest duży, wleczymy się w korku. Uśmiech Nate'a staje się przesłodzony. Usiłuje mnie pocałować, ale jego wargi lądują na moim policzku. Później prosi Jacksona o coś innego. Zakładam się, że będzie to coś romantycznego, ale on proponuje Guns N' Roses. Kiedy udaje, że śpiewa *Paradise City*, dzięki Bogu powstrzymuje się od wykonywania gitarowych solówek w powietrzu – ja robię, co mogę, żeby ukryć zdenerwowanie. Wiem, że nie jest sobą, i poniekąd o to mi chodziło, ale zachowuje się nie dość poważnie.

Zatrzymujemy się. Jackson otwiera drzwi. Wysiadam, bo chcę zamienić z nim słowo. Nate wysiada za mną.

Stoimy przed schodami prowadzącymi do kamiennego budynku.

– Dziękuję za pomoc – mówię do Jacksona. – Mam nadzieję, że nie będzie to długo trwało.

– Proszę się nie spieszyć – odpowiada.

– Co to za miejsce? – Nate patrzy na Jacksona.

Jackson wygląda na bezradnego i zdezorientowanego.

– Urząd stanu cywilnego.

– Będzie ci potrzebny paszport – mówię do Nate'a, pochylając się, żeby wyciągnąć go z tylnej kieszeni jego spodni, próbując jednocześnie odwrócić jego uwagę.

– Po co?

– Musimy okazać dowód, żeby załatwić formalności. Jackson załatwił wszystko inne, nie martw się.

Wsuwam prawą rękę pod jego lewe ramię i zaczynam prowadzić go po schodach. Jest ciężki i idzie powoli i z namysłem, jakby każdy krok wymagał od niego wielkiego skupienia.

– Będzie muzyka? – pyta.

Cholera. Miał być spokojny i szczęśliwy, a nie całkiem zamroczony.

– Może później. – Usiłuję przypomnieć sobie nazwisko choć jednego członka zespołu Guns N' Roses, żeby powiedzieć, że też tu wziął ślub, ale wszystkie wyparowały mi z głowy. – Ale tu wszystko jest bardzo rockandrollowe, z muzyką czy bez. – W głębi duszy krzywię się na swoje słowa, ale nie mogę wymyślić nic lepszego. – Chodź. – Chwytam go mocniej pod ramię i niemal wciągam po kilku ostatnich schodach.

Na górze waha się, więc pochylam się i całuję go. Młodsza para wyłania się zza drzwi. Kiedy nas mijają, mężczyzna podnosi rękę i przybija piątkę z Nate'em.

– Powodzenia – mówię do nich. – Widzisz? – Odwracam się do Nate'a. – Robimy coś wspaniałego.

Trzymając się za rękę, wchodzimy do oświetlonego budynku. Ale pewnie to dobrze, bo Nate kilka razy mruży oczy i wygląda normalnie. Szukam wzrokiem szyldu: kolejka ekspresowa. Przed nami stoi para. Chcę na nich nakrzyczeć, żeby zeszli nam z drogi. Ale trzymam Nate'a za rękę i zajmuję go, przypominając, jak staliśmy godzinami w kolejce, żeby dostać się do londyńskiego oceanarium tylko po to, by usłyszeć alarm pożarowy, gdy

podeszliśmy do kas.

W duchu modłę się, żeby nikt nie wspomniał o formularzu online, jaki wypełniłam z wyprzedzeniem. Kiedy zostajemy przywołani, biorę głęboki oddech. Dzięki Bogu.

– Dobry wieczór – mówię, podając mój numer, papiery i nasze paszporty.

– Dziękuję – odpowiada kobieta w okularach, stukając w klawiaturę.

Nate wygląda na niespokojnego, więc ściskam go za rękę. Staram się wyglądać na spokojną, ale martwię się, bo Nate wygląda tak, jakby lada chwila miał się obudzić. Aż nagle, ku mojemu przerażeniu, otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja się uśmiecham i kręcę głową. Trudno mi się skupić, ale zmuszam się, żeby zachowywać się tak, jak zachowywałyby się ktoś, kto naprawdę bierze ślub. Uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

– Życzę szczęścia – mówi kobieta, kiedy odchodzimy.

– Pamiętaj, co powiedziałam – mówię do niego, kierując się do drzwi, i powstrzymuję się, żeby nie zacząć biec. – Dziś wszystko jest na mój koszt. Wracajmy do bajkowego świata.

Jackson znów otwiera nam drzwi.

– Dzięki – mówię i podaję mu dokumenty.

– Dzięki, Jackson, jesteś świetnym kierowcą. – Nate przybija z nim piątkę. – Gdzie teraz?

– Do kaplicy – odpowiada Jackson.

Wsiadam pierwsza. Jak tylko Nate siada, podaję mu kieliszek i całuję go, a potem odsuwam się i siadam obok niego.

Podnoszę mój kieliszek.

– Na zdrowie! Za szaloną noc. To takie niesamowite! Wszystko wydaje się nierealne.

Stukamy się kieliszkami. Prawie po wszystkim. Jeszcze chwila.

Podjeżdżamy do kaplicy, a mnie serce dudni tak głośno, że je słyszę. Jackson staje za białym cadillakiem. Z podjazdu kaplicy wyjeżdża ford mustang. Wsiadamy z limuzyny i Jackson kieruje nas do cadillaca, a para z mustanga krzyczy do nas:

– Powodzenia!

Macham im. Nate dostosowuje się do sytuacji i też przelotnie

macha.

Na tylnym siedzeniu kabrioletu leży bukiet czerwonych róż i pasująca ozdoba do butonierki.

– Co to jest? – pyta Nate, patrząc w dół.

Jackson staje przy drzwiach kierowcy i wkłada ozdobę podobną do kwiatów Nate’a.

– Część pakietu – szepczę.

Nate stoi nieruchomo, skołowany.

Nagle zalewa mnie fala wściekłości. Mam ochotę wepchnąć go do samochodu; jego wahanie wszystko zepsuje, jeżeli nie weźmie się w garść. Jestem tak blisko. Tak bardzo, bardzo blisko. Mam wrażenie, że to ostatnia przeszkoda. Kusi mnie, żeby mu powiedzieć: jesteś mi to winien. Bo jest.

– Wszystko gotowe? – pyta Jackson, odsuwając dla nas fotel pasażera.

– Tak – mówię radośnie. – Wsiadaj – zwracam się do Nate’a.

Wsiada. Mam ochotę odetchnąć z ulgą.

– Dużo osób zmienia auto w środku trasy? – pyta Jacksona Nate.

Nasz kierowca śmieje się nerwowo, jak ktoś, kto nie jest pewien, czy druga osoba żartuje.

Pochylam się i wsuwam kwiaty w kieszeń koszuli Nate’a, a potem opieram się o poduszki, wyciągam rękę i kładę ją na jego udzie. Nie przykrywa jej swoją ani nie robi nic, co nakazywałyby chwila. Nieważne. Całe życie przed nami na drobne gesty. Kładę sobie róże na kolanach i wolną dłonią głaszczę płatki. Ale kiedy zerkam w bok, z przerażeniem stwierdzam, że upał w połączeniu z alkoholem i zaledwie jedną pigułką zadziałał na Nate’a nasennie. Oczy mu się zamykają. Potrzebna mu klimatyzacja.

Pochylam się.

– Nate, skarbie! Już dojeżdżamy.

Posyła mi niewyraźny uśmiech i otwiera oczy, ale patrzy przed siebie.

Kiedy zbliżamy się do Tunelu Miłości, właściwie nie jestem w stanie znieść niepewności. Ta noc musi być możliwie najbardziej idealna.

– Czy to nie cudowne? – odzywam się do Nate’a. – Czuję się jak

w filmie, czekam na: światła, kamera, akcja!

Nate uśmiecha się.

Zalewa mnie ulga. Całe moje ciało jest słabe.

- To przebija zeszłą noc.

- Mam zamiar cieszyć się każdą chwilą - mówię. - Na pewno nigdy więcej niczego podobnego już nie zrobię.

- Ja też nie - odpowiada Nate.

Docieramy do wejścia. Jackson podjeżdża do okienka, a duchowny wychodzi do nas bocznymi drzwiami. Dredy ma związane w kitkę. Na twarzy przyjazny uśmiech.

- Wszystko załatwione?

- Tak - słyszę, jak odpowiadam z udawanym akcentem.

Widocznie jestem bardziej zdenerwowana, niż przypuszczam. Ale po tym, co przeszłam, żeby znaleźć się w tym miejscu, mam do tego prawo. Każda panna młoda jest zdenerwowana w dniu ślubu, nie byłabym normalna, gdybym nie czuła odrobiny niepokoju. Duchowny przedstawia nam „prowadzącą”, którą jest wysoka kobieta z długimi ciemnymi kręconymi włosami. Wygląd ma anielski, pasuje do malowideł na granatowym jak noc suficie nad naszymi głowami, z gwiazdami i srebrnymi księżycami wśród aniołów.

Jackson wysiada z samochodu i staje grzecznie.

Ceremonia się rozpoczyna. Trwa około piętnastu minut, wybrałam najkrótszą możliwą, ale tak czy siak, ćwierć godziny to ćwierć godziny.

- Witajcie, Elizabeth Juliette Magnolia Price i Nathanie Edwardzie Goldsmith. Czy tego wieczoru będą wam towarzyszyć goście z Wielkiej Brytanii?

Kręcę głową i przywołuję całą pewnością siebie, na jaką mnie stać. Wyobrażam sobie, że jestem aktorką, odgrywającą ważną, kluczową rolę w przedstawieniu.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj...

Uśmiecham się i chwytam Nate'a za rękę.

- Nie możemy wrócić do baru? - szepcze.

- Zaraz wrócimy - odpowiadam szeptem.

- Czy ty, Nathanie Edwardzie Goldsmith, bierzesz Elizabeth

Juliette Price za żonę?

Wstrzymuję oddech.

Patrzy na mnie.

– Tak – podpowiadam mu cicho.

– Tak – powtarza.

Kiedy przychodzi moja kolej powtórzenia przysięgi, głos mam nieswój. Chciałabym, żeby William niósł nam obrączki, ale, oczywiście, byłby już za duży. Mógłby być świadkiem albo prowadzić mnie do ołtarza. Dopada mnie lekkie poczucie winy, że nie zaprosiłam Barbary.

Nie mamy obrączek, szkoda, ale pomyślałam, że to zbyt wiele, i Nate nie uwierzyłby, że cała ta noc była spontanicznym wspólnym pomysłem. Staram się nie zerkać na zegarek, ale duchowny, choć miły, jest też gadatliwy.

– Byłem żonaty przez siedemnaście lat i najlepsza rada, jaką mogę się podzielić to taka, żebyście nigdy, powtarzam, nigdy, nie kładli się spać pokłóceni. Zaczynajcie każdy dzień z czystym kontem.

Nie mam odwagi spojrzeć na Nate'a, bo czuję, że zaczyna się wiercić.

W końcu słyszę słowa:

– Z mocy nadanej mi przez stan Nevada, ogłaszam was mężem i żoną.

Błysk lampy aparatu. Pochylam się i całuję Nate'a w usta. Słyszę słowa: „uśmiech” i „gratulacje”. Zostajemy obsypani konfetti, kiedy składamy podpisy. Prawie bezwiednie przekazuję wynagrodzenie i mówię „dziękuję” kilka razy.

Moje wielkie, niesamowite marzenie się spełniło. Czuję, że dłonie mi drżą.

Chciałabym ogłosić to na moim portalu społecznościowym i czekać na zalew gratulacji i życzeń. Wyobrażam sobie, że wszyscy cieszyliby się naszym szczęściem, włącznie z Bellą, i dobrze by nam życzyli.

Kiedy wyjeżdżamy z Tunelu Miłości, Nate trzyma mnie za rękę, jak w prawdziwej bajce, a ja, w końcu, gram główną rolę.

## 18

Nalegam, żebyśmy poszli do mojego pokoju. Chcę go, dla odmiany, na swoim terytorium.

Jesteśmy sami w naszą noc poślubną, o której marzyłam od lat.

Całujemy się, zanim drzwi zdążą się za nami dobrze zamknąć, jakby on tęsknił za mną tak samo, jak ja za nim. Niezdarnie prowadzę go do łóżka, całując się z nim w półobjęciach po drodze, ale on się wycofuje. Kładzie się od razu. Zanim zdążę się położyć obok niego, oczy mu się zamykają.

– Nate! Nate! – Szarpię go za ramiona.

Musi się obudzić. Musimy to zrobić jak należy, inaczej będzie nieważne. Znów nim potrząsam, a potem szczypię go mocno w ramię, ale śpi jak zabity.

Pochrapuje lekko.

Po kilku kolejnych próbach poddaję się i postanawiam, że będę się upajać moim sukcesem. Dzwonię po obsługę hotelową, zamawiam szampana i luksusowe przekąski. Później dzwonię do konsjerża, żeby dopilnował, by z kaplicy przesłano film, odbitki zdjęć i pendrive, który zamówiłam w opcji ekspresowej. Kocham Vegas, jest tak cudownie przyjazne. Przygaszam światło przy łóżku, ściągam Nate'owi buty, wyciągam portfel z tylnej kieszeni spodni i przykrywam go narzutą najlepiej, jak umiem. Strasznie trudno obrócić go na bok, jest potwornie ciężki.

Czekam.

Cały czas jest nieprzytomny.

W torebce mam kilka nietkniętych tabletek nasennych i cztery środki antydepresyjne, które wzięłam od Amy. Nie potrzebowałam dodatkowych leków. Nate był potulny jak baranek. Udało mi się zmiękczyć go na tyle, że był uległy, ale pod kontrolą. Aż do tej pory.

Rozlega się głośne pukanie do drzwi. Otwieram je. Kelner

wprowadza wózek na kółkach, na którym stoi wiaderko z lodem i kilka srebrnych tac.

– Dobry wieczór. Może pan zostawić go tutaj? – mówię, żeby nie wpuścić go dalej.

Domyślam się, że widział niejedno, ale moja duma nie pozwala, żeby sobie pomyślał, że będę pić i zajadać się tym sama, kiedy Nate śpi. Kelner powoli podnosi pokrywy półmisek, niepotrzebnie je opisując, a potem otwiera szampana.

– Proszę nie nalewać – mówię. – Poradzimy sobie.

Podaje mi rachunek do podpisu. Wyciągam kilka dolarów w portfela Nate'a. Pora, żeby się dołożył. Kiedy kelner otwiera drzwi, żeby wyjść, stoi w nich portier z pakietem pamiątek ślubnych. Znów zaglądam do portfela Nate'a.

Odtwarzając naszą ceremonię na moim laptopie w tle, wylewam szampana do sedesu i wkładam butelkę do góry nogami do wiaderka z lodem. Przełamuję kilka kanapek z łososiem i kaparami, wydrapuję z muszli ostrygi i zawartość chowam do serwetki. Mdli mnie. Wiem, że to straszne marnotrawstwo. Ale im więcej luk w pamięci Nate'a, tym bardziej będzie zdany na to, żebym je wypełniła. A jeżeli będzie miał wątpliwości, czy na pewno brał w tym udział z własnej woli, wszystkie te namacalne dowody przekonają go, że dał się ponieść chwili tak samo jak ja.

Jesteśmy winni oboje.

Myję zęby, ale makijażu nie zmywam. Usiłuję umyć zęby Nate'owi, ale nic z tego nie wychodzi. Rozbieram go i rozrzucam ubranie po podłodze. Na biurku stawiam nasze duże zdjęcie i akt ślubu. Jeżeli obudzimy się jutro dość wcześnie, może zdążymy wyskoczyć po obrączki.

Będzie mógł też zadzwonić do rodziny i przekazać szczęśliwą wiadomość. Jestem w rodzinie, w końcu w niej jestem! Czuję jednak lekkie zdenerwowanie na myśl o reakcji Belli, no cóż, nawet jeżeli będzie miała coś złego do powiedzenia, jest już za późno.

Rozbieram się, kładę do łóżka i zapadam w zasłużony sen obok mojego męża.



Celowo nie zaciągnęłam zasłon. Chcę, żeby słońce zajrzało wcześniej. Nie zawodzi, rozpoczyna pierwszy dzień naszego miodowego miesiąca.

Nate ciągle śpi.

Wstaję po cichu z łóżka. Klimatyzacja smaga zimnym powietrzem. Wzdrygam się i wyłączam ją. Myję zęby i wracam do łóżka, wspominając zeszłą noc.

Nate przeciąga się. Omal nie krzyczę, kiedy nagle otwiera oczy i patrzy na mnie.

Cisza.

– Dzień dobry, śpiochu. Już popołudnie. Kawy?

Patrzy dalej, ale nie otwiera oczu do końca.

Całuję go.

– Zrobię ci. Taką, jak lubisz. Chcę zacząć to nowe życie tak, jak chcę, żeby wyglądało.

Siada i w lustrze widzę, że nadal się w coś wpatruje. Chyba nie widzi naszej ślubnej fotografii ani żadnych innych wskazówek, które są bezsprzecznym dowodem miłości. Wciskam guzik ekspresu do kawy i patrzę, jak płyn sączy się do szklanego dzbanka, zostawiając na jego ściankach ciemne plamy. Podnoszę głowę i uśmiecham się do Nate'a w lustrze. Odwzajemnia uśmiech niewyraźnie. Napełniam dwa kubki, do kawy Nate'a wsypuję sporo śmietanki, wracam do łóżka i podaję mu kubek. Podciąga się na lewej ręce, a prawą bierze kawę. Siadam obok niego i wypijam łyk. Jest pyszna, idealnie mocna.

– Zaszaleliśmy w nocy? – odzywa się w końcu zachrypniętym głosem.

Śmieję się.

– Jesteś zabawny, skarbie. To niedopowiedzenie roku. Naprawdę mnie zaskoczyłeś; nie miałam pojęcia, że ciągle tyle do mnie czujesz. Martwię się tylko tym, jak powiem o tym Mattowi. Będzie przybity.

– Czuję się podle. Masz moje słowo, że nie będę ci sprawiał problemów. Nie ma sensu ranić kogoś bez powodu. Chyba oboje

za dużo wypiliśmy? – Uśmiecha się.

Ten drań naprawdę się do mnie uśmiecha. Jakby zachowywał się rozsądnie.

Odwzajemniam uśmiech.

– A czy to nie jest trochę nie w porządku?

Pochylam się i odstawiam kubek. Biorę jego kawę, wyciągam się nad nim i też ją odstawiam. Muskam dłonią jego klatkę piersiową, a potem całuję go. Smakuje nieświeżym alkoholem, mimo że próbowałam umyć mu zęby. W pierwszej chwili się waha, ale nie odpuszczam. Znam go. Znam go aż za dobrze, a moja wiedza jest jego słabością.

Po kilku minutach jest po wszystkim, ale się tym nie przejmuję. Ostatnia przeszkoda pokonana. Przytulam się do niego.

Po kilku sekundach odsuwa moją rękę, podnosi się i siada prosto.

– Lily. Było cudownie. Ale...

– Ale co?

– Ale... – Patrzy przed siebie.

Wiem, co chce powiedzieć. Ale nie może.

Będzie potrzebował trochę czasu, żeby pogodzić się z nagłą zmianą w życiu. Rozumiem to. Ostatnio stworzyłam pewną teorię, którą nazwałam „teorią pestki w oliwce”. Zawsze, kiedy biorę do ust oliwkę, liczę się z tym, że ma pestkę. Jestem przygotowana. Nie jestem jak Nate – ani słabi ludzie jego pokroju, którzy spodziewają się, że ich cholerne oliwki będą bez pestek, miękkie i idealne – ja przewiduję problemy i rozwiązuję je w myślach z wyprzedzeniem.

Mój mąż marszczy brwi. Podnosi lewą rękę, a potem rozgląda się po pokoju i jego wzrok pada na ślubne zdjęcie. Zrywa się.

Obserwuję go.

– Lily? O co chodzi?

– Chciałeś powiedzieć: pani Goldsmith? To nasz miesiąc miodowy, kochanie. Wracaj do łóżka. Za parę godzin zbiórka. Wracamy do domu. Pamiętasz? Wprowadzam się do ciebie, dopóki nie wybierzemy wspólnie domu.

– Lily. Mówię poważnie. Nic nie pamiętam. Jedynie strzępy. –

Patrzy na resztki jedzenia. – Zamówiliśmy jedzenie? Po kolacji w restauracji?

Ta informacja wydaje mu się w tej chwili bardziej nieprawdopodobna niż to, że wziął ślub. Chyba jest jeszcze pod wpływem środków. Będzie musiał uważać i zachowywać się normalnie – chociaż kiedy stawi się do lotu, poziom alkoholu we krwi nie będzie przekraczał normy, a rohypnol działa tylko dwadzieścia cztery godziny, więc nic nie powinno mu się stać.

– Chodź się położyć. Nie wyglądasz dobrze.

Posłusznie kładzie się, jęczy i zamyka oczy.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

Kiwa głową. Wyciągam z torebki dwie tabletki. Otwiera oczy, podnosi głowę, a ja pomagam mu je połknąć, ostrożnie wlewając mu do ust wodę z plastikowej butelki. Jego głowa opada z powrotem na poduszkę i znów zamyka oczy. Oddycha głębiej.

Zostawiam go samego na dobrą godzinę, a potem potrzebuję nim, żeby go obudzić.

– Nate! Wstawaj i idź pod prysznic. Poczujesz się lepiej. Zadzwońię po obsługę, żeby to sprzątnęli i przynieśli coś na śniadanie. Chyba powinieneś coś zjeść, żeby alkohol się wchłonał.

Po drodze do łazienki bierze zdjęcie ślubne i patrzy na nie. Później przez dłuższą chwilę studiuje akt ślubu. Potwierdza on, że wzięliśmy ślub wczoraj, osiemnastego lipca.

Wstrzymuję oddech.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Lily. Musimy porozmawiać.

Dzwonię po serwis.

– Halo, chciałabym zamówić... – odzywam się, wskazując łazienkę.

Nate bierze swój telefon i, omijając przeszkody na podłodze, wchodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi. Odkładam słuchawkę i wkładam szlafrok. Otwieram drzwi pokoju i wystawiam wózek na korytarz. Słyszę prysznic. Przekręcam gałkę drzwi łazienki. Zamknął się!

Prawda jest taka, że będzie musiał jakoś się odnaleźć w tej

sytuacji. Nie ma sensu, żeby dłużej z tym – z nami – walczył.

Woda przestaje lecieć. Cisza. Rozmawia z kimś przez telefon. Mówi cicho, ale słyszę jego głos.

– Kurwa, nie wiem, stary. Będziesz musiał mi pomóc się z tego wyplątać.

Pukanie. Otwieram drzwi i cofam się, żeby wpuścić kelnerkę.

– Gdzie postawić tacę?

– Na łóżku.

Podpisuję się, daję napiwek i wypuszczam ją. Nate dalej szepcze.

Stukam do drzwi łazienki.

– Śniadanie, skarbie.

– Już idę!

– Dobrze.

Zdejmuję szlafrok, nalewam sobie kawy z dzbanka i piję, wyglądając przez okno. Przez szybę czuję panujący na dworze upał. Gdzie okiem sięgnąć, coś się dzieje. Wyobrażam sobie inne pary, jak ta z forda mustanga. Są na pewno szczęśliwi, normalnie planują przyszłość. Nie chcę, żeby ta sytuacja okazała się pozornym zwycięstwem. Wiedziałam, że to spore ryzyko, ale miłość może rozkwitnąć. A ja naprawdę kocham Nate'a, dlatego nadaję się idealnie. Będę dobrą żoną, a on nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy z nikim innym. Tylko musi to zrozumieć. Szkoda, że nie dał nam szansy, gdy byliśmy razem w zeszłym roku, i tylko siebie może za to winić.

Drzwi do łazienki otwierają się. Cały czas patrzę przez okno, jakbym ja też zastanawiała się nad tą sytuacją. Jeżeli będę się zachowywać zbyt gwałtownie, zaczniesz się opierać. Nalewa sobie kawy i staje obok mnie. Jest w szlafroku. Irytuje mnie tym, bo wychodzi na to, że obawia się, że owinięty ręcznikiem na biodrach – jak ma w zwyczaju – będzie czuł się nagi. Zachowuje się tak, jakbyśmy byli dwojgiem obcych ludzi po jednocznej przygodzie.

– Zacznijmy od początku. Opowiedz mi, co się wydarzyło wczorajszej nocy.

Patrzę mu w oczy.

– Rzecz w tym, kochanie, że dla mnie też nie był to ślub marzeń. Ale... daliśmy się ponieść chwili. *Carpe diem*, i tak dalej. Nasze skrywane uczucia doszły do głosu. Co się stało, to się nie odstanie. I... przecież się kochamy.

Cisza.

Nate wypuszcza głośno powietrze.

– Lily. Nie rozumiem, jak do tego wszystkiego doszło. Chyba się bawiliśmy i wszystko posunęło się za daleko. Ale musisz wiedzieć, że ja cię nie kocham w ten sposób. Rozstaliśmy się, nie dlatego, że cię nie lubię, ale dlatego, że nie jestem gotowy się ustatkować, z nikim. O ile w ogóle.

– Więc co z tą wczorajszą nocą? Z tym, co mówiłeś, jak bardzo za mną tęskniłeś i jak mnie kochasz? Kłamałeś?

– Nic nie pamiętam, Lily. Mam luki w pamięci. Dość paskudnie się czuję. – Siada na łóżku.

Odwracam się.

– Tak? Czyli zdradziłam Matta nie wiem po co? Myślisz, że kobieta robi takie rzeczy bez zachęty?

Dotyka dłonią czoła i masuje je palcem wskazującym i kciukiem.

– Nie wiem, jak to zinterpretowałaś, Lily...

– Kocham cię. Tak powiedziałaś wczoraj w nocy. Wzięliśmy ślub. Jak niby mam to interpretować? – Naśladuję jego głos. – Zróbmy to. Zróbmy to naprawdę. Pobierzmy się.

– Lily...

– Juliette! Mówiłam ci, że teraz jestem Juliette. Nie zaczynamy najlepiej, skoro nie jesteś nawet w stanie zapamiętać mojego imienia.

Teraz moja kolej, żeby zamknąć się w łazience. Wali do drzwi.

– Lily! Lily.

Rozkręcam wodę najmocniej, jak się da, i zatykam dłońmi uszy. Makijaż mam lekko rozmazany, ale nie wyglądam źle, biorąc pod uwagę stres, jaki przechodzę. Przyglądam się swojemu odbiciu, szukając zmian teraz, gdy zostałam mężatką.

Wyglądam na starszą? Mądrzejszą? Czy po prostu zamężną?

Pukanie ustaje. Cofam dłonie z uszu i zakręcam wodę. Wali do drzwi bez przerwy.

– Zostaw mnie w spokoju – mówię. – Potrzebuję przestrzeni!  
Każe mu czekać jeszcze dziesięć minut, zanim w końcu wyjdę.  
Siedzi na brzegu mojego łóżka z głową w dłoniach. Wchodzę na łóżko za niego i zaczynam masować mu ramiona.

– Jak twoja głowa? – pytam tonem zatroskanej żony.

– Przechodzi, ale musisz mnie posłuchać. – Odsuwa się ode mnie.

Ręce mi opadają.

– To wszystko potoczyło się za szybko. – Jego ton lekko łagodnieje. – Wczoraj o tej porze wszystko było w porządku. – Wzdycha. – Zadzwoiłem w parę miejsc i będziemy musieli to wszystko odkręcić po przylocie do Londynu, tu nie mamy już czasu. Jak wylądujemy, pojedziesz do mnie. Spotka się tam z nami mój znajomy prawnik i pomyślimy, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Przesuwam się na skraj łóżka i siadam tak blisko niego, jak się da.

– A co ze mną? Co z tym, czego ja chcę?

– Proszę, Lily. Naprawdę musisz zrozumieć, że to przesada, to chore.

– Nie dla mnie.

Posyła mi spojrzenie, którego nie potrafię zinterpretować, ale z całą pewnością nie jest przychylne.

– Pomyślimy wspólnie, co jest najlepsze. Dla nas obojga. Jezu. Co za młyn. Słyszałem różne historie o Vegas, ale to były tylko opowieści. Nigdy nie sądziłem...

– Ludziom zdarzają się gorsze rzeczy niż ślub z byłym, do którego nadal coś się czuje, choć się o tym nie wiedziało.

– Przykro mi – mówi.

Kurwa, zawsze mu przykro. To już nic nie znaczy. Naprawdę ściska mnie w gardle. Czuję się krucha, ale stanowcza. Wyciągam rękę, żeby mocno go objąć, a on wysila się, żeby odwzajemnić uścisk. Siedzimy w objęciach przez całą minutę.

Odsuwa się pierwszy. A jakże.

Nasze weselne śniadanie – bajgle z wędzonym łososiem i jajecznica – leży nieruszone na łóżku.

– Zachowajmy to dla siebie – mówi. – Musimy przetrwać lot

powrotny, a potem spróbujemy rozwiązać ten problem najlepiej, jak się da.

Tak mu się zdaje.

Krzątam się w kuchni Nate'a – nie, w naszej kuchni – a James Harrington, prawnik, przyjaciel Nate'a, siedzi w salonie i gada do niego.

Łowię uchem strzępy rozmowy: „unieważnienie małżeństwa”, „odurzenie”, „nieuczciwość”, „brak współżycia seksualnego”. No cóż, ostatnią opcję Nate spieprzył.

Wnoszę tacę z kawą jak doskonała gospodyni. Espresso dla mnie, cappuccino dla Nate'a i latte dla „prawnika”. Plus – dzięki mojej uprzejmości – trzy rozmrożone w mikrofalówce muffinki na talerzyku. Z braku serwetek złożyłam starannie w trójkąty prostokąty papierowego ręcznika. Siadam na kanapie obok Nate'a, na wprost Jamesa Harringtona.

Dwoje na jednego.

Dziękują mi za kawę.

– No więc dobra, Elizabeth, Nate wyjaśnił mi, że nie możemy wykorzystać braku współżycia seksualnego, sugeruję więc unieważnienie małżeństwa, bo oboje byliście odurzeni...

– Ja nie byłam.

Nate gromi mnie wzrokiem.

James wygląda na zdezorientowanego.

– Myślałam...

– Chcę, żeby nasze małżeństwo było udane. Nate mógł być trochę wstawiony, ale zapewne spotęgowała to zmiana strefy czasowej. – Patrzą na Nate'a. – Wysłałam za ciebie w dobrej wierze. Powiedziałaś, że mnie kochasz. Łączy nas wspólna przeszłość i zerwałam z przyzwoitym facetem z powodu twoich czarujących tekstów. Matt jest zdruzgotany. Musiałam zakomunikować mu to esemesem! Wyobrażasz sobie, jak się czułam?

Milczenie. Tęcza pływa tam i z powrotem.



Być tu z Nate'em jest przyjemnie, znajomo, teraz weszłam tutaj legalnie i nie poddam się bez walki.

– To komplikuje sprawę. – Prawnik rzuca Nate'owi spojrzenie, a potem zerka na zegarek. – Muszę podzwonić, zamknę się więc w waszym pokoju gościnnym, a wy się porozumcie.

Krzyżuję ramiona i zapadam się w kanapie.

– Lily...

Marszczę brwi.

– Juliette, nie Lily, ale to zbyt dziwne, dla mnie jesteś Lily. Proszę. Bądź rozsądna. Nie kocham cię w taki sposób, w jaki chcesz. Wiesz o tym. Przecież nie możesz tego chcieć dla siebie. Zasługujesz na coś lepszego.

Jego błagalny ton drażni mnie.

– A to pech, bo mam dość wiary za nas oboje, żeby to się udało.

Nate wstaje.

– To poważny problem. Przykro mi, że nie mogę dać ci tyle, ile chcesz. Cokolwiek się stało tamtej nocy – a na wszystko mam tylko twoje słowo – nie było rzeczywiste. Było tego o wiele za dużo.

– Uważasz, że kłamię?

– Nie. Ale założę się, że powlokłaś mnie tamtym przejściem bez zbytniego namawiania.

– Żadnym przejściem, byliśmy w cadillacu. Wiesz o tym. I nie było żadnego wleczenia. Zadzwoni do tamtej cholernej kaplicy i zapytaj ich, czy zostałeś do czegoś zmuszony!

– Przepraszam. Wiem, że to też moja wina. Chodzi o to, że to nie zabawa! To nasze życie.

– Tak. Moje i twoje.

Oboje odwracamy się na odgłos teatralnego odchrząknięcia.

– Na słówko, Nate – mówi James.

Nate idzie za nim do pokoju. Musi mieć zaprzyjaźnionego prawnika. Ma też lekarza, bankowca, doradcę finansowego i tak dalej. Jestem wkurzona. Gdyby James zostawił nas samych, coś bym wymyśliła.

Czekam. Nie słyszę głosów.

Mija jeszcze kilka minut i James wychodzi, a Nate tuż za nim.

- No to cześć, Elizabeth. Zostawiam was samych.
- Dobra, dzięki, zadzwonię do ciebie – mówi Nate.

James unosi rękę, macha krótko i zmywa się.

Zamyka drzwi i zapada cisza. Nate wygląda na szczęśliwszego i unika mojego wzroku.

- Pójdziemy gdzieś na kawę pogadać? – pyta.

- Nie, tu mi dobrze, dzięki, ale jestem padnięta. Nie spałam w samolocie. Muszę odpocząć, a potem możemy rozmawiać, ile chcesz.

- Gdzie odpocząć? Tutaj?

Wzruszam ramionami, jakbym pytała: „A gdzie indziej?”

- Nie. Nie możesz tu zostać. Musisz wyjść. Odwiozę cię do ciebie i pogadamy w drodze.

- Nie mogę jasno myśleć. Po tym, jak musiałam udzielać się towarzysko, bo przyszedł twój przyjaciel, nie możesz mi odmówić krótkiego odpoczynku. Nie wszystko może być po twojemu.

- Po mojemu? To chore. To zupełnie... nie tak. Ciągłe czekam, aż się obudzę i poczuję ulgę, że to wszystko się nie wydarzyło. Powinienem to przewidzieć. Powinienem wiedzieć, że przeholujesz. Dlatego nic się między nami nie łoży. Ty chcesz wszystko albo nic. Nie wiesz, kiedy się zatrzymać. Nie masz hamulców.

- Zostawię cię, żebyś ochłonał – mówię takim samym tonem, jakim on prosił, żebym była „rozsądna” w kwestii naszego zerwania.

Przejeżdżam moją torbą i walizką z salonu do naszej sypialni. Wyjmuję przybory toaletowe i biorę prysznic w przyległej do pokoju łazience. Związuję wysoko włosy, żeby ich nie zmoczyć, i stawiam swój szampon obok jego szamponu. Potem zostawiam szczoteczkę do zębów tam, gdzie on trzyma swoją. Rozpakowuję się i wkładam czyste rzeczy z powrotem do szuflad, gdzie były. Nate wypełnił jedną z nich czymś, co wygląda na niechciane prezenty – pudełeczkiem ze spinkami do mankietów, dwoma krawatami, i zapieczętowanym opakowaniem bokserek z domu towarowego. Przekładam to wszystko do „jego” szuflad.

Nie powiedziałam mu, że mam teraz samochód, jechaliśmy więc do domu razem, obok siebie – jak prawdziwe małżeństwo – jego czarnym jagiem. Wszystko jest tak w porządku, że nie rozumiem, dlaczego z tym walczy. Czuje coś do mnie. Wiem to.

– Nastawię budzik na godzinę! – wołam. – Możemy zamówić jakieś jedzenie!

Niech nie myśli, że ja mu coś przyrzadzę.

Nie odpowiada.

Jestem padnięta, to prawda. Przez cały dziesięcioipółgodzinny lot czułam adrenalinę i obawę.

Jest jeszcze widno. Musiałam przysnąć tylko na kilka minut.

W ustach mi zaschło. Patrzą w lewo. Nate'a nie ma. Opadam z powrotem. Ręce i nogi mnie boją. Czuję, jak znów zasypiam. Ale świadomość i rzeczywistość powracają. Słyszę znajome dźwięki: poranne skrzygnięcia i wycie pompy prysznicowej. Wróciłam do domu na całą noc. Zmuszam się do wstania, wkładam szlafrok Nate'a i idę do salonu.

Na dworze jest piękny dzień. Mam mnóstwo planów. Mogę przygotować piknik i usiądziemy nad rzeką. Słyszę, jak prysznic cichnie. Czuję pustkę w żołądku, gdy czekam na reakcję Nate'a.

Idę do kuchni i włączam ekspres do kawy. Otwieram lodówkę i zaglądam do środka, ale niczego nie chcę. Robię dwie kawy. Zjawia się Nate w stroju do biegania.

– Dzień dobry! Zrobiłam ci kawę – mówię z uśmiechem.

– Dziękuję.

Bierze ją i idzie do kanapy. Siadam obok niego. Przez kilka sekund milczymy i pijemy małymi łykami.

– Dlaczego nie przyszedłeś do łóżka?

– A jak myślisz?

Nie odpowiadam.

– Spałem w pokoju gościnnym.

– Aha.

– Występuję o unieważnienie małżeństwa na takiej podstawie, że byłem odurzony.

– Rozumiem.

– Chciałbym, żebyś się zgodziła zrobić to razem ze mną. Nie chcę, żeby to było nieprzyjemne. Jeśli zadziałamy wspólnie, sprawa będzie stosunkowo prosta. Naprawdę bym chciał, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

– Kłamiesz. Powiedziałeś to, kiedy ostatni raz mnie rzuciłeś. Usunąłeś mnie nawet ze znajomych na Facebooku. Nie próbowałeś podtrzymać tej „przyjaźni”.

– Na litość boską, ty też nie. Powiedziałem, że możemy być w kontakcie, że to nie musi być całkowite rozstanie. Ale to ci nie odpowiadało. Musiało być po twojemu albo wcale.

Tylko dlatego, że nie miałam wyboru, cholera.

Nie jestem głupia. Jeśli nie chciał, żebyśmy mieszkali razem, to miał uczucia w niewłaściwym miejscu. Musiałam prowadzić długą grę. Gdybym się zgodziła na okruchy rzekomej przyjaźni i najprawdopodobniej sporadyczny seks, kiedy za długo byłby sam, to miałabym zero szans na skierowanie nas z powrotem na właściwą drogę. Zero. Nikt nie szanuje tego, kto się zgadza na mniej, niż zasługuje. Właśnie dlatego Bella uważała, że może mnie traktować tak, jak to robiła. Musiałam zmarnować prawie rok życia, żeby się upewnić, że on mnie w przyszłości przyjmie z powrotem.

I teraz ta przyszłość nadeszła.

– Daj nam szansę, Nate. Daj mi tydzień – tutaj, razem – i jeśli nadal będziesz uważał tak samo, zgodzę się na wszystko, czego zechcesz.

– Po co? Poważnie, po co? Sytuacja jest, jaka jest, i nie zmienię zdania.

Gromię go wzrokiem.

– Tak będzie najlepiej.

Nie mogę wstać. Nie mam siły. Nie tak powinno być. Myślałam, że jeśli przywiążę go do siebie prawnie, to po jakimś czasie pogodzi się z tym. I jego uczucia powrócą. Powróciły. Był zazdrosny o „Matta”, jego duma cierpiała. Ale wiem też, jaki jest. Kiedy ostatni raz narobiłam szumu z powodu naszego zerwania, stał się jeszcze bardziej nieustępliwy.

– Lily. Przykro mi. Być może całkowite rozstanie to najlepsze wyjście. Są inne linie lotnicze. Możesz znów złożyć podanie, co roku. Masz jeszcze tyle przed sobą.

– Masz pojęcie, jak protekcjonalnie to brzmi? Może ty się przeniesiesz do innych linii lotniczych?

Ignoruje mnie i chwyta się ostatniej deski ratunku.

– Albo... mogłabyś nawet wrócić do Matta. Zwalić całą winę na mnie.

Dzwonek do drzwi.

– Sprzątaczką – mówi i wstaje.

Biorę głęboki oddech, wstaję wyprostowana i idę do sypialni.

– Wszystko jest twoją winą – rzucam przez ramię.

– Kiedyś mi podziękujesz! – woła i otwiera drzwi frontowe.

Przed całkowitym zamknięciem drzwi sypialni wyglądam przez szparę. Po krótkim przywitaniu ze sprzątaczką Nate telefonuje do Jamesa. Kiedy mówi pewnym siebie tonem, że już wszystko w porządku, czuję się jak jakiś zbędny przedmiot.

Zaryglowuję się w łazience i powstrzymuję chęć rozbicia lustra.

Głębokie oddechy.

Po kilku minutach rozważań dochodzę do wniosku, że nie jest tak źle. Bo w tym momencie coś się zmienia w moim sercu i umyśle.

Gardzę Nathanem Goldsmithem.

## 20

Jestem w stanie zawieszenia.

Po pierwsze, uwięziona w pracy, która rozpieprza mój zegar biologiczny. Jest dobrze, gdy latam do cywilizowanych miejsc z działającym wi-fi, porządnymi siłowniami i normalną pogodą, ale nie wtedy, gdy nie śpię w środku nocy na kolejnym kontynencie z powodu zmiany strefy czasowej. Ale nie rozumiem, dlaczego powinnam zrezygnować tylko dla wygody Nate'a. Po drugie, trzymam się półmęża.

Minęło sześć tygodni od naszego ślubu i nadal prawnie jesteście małżeństwem.

Na moje szczęście sprawa nie jest tak prosta, jak mówił Nate, ale on i James usilnie starają się mnie pozbyć. Regularnie dostaję od Jamesa Harringtona mejle z takimi wyrażeniami jak „niekwestionowana”, „niezdolna do zgody”, „nie w pełni władz umysłowych” – co nie dotyczy mnie, tylko najwyraźniej Nate'a podczas naszego ślubu – i „akceptacja braku współżycia”. Co? Chce, żebym skłamała? Piszę do Nate'a esemesa z zapytaniem, czy chce, żebym skłamała w dokumencie prawnym, ale nie odpowiada.

Unieważnienie małżeństwa w Nevadzie może zająć do trzech tygodni, jeśli wrócimy tam razem, lub do roku w Wielkiej Brytanii. Oczywiście powiedziałam, że wolę w Wielkiej Brytanii. Korespondencja mejlowa trwa. Czuję się jak dziecko wciągnięte w załatwianie nad nim opieki sądowej podczas rozvodu rodziców.

Moje życie to powtarzający się cykl chodzenia do pracy, przylotów do domu i ignorowania wiadomości od Nate'a tak często, jak mi się to udaje.

Ląduję po przylocie z Waszyngtonu w nieco mglisty poranek z czterdziestominutowym opóźnieniem. Musieliśmy krążyć nad Heathrow, dopóki mgła się nie rozwiała.

Ta pora roku zawsze będzie dla mnie równoznaczna z groźbą rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Wyraźny spadek temperatury – koniec lata miesza się z jesiennym chłodem – uderza mnie w twarz, gdy obcasy stukają na metalowych stopniach na odległym stanowisku na Heathrow, i wdycham mocny zapach paliwa do odrzutowców. Cała załoga zbiera się na płycie przed lewymi silnikami i czekamy na nasz autobus.

Wznoszące się samoloty huczą tuż nad nami po oderwaniu się od pasa startowego. Mam dwie godziny do spotkania z moją szefową w sprawie nowej roli ambasadora bezpieczeństwa. Mogłabym załatwić to jutro, ale musiałabym wrócić tutaj specjalnie po to. Niedługo przestanę latać na cały etat, bo to stanowisko jest częściowo biurowe. Pracuję też teraz nad zupełnie nowym planem działania. Ale jest dopiero w powijakach, więc nie mam jeszcze tylu zajęć, żeby mnie całkowicie pochłaniały. Najlepsza wiadomość jest taka, że kupno mieszkania postępuje i jest szansa, że za kilka tygodni będę w moim nowym domu.

Po kontroli paszportowej, zapłaceniu za zakupy bezcłowe i przejściu bez przeszukania przez cło idę do stołówki poczekać na Amy. Zadzwoniła do mnie wczoraj po tygodniach zerowego kontaktu. Ma nowego chłopaka, więc najwyraźniej jest jedną z tych, co uważają, że jak mają faceta, to nie potrzebują przyjaciółek. Nauczy się.

– Cześć – mówię z uśmiechem, gdy podchodzi. Całuję ją w każdy policzek, autentycznie zadowolona, że ją widzę. Mam „poweselnego doła”.

– Cześć – odpowiada. – Bierzesz coś do jedzenia?

Kręcę głową. Kiedy idzie do lady zamówić panini, serce mi zamiera na widok przechodzącego jasnowłosego pilota. Ale to nie Nate. Wiem, że to nie może być on, sprawdziłam, że jest na Antigui. Rozglądam się niepewnie. Jestem nie w sosie. Koncentruję się na czerwieni i błękitcie samolotu Air France,

który widać przez szklaną ścianę.

Oddech. Coś jest nie tak. Choć Amy przywitała się ze mną zupełnie normalnie, wydaje się spięta. Nawet zdenerwowana. Zdecydowanie coś nie gra.

– Opowiedz mi o tym tajemniczym nowym facecie – mówię, kiedy siada z powrotem naprzeciwko mnie.

– Nie ma wiele do opowiadania. Poznałam go w czasie lotu do Lagos.

Odgryza kawałek panini.

– Więc to ktoś z załogi?

Patrzy na mnie.

– Tak. Pilot.

– Jak się nazywa?

– Rupert Palmer.

– Aha. – Przeczykam. – Fajny?

– Ty mi powiedz.

– Nie rozumiem.

– Nie udawaj. Znasz bardzo dobrze jednego z jego najbliższych przyjaciół.

Cholerny Nate i paczka jego kumpli.

– Tak?

– Zabrałaś nas do mieszkania jego przyjaciela. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy poszliśmy tam któregoś wieczoru i zorientowałam się, że już tam kiedyś byłam. Z tobą.

Nieruchomieję.

– Bez obaw, nie wygadałam się – mówi, jakbym powinna być wdzięczna.

Kiedy masz wątpliwości, nic nie mów. Patrzę na Amy.

– Domyślałam się, że Nate to „Nick”. Dlaczego skłamałaś?

– To nie było kłamstwo jako takie. To skomplikowane.

– Na pewno. Opowiadaj.

– To długa historia i naprawdę niczyja sprawa.

– Posłuchaj. Lubię Ruperta. I nie chcę mieć przed nim tajemnic.

Jeśli zabrałaś nas tamtego wieczoru do Nate’a z jakiegoś ważnego powodu, to w porządku. Ale szukałaś czegoś w jego pokoju gościnnym.



Gapię się na nią. Wścibska krowa. Poczekaj, aż Rupert cię rzuci i znajdziesz się w moim położeniu.

– Miałaś klucze, Juliette.

– Już nie mam. Bardzo niedawno wróciliśmy do siebie na krótko, jeśli musisz wiedzieć. Nate to skomplikowany facet.

– Aha. W jakim sensie?

Biorę ją za rękę.

– Proszę cię, nie mów nic nikomu o tamtej nocy. Nie ma potrzeby. Nate i ja zerwaliśmy ze sobą na dobre i chcę, żeby tak zostało. Jeśli kiedyś znów tam będziesz, to proszę, nie wspominaj o mnie.

Staram się mówić tak, jakbym była bliska łez.

– No dobrze. Przepraszam. Po prostu było dziwnie pójść do mieszkania, gdzie już kiedyś byłam, i wyczuwać, że muszę to ukrywać. Zapytałam Nate'a, czy trzeba karmić jego rybki, kiedy go nie ma, a on odpowiedział, że nie, bo są samowystarczalne.

– Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna za wsparcie. – Uśmiecham się słabo. Ale... nie ufam jej. Prawdziwa przyjaciółka przysłałaby mi esemesa z tego mieszkania, byłaby po mojej stronie i chciałyby usłyszeć moją wersję tej historii.

Amy nie jest moją przyjaciółką.

– Muszę iść – mówię. – Mam bardzo ważne spotkanie z szefową. Żegnamy się i idę w kierunku korytarza.

Siadam przed gabinetem Lorraine. Przepęłnia mnie wściekłość i nienawiść. Bella. Nate. Amy. Świat jest pełen zdrajców, każdy dba tylko o siebie. Nie ma lojalności. Nikogo nie obchodzę, chyba że wypełniam tymczasową pustkę w ich życiu. Amy to Judasz, jak Bella.

Nie cierpię siedzieć i czekać przed gabinetami. Przypomina mi się czekanie przed gabinetem dyrektorki szkoły dwa dni po imprezie.

To był koszmar.

Jakby zignorowanie mnie po moim pierwszym seksie w życiu nie wystarczyło, poszłam na popołudniowej przerwie do

miejscowej apteki po pigułkę po. Najpierw próbowałam sobie wmówić, że wszystko będzie okej. Ale kiedy z upływem godzin coraz bardziej przerażała mnie myśl, że może we mnie rosnąć prawdziwe dziecko, postanowiłam działać. Nie mogłam zaryzykować pójścia do szkolnej pielęgniarki; nie zniosłabym pytań, przesłuchania, wstydu. Ale popełniłam błąd. Bardzo głupi. Tak mnie zaprzętało to, jaka jestem zła i zraniona, że nie potrafiłam jasno myśleć i zostawiłam pudełko w koszu na śmieci w naszej sypialni. I kto je zauważył? Oczywiście Bella. Prędko wyeliminowała „podejrzane” i zostałam jej ja.

Nie przyznałam się ani dyrektorce, ani im. Ale to nic nie dało. I kiedy uważałam, że już nie może być gorzej, okazało się, że jestem w błędzie. Złe wieści szybko się rozchodzą. A okrutne plotki o kimś jeszcze szybciej. Staralam się być obojętna na to wszystko, ignorować to. Przewiska, chichoty, okrutne karteczki na mojej ławce szkolnej, wycinane z magazynów ilustrowanych zdjęcia ośmieszanych z powodu swojego wyglądu kobiet z doklejoną moją twarzą. Stale sobie przypominałam, że wytrzymałam już tak długo, że przez lata dawałam sobie radę z samotnością, że to się wkrótce skończy. Ale to było bardzo trudne. Pewnego dnia wrzasnęłam do nich, żeby zostawiły mnie w spokoju.

Wtedy byłam z siebie dumna, że się postawiłam. Ale nie trwało to długo, bo nie mogłam wygrać z kimś takim, jak Bella. Takie dziewczyny, jak ona, decydują o losie takich dziewczyn, jak ja. Kto jest naszą przyjaciółką, a kto nie, kto będzie z nami rozmawiał, a kto nie, i nawet o tym, jak nas widzą nauczyciele. Miałam tego coraz bardziej dosyć. Ale jeszcze trudniej było przyznać, że bez względu na to wszystko, wystarczyłoby jedno słowo Belli, a byłabym jej żałośnie wdzięczna.

Wybaczyłabym Belli wszystko, żeby być częścią jej świata.

Miałam jednak ograniczone możliwości. Chciałam o tym porozmawiać z opiekunką, ale ilekroć czekałam przed jej drzwiami, brakowało mi odwagi, żeby zapukać. Obawiałam się, że weźmie stronę Belli albo spławi mnie zdaniem, którym reagowała na większość spraw: „Śpij dobrze. Rano na pewno

będzie lepiej”.

Zamiast tego kombinowałam, jak im udowodnić, że się mylą, i zemścić się na Belli.

– Juliette?

Lorraine stoi w drzwiach swojego gabinetu. Przywołuje mnie gestem do środka.

– Dzięki, że przyszłaś – mówi między wielkimi kęsami kanapki.

– Przepraszam, ale nie miałam czasu na lunch.

– Nie przejmuj się mną – odpowiadam. Nikt się nie przejmuje.

– Przejrzę z tobą harmonogram szkolenia. – Stuka palcem wskazującym wolnej ręki w klawiaturę. – Choć... – Waha się. – Ostatnio było kilka uwag co do twojej postawy na pokładzie. Niecierpliwość. Brak zapału. Czy coś w twoim życiu osobistym ma wpływ na twoją pracę? – Lorraine odkłada kanapkę i patrzy na mnie.

– Mój chłopak mi się oświadczył. Potem, jak przyszło co do czego, wszystko poszło nie tak. Przeraził się.

– Przykro mi to słyszeć. Dzięki za szczerość. W takim razie pominę tamte uwagi, o ile nie będzie następnych...

Głos Lorraine staje się dźwiękiem w tle: „okres próbny”... „odpowiedzialność”... „dyskrecja”.

Ta nowa rola pojawiła się w samą porę. Na tym odpowiedzialnym stanowisku będę miała większy dostęp do informacji.

A wiedza daje władzę.

Dwa tygodnie później Amy i ja jesteśmy z powrotem w ośrodku szkoleniowym. Ona przygotowuje się do zmiany samolotu, bo przenoszą ją na krótkie i krajowe trasy. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z tym, że jest w jednej załodze z Rupertem.

Kiedy mamy przerwę w tym samym czasie, spotykamy się w stołówce i gawędzimy, ale Amy jest sztywna. Zachowuje się z rezerwą. Poznają to po jej wahaniu przed odpowiedziami na

moje pytania.

Trzeciego dnia moje zajęcia kończą się wcześniej. Idę do stołówki, choć nie jestem głodna. Ale jestem uwięziona; ośrodek szkoleniowy leży na odludziu w sąsiedztwie drogi ekspresowej. Widzę Amy, nie jest sama. Towarzyszy jej Rupert. Trzyma rękę na jej kolanie.

Obserwuję ich z daleka, kiedy płacę za kawę, a potem podchodzę do nich.

Amy się zrywa na mój widok.

– Cześć, Juliette!

Czerwieni się.

– Cześć – mówi Rupert. – Rozumiem, że teraz jesteś Juliette, nie Lily.

Siadam naprzeciwko nich.

– Miałam ochotę na zmianę. Mnóstwo osób używa innych imion.

– Tak, ale zwykle dlatego, że ich prawdziwe są nie do wymówienia i mają dosyć ich przekręcania – mówi Amy.

Ignoruję ją i uśmiecham się do Ruperta.

– Co tu robisz?

– Zaliczam symulator. – Rutynowe ćwiczenie pilotów. Patrzy na telefon. – Muszę wracać do kieratu. Miło znów cię widzieć... Juliette.

– Ciebie też. – Uśmiecham się.

Nie odwracam wzroku, kiedy Rupert całuje Amy w policzek. Ona patrzy za nim, gdy on wychodzi, i kiedy odwraca się z powrotem do mnie, unika mojego spojrzenia. Suka. Za dużo powiedziała mu o mnie. Nie wiem, dlaczego zawsze chciałam, żeby była moją przyjaciółką. Oczy ma trochę za szeroko rozstawione i w jej uśmiechu jest cień pogardy. Zastanawiam się, jak to możliwe, że tak się co do niej pomyliłam; że wybrałam na przyjaciółkę drugą Belle.

– O której dziś kończysz? – pytam.

– O piątej. Ale zostały nam już tylko ćwiczenia ewakuacyjne, więc jest nadzieja, że skończymy wcześniej.

– Szkoda, bo ja kończę o szóstej. Mogłybyśmy pójść na drinka.

– Fakt, szkoda – kłamie, nawet nie udając, że żałuje.

Patrzy na zegarek. Otwieram torebkę, żeby wyjąć telefon. Zaklinował się w wewnętrznej kieszeni na suwak, gdzie trzymam klucze, środki przeciwbólowe i paszport. Ciągnę i coś wypada z hałasem na stolik. Błysk żółci. Żółci Homera Simpsona. Szlag. Zakrywam je gwałtownie dłonią, ale Amy gapi się na mnie.

– To moje? – pyta.

Rozpościeram dłoń i odsłaniam je.

– Te? Nie sędzę. Choć ja też ich nie poznaję.

– One są moje. Nasze zapasowe zginęły. Hannah myślała, że ja je wzięłam, i na odwrót.

– Możesz je wziąć i sprawdzić, jeśli tak uważasz. Jak nie będą pasowały, to mi je oddasz, bo chyba są do czegoś, o czym zapomniałam.

– One są moje.

– Skoro tak twierdzisz.

– Co robiły w twojej torebce?

Patrzę jej w oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Ty je wzięłaś – mówi pod nosem. – Byłaś w naszym mieszkaniu, kiedy mnie nie było.

– Nie bądź śmieszna – odpowiadam. – To tylko klucze!

– Lubisz je zabierać, prawda? I wchodzić do cudzych domów bez pozwolenia.

– Nie podoba mi się twój ton.

– Mogłabym pójść na policję.

Nie rozumiem, dlaczego ludzie zawsze uważają, że mogą „pójść na policję”, żeby w cudowny i szybki sposób rozwiązać każdą sytuację na swoją korzyść.

– I co powiedzieć? Że miałam klucze do domu mojego męża i twój komplet – rzekomo – był w mojej torebce? Jesteśmy przyjaciółkami, Amy. Przyjaciółkami.

– Męża?

– Tak. Nate prawnie jest moim mężem. Byłaś zbyt zajęta myśleniem o sobie i Rupercie – tak bardzo – że zaniedbałaś przyjaciół. Więc leć na policję. – Wstaję. – Wyglup się. Kilka miesięcy temu Nate poprosił mnie, żebym za niego wyszła, więc

to zrobiłam. A teraz próbuję uporządkować bałagan, którego narobiłam. Co nagle, to po diable. Jak już mówiłam, Nate to skomplikowany facet. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

Za kogo ona się uważa?

Wściekam się przez całą drogę powrotną do domu. Bezpieczna jazda to wysiłek, bo mam ochotę wcisnąć gaz do dechy. Dwa razy ktoś na mnie trąbi i muszę nagle hamować, kiedy zapominam zwolnić przed rondem.

W domu wydaję moją listę. Szkoda, że nie kupiłam hurtowo laleczek wudu, kiedy miałam okazję, ale pewnie mogłabym zamówić więcej w Internecie.

Uaktualniam plany wobec całej trójki moich wrogów, co zajmuje mi czas do późna.

Rano zmuszam się do powrotu do ośrodka szkoleniowego, bo został mi jeszcze jeden dzień kursu. Amy zostały dwa. Przysięgam sobie, że będę jej unikała przez całe rano, ale wściekłość powraca, kiedy ona udaje, że nie widzi mnie w stołówce.

Nie cierpię być ignorowana. Czy myśli, że pociągnę ją za koński ogon? Żałosne.

Sprawdzam w recepcji rozpiszę kursu. Amy kończy dziś godzinę po mnie. Idę w kierunku hali ćwiczeń praktycznych i modłę się, żeby kod, który Brian i Dawn tyle razy wprowadzali na moich oczach, nadal działał.

Działa! Rozglądam się.

Wchodzę, jakbym miała pełne prawo tu być, i po drodze mijam makietę samolotu na krótkie trasy. Słyszę krzyki, grupa Amy ćwiczy ewakuację.

Zaglądam przez drzwi z tyłu boeinga 777. Są zaklinowane w pozycji otwartej. Klasa ekonomiczna jest pusta, walają się tam tylko czyjeś rzeczy osobiste. Wszyscy zostaną wyprowadzeni przez główne drzwi. Wstrzymuję oddech i wchodzę. Alarm ewakuacyjny wyje, potem cichnie, i słyszę odgłos otwierania głównych drzwi i wykrzykiwane polecenia załogi.

Szukam torebki Amy; jej jest piąta, na którą natrafiam. Wyjmuję jej telefon i wyłączam go.

Wycofuję się przez drzwi wejściowe do pomieszczenia ze sprzętem ćwiczebnym i chowam wśród dziecięcych łóżeczek, butli tlenowych, kamizelek ratunkowych i pakietów ewakuacyjnych.

Czekam.

Dwadzieścia minut później grupa Amy wyłania się z makiety, prowadzona przez parę instruktorów. Amy jest z tyłu. Otwiera torebkę, grzebie w niej i przestaje. Założę się, że umiera z ciekawości, ile razy cudowny Rupert esemesował dziś do niej. Idzie z powrotem w kierunku makiety.

Liczę do trzydziestu i podchodzę do drzwi wejściowych. Rozglądam się. Wyjmuję klin, zamykam je pchnięciem i odchodzę, gdy słyszę dźwięk rygla. Niewidoczna dla kamer, upuszczam telefon Amy między stołówką a recepcją. Przeciagam identyfikator przez czytnik przy bramce bezpieczeństwa i przechodzę przez jezdnię na parking.

Podczas jazdy myślę o Amy, samotnej w ciemności, jeśli wszystkie wyjścia z samolotu zostały zaryglowane. Mam nadzieję, że ochrona nie znajdzie jej zbyt wcześnie, kiedy się zorientują, że nie wyszła z ośrodka i że siedząc w klasie ekonomicznej jak w upiornym grobowcu, uwięziona w środku skorupy samolotu tylko z instrukcjami bezpieczeństwa dla pasażerów dla zabicia czasu, Amy zdąży się zastanowić nad swoimi błędami.

Udaje mi się znaleźć miejsce parkingowe dokładnie przed moją kłitką.

Nie odebrałam dwóch telefonów. Jednego od agenta nieruchomości, a drugiego od mojego prawnika.

Dobra wiadomość: w Halloween będę już sąsiadką Nate'a.

## 21

W dniu jednego z wielu przedślubnych spotkań Belli z jej paczką – tym razem w luksusowym spa – jadę do Bournemouth. Parkuję, zlewam się ponownie perfumami – piżmowymi, mocnymi, ze sklepu bezcłowego – schodzę ze wzgórza w kierunku centrum i znajduję właściwy adres. Podaję recepcjonistce nazwisko i siadam w miękkim fotelu w poczekalni. Kremowe ściany zdobią zdjęcia jachtów, rezydencji i egzotycznych plaż. Dywany pachną nowością.

– Panna Price? – pyta mężczyzna, który wyłania się z drzwi na lewo ode mnie.

Wstaję, uśmiecham się i wymieniam z nim uścisk dłoni. Trzymam jego rękę ułamek sekundy dłużej niż to konieczne. Łatwo go rozpoznaję dzięki zdjęciom, które widziałam: wygląda przeciętnie, jest niższy od Nate’a i ma brązowe włosy. Ale za kilka lat będą mu opadały na bok i dostanie brzucha. Miles musi być dobre dziesięć lat starszy od Belli i ode mnie. Ma łagodne spojrzenie, kurze łapki, kiedy się uśmiecha, i wypielęgnowane paznokcie.

– Proszę wejść i usiąść – mówi. – Przepraszam, że kazałem pani czekać.

– Nic nie szkodzi – odpowiadam. – Wyobrażam sobie, że jest pan bardzo zajęty.

Błyskam pierścieniem zaręczynowym, żeby go zobaczył, gdy sięgam lewą ręką do torebki po dokumenty. To pojedynczy brylant oprawiony w złoto ze sklepu bezcłowego w Abu Zabi.

Kontaktowałam się z Milesem kilka razy „w sprawie porady”, a potem – powoli, ostrożnie – omotałam go. Znam Bellę. Znam jej stosunek do mężczyzn – niezbyt starannie ukrywaną pogardę. Zachowuje się lodowato i wykształciła w sobie wszystkie niezbędne cechy, żeby być dobrym materiałem na żonę dla



pewnego typu facetów. Ale Miles nie wydaje się ryzykantem, Gdyby myślał, że jestem singielką, trudniej byłoby go usidlić. Nie wpakowałby się w nic z kobietą, która mogłaby się okazać świrnięta na jego punkcie.

– A więc, panno Price...

– Proszę mi mówić Juliette.

– Dobrze, oczywiście. A ty mów mi Miles.

Waha się i uśmiecha.

Odwzajemniam uśmiech.

– Miles.

Odchrząkuje i obraca ekran na biurku, żeby przypomnieć mi nasze telefoniczne i mejlowe dyskusje.

Pochyłam się do przodu i słucham uważnie.

– Dzięki za dokładne wyjaśnienie wszystkiego.

– Jak już mówiłem, niektórzy ludzie uważają, że zarządzanie pieniędzmi jest skomplikowane, choć nie jest. Lubię ujawniać tę tajemnicę moim klientom.

– Widzę.

Mój telefon dzwoni. Zaprogramowałam fałszywe połączenie. Uśmiecham się przepraszająco i odrzucam je, ale potem odsłuchuję nieistniejącą wiadomość głosową.

– Muszę skrócić nasze spotkanie – mówię. – Ale już wiem, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tego zadania. Choć chciałabym mieć czas na przeczytanie wszystkiego, co przygotowałeś.

– Naturalnie.

Udaję, że się zastanawiam.

– Będę tu o tej porze w przyszłym tygodniu. Pewnie nie będziesz znów wolny, żeby odpowiedzieć na moje pytania?

Sprawdza w swoim terminarzu.

– Nie ma problemu, panno Pr... – Urywa i uśmiecha się. – Juliette.

Uśmiecham się.

Przed wyjściem znów podaję mu rękę z nadzieją, że zostanie tu po mnie zapach moich nowych perfum, żeby mnie zapamiętał.

Zaczynam się pakować. Dwie godziny później moją klitkę wypełnia miasto z tekturowych pudeł.

Mój telefon dzwoni. Nate. Odrzucam połączenie, jak mam to teraz w zwyczaju. Niedobrze mi się robi od jego wyniosłego tonu, kiedy próbuje „rozsądnie porozmawiać o naszej kłopotliwej sytuacji”. Będzie chciał, żebym coś podpisała albo zgodziła się na coś, co jest dla mnie niekorzystne.

Potrzebuję jakiejś odmiany, więc zaglądam na Facebooka. Amy dostała zwolnienie lekarskie z powodu stresu. Stresu! To słowo mnie irytuje. Zamieściła mnóstwo nudnych tyrad o swojej „męce”, gdy została uwięziona w ośrodku szkoleniowym. Była „szokowana” i „udręczona”. Akurat. Uciekinierzy ze stref wojennych mogą coś powiedzieć o szoku i udrećce. Ja mogę coś o tym powiedzieć. Ale nie ona. Rupert zabrał ją na wakacje na Mauritius. Szczęściara. Ma siatkę asekuracyjną w postaci Ruperta, rodziny i przyjaciół, gotowych jej pomóc w kłopotach. Powinna przez jeden dzień spróbować być mną, to by się przekonała, co to jest stres.

Nate znów dzwoni. Chwytam telefon.

– Czego teraz chcesz? – warczę.

To prawda, że od miłości do nienawiści jest jeden krok, i ja go zrobiłam. Przywiążę Nate’a do siebie z zemsty, nie z miłości.

– Muszę porozmawiać o czymś ważnym. Proszę.

– Niestety jestem zajęta.

– Szkoda – odpowiada Nate – bo mam wrażenie, że przeciągasz sprawę, a to nic nie da.

Sam ton jego głosu tak mnie wkurza, że wolę się nie odzywać. Ściskam telefon i mam ochotę rzucić nim o ścianę. Nate nie odpuszcza, dopóki nie dopnie swego.

– Lily? Jesteś tam?

– Coś ci powiem, Nate. Przyjdę do ciebie, jak wrócę z następnego rejsu. Mam dowód, który spowoduje, że zobaczysz sprawę w innym świetle.

Wzdycha słyszalnie.

– Nie możesz zrobić tego teraz?

- Niestety nie. Muszę się przygotować do jutrzejszego wczesnego lotu do Dżuddy.

Milczenie.

Wyobrażam sobie, że robi wszystko, żeby nie stracić cierpliwości.

- Lily, kiedyś coś dla siebie znaczyliśmy. Między nami nie musi być tak, jak jest. Przykro mi, że nie mogę się zgodzić na wszystko, czego byś chciała, ale proszę cię, postaw się na moim miejscu.

- Spróbuję - kłamie. - I byłoby świetnie, gdybyś mógł zrobić to samo dla mnie.

- Robię - odpowiada spokojnie. - I jak już mówiłem wiele razy, przykro mi.

Żegnam się i wracam do pakowania.

Lot do Dżuddy przebiega spokojnie. Tylko połowa samolotu jest zajęta i nie ma barków, nie trzeba więc wypełniać dokumentów celnych. Kiedy zbliżamy się do lotniska, widzę rozległy, biały, podobny do namiotu dach pobliskiego Terminalu Hadżdż.

Łądujemy i obsługa naziemna proponuje żeńskiej części załogi wypożyczenie abaji - czarnych, przypominających sukmany strojów. Na szczęście jestem lepiej przygotowana niż do mojego pierwszego lotu do Arabii Saudyjskiej, do Rijadu, w zeszłym miesiącu - kupiłam sobie i zapakowałam chustę na głowę, choć etykieta ubioru jest tu bardziej liberalna niż w Rijadzie. Czuję spojrzenia tłumów na zewnątrz przylotów, gdy jesteśmy prowadzeni do minibusu. Wrześniowy upał. Na dworze są trzydzieści trzy stopnie, mimo że prawie północ.

Jedziemy przez płaską, dobrze oświetloną, nowoczesną okolicę. Bardziej wyczuwam, niż widzę, bliskość pustyni. Większość budynków, jeśli nie jest biała, to różowa lub piaskowa. Zielone drogowskazy są po arabsku i angielsku, orientuję się więc, że jesteśmy w drodze do centrum miasta. Ruch jest gęsty, jak na tę porę nocy, i niekończące się rzędy białych taksówek stoją wzdłuż obsadzonych palmami ulic. Widać wiele placów budowy: rusztowania, jasne lampy i żurawie.

Zatrzymujemy się przed standardowym sieciowym hotelem z nazwą wypisaną złotymi literami. Kiedy wysiadam, prawie czuję chłód pobliskiej małej fontanny. Tworzy atmosferę wakacyjnej egzotyki. Nasze bagaże zostają szybko wyładowane i czekający portierzy zabierają nas do recepcji.

Jest tu więcej swobody, niż się nasłuchiłam w kuchni pokładowej, bo recepcjonista zbiera nas w holu i podaje możliwości zwiedzania. Kiedy go słuchamy, dostajemy świeże mango i sok pomarańczowy.

Następnego ranka kilkoro z nas gromadzi się na końcu długiego mola w prywatnym klubie plażowym nad Morzem Czerwonym w oczekiwaniu na przydział płetw i rurek do nurkowania. Przeciagam się i rozkoszuję gorącem na skórze, choć jest dopiero dziesiąta rano.

Dostaję od instruktora sprzęt, reguluję paski, schodzę niezgrabnie po drabince i opuszczam się do ciepłego jak kąpiel w wannie turkusowego morza. Pod powierzchnią otwieram oczy i powala mnie eksplozja kolorów. Tęcza przy tym to nic. Danio pręgowane pływają między koralowcami, a większe, jaskrawożółte ryby obserwują mnie niebieskimi oczami. Przezroczyste purpurowe meduzy w kształcie balonów unoszą się w oddali. Mniejsze, metaliczne ryby tworzą ławice.

Przy biryani z jagnięciną i gazowanym napoju limonkowym na lunch w klubowej restauracji – gdzie odpoczywamy w chłodzie od południowego upału – tęsknię za Nate'em mimo złości na niego. Nostalgia dopada mnie i przypomina moją samotność w tym zachwycającym otoczeniu, gdzie nie mam z kim dzielić się wrażeniami. Chętnie wysłałabym mu zdjęcia, które zrobiłam rano na plaży.

Późnym popołudniem, z powrotem w przyjemnym chłodzie pokoju hotelowego, piszę mejla do Milesa. Pytam go, czy w przyszłym tygodniu moglibyśmy pójść na lunch, zamiast spotykać się w jego biurze. Odpisuje po kilku minutach, że bardzo chętnie. Powiedziałam mu, że mimo odziedziczonego

majątku pracuję w biurze podróży, bo „uwielbiam to”. Pominęłam szczegóły mojego zajęcia z wyjątkiem tego, że muszę dużo podróżować.

Podczas spokojnego sześciopółgodzinnego lotu do domu układam w wolnym czasie scenariusze mojej wizyty u Nate’a i spotkania z Milesem.

Łądujemy na Heathrow w ulewnym deszczu. Uwielbiam kłaść się rano do łóżka przy brzydkiej pogodzie i myśleć o „zwykłych” ludziach, którzy właśnie wychodzą do pracy.

W niedawno odnowionym gastropubie wybieram stolik w rogu z kanapą. Siadam i wygładzam nową sukienkę.

Miles przychodzi punktualnie.

Wstaję i uśmiecham się.

– Miles! Jesteś kochany, że wyszedłeś spotkać się ze mną. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu...

Wskazuję butelkę prosecco, którą zamówiłam.

– Czemu nie? Dziękuję.

Robię mu miejsce na kanapie obok siebie. Waha się przez moment, a potem siada przy mnie. Pytam go o renty i odpowiada mi o wiele za szczegółowo. Nie zostało mi tyle pieniędzy, ile on myśli, ale później poinformuję go przepraszająco, że mój decydujący o wszystkim narzeczony nalegał, żebym skorzystała z usług zaprzyjaźnionego z nim doradcy finansowego.

Zamawia kanpkę ze stekiem, ja też. Jest twarda i trudno ją jeść elegancko, ale kroję mięso na małe kawałki i daję radę.

– A teraz, kiedy już omówiliśmy sprawę – odzywam się, gdy kończymy – chciałabym dowiedzieć się trochę więcej o człowieku, któremu powierzyłam moją przyszłość. Mój narzeczony, Nick, nie ma głowy do interesów. Pasujemy do siebie pod wieloma względami i wiemy, że nasze małżeństwo będzie dobre dla naszych rodzin, które przyjaźnią się od pokoleń. Oboje spełniamy nasz obowiązek w sensowny, zgodny sposób. Ale dałam jasno do zrozumienia, że to ja będę odpowiedzialna za finanse.

– Bardzo mądrze – stwierdza. – Czym się zajmuje Nick?  
– Jest w tej samej branży co ja, ale specjalizuje się bardziej w organizacji podróży biznesowych niż wypoczynkowych. Zdrowie. Za początek naszej znajomości.

Stukamy się kieliszkami.

Mało opowiada o swoim życiu osobistym. Nie zamierzał zostać doradcą finansowym, raczej w to wpadł. Ale mówi, że nie narzeka.

– Twoja żona pracuje w podobnej branży? – pytam.

– Nie mam żony. Jestem zaręczony, jak ty.

– Jak się poznaliście?

Waha się, jakby niepewny, co odpowiedzieć.

– Przepraszam, to nie moja sprawa – mówię szybko. – Zawsze coś palnę, kiedy jestem trochę zdenerwowana. – Staram się wyglądać na zakłopotaną, a potem zmieniam temat. – Lubisz golf?

Już wiem, że tak. Poświęcam mu jeszcze piętnaście minut, po czym patrzę na zegarek.

– O! Muszę lecieć. Wielka szkoda. Miło się rozmawiało.

Wstaje, kiedy ja to robię.

– Bardzo.

– Skontaktuję się z tobą niedługo – mówię, podaję mu rękę i wychodzę, nie oglądając się za siebie.

Nie wystarczy fakt, że chyba dojrzał do tego, by go namówić do oszukania Belli. Chcę, żeby się we mnie zakochał. Chcę, żeby Bella przeżyła zawód miłosny i upokorzenie. Zwracanie na niego uwagi będzie działaniem od wewnątrz. Trzymaj przyjaciół blisko, ale wrogów jeszcze bliżej.

Skoro o tym mowa, to dzwonię do Nate'a, żeby mu powiedzieć, że jestem w drodze do jego mieszkania z moim „dowodem”.

Siedzimy na kanapie Nate'a oddzieleni poduszką.

Kiedy jest po wszystkim, Nate wstaje i karmi rybki. Tęcza połyka łąpczywie. Ja też wstaję, wyjmuję DVD z odtwarzacza i wkładam płytę z powrotem do jej pudełka.

– Chcesz kopię? – pytam. – Mógłbyś to obejrzeć wieczorem z Jamesem Harringtonem przy paru piwach i żarcu na wynos.

Nate ignoruje mnie.

Tłumię uśmiech.

Na płycie DVD Nate wygląda zupełnie normalnie. Jest szczęśliwy. Uśmiecha się i nie bełkocze. Sprawiamy wrażenie zwyczajnej młodej pary, kiedy wymieniamy przysięgi. Mimo że oglądałam to wiele razy, wciąż jestem zdumiona.

– Postaraj się nie popełnić cudzołóstwa – radzę. – Będzie cię to drogo kosztowało przy rozwodzie, o który zresztą i tak nie możemy wystąpić, dopóki nie upłynie co najmniej rok od ślubu. – Biorę torebkę. – A, i będziesz mnie widywał dużo częściej. Zostałam wyróżniona za moją rolę w ewakuacji kilka miesięcy temu i będę na okładce naszego wewnętrznego magazynu.

Zatrząskuję drzwi za sobą.

Zachowam na kiedy indziej wiadomość, że będziemy sąsiadami.

Między lotami do Aten, Singapuru i Vancouver zacieśniam kontakt z Milesem.

Godzinami starannie tak układam mejle i esemesy, żeby wywołać wrażenie, że staram się rozpaczliwie ukryć zauroczenie nim, ale nie zdołam.

Nasza korespondencja staje się mniej powściągliwa i oficjalna, a bardziej intymna. Dopóki nie jest jasne, że na następnym spotkaniu będziemy mieli tylko jeden cel.

W następnym tygodniu, w porze lunchu w ponurą październikową środę, zostawiam samochód na nieznanym mi parkingu w Poole. Nie jest to zbyt daleko od Bournemouth, ale w wystarczającej odległości na dyskretną schadzkę. Idę nadbrzeżem do hotelowej restauracji, gdzie czeka narzeczony Belli. Mewy pikują po kawałki jedzenia przy śmietnikach. Banery łopoczą i smród ryb zabija zapach morza. Policzki szczypią mnie od zimnego wiatru.

Miles siedzi przy stoliku w rogu. Wstaje i całuje mnie w kontynentalny sposób. Potem odsuwa krzesło dla mnie. Jest w

marynarce na miarę i twarzowej łososiowej koszuli. Wyczuwam rękę Belli w jego wyglądzie. Jeśli nauczyłam się czegoś o miłości, to tego, że nigdy nie należy poprawiać wizerunku faceta. Daje mu to poczucie pewności siebie, z czego ty nie masz nic, i zawsze korzysta na tym inna kobieta.

Kiedy już oboje siedzimy, bierze kartę win.

– Zamówić butelkę Pouilly-Fumé?

– Proszę bardzo – odpowiadam z uśmiechem. – Jestem trochę zdenerwowana.

– Ja też.

– Nie rozmyślałaś się?

– Nie. A ty?

– Nie. Nie mogłem przestać myśleć o tobie, odkąd się poznaliśmy. Bałem się, że źle odczytałem sygnały. Jak jakiś idiota.

– To tak, jak ja. Po prostu wiedziałam, że muszę zaryzykować, bo inaczej umrę w niewiedzy. Wyglądało na to, że coś nas łączy.

Zamawiamy. Pozwalam mu wybrać za mnie. Daję mu trochę porządzić, bo przypuszczam, że brakuje mu tego przy tak apodyktycznej narzeczonej jak Bella. Kiedy butelka jest pusta, a główne danie sprzątnięte, poruszam wiadomy temat.

– Uważam, że powinniśmy postawić sprawę jasno, żeby nie było nieporozumień.

Przytakuje.

– Nie chcemy zranić Belli ani Nicka, prawda? Wiąże nas z nimi poczucie obowiązku. Będziemy dyskretni. To będzie dla nas stale coś nowego i niezwykłego pod warunkiem, że do niczego nie doprowadzi. Zgoda?

Sięga przez stolik i bierze mnie za rękę.

– Sam bym tego lepiej nie ujął. – Pochyla się do przodu. – Pozwoliłem sobie zarezerwować tu pokój dla nas.

Dostaję lekkiego skurczu żołądka. Miles jest dość miły, jednak to nie Nate. Ale muszę to zrobić. Nie moja wina, że zostałam zmuszona do złamania przysięgi wierności. Gdybym miała wybór, byłabym tylko z jednym mężczyzną. Ale sytuacja zmusiła mnie do działania wbrew sobie.

Uśmiecham się.



– Co za zuchwałość. Ale podoba mi się mężczyzna, który bierze sprawy w swoje ręce. Zrezygnujemy z deseru i kawy?

Potem, kiedy Miles leży obok mnie, dzwoni Nate.

Odbieram.

– Cześć, kochanie. – Robię przeproszącą minę do Milesa.

Pokazuje na migi „dobrze” i znika w łazience.

Nate od razu przechodzi do rzeczy.

– Więc czego chcesz, Lily? Czego trzeba, żebyś była rozsądna?

Rezerwa, którą czułam wcześniej, znika.

– Powiem ci, kochanie – mówię. – Ale teraz jestem zajęta.

Przeciągam się i ziewam. Cieszę się, że Nate w końcu się opamiętał. Miałam nadzieję, że do tego dojdzie. Bo wymyśliłam sposób, jak Nate może mi wszystko wynagrodzić.

Następnego dnia umawiam się z Nate'em przed jego domem.

– Jesteś pełna niespodzianek – mówi, gdy wsiada do mojego samochodu. – Kiedy się nauczyłaś jeździć?

– Niedawno.

– To jakaś tajemnicza podróż, czy jesteś w nastroju, żeby mi coś zdradzić?

– To zbyt skomplikowane, żeby to wyjaśnić. Będziesz musiał mi zaufać.

Nate krzyżuje ręce jak kłótlive dziecko i wygląda przez okno.

Jadę według drogowskazów do M3 i kieruję się na południe. Każdą próbę nawiązania z nim rozmowy Nate kwituje chrząknięciem lub wzruszeniem ramion, włączam więc Guns N' Roses. Pierwszy leci utwór, którego słuchaliśmy w limuzynie w drodze na nasz ślub.

Po następnej półtoej godzinie skręcamy za New Forest do mojej dawnej wioski. Przejeżdżam obok małego kawałka zieleni ze starą czerwoną budką telefoniczną. Parkuję po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost Groszkowego Domku. W oknach nie ma zasłon, co uwydatnia brak bluszczu. Zerwano go i budynek pozostał goły i odsłonięty. Żywopłoty przycięto i są teraz dużo niższe niż kiedyś. Nowi właściciele najwyraźniej nie mają nic do ukrycia i pewnie chcą się włączyć do tutejszego życia. Powodzenia.

Wskazuję dom.

– Tu mieszkałam.

Nate zerka przelotnie na budynek i odwraca się do mnie.

– Nie mów mi, że wyciągnęłaś mnie na wycieczkę szlakiem wspomnień. Nie wyobrażaj sobie, że jak lepiej cię poznam, to zmienię zdanie. Zgodziłem się na dzisiejsze spotkanie tylko dlatego, że obiecałaś współpracować, jeśli cię wysłucham.

– Chcę ci coś pokazać. Chodź ze mną.

Otwieram drzwi, wysiadam i przeciągam się. Nate też wysiada i patrzy w kierunku domu. Jestem ciekawa, co myśli i czy próbuje sobie wyobrazić mnie mieszkającą tutaj. Owijam szyję szalikiem i zapinam guziki kurtki w daremnej próbie ochrony przed przejmującym wiatrem.

– Tędy – mówię i przecinam jezdnię.

Nate idzie za mną ścieżką obok domu, która prowadzi za budynek. Szeleszczące brązowe liście, gałązki i śmiecie – papierek po czekoladzie i ulotka reklamująca jedzenie na wynos – gonią nas w porywach wiatru. Między sztachetami drewnianego płotu widzę ogród. Część zarośli wycięto; środek ogrodu wygląda jak zaatakowany przez ogromne krety.

Starej posesji za Groszkowym Domkiem już nie ma. Po jej sprzedaży ziemię podzielono na trzy działki i wokół zaułka zbudowano nowe domy. Działki nie są ogrodzone i nic nie wyznacza ich granic. Zatrzymuję się przed środkowym domem. Na podjeździe stoi hatchback z żółtą nalepką „Dziecko w samochodzie” na tylnej szybie, ale wokół nikogo nie ma.

– Miałam brata.

Nate patrzy na mnie, a potem przed siebie.

– Co ten dom ma wspólnego ze mną?

– Nic. Wtedy jeszcze go nie było. Ale w tym miejscu on miał wypadek. Stał tu stary wiejski dom w ruinie, który należał do pewnego małżeństwa. Marzyli o postawieniu tu domków letniskowych, ale w połowie budowy zabrakło im pieniędzy. Zmagali się z tym przez kilka lat, ale utrzymanie terenu musiało być drogie i nigdy nie skończyli basenu. Została betonowa skorupa, ale dla nas – dzieci – to był magnes, mimo że w głębszym końcu zbierała się woda deszczowa, było brudno i ślisko, a na bokach rósł mech. – Uśmiecham się na to nagłe wspomnienie. – Wymyślaliśmy opowieści o żabach i ważkach w Sadržawkowym Świecie.

– Utonął?

Przytakuję.

– Ile miał lat?

– Dopiero co skończył cztery.

– Przykro mi. Jak to się stało?

Wzdrygam się.

– Zimno tutaj. Tamtego dnia tak nie było. To się stało w lecie...

Najwyraźniej wróciłam do przeszłości na dłużej, niż mi się zdawało, bo uświadamiam sobie, że Nate przynagła mnie.

– I?

– Moja mama miewała „nastroje”. I w takich momentach musiałam zabierać Williama z domu. Na czas, dopóki jej nie przejdzie. Dopóki się z tym nie upora.

– Nie byłaś jeszcze za mała?

– Miałam dziesięć lat.

– Więc to się nie stało z twojej winy.

Z mojej.

– On miał taki uśmiech, że czasami chciałam się nim opiekować. Potrafił mnie rozweselić, nawet kiedy się złościłam, że muszę go pilnować. William Florian Jasmin. William od goździka brodatego nazywanego „słodkim Williamem”. Florian, bo to po łacinie „kwitnący kwiat”. I Jasmin od jaśminu. – Uśmiecham się. – Ale był też rozpieszczony. Moja matka za bardzo mu dogadzała, żeby demonstracyjnie wynagrodzić mu swój brak umiejętności rodzicielskich. Mógł wrzeszczeć, kiedy chciał postawić na swoim, i czasami było tego wszystkiego za dużo.

– Wygląda na to, że mama lubiła nazwy kwiatów. – Robi pauzę.

– Ale to smutne. Straszna tragedia dla was wszystkich.

– Powiedziała mi kiedyś, że jej pierwszym wspomnieniem było zrywanie kwiatów z jej matką. Ale widocznie miała też kapryśny charakter.

Wzdrygam się.

– Dlaczego mi powiedziałaś, że byłaś jedynaczką?

– A co miałam powiedzieć? – Milknę. – Wystarczy mi tego tutaj. Chcę wracać.

W drodze do samochodu kończę smutną historię, skróconą wersją, którą opowiedziałam wszystkim.

– Poślizgnął się i wpadł. Wszystko stało się bardzo szybko. Nie zdążyłam nic zrobić.

Nate ściska moją rękę, kiedy zapinam pas bezpieczeństwa. Wygląda na to, że miałam nosa, żeby go tu przywieźć. Opłaciło się.

Jadę wąskimi bocznymi drogami na cmentarz dziesięć kilometrów dalej. Wdycham charakterystyczny zapach obornika, gdy mijamy odległe budynki gospodarskie. Przez kilka minut wlecemy się za ciągnikiem z prasą na holu. Na każdym wyboju sypie się z niej słoma. Ilekroć chcę go wyprzedzić, ktoś nadjeżdża z przeciwka.

Nate cały czas milczy.

Cmentarz otacza wysoki kamienny mur. Kiedy wjeżdżam przez otwartą czarną bramę z kutego żelaza, czuję się niepewnie. Może to jednak był zły pomysł, bo jestem tu pierwszy raz od pogrzebu. Parkuję, ale ruszam się dopiero wtedy, gdy Nate otwiera swoje drzwi. Na dźwięk ich zamka wracam do terażniejszości.

Nie pamiętam dokładnie miejsca. Zbyt wiele lat wymazywałam wspomnienia. Wędrujemy ścieżkami wśród przekrzywionych nagrobków, drzew, mieszaniny świeżych i więdnących kwiatów, aż wreszcie – dzięki wytrwałości – znajdujemy nasz cel. Jest blisko granicy terenu obok rzędu cisów.

„William Florian Jasmin 1996 – 2000”.

Stoimy bez ruchu w milczeniu przed wyrytym w kamieniu napisem.

„Kocham cię, jak stąd do Księżycy i z powrotem”.

Ja wybrałam te słowa.

Wiatr przedziera się przez gałęzie w górze i liście muskają moje buty. Słyszę szepty. Gdybym wierzyła w duchy, przywitałabym się z nim.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie byliśmy razem wystarczająco długo.

Niewiele mówimy, kiedy wyjeżdżamy z wioski i wracamy głównymi drogami do Londynu.

Nate wygląda przez okno, jakby pogrążony w myślach.

– Myślisz czasem o swoich szkolnych latach? – pytam,

przerywając milczenie.

– W jakim sensie?

– Lubieś je?

– Ogólnie, tak.

– Ja nie.

– Dużo się działo w twoim życiu. To chyba zrozumiałe.

– Wymykałeś się na papierosa? Przemyciałeś nielegalne napoje? Imprezowałeś?

Patrzy na mnie.

– Chodziłem tylko na zorganizowane zabawy – tańce na koniec każdego semestru, takie rzeczy. I oczywiście na letnie i zimowe bale. Każdy pił i palił w pewnym momencie. A dlaczego?

– Byłam ciekawa. – Milknę. – Powrót do tamtego miejsca zawsze wywołuje u mnie wspomnienia. Dużo miałeś dziewczyn?

– Niezbyt.

Patrzę na niego, żeby zobaczyć, czy zamierza coś dodać, ale odwraca się twarzą do okna i z powrotem pogrąża w myślach.

Ja też.

Zatrzymuję się przy autostradzie na lunch.

Kiedy stoimy w długiej kolejce, patrzę przez szklaną ladę na kanapki, muffinki i ozdobione pająkami lub wiedzdmami ciastka w kształcie dyni. Wizja jedzenia mnie odrzuca, ale biorę paczkę chipsów do kawy. Jest tłok, musimy więc siedzieć przy stoliku z jakimś starszym małżeństwem.

Kiedy kończą swoje kawy i wychodzą, Nate dojada kanapkę z szynką i musztardą i zagaja:

– To musiało być straszne dla ciebie i twojej rodziny.

– Było trudne. – Przerywam i szukam właściwych słów. – Druzgoczące.

Sięga przez stolik i kładzie rękę na mojej.

– Dlatego twoi rodzice się rozeszli?

– To by się pewnie i tak stało – mojego ojca często nie było – ale może ich smutek miał na to wpływ. Moja matka zawsze lubiła wypić, jeszcze przed tym. – Milknę, uświadomiwszy sobie, że

mogę być przez to mniej atrakcyjna. – To nie jest dziedziczne – dodaję, mimo że on niewiele może powiedzieć. – Dużo czytałam na ten temat.

Zabieram rękę spod jego dłoni. Jego próba okazania współczucia jest dziwnie krępująca. Wiem, że Nate ma „problemy” ze swoimi rodzicami. Jego matka może być trochę oziębła, a ojciec niecierpliwy; zawsze mówił Nate’owi i Belli, że „byle co nigdy nie wchodziło w rachubę”. Nate pewnie porównuje teraz swoje problemy z moimi i uświadamia sobie, że właściwie nie ma żadnych ważnych „problemów”.

W ogóle żadnych.

– Przykro mi, że to cię spotkało. Proponowano ci pomoc? Wsparcie? Takie rzeczy?

Kręcę głową.

– Chodzi o to, że wciąż nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszą sytuacją – mówi łagodnym tonem.

Zaczyna się. Następne zdanie potwierdza moje obawy.

– Wiedza o twoim bracie... – Urywa, bez wątpienia usiłując wyrazić się na tyle taktownie, na ile potrafi. – No cóż... nie zmienia tego, co trzeba zrobić.

– Było nam dobrze razem. Dlaczego spędziłeś ze mną czas w Vegas, skoro nie mogłeś znieść tego, że znów będziesz blisko mnie?

– Lily, lubię cię. Jesteś atrakcyjna i potrafisz być fajna. Ale jest wielka różnica między trzymaniem się razem a zaangażowaniem, które zmienia życie. Dlatego to, co między nami zaszło, było błędem. – Milknie, jakby starannie dobierał następne słowa.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – wtrącam – ale dlaczego nie dasz nam jeszcze jednej szansy?

Otwiera usta, ale uciszam go podniesieniem ręki.

– Nie skończyłam. Kupiłam mieszkanie blisko twojego i niedługo się tam wprowadzam. Proszę tylko o to, żebyś dał mi sześć tygodni. Na kontakty towarzyskie – przyjacielskie, jeśli wolisz. Bez pośpiechu. A potem, jeśli nadal nie zmienisz zdania, zostawię cię w spokoju na dobre i nawet nie będziesz wiedział, że jestem twoją sąsiadką. Masz na to moje słowo.

Nie odpowiada.

– No więc?

– Żartujesz, tak?

– Nie.

– Dlaczego blisko mnie? Mogłabyś zamieszkać wszędzie. W Nicei, Barcelonie, Amsterdamie, Dublinie. Jak wiele załóg. Powinnaś wykorzystać to, że masz pracę, która ci to umożliwia.

– A dlaczego ty nie mieszkasz za granicą?

– Bo wybrałem Richmond. Sam. To nie miało nic wspólnego z nikim. Nie musiałaś wybierać akurat mojej okolicy.

– Proszę tylko o sześć tygodni.

– A potem co? Przeprowadzisz się, tak po prostu?

– Nie wiem, mogłabym stracić mnóstwo pieniędzy. Zobaczymy. Ale mogę obiecać, że dam ci spokój.

– Mogę to dostać na piśmie? – pyta tonem, który nie brzmi, jakby żartował.

– Skoro mi nie ufasz.

Jakbym zamierzała to zrobić.

Nate pomaga mi się wprowadzić do nowego mieszkania. Choć czuję, że robi to, bo chce mieć na oku mnie i mój nowy dom – co jest dziwnym odwróceniem ról – korzystam z tego. Ostatecznie, nie miał nic przeciwko temu, żeby mi pomóc przenieść się do Reading.

Po sprzątnięciu klitki i zrobieniu spisu inwentarza z agencją oddaję moje klucze z autentycznym uśmiechem. Załadowujemy oba nasze samochody i nie oglądam się za siebie, kiedy odjeżdżam z miejsca, gdzie i tak nigdy nie chciałam mieszkać.

Nate jedzie za mną z powrotem do mnie. To mniej niż minuta spaceru od niego, na skos w lewo. Zostawiam samochód przed domem i włączam światła awaryjne, gdy Nate zabiera moje rzeczy z małego bagażnika i tylnego siedzenia. Mimo że na poddasze prowadzą dwie kondygnacje schodów, uwija się bez narzekania i jest ogólnie bardzo pomocny.

Kończymy po niecałych dwóch godzinach. Może nie nienawidzę



go aż tak, jak myślałam.

Mimo małej przestrzeni muszę kupić jakieś meble. Łóżko – teraz mam dmuchany materac – stół, krzesła i kanapę. Potrzebuję też różnych przyborów kuchennych. Ale w mieszkaniu jest już gustowny kremowy dywan, a w kuchni pralka i zmywarka.

Zamawiamy sushi, siadamy na podłodze i jemy pałeczkami z kartonów. Czuję się tak, jakby między nami nigdy nie zaszło nic złego. Jest takie naturalne, że spędzamy razem czas. Od dawna nie byłam tak optymistycznie nastawiona. A jednak uważam, że muszę poruszyć jedną kwestię. Chcę pierwsza przedstawić swoją wersję.

– Twój przyjaciel Rupert widuje się z dziewczyną, z którą się szkoliłam. Niedawno przyszedł z nią do ciebie.

– Jak ona ma na imię?

– Amy.

– A, tak, pamiętam.

– Ona jest trochę niezrównowazona. Dziwnie się zachowała, kiedy o tobie wspomniałam. Uznała za dziwne, że nie wspomniałam o tobie wcześniej – mimo że nie byliśmy razem, więc po co miałabym to robić?

Wzrusza ramionami.

– Mnie wydała się w porządku.

– Wiadomo. A kto się przyznaje do tego, że trochę zmyśla? Nikt, kogo znam. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że Rupert się zorientuje, jaka ona jest.

– Rupert na pewno potrafi zadbać o swoje sprawy.

Dodaję trochę wasabi do sosu sojowego, mieszam i maczam w tym kawałek łososia i ryż.

Milczymy.

Nate wydaje się bardziej spięty, niż początkowo wyglądało, jakby tu siedział na siłę.

Sprawdzam go.

– Powiedziałaś swojej rodzinie, że się ożeniłeś?

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Nie. Mama by się zdenerwowała.

– A co ty na to, żeby mnie poznała?

– Nie.

Zostawiam to.

Kiedy Nate hałaśliwie zbiera się do wyjścia, nie narzekam ani nie mam więcej wymagań. Dziękuję mu, żegnam się z nim wesoło i puszczam go. Wiem, że czeka na dogodny moment, żeby wstawić swoją gadkę: „bardzo mi przykro, Lily, zrobiłem, co mogłem”, więc zamierzam spróbować innego podejścia.

Wiem, że ojciec Nate’a przeszedł na wcześniejszą emeryturę z jakiegoś wysokiego stanowiska w bankowości i bardzo interesuje się golfem, a jego matka udziela się towarzysko, lubi tenis i pływanie i ma liczne hobby. Jest też członkinią zarządu jakiejś fundacji charytatywnej na rzecz kultury i sztuki. Googluję to. Zapewniają darmowych fotografów. Drążę głębiej. Matka Nate’a i Belli – Margaret – zajmuje się też fotografią. Ma małe studio blisko domu w Canford Cliffs, ekskluzywnej części Pool, gdzie się przeprowadzili dziesięć lat temu. Otwiera je w poniedziałki i czwartki rano.

Znajduję ich dom w Google Earth. Jest wspaniały i wyraźnie ma zapierający dech widok na zatokę. Robię zbliżenie i widzę patio z wielkim stołem ogrodowym. Domyślam się, że odbywa się tam wiele zgromadzeń rodzinnych. Wyobrażam sobie, jak Nate tam siedzi, rozkoszuje się widokiem i opowiada o swoich ostatnich podróżach.

Esesesuję do Milesa.

„Nie mogę się doczekać naszego następnego spotkania. X”.

Odpisuje po pięciu minutach.

„Czwartek? To samo miejsce?”

Jak będę w tamtej okolicy, to mogę przy okazji zobaczyć pracę Margaret. Jestem w nastroju do działania, zamawiam więc meble: łóżko, małą kanapę i kilka narzut i poduszek.

Zamierzam się tu zadomowić na dobre; po raz pierwszy w życiu naprawdę zapaść korzenie.

Następnego ranka wstaję wcześnie i bardzo starannie wkładam uniform. Dziś pierwszy raz występuję w nowej roli na niepełnym etacie. Zostanę sfotografowana do wewnętrznego magazynu,

muszę więc wyglądać najlepiej jak mogę. Mam nadzieję, że będę miała zdjęcie, które będzie przypominało Nate'owi o moim istnieniu, ilekroć przyjdzie do pracy.

Przyjeżdżam punktualnie i znajduję szefa zespołu promocji, poważnego człowieka – również członka załogi – ale najwyraźniej żadnego władzy. Zrobił listę wszystkich swoich niedorzecznie wysokich oczekiwań według ich ważności i widać po nim, że jest zdecydowany przestać latać, żeby zajmować pozornie wyższe i lepsze stanowiska na ziemi.

Oprócz mnie – ambasadora bezpieczeństwa – są jeszcze trzy inne osoby, które wyróżniono zaszczytem promowania zaangażowania, zdrowia i integracji zespołowej.

Dzień nie jest fajny; gorszy niż w ośrodku szkoleniowym. W kurtkach odbłaskowych i goglach ochronnych, fotograf i ja zostajemy wysłani do strefy dla pasażerów po odprawie i jedziemy busem do hangaru. Muszę się wspiąć po chwiejnych metalowych schodach obsługowych do samolotu i stale uważać, żeby nie wchodzić w drogę mechanikom. W środku dostaję polecenie pozowania tam, gdzie są potencjalne niebezpieczeństwa: wykładziny dywanowe z odstającymi krawędziami i znak zakazu wrzucania szkła do zgniatarki do śmieci. I muszę się prawidłowo trzymać poręczy schodów na górny pokład.

Po powrocie do centrum zgłoszeniowego załóg mamy grupowe zdjęcie; uśmiechamy się szeroko, stojąc obok siebie. Główna korzyść z tej roli jest taka, że dostajemy pokój biurowy – aczkolwiek wspólny – do naszego użytku. To daje mi ewentualne dojście do poufnych informacji o innych, bo moje nowe hasło umożliwia szerszy dostęp do systemów firmy. Oprócz regularnych spotkań mamy obowiązek regularnie, pozytywnie uaktualniać magazyn, zachęcając naszych kolegów, żeby zwracali większą uwagę na bezpieczeństwo, własne zdrowie i wzajemnie na siebie.

Nadgorliwy szef informuje nas, że na okładce będzie zdjęcie grupowe, a najgorsze – moje – na trzeciej stronie. Jest okropne. Stoję w kokpicie obok środkowej konsoli z pustym kubkiem w

ręku i zatroskaną miną. Przy mnie będzie ostrzeżenie, żeby ostrożnie podawać napoje pilotom. W artykule będą jakieś nudy – statystyki awarii i dane techniczne nowych komponentów.

Z ulgą wracam do nowego domu. Zrzucam szpilki, włączam radio, wybieram stację, która non stop nadaje utwory z list przebojów, i wyjmuję ze skrytki moje tablice korkowe, żeby je powiesić w kuchennej szafce. Nie mogą być na widoku, kiedy przyjdzie Nate. Choć nie odwiedza mnie tak często, jak bym chciała, muszę przyznać, że przynajmniej wykazuje chęć.

Muszę też schować jedno pudełko; to z moimi najbardziej osobistymi rzeczami. Podzielę się niektórymi z Nate'em, kiedy uznam, że jest w odpowiednim nastroju.

Mój telefon wibruje. Miles.

„Możemy to przełożyć? Praca. Muszę odwiedzić klienta w Tokio. Nie będzie mnie tydzień”.

To frustrujące. Jest niezłym towarzyszem i lubię z nim być. Mimo że Bella jeszcze nie wie, czuję satysfakcję. Za trzy dni lecę do Singapuru. Sprawdzam możliwość zamiany. Są dwa loty do Tokio, ale tylko jedna osoba chce się zamienić – koniecznie na Stany. Mejluję do drugiej.

Kiedy czekam na odpowiedź, odpisuję Milesowi.

„Nie ma mowy! Co za przypadek! Dowiedziałam się dzisiaj, że ja też będę musiała polecieć do Tokio! Trzeba sprawdzić nowy hotel. Skontaktuję się z tobą, jeśli to wyjdzie. To musi być przeznaczenie”.

Mejl ze zgodą na zamianę przychodzi w tym samym momencie, gdy dostaję entuzjastyczną odpowiedź od Milesa. Tak jak mu napisałam – to przeznaczenie. Cieszę się na spędzenie z nim dłuższego czasu; to okazja do niewinnego, delikatnego podpytania go o słabe punkty i obawy Belli.

Cierpliwość popłaca.

## 23

Czekam na Milesa na dwudziestym siódmym piętrze hotelowego wieżowca, który słynie z widoku na Tęczowy Most w Tokio. Bar jest słabo oświetlony. Świeczki migoczą na niebieskoszarych stolikach, ich blask zlewa się ze światłami miasta za ogromną szklaną ścianą. Czerwone, białe i niebieskie iluminacje na moście w dole odbijają się w wodzie. Brzdąkanie pianina tworzy dyskretne tło rozmów miejscowej, wytwornie ubranej klienteli, wśród której pojawiają się rozproszone grupy ludzi z Zachodu.

Nudzę się.

Reszta załogi poszła do baru karaoke, gdzie zapowiadał się niezły ubaw, i była z nimi jedna facetka, która wydaje się fajna. Gdybym miała czas, zakumplowałabym się z nią. Potrzebuję nowej przyjaciółki po rozstaniu z Amy.

Miles wyrasta obok mnie.

– Bardzo przepraszam – mówi. – Spotkanie się przeciągnęło.

Następuje niezręczny moment, bo Miles wydaje się niepewny, jak się ze mną przywitać. Choć jesteśmy daleko od domu, stara się być wyjątkowo ostrożny przy ludziach. Całuje mnie w każdy policzek i siada przy mnie.

– Czego się napijesz? – pyta.

Biorę kartę koktajli i czytam angielskie nazwy, bardzo pomocne przy japońskich symbolach. Wybieram Green Destiny, mieszankę wódki, ogórka, kiwi i soku jabłkowego. Miles bierze margaritę.

– Mój hotel jest kawał drogi stąd – mówię – wzięłam więc ze sobą małą torbę z rzeczami do przenocowania. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Porusza się lekko na krześle.

– Chyba słusznie. Myślisz, że Nick będzie się z tobą kontaktował?

– Wątpię. – Kładę dłoń na jego rękę. – Bez obaw. Jeśli Bella zadzwoni, zniknę. Zarygluję się w łazience i zasłonię uszy.

Śmieje się.

– Pewnie nie zadzwoni.

– Jest zajęta, kiedy cię nie ma?

– Ona zawsze jest zajęta.

Milczę i czekam, aż to rozwinie, ale na próżno.

Rozluźnia krawat i opiera się wygodnie.

Po drugim drinku zaprasza mnie do pokoju. W momencie, gdy drzwi zamykają się za nami, wyciągamy do siebie ręce.

Rozkoszuję się każdą chwilą, w której zabieram go Belli.

Miles zasnął.

W pokoju cuchnie stęchłym dymem – co jest obcym zapachem, bo palenie jest teraz zabronione w wielu hotelach na świecie. Zmuszam się, żeby odczekać dwadzieścia minut, zanim zacznę węszyć. Tablet i telefon chroni hasło. Próbuję kilka razy, wprowadzając datę urodzenia Belli, a potem Milesa – którą znajduję w paszporcie – ale bez skutku. Neseser jest otwarty. Przeglądam papiery klienta, ale są nudne. W portfelu nie ma nic interesującego, poza zdjęciem Belli z pozaginanymi rogami.

Zawsze miała taki sam uśmiech. Ilekroć go widzę, przypomina mi uśmiech zabójcy.

Jest również jakaś lista. Rozpoznaję charakterystyczne pismo Belli. Na sam jego widok czuję się nieswojo. Jej wielkie litery są przesadnie ozdobne. Wśród spisanych próśb (lub żądań) – na przykład, żeby Miles zorganizował miesiąc miodowy – jest kilka propozycji miejsca ich wesela.

Najbardziej odpowiada jej jakaś willa we włoskim stylu w ogrodach, blisko domu jej rodziców, i parę hoteli wymienionych w kolejności jej preferencji.

Biorę swój telefon i fotografuję wszystko, co odkryłam, jako przypomnienie, a potem siadam na brzegu łóżka i gapię się na ścianę. Nie mogę się wyłączyć. Gdyby Bella tu była, pewnie by spała – obojętna na wszystko, z wyjątkiem głupich planów

ślubnych. Zastanawiam się, co mogę zrobić, żeby je pokrzyżować. Ona nie zasługuje na długie i szczęśliwe życie. Karma to jakiś mit, skoro ktoś taki jak Bella znajduje szczęście bez wysiłku, a takie osoby jak ja muszą się męczyć.

Czasami myślę o tym, co będzie, kiedy Bella i ja znów się spotkamy. Wyobrażam sobie, co powiemy. I choć sytuacje się różnią, zawsze zwyciężam ja. To ja mam ostatnie słowo. Nauczyłam się jeździć na nartach, konno i grać w tenisa. Odwiedziłam te same miejsca, co ona, poznałam większość jej znajomych – jeśli nie osobiście, to w mediach społecznościowych. Jestem całkowicie gotowa do integracji z jej światem, żeby to ona chciała być moją przyjaciółką, a nie odwrotnie.

Miles kręci się we śnie. Powinam zostawić coś w jego walizce, żeby to znalazła, jakąś małą przestrożę, żeby się niepokoiła w czasie jego podróży służbowych. Żeby się stała neurotyczką, mniej pewną siebie i trochę bardziej pokorną. Kimś, kogo Miles nie będzie szanował. To musi być coś subtelnego, żeby Miles mnie nie podejrzewał. Spryskuję perfumami wyściółkę walizki i zamykam wieko z nadzieją, że zawartość przesiąknie zapachem. Byłoby idealnie, gdyby to Bella ją rozpakowała, choć wątpię, że to robi.

Idę do łazienki. Zaglądam do skórzanej saszetki z przyborami toaletowymi. Jest w niej niewiele: dezodorant, balsam do ust, żel do włosów i obcinacz do paznokci. Siadam na brzegu wanny, przyglądam się japońskiemu panelowi sterowniczem toalety i staram zorientować, co oznaczają symbole na przyciskach. Po dalszym namyśle zakradam się z powrotem do pokoju i otwieram szafę. Sprawdzam dotykiem wnętrza kieszeni jego marynarki. Puste. Przeszukuję swoją torbę, ale nie ma tam nic, co mogłabym zostawić bez wzbudzania podejrzeń Milesa, że to ja.

Perfumy będą musiały wystarczyć.

Na razie.

Ale robię zdjęcie Milesa. Zamieram, kiedy błyska flesz, ale on się nie rusza.

Wchodzę do łóżka, kładę się blisko krawędzi i obserwuję, jak zmieniają się czerwone cyfry na wyświetlaczu budzika.

Fantazjuję, że Nate stanie się inny, co sprawi, że znów go pokocham. Moglibyśmy zacząć od nowa, postępować jak należy: umawiać się na randki, kochać, robić wszystko inaczej. W myślach widzę coraz więcej szczegółów, aż w końcu zasypiam.

Budzik wyrywa mnie ze snu. Pochyliam się i patrzę na telefon w mojej torebce; jest siódma rano czasu tokijskiego.

Miles siada, przeciąga się i znika w łazience. Kiedy słyszę prysznic, wchodzę i dołączam do niego. Nie sprzeciwia się. Nate mógłby się od niego nauczyć zapału.

Kiedy oboje jesteśmy ubrani i gotowi, idziemy korytarzem do jadalni na śniadanie.

Miles przez większość czasu stuka w telefon.

– Co dziś robimy? – pytam, nadziejąc na widelec kawałek melona.

– Co masz na myśli?

– Może poszlibyśmy do Pałacu Cesarskiego albo...

– Ja pracuję – odpowiada. – Ty chyba też?

– Oczywiście, ale mam trochę wolnego czasu. Więc?

Patrzy na mnie.

– Nie przyjechałem tu na zwiedzanie i już tam byłem z... – Urywa.

– W porządku, możesz mi zdradzić jej imię – mówię.

– Przepraszam, Juliette, ale muszę mieć spokój. Mam dziś mnóstwo do zrobienia.

– Dobrze. A co powiesz na wspólną kolację?

– Niestety nie mogę. Jem z klientem.

– Mogłabym się przyłączyć? Jako koleżanka po fachu.

– To nie jest dobry pomysł.

– Ale jutro wracam do domu.

– Więc będziemy mogli się spotkać dopiero tam. Wybierzesz czas i miejsce i nic mnie nie powstrzyma od przyścia. – Uśmiecha się, ale z przymusem.

– No to idę.

Patrzy na swój telefon.



Wstaję. Czuję się odprawiona z kwitkiem.

– Przykro mi, Juliette. Muszę coś pilnie załatwić.

– Oczywiście. Rozumiem.

On też wstaje i całuje mnie w policzek.

Oglądam się za siebie, kiedy wychodzę, ale nie patrzy na mnie. Zajął się z powrotem telefonem.

Wściekam się podczas dwunastogodzinnego lotu powrotnego, który wydaje się ciągnąć w nieskończoność.

Leżę na dolnej kuszetce, ukryta przed wszystkimi.

Przy latarce robię listę podobieństw między Nate'em i Milesem.

Kiedy otwieram pchnięciem drzwi klatki schodowej do mojego mieszkania, blokuje je stos poczty, ulotek z pizzerii i próśb organizacji charytatywnych. Schylam się, żeby je podnieść. Moich sąsiadów z dołu chyba nie było w nocy, bo zwykle układają starannie listy do mnie na najniższym stopniu. Po wciągnięciu na górę rzeczy nie mogę odpocząć, bo muszę czekać na zamówione łóżko.

Zostaje dostarczone przed południem i dostawcy pomagają ustawić małą podwójną ramę. Kiedy wychodzą, zmagam się z butelkowozieloną kołdrą, którą niedawno wzięłam od Nate'a, bo nie była jego ulubioną, a potem naciągam na dwie poduszki poszewki w takim samym kolorze i potrząsam nimi mocno przed rzuceniem ich na nowe łóżko.

Mieszkanie zaczyna powoli wyglądać jak moje. Na pustych ścianach przydałyby się jakieś nowe zdjęcia, wybieram więc ulubione fotografie Nate'a, które zamierzam oprawić.

Następnego dnia jest czwartek, jeden z dni, kiedy matka Nate'a otwiera swoje studio.

Łatwo je znaleźć. Parkuję na pobliskiej, obsadzonej drzewami ulicy i dochodzę do szklanych drzwi.

Jest w środku sama, siedzi za zwyczajnym biurkiem. Wygląda starzej niż na zdjęciach, ale jest elegancka i powściągliwa, co zauważyłam, kiedy widywałam ją przelotnie w szkole. Siedzi wyprostowana na małym stołku i czyta jakiś magazyn. Jej okulary pasują kolorem do granatowego topu. Przez krótką chwilę uważam, że nie jest podobna do córki – a tym bardziej do syna – ale wtedy otwiera usta. I nawet z zamkniętymi oczami wiedziałabym, że są spokrewnieni.

Serce zaczyna mi bić trochę szybciej.

– Dzień dobry – mówi, podnosząc wzrok znad magazynu o sztuce, jak teraz widzę. – Proszę śmiało pytać o wszystko.

– Dziękuję – odpowiadam z uśmiechem. – Przejeżdżałam obok kilka razy i pani witryna zawsze zwracała moją uwagę. Zamierzałam tu przyjść. I dziś pomyślałam, że wreszcie znajduję czas.

Rozglądam się. Mało wiem o sztuce i fotografii, ale przed wyjściem z domu wyszukałam kilka przydatnych rad. Najwyraźniej dobrze jest pochwalić fotografa za pracę z pomysłem i po prostu docenić samą scenę.

Wyrażam zainteresowanie jednym z droższych zdjęć – czarno-białą fotografią regat.

– Bardzo mi się podoba. Wpadły mi w oko te rozproszone białe trójkąty żagli. Gdzie to zostało zrobione?

Rozpromienia się.

– W zatoce, w zeszłym roku. To widok z okna mojego salonu.

Tak przypuszczałam.

– Kupię to dla mojego męża. Zrobię mu niespodziankę.

– Mam nadzieję, że jemu też się spodoba. Żeglujecie? – pyta, kiedy pakuje zdjęcie.

– Raczej nie. Ale, z drugiej strony, nie miał czasu. Pobraliśmy się zaledwie kilka miesięcy temu. Bardzo mu się śpieszyło, nie chciał czekać, wzięliśmy więc ślub w Vegas.

– To ekscytujące.

– To był zdecydowanie najlepszy dzień w moim życiu. Jedyny problem jest taki, że on nie wie, jak oznajmić to rodzinie.

Podnosi wzrok, jakby nieprzyzwyczajona do zwierzeń obcych.

Mogłabym jej powiedzieć, kim jestem. Tu i teraz. Jednym zdaniem mogłabym zmusić Nate'a do uznania mnie. Mogłabym jej powiedzieć, jak okrutnie jej syn obchodzi się z moimi uczuciami i dowieść, że nie mam urojeń; że jej syn ożenił się ze mną, a potem brutalnie zmienił zdanie. Mogłabym jej powtórzyć, co mówił mi o niej, na przykład to, że wybrała dla niego takie imię, bo je uwielbia, mimo że jej mąż chciał, żeby Nate'a nazwać Julian.

– To musi być dla pani trudne – mówi Margaret. – A co z pani rodzicami?

– Już ich nie ma.

– Ach, tak. – Wręcza mi pakunek, bez wątpienia zadowolona, że nie ma takich gównianych problemów.

– Powinien im powiedzieć – dodaje, kiedy wychodzę. – Powodzenia!

Ma rację; powinien.

Na dworze esemesuję do niego.

„Myślę, że twoja matka byłaby zachwycona wiadomością o nas. Właśnie ją odwiedziłam. Jest urocza. Czułam się winna, trzymając w tajemnicy, że jestem jej synową”.

Telefon natychmiast dzwoni. Niesamowite, jak szybko Nate potrafi odpowiadać na moje wiadomości, kiedy to jest w jego interesie.

Wyłączam telefon.

Jadę do ewentualnego miejsca wesela Belli, które upodobała sobie najbardziej, zaledwie półtora kilometra od studia.

Płacę za wstęp do ogrodów, dostaję mapkę i idę prosto do włoskiej części. Wokół nikogo nie ma. Siadam na ławce, czuję, jak zimno przenika mi przez spodnie, i patrzę na duży staw otoczony wodnymi roślinami. Pod liśćmi lilii wodnej widzę karpia koi, pływa blisko ozdobnej, rzeźbionej kamiennej fontanny pośrodku. Rozglądam się i próbuję wyobrazić sobie ten ogród w lecie, na pewno będzie kolorowy. Za zadbanym trawnikiem stoi rząd rododendronów. Włączam telefon i pstrykam kilka zdjęć, żeby później mogły odświeżyć mi pamięć.

Mam siedem nieodebranych połączeń od Nate'a i jedno od Jamesa. To nękanie.

Wstaję, okrążam staw, mijam posąg Bachusa i dochodzę do kamiennych schodów willi. Podnoszę wzrok i widzę balkon; idealny dla Belli do pozowania. Wyobrażam sobie tę scenę: gest królewskiego pozdrowienia, ochy i achy gości, którzy stoją obok przyciętych cisów, fotografują pannę młodą i pozują do selfie w eleganckim otoczeniu.

Telefon przerywa film, który wyświetla mi się w głowie.

To znów Nate. Nie racy się przywitać.

– Co to znaczy, że spotkałaś się z moją matką?

– Spokojnie. Byłam z przyjaciółką, która interesuje się fotografią, i skończyłyśmy w studiu niedaleko Poole. Pogawędziłyśmy z właścicielką i okazało się, że to twoja matka. Zorientowałam się tylko dlatego, że wspomniała, że jej syn jest pilotem, skojarzyłam więc nazwisko.

– Nie wciągaj mojej rodziny w sprawę naszego osobistego fiaska.

– Naszego małżeństwa, Nate. Jestem twoją żoną, nie fiaskiem.

Ręka mi się trzęsie, kiedy przerywam połączenie. Znów wyłączam telefon i idę krętą ścieżką przez wrzosowy ogród. Przekraczam mostek i mijam kilka urzędów wodnych, ale cały czas mam mordercze myśli.

Kiedy wychodzę stamtąd godzinę później, nadal nie mogę się uspokoić. Nie mam wyboru – muszę wprowadzić poprawki do mojego planu działania.

Wieczorem dzwonię z domu do Nate'a.

– Wpadnij do mnie. Przemyślałam wszystko. Możemy rozmawiać, ile będziesz chciał.

Przychodzi po piętnastu minutach i dzwoni do drzwi dłużej niż to konieczne.

Otwieram i wpuszczam go.

– Drinka?

Nie czekam na odpowiedź, nalewam mu czerwone wino i podaję kieliszek.

Odmawia.

– Nie, dziękuję.

Wyjmuje notes ze spiralą i długopis, jakby chciał mi pokazać, że nie wpadł z towarzyską wizytą.

– Co zamierzasz zrobić? Listę plusów i minusów?

– To nie jest żart. Chcę odzyskać moje życie.

– Nie zabrałam ci go.

– Chcę, żebyś skończyła z tym wszystkim. Ten twój plan – spędzanie ze mną czasu jak z najlepszym przyjacielem, wymykanie się do mojej matki – niczego nie zmieni. Zgódź się na unieważnienie małżeństwa, to nie będę musiał zawracać ci więcej głowy. Jeśli się dogadamy, większość tego wszystkiego będzie prosta i jest szansa, że nie będziemy musieli iść do sądu. W przeciwnym razie to wszystko stanie się o wiele bardziej skomplikowane. I co gorsze, dla nas obojga. Będę musiał dowieść, że wyraziłem zgodę na ślub, bo byłem odurzony.

Zmiana taktyki jest spóźniona.

– Dobrze.

- Co dobrze?
- Będę współpracowała. Kocham cię i jeśli to cię uszczęśliwi, zrobię to.
- Dzięki. Pewnego dnia...
- Proszę cię, nie mów, że pewnego dnia ci podziękuję. Bo tak nie będzie.
- Odwraca się, żeby wyjść.
- W porządku, ale zacznij odpowiadać na mejle Jamesa.

Wypełniam wymagane formularze – co prawda na tyle wolno, na ile może mi to ująć na sucho, bo nie zamierzam dopuścić, żeby sprawa doszła do ostatniego etapu – i zaczyna się proces zakończenia naszego małżeństwa.

Jeśli to wszystko jest tak proste, jak się wydaje, to wiosną Nate przestanie być moim mężem. Aczkolwiek, uśpiwszy jego czujność, muszę wymyślić inny, ostateczny niezawodny plan, jak go zatrzymać. Ale będę musiała być szybka. Prosił, żebym nie kontaktowała się z nim, chyba że to będzie konieczne.

Zdruzgotana – bo uświadamiam sobie, że kocham go jak zawsze – skupiam uwagę na Milesie. Umawiamy się na następne spotkanie i zabieram go do pubu za rogiem, poza polem widzenia z jego biura.

- Zrobiłam rezerwację niespodziankę – mówię, kiedy siada obok mnie.

- Daleko? – pyta. – Bo muszę wrócić na piątą.

- Zdażymy – odpowiadam i wskazuję torebkę upominkową na podłodze. – Kupiłam ci prezent.

Wyciąga książkę *Pięćset miejsc do odwiedzenia, zanim umrzesz* – taką samą, jaką dałam Nate'owi. Ułożyłam wiersz i ukryłam go w części o Japonii. Wiem, że nie weźmie jej do domu, tylko pewnie schowa w biurze, ale chciałam mu coś kupić, żeby wiedział, że dbam o niego.

- Dziękuję, Juliette. To bardzo miłe.

Torebka szeleści, kiedy wsuwa książkę z powrotem.

Kiedy wjeżdżam na parking hotelowy, Miles wyraźnie

sztywnieje.

– Tutaj?

– Tak. W Tokio uświadomiłam sobie, że nie musimy dziadować, kiedy mamy okazję się spotkać. Stąd ten prezent. Pomyślałam, że w przyszłości moglibyśmy razem podróżować.

– To świetna myśl, Juliette, ale nie czuję się tu komfortowo... – Urywa, żeby nie powiedzieć mi prawdy.

To jeden z hoteli na liście miejsc wybranych przez Bellę.

Staram się wyglądać na zranioną i rozczarowaną.

– A tak się cieszyłam na nasze spotkanie.

– Ja też. Ale nie tutaj.

Kieruje mnie na ustronny parking przy plaży. Moje życie się pogarsza, a Bella ma się coraz lepiej.

Muszę się zebrać w sobie.

Następnego ranka, niespokojna, jadę do pobliskiego Kingston i chodzę po galerii handlowej. Sklepy są pełne kolorów i świateł, wszędzie widać świąteczne reklamy. Boże Narodzenie już za sześć tygodni. Mikołaje się uśmiechają, renifery skaczą, bałwanki się gapią, a elfy trzymają prezenty. Orkiestra gra kolędy przy ubranej choince.

Jestem jeszcze bardziej zgnębiona niż w tamtą Gwiazdkę. W zeszłym roku o tej porze, choć załamana, miałam nadzieję. Teraz, bez żadnych widoków na to, że sytuacja niedługo się poprawi, usiłuję dać sobie radę.

Siadam w kawiarni i wypijam dwa espresso, jedno po drugim. Wprowadzam hasło wi-fi, żeby znaleźć odpowiednie prezenty dla Barbary i móc pójść prosto do jednego sklepu, zamiast tłoczyć się w wielu. Ale nie mogę się skupić.

Nate jest w Miami, ale on i James kontaktują się ze sobą dwa razy. Żartują sobie ze mnie – nazywają mnie TCNO, „ta, co nie odejdzie” – a James określa mnie jako kłamliwą. Torturuję się czytaniem dalej: Nate zamierza się mnie pozbyć tak szybko i łatwo, jak to tylko możliwe. Chce żyć dalej bez zagrożenia, że będę wisiała nad nim jak czarna chmura. James ma nawet

czelność sugerować Nate'owi przeprowadzkę, daleko ode mnie. I według wszechwiedzącego Jamesa dobrym wyjściem byłoby Barnes, gdzie akurat mieszka sam. Bo Nate'a nie trzyma na miejscu szkoła ani praca.

Kiedy dochodzę do końca wyliczanki złych rzeczy, które Nate i James mają o mnie do powiedzenia, sprawdzam bloga Belli. Nudzi o przymiarkach sukni ślubnej i o tym, że ona i Miles uczestniczą dzisiejszego wieczoru w otwarciu jakiejś nowej restauracji. Czytam na Facebooku odpowiedź na pytanie jednej z przyjaciółek Amy o jej plany świąteczne – ona i Rupert zamierzają spędzić Boże Narodzenie w Paryżu.

Wszyscy są szczęśliwi, tylko nie ja.

Wstaję i wkładam płaszcz, zdecydowana pojechać prosto do domu, ale zauważam witrynę sklepową pełną czerwonej i czarnej bielizny damskiej. To mi podsuwa pewien pomysł. Wchodzę do środka.

Kiedy wychodzę z zakupami, jestem podniesiona na duchu; wreszcie mam się na czym skoncentrować.

W drodze do domu wstępuję do sklepu dla majsterkowiczów. Teraz, kiedy mam mieszkanie, niewątpliwie warto kupić jakieś podstawowe narzędzia.

Po zmroku pozwalam sobie na wizytę u Nate'a. Ale zamiast zrobić coś złośliwego i mściwego, trzymam się tego, po co przyszłam.

Kiedy pracuję, dźwięczą mi w głowie słowa „kłamliwa” i „ta, co nie odejdzie”.

On mi się wymyka i niedługo nie będę mogła nic na to poradzić. Na razie – prawnie – wciąż jest mój. Wciąż mam szansę, choć zaczynam się obawiać, że zmiana taktyki obróci się przeciwko mnie, jeśli się bardziej nie postaram.

Wracam do domu okrężną drogą – idę wokół Green w odwrotnym kierunku.

W mieszkaniu siadam na nowym łóżku i oglądam wszystkie zdjęcia. Wytrząsam je z albumów, odwracam, otaczają mnie



wspomnienia.

Potrzebuję odmiany.

Może dobrze byłoby spotkać się z Milesem na otwarciu restauracji, o którym Bella napisała wcześniej na blogu. Będzie tkwił znudzony w jej cieniu. Na pewno da się go stamtąd łatwo wyciągnąć. Będzie zachwycony, że może się wyrwać na trochę.

Zamiast to sobie wyperswadować, chwytam torebkę i płaszcz i zbiegam po schodach do samochodu. Wstukuję kod pocztowy azjatyckiej restauracji *fusion*. Nie esemesuję do Milesa, żeby moje spontaniczne działanie było miłą niespodzianką.

Na autostradzie naciskam gaz i przekraczam dozwoloną prędkość. Działa to na mnie terapeutycznie, gdy obmyślam wszystko.

Dzięki Bogu, że od czasu do czasu mam dla siebie Milesa. Nie wiem, czy bez tej odmiany tak dobrze trzymałabym się w ryzach.

Zaglądam przez okno restauracji. Początkowo w tłumie nie mogę znaleźć wzrokiem Milesa ani Belli. Ale wkrótce dostrzegam Bellę, która bryluje w grupie kobiet. Miles jest trochę dalej z tyłu i rozmawia z jakimś wysokim mężczyzną.

Mam ochotę wejść tam jak do siebie, stanąć obok niego, wziąć go pod rękę i poplirtować z nim otwarcie. Zamiast tego esemesuję do niego.

„Jestem w twojej okolicy, masz ochotę wymknąć się na trochę?  
X”

Obserwuję, jak wyjmuje telefon, zerka i chowa go z powrotem do kieszeni. Kontynuuje rozmowę. Siadam na lodowatej ławce naprzeciwko.

Pięć minut później esemesuję znowu.

„??X”

Reaguje dokładnie tak samo. Dzwonię. Wyjmuje telefon i natychmiast przerywa połączenie.

Wściekam się. Otwieram pchnięciem drzwi restauracji i wchodzę w ciepły aromat przypraw zmieszany z kadzidłem. Przystaję z boku i opieram się o ścianę na linii wzroku Milesa. Gapi się przez moment, zanim mnie rozpoznaje, ale nie uśmiecha się ani nie podchodzi, żeby się ze mną przywitać.

Znajduję damską toaletę i telefonuję do niego. Nie odbiera. Kiedy już mam ponownie nacisnąć jego numer, przychodzi esemes.

„Co tu robisz? Bella jest ze mną!”

Odpisuję.

„To co? Wystarczyło porozmawiać ze mną jak normalny człowiek, tu jest mnóstwo ludzi, mogę być kimkolwiek. Miej przynajmniej tyle dobrych manier, żeby mi odpowiedzieć”.

Kiedy wysyłam wiadomość, drzwi otwierają się i wchodzi Bella.

Wrzucam telefon do torebki i szybko myję trzęsące się ręce, patrząc w dół. Zajmuje środkową kabinę. Ruszam do wyjścia, ale zmieniam zdanie i przystaję. Ja byłam tu pierwsza. Staję przed lustrem i wyjmuję szminkę z wewnętrznej, zapinanej na suwak kieszeni w torebce. Mój telefon wibruje. Miles. Zobaczymy, czy lubi być lekceważony. Założę się, że jest spanikowany. Dobrze mu tak. Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Aż podskakuję, gdy drzwi kabiny się otwierają i Bella wychodzi. Staje obok mnie i myje ręce. Przyglądam się jej w lustrze i nakładam wolno szminkę. Podnosi wzrok. Widzę po jej minie, że mnie poznaje. Wdycham woń piżma i wanilii. Bella nadal pachnie drogimi perfumami.

– Elizabeth? Ze szkoły?

Nogi się pode mną uginają. W jednej z moich wielu fantazji o ponownym spotkaniu Bella przeprosza mnie najmocniej i błaga, żebym została jej przyjaciółką.

Sam ton jej głosu przypomina mi, jak daremne są moje życzenia.

– Cześć, Bella – mówię spokojnie.

– Cześć. Co tu robisz?

Wyciąga papierowy ręcznik z pojemnika.

– Chyba to samo, co ty.

– Tak, racja. Mieszkasz tutaj?

– Ja nie, moja bliska przyjaciółka.

Zamykam szminkę i poruszam zaciśniętymi wargami. Patrę ostatni raz na swoje odbicie w lustrze i odwracam się do drzwi. Idzie za mną. Zmarszczony Miles stoi przy pobliskim filarze. Zatrzymuję się i odwracam do Belli.

– To cześć – mówię najgłośniej jak mogę, bez zbyt wyraźnie brzmiącego podtekstu, że moje pożegnanie z Bellą jest korzystne dla Milesa, idę dalej do wyjścia i zostawiam ich.

Zimno uderza mnie w twarz. Wracam do samochodu i czekam. Po trzech minutach dzwoni mój telefon.

– Założę się, że dzwoniisz z męskiej toalety – mówię.

– Co się, do cholery, przed chwilą wydarzyło? – pyta. – Co tu robisz?

– Byłam w okolicy. Próbowалам cię uprzedzić, ale mnie

zignorowałaś.

– Byłaś w toalecie z Bellą?

– Znam ją. Chodziłam z nią do szkoły.

– Znasz Bellę? Co... – Słyszę przytłumiony dźwięk, jakby ktoś jeszcze wszedł do toalety. Na pewno, bo Miles zmienia ton głosu.

– Jestem teraz na przyjęciu. Oddzwonię do ciebie niedługo.

– Wyjdź do mnie. Jestem na parkingu naprzeciwko.

– W tej chwili to niemożliwe.

– Miles, wszystko jest możliwe, kiedy się chce. Jeśli nie wyjdiesz, to wrócę do środka. Masz pięć minut.

Rozłączam się. Dzwoni jeszcze dwa razy, ale nie odbieram. Potem przysłała esemesa, który usuwam bez czytania.

Pojawia się przy drzwiach pasażera niecałe dwie minuty później.

Wsiada obok mnie.

– Co się dzieje? – pyta. – Nie mogę tu długo być. Co to znaczy, że chodziłaś z Bellą do szkoły?

– Rozpoznałam ją, kiedy weszła za mną do toalety.

– I nie wiedziałaś, że to moja Bella?

– Skąd miałabym wiedzieć? Nie przyjaźniłyśmy się. Jestem zaskoczona, że jesteś z kimś takim jak ona. W szkole była wredną sadystką. Patrzy na mnie dziwnie.

– Bella nie skrzywdziłaby muchy. Zawsze chce dobrze.

Śmieję się. Nie mogę się powstrzymać. I nie mogę przestać.

Miles gapi się na mnie.

– Chcesz, żebym po kogoś zadzwonił? Po jakąś twoją przyjaciółkę?

– Bella powinna być moją przyjaciółką.

– To by bardzo utrudniło sprawy. To wszystko zmienia. Nie wiedziałem. I oczywiście rozumie się samo przez się, że...

– Przejedziemy się? Nie sprawiacie wrażenia pary, która się nawzajem pilnuje. Przez pół godziny Belli na pewno nie będzie cię brakowało.

Nachylam się do niego i chcę dotknąć jego uda, ale otwiera drzwi i do samochodu wdziera się zimne powietrze i blask światła.

– Muszę wracać. Przepraszam, to była pomyłka. Żegnaj, Juliette. Odpalam silnik i cofam bez sprawdzenia, co stoi za mną. Ale kiedy zmieniam bieg, Miles wyskakuje i zatrząskuje drzwiami. Biegnie do restauracji.

Ucieka ode mnie.

Siedzę i przekręcam kluczyk w stacyjce tam i z powrotem. Włączam zapłon i wyłączam. Przejeżdżam kilka razy obok restauracji, ale nie mogę zobaczyć żadnego z nich.

Poddaję się. Mój wypad nie był całkowitą stratą czasu, bo w drodze do domu wymyślam szczegóły następnego planu.

Dwa dni później, zaraz po przebudzeniu się, sprawdzam lot Nate'a. Ma wylądować o trzeciej trzydzieści, zgodnie z rozkładem.

Od jutra ma dziesięć dni urlopu i według wiadomości, którą wysłał do Jamesa, w tym czasie zamierza się odprężyć. Spotykają się dziś wieczorem w pubie, gdzie bez wątplenia spędzą wesoło czas na rozmowie o tym, że Nate niedługo uwolni się od swojej kłamliwej żony.

Spędzam dzień na gromadzeniu wszystkiego, co będzie mi potrzebne do konfrontacji z Nate'em.

Wieczorem po powrocie do domu klękam na podłodze w salonie i wkładam wszystkie zebrane rzeczy do plecaka.

Czekam.

Leżę na kanapie z włączonym telewizorem w tle, ale nie mogę się skupić. Zasypiam i budzę się, tracę i odzyskuję świadomość, rzeczywistość znika i powraca.

Budzik dzwoni o piątej. Ubieram się, wkładam plecak na ramiona i wychodzę. Na Green jest spokojnie i upiornie cicho. Włączam latarkę i widzę dlaczego – jest tak, jakbym przeszła przez szafę do zimowej krainy czarów Narnia. Trawa i gałązki wystają ze śniegu. W oknach niektórych domów palą się światła, więc gaszę latarkę, bo czuję się odsłonięta – jakby obserwowana potajemnie przez ukrytych ludzi. U Nate'a jest ciemno.

Stoję przez kilka chwil i wdycham mroźne powietrze. Para

mojego oddechu jest widoczna, a potem znika.

Wchodzę do budynku Nate'a i wspinam się po schodach. Zatrzymuję się przed jego drzwiami. Cisza. Wchodzę.

Zdejmuję rękawiczki, zapalam latarkę, odłączam wi-fi, idę do sypialni i szukam telefonu Nate'a. Jest na swoim zwykłym miejscu, na nocnym stoliku. Nate nie chrapie, ale w pokoju pachnie alkoholem. Biorę jego telefon, wyłączam go i chowam do kieszeni mojego płaszcza. Zakradam się do łazienki i wyjmuję rzeczy, które będą mi potrzebne. Pcham drzwi, dopóki nie są prawie zamknięte, i rzucam plecak na podłogę. Głuchy odgłos nie jest wystarczająco głośny. Wyglądam przez szparę w drzwiach. Jak przypuszczałam, Nate nie poruszył się. Kopię z całej siły w drzwi łazienki.

– Halo! – mówi chrapliwie Nate i powtarza to słowo trochę wyraźniej.

Kładę się na podłodze twarzą w dół z pustym pudełkiem po paracetamolu w wyciągniętej ręce. Dywan pachnie wilgocią, odwracam więc głowę na bok i zamykam oczy, gdy słyszę kroki Nate'a. Światło zalewa łazienkę.

– Co do...? O, Boże, Lily, coś ty zrobiła?

Czuję, jak kuca przy mnie i próbuje odwrócić mnie na plecy. Siadam i zarzucam mu ręcznik na głowę. Odruchowo sięga w górę, żeby go zerwać, więc pochylam się do przodu, łapię go za prawy nadgarstek, zatrzasnęję na nim kajdanki i przykuwam do metalowego wieszaka na ręczniki. Potem szybko usuwam się poza jego zasięg.

Ściąga ręcznik wolną ręką i patrzy na mnie. Włosy stoją mu dęba.

– Lily. Co jest? Puść mnie! Wzywam policję.

Maca się po kieszeniach lewą ręką w poszukiwaniu telefonu, jakby zapomniał, że jest w piżamie.

Gaszę latarkę i światło. Jesteśmy w ciemności. Wentylator w łazience nadal warczy. Metal dźwięczy, kiedy Nate się szarpie.

– To nie jest śmieszne. Jak tu weszłaś, do cholery?

– To długa historia. – Milknę, gdy metal znów dźwięczy. – Chcę, żebyś mnie chociaż raz wysłuchał...

Przerywa mi.

– Możesz zapalić światło?

– Poproś.

– Proszę.

Włączam główne światło. Nate mruga. Siadam na brzegu wanny. Rzuca się naprzód, żeby mnie złapać, ale wrzeszczy, bo kajdanki go zatrzymują.

– Puść mnie!

– Nie, dopóki nie powiem tego, co chcę, żebyś usłyszał.

Znów szarpie przykutą ręką i przeklina kilka razy. Kopie bosymi stopami w obudowę wanny. Jego mieszkanie jest stare i solidne, ma grube ściany i dywany, musiałyby bardzo wytrwale hałasować, żeby ktoś to usłyszał. Ale bezpieczniej jest go uspokoić.

– Jeśli nie przestaniesz hałasować, zostawię cię tutaj, uwięzionego. Wierz lub nie, ale wszystko zależy od ciebie. Bądź grzeczny, to niedługo będziesz wolny. Jeśli nie...

Wychodzę i zostawiam go na parę minut. Przestaje łomotać i krzyżeć. Wracam z torbą, zapalam światło w sypialni i rzuca ją na jego łóżko. Obserwuje mnie z łazienki. Siadam na końcu łóżka.

– Gotowy do rozmowy? – pytam.

– Zostałem zmuszony.

– Nie ma potrzeby tak się zachowywać. Mówię serio.

– Nie wątpię.

– Nie chcę, żebyśmy się rozstali.

– To już się stało.

– Właśnie. I chcę, żebyś dał ostatnią szansę naszemu małżeństwu.

– Jezu, Lily. Rozkuj mnie. Nie możesz się do mnie włamywać w środku nocy, krępować mnie i oczekiwać, że zgodzę się pozostać twoim mężem. Daj spokój! Chyba nie myślisz, że ujdzie ci to na sucho?

– Możemy to przedłużyć lub skrócić. Decyzja należy do ciebie.

– Co teraz proponujesz?

Odciągam suwak torby, wydaję dwa albumy ze zdjęciami, podchodzę i wręczam mu je.

– Spójrz na nie.

Są to odbitki wszystkich zdjęć, które zrobiłam jemu lub nam w różnych miejscach i sytuacjach. Chcę, żeby zapamiętał dobre czasy.

Obserwuję, jak przewraca kartki.

– Zwolnij. Przyglądaj się im dokładnie.

Robi to z przesadną powolnością.

– Nie miałem pojęcia, że tyle ich zrobiłaś – mówi. – Nie pamiętam.

Nie tylko tego. Nieważne. Niedługo uświadomi to sobie. Kiedy jest zajęty, wyjmuję z torby suknię ślubną. Kupiłam ją, gdy pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że moim przeznaczeniem jest małżeństwo z Nate'em. Podnoszę wysoko wieszak i suknia się rozkłada. Jest w klasycznym stylu, biała i srebrna. Kryształowe paciorki i perły zdobią stan. Wchodzę do sypialni, wieszam ją w szafie i wyglądzam zmarszczki.

– Po co to?! – woła z łazienki lekko drżącym głosem.

– Uważam, że powinniśmy otrzymać błogosławieństwo! – odkrzykuję. – Jak już mówiłam wiele razy, nasz ślub w Vegas nie był moim wymarzonym ślubem, wbrew twojej opinii, którą lubisz powtarzać, że był. Zamówiłam ci garnitur, ale niestety jeszcze nie dotarł. I musimy kupić obrączki.

Wracam do łazienki. Nate wali głową w dłoń wolnej ręki. Przestaje i patrzy na mnie.

– Kiedy skończę oglądać te albumy, rozkujesz mnie?

Ignoruję jego pytanie i wypakowuję swoje rzeczy. Przy mojej stronie łóżka kładę magazyny ślubne, tubkę kremu do rąk i dwie książki. Siadam na końcu łóżka i obserwuję Nate'a przez otwarte drzwi. Zerka na mnie, potem szybko wraca do oglądania zdjęć. Kiedy dochodzi do ostatniego, wpatruje się w nie przez kilka sekund, po czym podnosi na mnie wzrok. W oczach ma przerażenie, zdecydowanie nie miłość.

Ostatnie zdjęcie to fotografia rodzinna. Nate i ja jesteśmy na pikniku nad Tamizą w lecie zeszłego roku, a na naszym kocu, po obu stronach koszyka, jest nałożone zdjęcie małego chłopca i dziewczynki. Fotografie wycięte z katalogu ubrań dla dzieci



pokazują, jak sobie wyobrażam nasze dzieci.

Nad zdjęciem napisałam po prostu „Nasza Przyszłość”.

## 26

O, mój Boże – mówi i z powrotem patrzy na zdjęcie.

– Tak powinno wyglądać nasze życie. Nie można źle traktować innych. To nie w porządku. Nawet twoja mama się z tym zgadza.

– Obiecałaś nie wciągać w to mojej rodziny.

– Kupiłam ci prezent w jej studiu.

Wyjmuję oprawione zdjęcie regat i unoszę je do góry – jak dowód rzeczowy – dla jego przyjemności oglądania. Potem kucam i opieram je o ścianę.

– Co jej powiedziałaś?

– Prawdę, która jest taka, że wyszłam w Vegas za ukochanego mężczyznę, ale on chwilę później stchórzył i nie dotrzymał danego słowa. Mało tego, nie powiedział o niczym swojej rodzinie. Ona uważa, że musisz.

– Lily. Przepraszam. Teraz rozumiem. Naprawdę. Zraniłem cię. Myślałaś, że się pobierzemy i będziemy mieć dzieci. Rozkuj mnie. Możemy porozmawiać. Jak należy. Obiecuję.

Wściekłość mnie ogarnia. Jeśli czegoś zawsze u niego nienawidziłam, to zadowolenia z siebie, kiedy coś mówi, jakby był logicznie myślący i rozsądny, a ja obłąkana, cierpiąca na urojenia. To mnie naprawdę wkurza. Usiłuję zachować spokój.

– Dla mnie nie jesteś tak idealny w dotrzymywaniu obietnic, żebym ci uwierzyła.

– Muszę skorzystać z toalety i na pewno nam obojgu przydałaby się kawa. Obiecuję ci, Lily, że nic złego się nie stanie, jeśli mnie uwolnisz.

Rzecz w tym, że nie mogę. W najlepszym razie mnie spławi. W najgorszym – wolę nie myśleć.

– Nie mogę tego zrobić natychmiast, ale bez obaw. Mam plan.

Widzę po napięciu mięśni jego twarzy, że jest zły, ale skutecznie powstrzymuje gniew, choć bez wątpienia kombinuje, jak mnie

wykołować. Zamierza mnie potraktować tak, jak kiedyś traktowano porywaczy samolotów – uspokoić i udawać, że popiera moje poglądy.

Wyjmuję śrubokręt i mojego iPada. Włączam odtwarzanie ściągniętego wideo, opieram ekran o ścianę i zabieram się do majstrowania przy złotej klamce drzwi łazienki. Odkręcenie i usunięcie jej trwa raptem kilka minut.

– Co ty robisz? – pyta wyważonym tonem Nate.

– Przygotowuję się do rozkucia cię.

– Co? Zamierzasz mnie tu zamknąć? Nie polegaj na amatorskich instrukcjach youtubowiczów. Mogę się stąd nie wydostać!

– Nie martw się. Ale potrzebuję twojej współpracy. Będziesz musiał zasłużyć na uwolnienie.

– Lily! To niedorzeczne! To skandal!

Odwracam się z uśmiechem.

– Owszem. Absurdalne! Oburzające! Chcesz odzyskać wolność czy nie?

Nie odpowiada.

– Tak myślałam. Nie przeszkadzaj mi, kiedy pracuję. Muszę teraz puścić wideo od początku.

Kopie w obudowę wanny. Gromię go wzrokiem.

Przełożenie zamka na drugą stronę klamki nie jest tak łatwe, jak to wygląda na filmie, ale po dwóch próbach udaje mi się. Pozostaje zablokować mechanizm. Wpycham do środka śrutę dla rybek. Załatwione. Robię próbę. Działa! Teraz mogę go zamknąć.

Nate dalej szarpie wieszak na ręczniki, jakby miał nadzieję, że metal pęknie, jeśli się bardzo postara.

Okno łazienki wychodzi na inny dom, nie na Green. Rygluję je i chowam klucze do kieszeni. Gdyby jakimś – nieprawdopodobnym, mam nadzieję – cudem zdołał zwrócić czyjąś uwagę przez mrożoną szybę, to nie będzie moja wina, że coś się stało z zamkiem. A co do kajdanek – pochodzą z sex shopu. Niech ludzie uruchomią wyobraźnię.

Wchodzę do kuchni, a potem wracam do łazienki zostawić mu trochę jedzenia. Nie jego ulubione rzeczy; w tej chwili nie zasługuje na żadne gesty dobroci. Kiedy wspaniałomyślnie

odpakowuję krakersy serowe i kilka jabłek, Nate bierze mnie z zaskoczenia – wyrzuca do przodu wolne ramię, łapie mnie za nogę i szarpie w dół. Chwytam się brzegu wanny, bez tchu, gdy usiłuje przyciągnąć mnie bliżej za lewą łydkę. Podciągam nogę, ale wzmacnia uścisk. Kopię z całej siły prawą nogą. Nie puszcza, więc znów kopię. Tym razem udaje mi się oswobodzić. Nate osuwa się z powrotem pod wieszak i ciężko dyszy.

Ja też. Zbieram myśli. Trzymając się jak najdalej od niego, pochylam się i daję mu tani tablet, który ostatnio kupiłam. Jest w nim bardzo osobista wiadomość dla niego. Godzinami nagrywałam i edytowałam filmik pod stosownym tytułem *Początek*.

– Chciałabym, żebyś coś obejrzał.

Patrzy na ekran.

– Co to jest? – pyta.

– Coś bardzo ważnego. To ja. Mówię bezpośrednio do ciebie. Od serca.

Nadal ma minę bez wyrazu. Właśnie takie zachowanie popchnęło mnie do użycia tych środków – kompletny brak reakcji z jego strony, kiedy próbuję wyrazić siebie. Czuję, że ten pomysł wypali. Nie jestem osobą, która wierzy, że przez samo kupienie książki o odchudzaniu będę mniej jadła i więcej ćwiczyła, ale mam otwarty umysł i szukam nowych rozwiązań.

Spójrzmy prawdzie w oczy – nic innego nie zadziałało. A mój główny problem polega na tym, że Nate myśli, że mnie nie kocha. Kiedy sobie uświadomi, że kocha, wszystko powinno się zmienić w naturalny sposób. Na przykład Miles przestanie być mi potrzebny. Zwróć go Belli jak zepsuty sprzęt po naprawie.

– Kochanie, zostałam do tego zmuszona. Rozumiesz, prawda?

Wpatruje się we mnie.

– Tak?

Kiwa głową.

– To włącz odtwarzanie.

Waha się.

– Zamierzasz mnie obserwować? Długie to jest?

Siadam na brzegu wanny.

– Wystarczająco. Zaczekam, dopóki się nie upewnię, że słuchasz uważnie. To jedyny sposób. Próbowałam wiele razy, ale po prostu nie słuchałeś.

Włącza odtwarzanie i mój głos wypełnia łazienkę. Brzmi tu dużo głośniejsze niż w moim mieszkaniu. Nate przycisza nagranie, ale nadal je słyszę. Gaszę światło w łazience, żeby stworzyć bardziej kinową atmosferę. Obserwuję, jak Nate mi się przygląda. Wiem, że kiedy mówię: „Cześć, Nate”, macham do niego lekko. O mało nie usunęłam tej części, ale po namyśle uznałam, że czyni mnie bardziej przyjazną. Nie chciałam zacząć od ochrzynu, bo zaraz by się zjeżył. Zamierzałam przejść powoli do rzeczy. Przez dwie minuty i czterdzieści siedem sekund wyjaśniam moje działanie. Wciągają mnie własne słowa i zgadzam się ze swoimi uczuciami. Żył drga z boku szyi Nate’a. Następuje pauza, po czym zaczynam opowieść.

– Była kiedyś urocza piętnastoletnia dziewczyna.

Nate stopuje nagranie.

– Tylko mi nie mów, że mam słuchać bajki o jakimś nastolatce. Daj mi, kurwa, spokój! – Szarpie kajdanki. – Powiedz po prostu, o co ci chodzi, i darujmy sobie ten teatr. Zaczyna mnie to wkurzać.

Wstaję.

– Jak chcesz.

Kiedy sięgam po tablet, znów włącza odtwarzanie. Najwyraźniej zakłada, że jego wi-fi działa i znajdzie odpowiedni moment na wysłanie do kogoś wiadomości alarmowej.

– Bardzo samotna. Nie miała przyjaciółek, ale nie ze swojej winy. To była wina innej dziewczyny. Złej, zepsutej, którą cieszyło nieszczęście innych. Samotna dziewczyna spędzała godziny sama ze swoimi myślami i marzyła o innym życiu. O życiu, w którym coś – nie wiedziała dokładnie co, bo nie miała jeszcze konkretnych wyobrażeń, ale coś ważnego – zmieni pewnego dnia jej los na lepszy. I pewnego dnia stało się coś ważnego i jej życie się zmieniło, ale nie na lepsze. I ta dziewczyna nagle zobaczyła, że sprawy mogą się ułożyć zupełnie inaczej, niż się oczekuje.

Nate wzdycha teatralnie.

– Długo jeszcze?

– Z każdą chwilą się przedłuża. Słuchaj uważnie, bo puszcę od początku.

– Pewnego dnia poznała swojego księcia z bajki. Nie w miejscu, jakie sobie wyobrażała – gdzieś na egzotycznych wakacjach czy uroczystej imprezie w jakimś luksusowym hotelu. Na skromnym balu. Była w najładniejszej sukience, jaką kiedykolwiek miała. Pierwszy raz czuła się wspaniale, miała okazję zabłysnąć. Ale przyjemność z tego, że jest efektownie ubrana, szybko minęła, bo była ignorowana. Przez chłopców i złośliwe dziewczyny. Chcesz wiedzieć, jaki kolor miała jej sukienka?

Następuje celowa dwuminutowa przerwa, żeby sobie przypomnieć. Ma szansę się zrehabilitować. Nie całkowicie – bo to oczywiście nigdy nie będzie możliwe – ale przynajmniej byłby to krok w dobrym kierunku.

Jestem zmuszona przerwać milczenie.

– Odpowiedz na pytanie – mówię.

– Żółty? Różowy? Purpurowy? Skąd mam, kurwa, wiedzieć i co to mnie obchodzi?

– Powinno – odpowiadam spokojnie. – Choć przyznaję, że było ciemno.

Patrzę mu w oczy i chcę, żeby sobie wszystko przypomnieć. Żeby się przyznał, co zrobił.

Już to robiłam. Patrzyłam mu w oczy od czasu do czasu, kiedy byliśmy razem w łóżku, i żałowałam, że nie mogę się wdrzeć do jego duszy i sprawić, że sobie przypomni. Próbowałam w milczeniu przeniknąć do jego umysłu wspomnieniami. Ale w jego oczach, tak jak teraz, nigdy nie błysnęła nawet iskierka olśnienia. Ani razu.

Tępa mina wskazuje, że mnie zawiódł. Znowu.

– Sukienka była czerwona. Od tamtej pory nie włożyła nic czerwonego.

Wytrzeszcza oczy i ścisną mocniej tablet. Chyba zaczyna kojarzyć.

– Dziewczyna wymknęła się z przyjęcia i poszła do swojego ulubionego miejsca nad rzeką. To było sekretne miejsce, gdzie

modne dziewczyny chodziły na papierosa, ale często było tam pusto. Wiedziała, że będzie bezpieczna, bo wszystkie były zbyt zajęte udzielaniem się towarzysko. Została, mimo że zapadł zmierzch. Bo choć nie było pełni księżyca, było dość szarego światła. Wtedy pierwszy raz spróbowała alkoholu i trochę kręciło jej się w głowie. Ktoś do niej dołączył. Nie znał szkoły, któraś z uczennic musiała mu powiedzieć, dokąd iść. Zapewne jego siostra. Zapalił papierosa i płomień na chwilę oświetlił jego twarz bursztynowym blaskiem. Był przystojny. Choć widziała jego zdjęcia, w błysku wyglądał jeszcze lepiej. Wolną ręką zdjął buty i skarpetki i zanurzył palce stóp w wodzie. Poczęstował ją papierosem. Nie chciała się przyznać, że jeszcze nigdy nie zapaliła, więc zaciągnęła się lekko, żeby po dziecinnemu udąć doświadczoną. Trudno jest wyobrazić go sobie teraz z papierosem, bo jest przeciwny; odpędza ręką dym, kiedy ktoś pali w pobliżu.

Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech, gdy Nate podnosi wzrok i patrzy na mnie. Ma zaszokowaną minę. Kojarzy.

Wreszcie.

Mówię dalej z tabletu. Nate z powrotem przenosi spojrzenie na ekran.

- Rozmawiali trochę i choć była zdenerwowana, pomyślała, że może wcale nie jest gruba i brzydka. Kiedy skończył papierosa, wgniótł go w ziemię i ognek zgasł. Chłopiec pocałował dziewczynę, a może oboje się pocałowali w tym samym momencie. To był jej pierwszy pocałunek w życiu. Pomyślała, że to zapewni jej wejście do grona wtajemniczonych. Inne dziewczyny opowiadały o weekendowych imprezach, o chłopakach, z którymi się całowały, i nie tylko. Ale potem pocałował ją namiętniej i wszystko poszło bardzo szybko. Nie chciała, żeby przestał, bo miło było nie czuć się samotną. I w pewnym momencie nie mogła i nie chciała mu odmówić. Ale nie wiedziała, jak wszystko spowolnić, lub nie miała śmiałości. Nadal była w sukience, co było trochę dezorientujące – nawet kiedy pomógł jej ją podciągnąć i przesunął ręką w górę jej prawego uda, a potem delikatnie pociągnął w dół jej majtki – bo zawsze

myślała, że trzeba być nago. Patrzyła, jak on spuszcza spodnie, a potem położył się na niej. Nie bardzo bolało. Ale nie było też dobrze, bo wcale nie tak romantycznie, jak w filmach i książkach; bardziej tak, jak się o tym uczyli na biologii.

Nate zatrzymuje film.

– Szlag. Dlaczego nie powiedziałaś? To obłąd.

Nie odpowiadam. Ma wszystkie odpowiedzi przed sobą i włożyłam mnóstwo wysiłku w to, żeby nas zabrać w przeszłość, z powrotem w tanto miejsce, do moich uczuć i myśli w tantym momencie. Wskazuję ekran. Spuszcza z powrotem wzrok i znów włącza odtwarzanie. Ekran świeci jasno w mroku. Wyciągam nogi przed siebie. Plecy zaczynają mnie boleć i choć to są moje słowa, czuję się nieswojo. Mieszane uczucia są niepokojące, bo z jednej strony pamiętam swoją naiwną nadzieję, a z drugiej jest zupełnie odwrotnie. I następny fragment jest bolesny.

– Dziewczyna oddała serce chłopcu. Od razu. Klamka zapadła. Ich los został przypieczętowany. Ona stała się częścią jego, a on jej. Nie miał więcej papierosów. Zapytał, czy ona nie ma jednego. Nie miała i rozpaczliwie tego żałowała. Nadal żałuje, bo gdyby miała, zostałyby dłużej. Porozmawialiby i wszystko byłoby inaczej. Pozostaliby w kontakcie i uświadomiłby sobie, że on też ją kocha. Ale tak się nie stało, prawda, Nate?

Wkalkulowałam pauzę na „czas rozmowy”.

– No więc? – przynagliam.

– Lily. To cholerna sprawa. Dobrze. Kumam. Twoja taktyka szokowa zadziałała. Chcesz porządných przeprosin i dostaniesz je. Przykro mi. Naprawdę, szczerze. Rozkuj mnie i obiecuję – przysięgam, daję ci na to moje słowo – że porozmawiamy i będziesz mogła mi powiedzieć wszystko, co chcesz.

Mówi takim głosem, jakby był bliski łez.

– Wciąż nie łapiesz. Nie chodzi o przeprosiny. Chcę, żebyś zrozumiał. Żebyś uświadomił sobie, co zrobiłeś.

– Rozumiem. Uświadamiam sobie. Byliśmy młodzi. Myślałem... tak naprawdę, to nie wiem, co myślałem, ale na pewno nie wybiegałem myślami zbyt daleko w przyszłość. – Milknie. – Nie planowałem tego. Sama wiesz, że to się po prostu stało. Byłaś



atrakcyjna i...

– Jednak byłam? Skąd wiesz? Było ciemno.

– Nie wiedziałem, kim jesteś.

– Dlatego wszystko jest w porządku?

– No nie, ale na litość boską, za dużo czytasz i wyolbrzymiasz sprawę.

– Wyolbrzymiam? – Jestem zaskoczona swoim spokojnym tonem, bo mało brakuje, żebym wybuchła. Ściskam mocniej brzeg wanny. – Wyolbrzymiam?

Oboje aż podskakujemy na dźwięk mojego głosu.

– Jak wspomniałam, tak się nie stało, prawda? Uciekłeś. Zostawiłeś mnie tam samą w ciemności. Poszłam cię poszukać i znalazłam, ale byłeś tak zajęty, że nawet mnie nie zauważyłeś. Zostawiłeś mnie i gównie cię to obchodziło. A to bolało. I nadal boli. Bo masz to gdzieś. Uważasz, że możesz wykorzystywać innych i pozbywać się ich, kiedy ci się podoba. Jakbym była nikim. Jakbym nic nie znaczyła. Jakbyśmy my nic nie znaczyli. I robisz to do dziś. Nawet po naszym ślubie uznałeś, że możesz po prostu pobiec do swojego przyjaciela Jamesa, żeby się mnie pozbyć. Znowu.

Nate naciska „stop” i upuszcza tablet na podłogę.

– Nie mogę tego dłużej słuchać. Dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy byliśmy razem w zeszłym roku?

Nie chcę się przyznać, że pojęłam, że on nie skojarzył faktów.

– Uważałam, że temat nie jest tabu, tylko krępujący. Myślałam, że milczysz, bo jest ci wstyd, i że wynagrodzisz mi to tak, że będziesz najlepszym chłopakiem, a potem mężem, jakim możesz być.

– Posłuchaj, Lily, ja to rozumiem.

– Nie, Nate, nie rozumiesz. Naprawdę. Nie wszystko jest o tobie, ale czas, żebyś dostał nauczki. Kiedy w zeszłym roku wszedłeś do hotelu, gdzie pracowałam, kiedy wróciliśmy do siebie, to było jak przeznaczenie. Tak wtedy oboje powiedzieliśmy. Nie pamiętasz?

Kręci głową.

Powiedziałam mu, że połączyło nas przeznaczenie, ale przemilczałam, że się o to postarałam.

Nie było sensu organizować „przypadkowego spotkania”, kiedy Nate był zajęty i rozkojarzony, bo realizował swoje marzenie – robił licencję pilota. Dałam mu spokój. Miał czas na randki z nieodpowiednimi kobietami. Wiedziałam, że ustatkuje się najwcześniej tuż przed trzydziestką. Jak inni jemu podobni. Lubią seks bez zobowiązań.

Powinien być ostrożniejszy ze swoimi postami w mediach społecznościowych. Kiedy chwalił się radośnie swoim do bólu doskonałym życiem i zdjęciami, dostarczał mi ważnych informacji.

Gdy załoga samolotu jest na krótko w Londynie, mieszka w lotniskowym hotelu. Musiałam tylko złożyć podanie o pracę, czekać i brać na ochotnika każdą zmianę. Warunki były kiepskie i trwało to osiem miesięcy, ale opłaciło się całkowicie.

Nasze drogi się zeszyły i zakochaliśmy się w sobie. Dlatego jest cholernie irytujące, że wszystko diabli wzięli, kiedy dotarłam tak daleko. To jest jak koniec długiej gry w węże i drabiny.

Zamierzałam zrobić tak, że będzie mnie uwielbiał.

Kiedy uświadomił sobie, kim jestem, wiedziałam, że będzie żałował swojego postępowania. Naprawi zło. Wy tłumaczy, że popełnił błąd, że jakieś zdarzenie nie do uniknięcia uniemożliwiło mu kontakt ze mną. Dlatego powiedziałam prawdę o tym, gdzie chodziłam do szkoły, mimo ryzyka, jakie stanowiła Bella.

- A teraz, kochanie - mówię do niego z uśmiechem - musisz tylko zrobić bardzo prostą rzecz: obejrzeć nagranie przynajmniej trzy razy.

Musi w pełni zrozumieć i uświadomić sobie następstwa. I usłyszeć, że wysłałam mu mejla, na który nigdy nie odpisał. O pigułce po. O lęku przed chorobami przenoszonymi drogą płciową, kiedy zebrałam się na odwagę i poszłam do kliniki w

czasie wakacji letnich. Sama. I o tym, jak bardzo mnie zranił.

– Już wiem, w czym sedno. Ale jeśli się zgodzę na twoje żądania, puścisz mnie?

– Może. Jeśli będziesz całkowicie posłuszny. Ale jeśli będziesz się ciskał lub hałasował, wszystko potrwa dłużej. Twój wybór.

– Żadne „może”. Po prostu rozwiążmy to jakoś. Jest środek nocy. Ignoruję go, tak jak on mnie tyle razy.

– Byłabym też wdzięczna, gdybyś mógł jeszcze raz, wolno i uważnie, obejrzeć zdjęcia, żebyś sobie przypomniat, jacy byliśmy szczęśliwi. Będę ci zadawała pytania, żeby sprawdzić twoją dokładność.

– Powiedziałem, że chcę to jakoś rozwiązać.

Uśmiecham się.

– Jakie to uczucie być ignorowanym, kochanie?

Milknie.

– Niezbyt miłe, prawda?

Nie odpowiada.

– Prawda?

Jest zmuszony przytaknąć.

– Owszem, to nie jest miłe. Obejrzę wszystko, żebyś mnie rozkuła.

Biorę torbę i wyjmuję ostatnią rzecz – nasze oprawione zdjęcie ślubne. Kładę je na parapecie okiennym. Zarzucam plecak na ramię i odwracam się, żeby wyjść. Przystaję w drzwiach i wyjmuję kluczyki od kajdanek.

– Pamiętaj, Nate, że masz wybór. Od ciebie zależy, kiedy stąd wyjdiesz.

Rzucam mu kluczyki, zamykam drzwi za sobą i ścieram z kłamki swoje odciski palców ściereczką antybakteryjną.

Dwie minuty później wali w drzwi. Cholernie głośno. Wstrzymuję oddech. Kopie w nie kilka razy, a potem się ucisza.

– Nate, jeśli nadal będziesz próbował wykopać te drzwi, konsekwencje będą o wiele gorsze. Od teraz za każdą taką próbę będę doliczała pełną godzinę do czasu, który masz tam spędzić. A jak skończysz film, to przeczytaj stronę, którą dodałam dla ciebie do ulubionych. Jest o poważnych konsekwencjach uprawiania

seksu z dziewczyną poniżej wieku przyzwolenia. Zwłaszcza kiedy robi to osoba powyżej osiemnastego roku życia. Nie ma mowy, żeby następna kontrola przestrzegania prawa wykazała, że jesteś czysty, jeśli zgłoszę to policji. Więc jeżeli nie masz jeszcze pomysłu na zmianę zawodu, zwłaszcza na taki, w którym mogą pracować ludzie figurujący w rejestrze przestępców seksualnych, to lepiej zachowuj się cicho i zajmij się tym, o co cię prosiłam.

Milczenie. Zamknął się.

Mam nadzieję, że zmieni swój stosunek do sprawy i potraktuje ją bardziej poważnie. Usadawiam się na kanapie z poduszką do siedzenia i przygotowuję do drzemki. Zasypiam i budzę się, mam niespokojne sny i stale wraca mi pełna świadomość. Kiedy światło przesącza się do pokoju, wstaję z bólem pleców. Robię sobie kawę i trzymam ją, żeby ciepło przeniknęło mi przez palce. Para unosi się do twarzy. Ziewam. Podchodzę do drzwi i nasłuchuję.

Błogosławiona cisza.

Mam dziś lot do Rzymu i z powrotem jako dodatkowy członek załogi. Muszę sprawdzić, czy pomieszczenia kuchenne spełniają obecne normy bezpieczeństwa. Chciałam zadzwonić, że jestem chora, ale po namyśle uznałam, że mogę polecieć. Wrócę późnym popołudniem, co da Nate'owi mnóstwo czasu na myślenie. Nudno jest być więźniem, nie ma co robić.

Pukam do drzwi.

– Jak leci?! – wołam.

– Prawie skończyłem! – odkrzykuje.

– Kłamiesz! Film trwa blisko dwie godziny. Pamiętaj, że masz go obejrzeć trzy razy. Inaczej zmarnujesz czas, bo nie przejdiesz próby.

Mruczy coś niezrozumiale.

Postanawiam nie mówić o moim wypadzie, nie ma sensu go straszyć. Jeszcze raz ścieram z kłamki odciski palców jako dodatkowy środek ostrożności i zostawiam jego telefon – wyłączony – na stoliku do kawy w salonie.

Wracam do domu, zaskakująco rozbudzona. Nie napadało dużo śniegu; pozostały tylko rozproszone splachetki bieli. Wkładam

uniform i niszcę pierwszą parę rajstop, którą wciągam, więc muszę wyjąć z opakowania następną. Wydaję na to majątek. Przypinam identyfikator do żakietu pod plaketką z moim imieniem i pakuję płaskie buty do torby na kółkach.

Przed odjazdem patrzę w górę na mieszkanie Nate'a. Nie ma żadnych zewnętrznych oznak, że w środku jest coś nie tak.

W pracy, w biurze ambasadora bezpieczeństwa, udaję, że przygotowuję wszystko, co jest mi potrzebne tego dnia, i ukradkiem sprawdzam rozpiskę dyżurów Amy, z ciekawości. Została uziemiona z powodu ciąży! Sprawdzam jeszcze raz, ale nie ma pomyłki. Dostała stanowisko w obsłudze podróży służbowych. Sprawdzam jej stronę na Facebooku. Nic. Musi mieć dopiero pierwsze objawy.

Dopiero za dwadzieścia minut powinnam być w strefie dla pasażerów po odprawie, jadę więc windą do obsługi podróży służbowych. Amy siedzi za ladą i stuka w ekran. Kiedy podchodzę, podnosi wzrok z uśmiechem, który szybko znika na mój widok.

– Cześć – mówię. – Dawno się nie widziałyśmy. Co tu robisz?

Na palcu lewej ręki ma cienki złoty pierścionek zaręczynowy z pojedynczym brylantem. Widzi, że na niego patrzę.

– Gratulacje. Rupert, tak?

Czerwieni się.

– Tak.

– Kiedy jest ten szczęśliwy dzień?

– Jeszcze nie ustaliliśmy daty.

– Chodzi mi o to, kiedy masz termin. Przypuszczam, że dlatego nie latasz. Zgadza się?

Porusza się niespokojnie na krześle.

– To pierwsze dni. Nie mówiliśmy o tym wielu osobom. A co u ciebie?

– W porządku. Lecę do Rzymu i z powrotem jako ambasador bezpieczeństwa.

– Dobrej zabawy! – mówi, patrząc ponad moim ramieniem na kogoś za moimi plecami, wyraźnie wdzięczna, że ma pretekst, żeby się mnie pozbyć.

Kiedy idę przez terminal, obserwuję tłumy wokół siebie. Rodziny, urlopowicze, a nawet biznesmeni wyglądają na zadowolonych z tego, jak żyją. Reklamy wyświetlają się wysoko w górze, każda pokazuje uśmiechniętych, szczęśliwych, odnoszących sukcesy ludzi. Czuję ucisk i pustkę w żołądku. Mam nadzieję, że moje wideo poruszy serce Nate'a; nie chcę się dłużej czuć jak outsiderka.

Odlot do Rzymu jest opóźniony o dwadzieścia minut z powodu silnego wiatru. Mam moment paniki na myśl o opuszczonym, samotnym Nacie, ale gdy startujemy, zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak łagodnieje w stosunku do mnie, gdy chłonie moje słowa.

Kiedy wyrównujemy nad chmurami, odpinam pas bezpieczeństwa. Nie mogę się rozpraszać obserwowaniem załogi, żeby mieć pewność, że nie robią żadnych wygibasów podczas pracy. Zmyślę raport. Mimo to stoję sobie ze służbowym tabletem i usiłuję wyglądać na gorliwą i ważną.

Po wylądowaniu wychodzę z samolotu i wędruję po lotnisku Fiumicino. Kupuję prezenty dla moich mężczyzn: męskie wersje moich ulubionych perfum. Kiedy mijam designerski sklep dla mężczyzn, nie mogę się powstrzymać od kupienia Nate'owi i Milesowi takich samych jasnozielonych krawatów w srebrne zygzaki. Zerkam w górę na monitor odlotów. Wyświetla się „Bramka numer 10” po angielsku i włosku. Pędzę w kierunku bramki, torba obija mi się o udo.

Pasażerowie zaczynają wchodzić na pokład. Kilka osób zerka w dół na moje bezcłowe zakupy i marszczy brwi z dezaprobatą, jakbym nie powinna mieć dodatkowej korzyści, skoro się spóźniam. Omijam zamieszanie przy drzwiach. Jakiś ojciec zмага się ze spacerówką, matka go instruuje, córeczka wierci się jej w ramionach. Elegancka kobieta w ostatniej chwili załatwia przez telefon sprawy służbowe. Inni stoją cierpliwie, jakby akceptowali chaos jako część podróży, ściskając wydruki kart pokładowych lub trzymając telefony w pogotowiu.

Start jest opóźniony z powodu złej pogody w Londynie. Staram się nie patrzeć zbyt często na zegarek. Ale Nate jest w domu sam

już siedem i pół godziny. Zmuszam się do pozytywnego myślenia, bo gdybym zaczęła sobie wyobrażać, co mogłoby pójść nie tak, dostałabym mdłości. Moje mantry też nie pomagają mi się odprężyć. Nie podnoszą mnie na duchu. Słyszę tylko zdania „w zdrowiu i chorobie” i „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Te słowa wywołują obraz Nate’a, samotnego i słabego w jego łazience. Albo spadającego do ogrodu podczas próby ucieczki po wygodnie umieszczonej rynnie, co uczyniłoby mnie bardzo młodą wdową.

– Panie i panowie, dobra wiadomość – oznajmia kapitan. – Dostaliśmy potwierdzenie, że powinniśmy być w drodze za niecałe piętnaście minut. Jeszcze raz przepraszamy za opóźnienie.

Dzięki Bogu. Wdech. Wydech.

Ale nie są to jego ostatnie przeprosiny. Po dwóch godzinach lotu ma następną złą wiadomość.

– Tu ponownie państwa kapitan, Rob Jones. Wiatr na Heathrow był silniejszy, niż prognozowano, co spowoduje dalsze opóźnienie. Samoloty już lądują, ale po czasie, więc zostaniemy przekierowani na Stansted. Przepraszamy za niedogodności. Mam zapewnienie, że personel naziemny organizuje transport i zmienia rezerwacje na następne połączenia...

Jego słowa cichną. Niech to szlag! Mam nadzieję, że Nate’owi wystarczy jedzenia; jest sam już dziesięć godzin. Zanim dowlokę się do domu ze Stansted – o ile będzie jakiś transport dla załogi, bo publiczne środki lokomocji będą przeciążone – będzie dziesiąta wieczorem.

– Przepraszam. – Podchodzi do mnie kobieta z małym dzieckiem na lewym biodrze. – Dwie godziny po wylądowaniu mamy samolot do Dubaju i musimy zdążyć.

– Proszę się nie martwić – mówię – personel naziemny ma wszystkie informacje dotyczące transferów i przebukuje pani bilet na najbliższy możliwy lot. To się często zdarza i jest załatwiane bardzo sprawnie.

Nie mam pojęcia, czy personel naziemny załatwia to sprawnie, ale na pewno musi.

Jednak innych pasażerów nie udaje się tak łatwo uspokoić.



Zwłaszcza jakiś mężczyzna staje w kuchni o wiele za blisko mnie. Czuję od niego piwo, kiedy gędzi, że zrezygnuje z karty lojalnościowej, bo nigdy nigdzie nie dociera na czas i teraz spóźni się na kolację urodzinową córki. Wygłaszam swoje stałe banały, ale nie chce odejść.

Wreszcie kończy.

– I co z tym zrobicie?

Dobre pytanie. Co ja zrobię?

– Może pan coś przekąsi?

Częstuję go słodyczami w koszyku.

Wykrzywia brzydko twarz w drwiącym grymasie.

– Wybacz, kochana, ale słodycze przestały mnie podniecać, jak miałem sześć lat.

Odstawiam koszyk na bok.

– To może drinka?

Bez słowa sięga obok mnie do barku, otwiera go, jakby miał do tego pełne prawo, i zaczyna w nim grzebać. Tego szczególnie nie cierpię. Ludzie uważają, że mogą sobie brać z kuchni, co chcą. Wiele razy zostawiałam z boku jakieś danie lub kanapkę, bo musiałam wyjść, żeby zająć się tą czy inną sprawą, i po powrocie zastawałam kogoś wcinającego moje jedzenie. Niesłychane. Nagle wychodzi ze mnie dzisiejsze napięcie i ten okropny, czerwony na twarzy, krzykliwy facet jest tym jednym wyzwaniem za dużo. Sięgam nad nim, szarpię z całej siły metalowy pojemnik i zrzucam mu go na głowę.

Facet krzyczy i upada do tyłu na podłogę, trzymając się prawą ręką za czubek głowy. Patrzy na mnie, wyraźnie zbyt ogluszony, żeby znów zacząć gadać. Ma szczęście, że wybrałam pojemnik z serwetkami i plastikowymi kubkami. Bardzo mnie korciło, żeby zrzucić na niego ten z napojami w puszkach.

– Przepraszam – mówię, starając się, żeby to zabrzmiało szczerze.

Chwytam ścierkę do naczyń, zawijam w nią łód i daję mu. Przykłada ją posłusznie do głowy. Chcę, żeby się wyniósł z kuchni i zniknął mi z oczu, zanim ulegnę pokusie, żeby go kopnąć.

Szefowa wchodzi do kuchni i przygląda się tej scenie.

– Wszystko w porządku? – pyta go.

– Nie – odpowiada facet i znów zaczyna gadać.

Wychodzę. Kurwa mać, dlaczego ludzie nie mogą pilnować własnych spraw? Niepotrzebnie się wtrąciła. Teraz będę musiała napisać raport o tym zdarzeniu.

Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Kiedy samolot rozpoczyna zniżanie, zabezpieczamy kabinę i zawczasu zajmujemy miejsca, bo piloci przewidują silne turbulencje. Nie myślą się. Maszyna trzęsie się i kołysze, silniki wyją przeraźliwie. Na dworze jest ciemno. Kiedy pasażerowie się boją, zawsze zapada cisza, co potęguje ogólnie upiorną atmosferę.

Opadamy na pas startowy i upragniony huk wytracającego szybkość samolotu jest jednym z najprzyjemniejszych dźwięków, jakie słyszałam przez cały dzień. Czuję się tak, jakbym gdzieś była przez cały tydzień.

Wysiadanie trwa godzinę, bo lotnisko przyjmuje inne przekierowane maszyny, musimy więc czekać na schody i autobusy. Dla wszystkich załóg są taksówki na Heathrow, ale kolejka – rzecz jasna – jest długa. A po czekaniu na lodowatym zimnie blokują nas jeszcze bezmyślne osoby, które wzięły ze sobą małe walizki lub duże torby na raptem jednodniowy wylot.

W rezultacie dwie pierwsze taksówki zabierają tylko po dwóch członków załogi.

Kiedy odjeżdżamy i zostawiamy za sobą jasne światła lotniska, ogarnia mnie strach. Nate jest pozostawiony samemu sobie już pełne trzynaście godzin.

Ni z tego, ni z owego wybieram numer jego telefonu – choć jest wyłączony i leży na jego stoliku do kawy.

Nie jest to dobre posunięcie, bo doznaję jednego z największych szoków w moim życiu. Aparat dzwoni.

Gdy tylko taksówkarz wyrzuca mnie przy parkingu służbowym na Heathrow, biegnę do swojego samochodu. Kiedy wyjeżdżam za szlabany w deszczu, który zalewa mi przednią szybę mimo

maksymalnej szybkości wycieraczek, nie mogę się skupić. Nie chcę wracać do mieszkania Nate'a – ani do swojego – bo podejrzewam, że czeka na mnie policja. Ale nie mam wyboru.

Najlepsze, co mogę zrobić w razie najgorszego scenariusza, to wywinąć się z kłamstw i oszczerstw Nate'a. Bez względu na to, jaka sytuacja powstanie, nasza przeszłość dowiedzie, że to była dziwaczna kłótnia domowa.

Przed Richmond skręcam w boczną drogę i znów wybieram numer Nate'a. Tym razem telefon już nie dzwoni, tylko natychmiast włącza się poczta głosowa.

– Cześć, tu Nate. Proszę zostawić wiadomość.

Rozłączam się. Może tylko sobie wyobraziłam, że wcześniej dzwonił. Próbuję uzyskać informację o Nacie przez aplikację szpiegowską, ale nie mogę się zalogować. Jest zablokowana. Zimny dreszcz przechodzi mnie na myśl, że została odkryta. Zmuszam się do głębokiego oddychania, analizuję sprawy i skupiam się. Usuwam z historii w tablecie wideo z instrukcją, jak majstrować przy zamku w drzwiach. Usiłuję przekonać siebie, że nic złego się nie stało. Wyobrażam sobie Nate'a spokojnego i skruszonego, żałośnie wdzięcznego, że mnie widzi.

Parkuję daleko od mieszkania, na drugim końcu ulicy, i wyłączam silnik. Wypatruję w okolicy wozów policyjnych, ale nie widzę żadnych, chyba że są nieoznakowane. Zawieszam na ramieniu torbę i dzielę sprawiedliwie prezenty w torbach ze sklepów bezcłowych. Rzeczy dla Milesa mogą na razie zostać w samochodzie.

Deszcz ustał. Kiedy idę przez Green, obcasy zapadają się lekko w ziemię co parę kroków. Nie chcę patrzeć w górę na mieszkanie Nate'a, ale muszę. Serce zaczyna mi bić szybciej na widok światła w kuchni.

Ja je zostawiłam? Jestem pewna, że nie.

W pokoju Nate'a jest ciemno. To dobrze? Żle?

Szlag. Żałuję, że nie zrezygnowałam z tego głupiego lotu i nie zostałam na miejscu.

Wchodzę; drzwi do klatki schodowej zamykają się za mną z hałasem. Nieruchomieję. Mogłam pójść do domu, wziąć prysznic,

schować się pod kołdrą i zająć tym wszystkim rano. Może Nate'owi dobrze by zrobiła trochę dłuższa samotność. Ale wyobrażam go sobie samotnego i tęsknota za nim bierze we mnie górę nad obawami. Zdejmuję szpilki i wspinam się na górę w rajstopach.

Zatrzymuję się przed jego drzwiami i nasłuchuję.

Cisza.

Wsuwam klucz do zamka i otwieram wolno drzwi. Światło z kuchni rozprasza trochę ciemność, ale za mało. Stawiam cicho torby na podłodze i zamykam za sobą drzwi. Tęcza nie rusza się. Wyłączony telefon Nate'a leży na stoliku do kawy, gdzie go zostawiłam. Cisza mnie przeraża. Idę do sypialni Nate'a. Drzwi są zamknięte; znowu tak, jak je zostawiłam. Nie ma żadnych oznak, że uciekł, ale jest mi niedobrze. I zimno; uświadamiam sobie, że się trzęsę. Popycham ostrożnie drzwi. Ciemno.

Zapalam światło i zamieram ze zgrozy.

Drzwi do łazienki są roztrzaskane, mają z boku poszarpaną, pełną drzazg dziurę. Ale wygląda ona na zbyt małą, żeby mógł się przez nią przecisnąć człowiek, nie raniąc się poważnie.

Kiedy ogarniam to umysłem, ktoś łapie mnie za prawą rękę, wykręca ją do tyłu i popycha na podłogę. Krzyczę, dopóki czyjaś dłoń nie zasłania mi ust. Wdycham zapach Nate'a i tracę oddech. Podrywa mnie do góry za nadgarstek i rzuca na łóżko. Próbuję wstać, ale przytrzymuje mnie za ramiona.

– Teraz ty mnie posłuchaj – mówi.

Podnoszę się, żeby pobiec do drzwi, ale popycha mnie z powrotem.

Wygląda jak obłąkany.

Rozglądam się dookoła. Na podłodze są starannie ułożone w stos moje rzeczy. Zdjęcie ślubne, magazyn ilustrowany, kajdanki, sukienka – wszystko. To obraza. Chce się pozbyć wszelkich śladów po mnie? Patrzę na niego.

On na mnie też. Na mój uniform.

– Poszłaś do pracy? Ty suko! Wiesz, co się mogło stać? Gdyby wybuchł pożar, mógłbym zginąć. Kiedy przestałaś mnie ostrzegać, żebym nie wyważał drzwi, przypuszczałem, że wróciłaś na trochę do siebie. Nie myślałem...

– Jakie jest rzeczywiste prawdopodobieństwo pożaru? Jak długo tu mieszkasz – trzy, cztery lata? Chyba można już spokojnie przyjąć, że twoi sąsiedzi to odpowiedzialni ludzie? W każdym razie kupiłam ci krawat i płyn po goleniu. Jedno i drugie jest w torbie przy drzwiach wejściowych. Poszłabym po nią, ale nie mam ochoty być znów zaatakowana.

Masuję bolący nadgarstek.

– Potrzebujesz większej pomocy, niż się obawiałem, jeśli myślisz, że coś mi wynagrodzi uwięzienie.

Krzyżuję ramiona.

Nate kontynuuje przemowę, która brzmi jak przećwiczona.

– Teraz rozumiem, co znaczą twoje słowa, że jestem twoją pierwszą miłością. To był twój pierwszy raz, a ja okazałem się dupkiem. Byłem młody, arogancki, niechący okrutny i bezmyślny, za co przepraszam.

Siada obok mnie i bierze mnie za rękę.

Zaczyna wstępować we mnie lekka nadzieja. Patrząc na niego. Mój pomysł wypalił? Uświadamiam sobie wadę mojego planu – nigdy nie będę wiedziała, czy mówi szczerze. Nigdy nie będę w stanie całkowicie mu zaufać. Jestem wykończona brakiem snu i dzisiejszym napięciem, a teraz muszę się jeszcze zmagać z tą niepewnością.

– Miałem dziś mnóstwo czasu na myślenie. Po śmierci twojego brata musiało ci być strasznie ciężko. Ale myślę, że przyczepiłaś się do mnie z powodu jakichś romantycznych fantazji i...

Przerywam mu.

– Jak się wydostałeś?

Przygląda mi się, zaszokowany, że nie jestem przejęta jego pełną współczucia przemową.

– Miałem na to cały dzień.

– Czym rozwaliłeś drzwi? Zabrałam wszystko, co mogło posłużyć za jakieś narzędzie.

– Może nie jesteś tak sprytna, jak myślisz.

– Powiedz mi, bo to mnie doprowadza do szału!

– Środkowe panele drzwi są cieńsze niż główna część. Skoncentrowałem całą siłę na jednym z nich, a potem musiałem tylko sięgnąć przez dziurę do klamki i obrócić ją.

Unosi prawą rękę; jest mocno poharatana.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Serce powoli zaczyna mi bić normalnie. Ale nie ogarniam całego sensu tej sytuacji ani tego, do czego to wszystko zmierza.

– Zrobimy tak – ciągnie Nate. – Będziemy dalej załatwiali jak najszybsze rozwiązanie tego małżeństwa. Nie będziesz więcej robiła żadnych numerów, co oznacza również trzymanie się z daleka ode mnie, mojej rodziny i mojego domu. W pracy

poproszę, żebyśmy nie latali na tych samych trasach. Uważam też, że musisz poszukać pomocy specjalisty, żeby uporać się ze sobą. Pomogę ci znaleźć kogoś dobrego, jeśli zechcesz. Dopóki będziesz się zgadzała na to wszystko, nie pójde na policję. Kiedy zobaczysz mnie na ulicy, będziesz przechodzić na drugą stronę. Ale jeśli złamiesz któryś z tych warunków, wystąpię o wydanie ci zakazu zbliżania się.

- Nie zapominasz, że ja też mogę złożyć na ciebie skargę za uprawianie seksu z nieletnią? W każdej chwili. Dostaniesz dwuletnie ostrzeżenie i pożegnasz się ze swoją wymarzoną pracą.

Patrzy na mnie, ale nie bardzo wiem, co myśli lub czuje. Czuję się trochę niepewnie, ale muszę się bronić. Teraz, kiedy rozmawiamy otwarcie, wygląda na to, że dzięki szczerości mamy szansę znów być razem.

- Zdaje się, że nawzajem mamy do siebie pretensje. Jeśli się zgodzimy, że się ze sobą nie zgadzamy i nie będziemy wchodzić sobie w drogę, to możemy uniknąć widowiska. Nic nie zyskamy, próbując się nawzajem pogrążyć, bo zawsze skończy się na tym, że nie jestem mężczyzną dla ciebie. Miałem mnóstwo czasu na przemyślenie tego i wszystko rozgryzłem. Wiedziałem, że w pewnym momencie będziesz zmuszona wrócić, żebyśmy mogli to kulturalnie omówić i dojść do porozumienia, zwłaszcza po twoim telefonie do mnie.

Nie odpowiadam.

- Lily. Pozwól mi odejść. Nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, naprawdę, ale to byłaby najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek mogłabyś dla siebie zrobić. Wiem, że teraz może to tak nie wygląda, ale jeśli kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyłem, jak mówisz, to proszę cię, spróbuj mi uwierzyć. Bez względu na to, jakie to trudne.

- Staram się, Nate, naprawdę, ale nie widzę w tym żadnej korzyści dla siebie. Jesteśmy małżeństwem. Kto uwierzy w twoją wersję wydarzeń? Na serio. Nie jestem jednonocną przygodą, która chce więcej. Już mam więcej.

Wypada z pokoju i wraca z telefonem przy uchu.

– Nie udawaj, że dzwonisz na policję – mówię.

– Nie na policję – warczy, ale głos mu się lekko łamie, co zdradza, że bardziej się boi tego, co mogę powiedzieć, żeby go zniszczyć, niż jest gotów się przyznać. – Ściągam tu Jamesa, żeby zobaczył, co zrobiłaś.

O, Boże, tylko nie James. Nie mogę znieść myśli, że znów będzie rozsądzał, a potem wygłosi kazanie.

Biorę swój telefon.

– Okej. Zgłoszę policji, że w przeszłości popełniłeś przestępstwo.

Nate jest szybki. Wyrywa mi telefon, wyłącza go i wpycha do mojej torby.

– Wynocha! – krzyczy. – Wynoś się, bo stracę panowanie nad sobą. Mam tego dosyć. Powinnaś mi dziękować, że nie kazałem cię aresztować albo zabrać do psychiatryka. Daję ci szansę, na którą nie zasługujesz, i lada chwila mogę się rozmyślić!

Jestem wykończona. Nie wiem, jak wytłumaczyć, że zawsze dam mu wszystko, co będę miała. Nigdy nie będzie żałował, że mnie wybrał; poświęcę życie na uszczęśliwienie go. Jestem załamana, jakbym zawiodła nas oboje. Ale brakuje mi już słów. Wstaję, zbieram swoje rzeczy, skołowana, i wkładam je do torby. Pomyślę, jak to rozwiązać. Nie będzie mógł ignorować naszej przeszłości, jeśli nie ustąpię.

Nate wyciąga prawą rękę dłońią do góry.

– Poproszę o moje klucze.

Daję mu je. To bez znaczenia, mam drugi komplet.

Otwiera drzwi wejściowe, staje jak ochroniarz i obserwuje mnie.

– Rozumiesz, Lily, że mamy obustronnie korzystną umowę?

– Tak. Do widzenia, Nate.

– Do widzenia.

Kiedy czekam na windę, mówi coś, co brzmi jak: „I nie wracaj”. Potem zamyka drzwi.

Kopię w bok windy.



Pierwsze, co robię rano, to esemesuję do Milesa, że mam czas na lunch, ale odpowiada krótko, że jest zajęty, pracuje w domu. Szpieguję Bellę, ale nic mi nie podpowiada, co dziś zamierza robić.

Znam ich adres, więc tam jadę. Na podjeździe jest tylko samochód Milesa, co nie znaczy, że wóz Belli nie stoi w garażu. Dzwonię do Milesa. Zgłasza się po pierwszym sygnale szorstkim „halo”.

- Już mówiłem, że jestem zawałony robotą.
- Bella jest w domu?
- Nie.
- To dobrze. Otwórz drzwi. Jestem na dworze.

Nie ma wyboru.

Wchodzę do mrocznego holu. Dom Belli wyobrażałam sobie zupełnie inaczej. Schody z ciemną drewnianą poręczą skręcają w prawo do góry, boazeria na bocznej ścianie jest taka sama. Bordowy dywan potęguje ogólne wrażenie ciemności. Dokładnie naprzeciwko mnie stoi okrągły stolik, a na nim oliwkowy wazon pełen czerwonych róż. Obrazy w złotych ramach pokazują sceny przemocy: bitwy, polowania, krew i cierpienie.

Wręczam Milesowi torbę z zakupami wolnoctłowymi.

- Znów gdzieś poleciałaś? Dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć, Juliette. Tak się nie robi. Nie możesz przychodzić do mnie bez zapowiedzi. Nie tak się umawialiśmy.

Oddaje mi torbę. Wpycham ją do swojej. Na razie.

- Wiem, ale musimy porozmawiać. Wypiję szybką kawę i zostawię cię w spokoju.
- Bella ma wrócić dopiero po lunchu, ale może być wcześniej.
- Zaesemesuj do niej. Zapytaj, jak jej mija dzień, to się uspokoisz.

Idę prosto przed siebie korytarzem, który prowadzi do kuchni. Miles za mną, ignorując moją sugestię. To miejsce dużo bardziej odpowiada mojemu wyobrażeniu o jej domu. Jest współczesne i widne. Lśniaca stal nierdzewna i puste powierzchnie; bardzo minimalistycznie. Metalową miskę na owoce wypełniają banany, pomarańcze i kiwi. Nad designerskim ekspresem do kawy są

przymocowane do ściany makaty z cytatami.

Jestem zaskoczona; zawsze myślałam, że Bella ma dość wiary w siebie bez dodatkowych zachęt.

„Uwierz, że jest dobro na świecie”.

„Miej ambicję”.

„Zrób coś, co zawsze wydawało ci się niemożliwe”.

Stawiam torbę na podłodze i przesuwam palcem po kuchennym blacie roboczym, Miles bawi się kubkami i kawą w kapsułkach. Opieram rękę na plastikowej teczce w stokrotki pod małym stosem poczty. Odpycham korespondencję na bok, biorę teczkę i wyjmuję z niej zawartość. Widzę wydruk mejla od jej matki ze szczegółami ich corocznej rodzinnej podróży w lutym do Whistler. Zamieszkają w domku wakacyjnym ciotki, jak zwykle.

To nie jedyna rzecz. Jest również próbnie zaproszenie ślubne, które przysłała lokalna drukarnia. Miles i Bella przyspieszyli ślub – będzie w połowie stycznia, przed unieważnieniem mojego małżeństwa z Nate’em. Miles odwraca się i marszczy brwi, kiedy widzi, co czytam. Mimo to nie przerywam. Zrezygnowali z włoskiej willi i wybrali lokalny pięciogwiazdkowy hotel. Przebiegam wzrokiem listę gości; są setki zaproszonych.

– Juliette! To prywatne!

Podchodzi długimi krokami i zabiera mi teczkę. Wpycha jej zawartość z powrotem do środka i znów skupia uwagę na ekspresie do kawy.

– Bella jest w ciąży?

– Nie. A nawet gdyby była, to nie twoja sprawa.

– To dlaczego przyspieszyliście ślub?

Patrzę mu w oczy.

Czerwieni się.

Siadam na stołku przy kuchennym barze śniadaniowym. Jest twardy i niewygodny. Miles siada naprzeciwko i przysuwa mi kawę po granitowym blacie.

– Uznaliśmy – właściwie ja uznałem – że tak będzie lepiej. Kiedy tamtego wieczoru dowiedziałem się od ciebie, że ją znasz, doznałem szoku. Zachowywałem się paskudnie, a nie chcę jej stracić.

– A co ze mną?

– Umówiliśmy się. Uzgodniliśmy na samym początku, że nie zagrozimy naszym związkom.

– Tak, ale nie rozumiem, dlaczego mamy ze sobą zerwać? Bo ty tak chcesz?

– Bo znasz Belle.

– Znałam.

– Powiedziała mi, że w szkole nie zawsze była miła, ale ją przerażałaś.

Śmieję się.

– Ja? Ją? Wiesz, co dla mnie było w szkole najlepsze? – Miles kręci głową, więc kontynuuję. – Raz w tygodniu wychodziłam ze szkoły na godzinę lub dwie. Zapisalam się do programu nagród księcia Edynburga. To była jedyna grupa, do której ona nigdy nie należała. Przez dwie godziny w tygodniu czułam się wolna, gdy brnęłam przez błotniste pola bez względu na pogodę.

– Ona na pewno nie była aż tak zła, jak uważasz. W mojej szkole też działy się różne rzeczy.

– Skoro tak twierdzisz. – Odstawiam kubek. To nie układa się tak, jak się spodziewałam. Wstaję. – Mogę skorzystać z toalety?

Wskazuje korytarz.

– Na prawo.

Podnoszę torbę i idę tam. Otwieram i zamykam drzwi toalety, zdejmuję buty, biorę je w jedną rękę i wbiegam po schodach na górę. Wszystkie drzwi są otwarte. Drugi pokój, do którego zaglądam, to wyraźnie sypialnia. Kładę się na ich łóżku i szybko wyjmuję z kieszeni telefon. Pstrykam selfie. Siadam i lustruję wzrokiem pokój. Nocny stolik Belli jest zagracony: książki, lakiery do paznokci, wata i trzy różne rodzaje drogich kremów do twarzy. Biorę jedną z jej szminek, zostawiam płyn po goleniu dla Milesa wśród jej perfum i przewieszam przez krzesło jeden z jego krawatów. Robię kilka zdjęć pokoju i drugie selfie, kiedy siedzę przed jej toaletką. Chcę uchwycić obrazy jej świata.

Zbiegam na dół, wciągam z powrotem buty i wracam do kuchni w momencie, gdy Miles z niej wychodzi, jakby zamierzał mnie poszukać. O mało się nie zderzamy. Wyciągam się do góry, żeby

go pocałować.

Cofa się.

– Nie możemy już tego robić. To niestety naprawdę koniec, Juliette. Jesteś cudowną kobietą i twój narzeczony to wielki szczęściarz, ale nie mogę dłużej ryzykować, przykro mi. I jak się okazuje, dobrze się składa, że nie łączą nas też sprawy zawodowe. Będzie nam dużo łatwiej trzymać się z daleka od siebie.

– Mój narzeczony i ja rozstajemy się.

– Ach, tak. Rozumiem. Przykro mi to słyszeć.

Stoję przed nim z opuszczonymi wzdłuż boków rękami i milczę. Sądząc po jego minie, chyba ma świadomość, że nie pozbędzie się mnie tak łatwo. Wygląda na to, że się mnie boi, co umacnia mnie w przekonaniu, że jestem górą. Zamierzam wykorzystać tę przewagę. Tyle że jeszcze nie jestem całkiem pewna jak. Przechodzę obok niego, stoję przy oknie i wyglądam do ogrodu. Agenci nieruchomości opisaliby go jako dobrze utrzymany. Jesiony i buki rosną wzdłuż przeciwległego krańca, zadbane kwietniki są dobrze rozplanowane. Założę się, że za kilka lat Bella ustawi w nim huśtawki, zjeżdżalnię i drabinki.

– Masz piękny dom – mówię.

– Dziękuję.

Choć milczy, prawie słyszę jego myśli: chce, żebym sobie poszła, nie narobiła mu kłopotów.

– Dam ci spokój – mówię, nie patrząc na niego.

– Dziękuję – odpowiada, nawet nie próbując ukryć ulgi w swoim głosie.

Odwracam się.

– Ale jeśli kiedykolwiek skontaktuję się z tobą z jakiegokolwiek przyczyny, nie zignoruj mnie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy po prostu zachować się jak dorośli, pożegnać w cywilizowany sposób i mieć przyjemne wspomnienia...

Przerywam mu, bo dzięki Nate'owi znam te teksty. Zaraz będzie głądził, żebym była „rozsądna”.

– Do widzenia, Miles. Na razie – dodaję, żeby był czujny i

przygotowany na wszystko.

Odwracam się, biorę torbę i maszeruję do drzwi frontowych.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby zrobić coś pożytecznego, parkuję więc blisko brzegu morza i maszeruję promenadą.

Uczucia, które tłumię od ostatniej nocy – złość, wściekłość, upokorzenie – pieką. Nie dość, że Nate znów postanowił mnie potraktować, jak mu się podoba, to teraz jeszcze Miles zwrócił się przeciwko mnie.

Wiatr mnie smaga, fale huczą. Czerń morza przyzywa i walczę z chęcią, żeby wbiec do wody i zanurzyć się pod powierzchnię, utopić ból. Ale nie mogę znieść myśli, że moje ciało zostałoby wyrzucone na plażę z wszelkim innym gównem. To byłoby zbyt kompromitujące.

Przyspieszam z cichą nadzieją, że może natknę się na kogoś agresywnego, kto mnie zaczepi lub zaatakuje, żebym mogła się z nim pobić i wyładować złość na nim.

Wdycham głęboko morskie powietrze. Muszę konstruktywnie ukierunkować gniew.

Dzwonię do hotelu, gdzie ma być wesele Belli i Milesa, i pytam, czy nie potrzebują kelnerek na duże imprezy. Podają mi nazwę lokalnej agencji zatrudnienia. Znajduję ją i rejestruję się jako chętna do pracy.

Po powrocie do mieszkania patrzę na zdjęcia pokoju Belli i przyglądam się uważnie wszystkim jej rzeczom. Zapamiętuję, jakich perfum i kremów używa.

Sprawdzam Nate'a. Nie ma go, odwiedza w Leeds dawnego kumpla ze studiów. Znów cholera mnie bierze na myśl, że sobie wyjeżdża, dobrze się bawi i nic go nie obchodzi.

Nie mogę tu dłużej siedzieć i nic nie robić.

Przeszukuję kuchnię.

Biegnę przez Green i wchodzę do klatki schodowej. Kiedy się wspinam po schodach, wydaję z torby środek mrówkobójczy –

przeczytałam, że jest szkodliwy dla rybek – stawiam go na podłodze i wsuwam klucz do zamka.

Jest zablokowany. Nie działa.

Odmowa dostępu.

Długo przekręcam klucz w lewo i w prawo i wciąż próbuję, choć już wiem, że Nate rzeczywiście postanowił całkowicie usunąć mnie ze swojego życia.

## 29

Cztery dni przed Bożym Narodzeniem dostaję bardzo urzędowo sformułowany list z kancelarii Jamesa Harringtona. Unieważnienie małżeństwa jest w toku. Nate i ja – nazywani teraz „powodem” i „pozwaną” – mamy niedługo przestać być w związku.

Siedzę przez kilka godzin na łóżku i patrzę na dokument, według którego wszystko jest tak proste, jakby w grę nie wchodziły żadne uczucia. Zapamiętuję wszystkie bolesne słowa, idę do kuchni, biorę zapalniczkę i palę pismo nad zlewem. Kawałki zwęglonego papieru zwijają się i spadają na białą porcelanę.

W oddali słyszę, jak kolędnicy zaczynają śpiewać *Cichą noc*.

Babs towarzyszy mi podczas świątecznego lotu do San Francisco na moim darmowym bilecie dla rodziny i znajomych. Zabranie jej na zwiedzanie jest pożądaną odmianą: Alcatraz, most Golden Gate, przejażdżka tramwajem linowym, dzielnica Fisherman's Wharf; zaliczamy wszystkie atrakcje.

Nasz świąteczny lunch nie jest tradycyjny, gdy zbieramy się w restauracji z owocami morza w dwadzieścia osób – my i moja załoga ze swoimi „doczepkami”: narzeczonymi, matkami, przyjaciółmi. Jem małże w sosie z białego wina i wydłubuję cząstki kraba ze skorupy. Restauracja się stara – są strzelające cukierki z niespodzianką i muzyka bożonarodzeniowa, ale te wszystkie próby stworzenia wesołego nastroju tylko mnie dobijają.

Kiedy Babs śpi w moim pokoju na swojej połowie wielkiego podwójnego łóżka, torturuję się czytaniem radosnych wiadomości do i od Nate'a. To jak odbijanie piłek tenisowych tam

i z powrotem z jednego końca świata na drugi. Jest w domu ze swoją cudowną, kochającą rodziną.

Jakaś kobieta – Tara – życzy mu cudownych świąt. Cieszy się na rychłe spotkanie. Nate odpowiada jej, że on też.

Wyobrażam sobie, jak Bella, Nate i Miles siedzą przy stole, kroją indyka, popijają grzane wino i odpakowują drogie prezenty. Szczęśliwi, prowadzą życie, na które w ich mniemaniu zasługują.

Włączam telewizor i wybieram film, komedię romantyczną, tylko po to, by poczuć się jeszcze gorzej.

Przed lotem powrotnym tracę cierpliwość. Kiedy pasażerowie wchodzą na pokład, kobieta po trzydziestce, która mówi mi trzy razy, że jest dyrektorką zarządzającą jakiejś wielkiej, kompletnie nieznannej mi firmy, nie chce odłożyć torby na czas startu.

– A pani nie może tego zrobić?

Zaciskam zęby.

– Niestety nie wolno nam podnosić bagażu. I jeśli pani tego nie zrobi, to wrócę za kilka minut i poproszę o oddanie go do ładowni.

W połowie lotu szefowa mówi mi, że tamta kobieta poskarżyła się na mnie. Staram się wyglądać na skruszoną, jestem za bardzo nakręcona, żeby zrobić sobie przerwę. Zamiast tego siadam w naszym „kambuzie” i słucham opowieści mojej koleżanki Natalie o renowacji jej kuchni w nadchodzących miesiącach. Jest na niepełnym etacie i nie musi pracować do lutego.

– Fachowcy obiecali, że ograniczą bałagan do minimum.

Niektórzy ludzie uwierzą we wszystko. Właściwie nie mam nic przeciwko Natalie i gdyby mieszkała trochę bliżej mnie – dojeżdża z Glasgow, a to za daleko na regularne wizyty – zaprzyjaźniłabym się z nią. Przekonałam się, że samotność mi nie służy.

Kiedy po wylądowaniu kończę powitanie pasażerów na Heathrow, czuję lekki przyptyw niespodziewanego optymizmu. Nadchodzi nowy rok; to zawsze dobry czas na nowy początek.

Otwieram schowek nad fotelem rzekomej dyrektorki



zarządzającej i proponuję, że wyjmę jej torbę. Nie czekając na odpowiedź, wyciągam ją i upuszczam na jej stopy.

Krzywi się z bólu.

– Au! Niech pani myśli, co pani robi.

– Bardzo przepraszam – mówię. – Osobiście uważam, że zawsze jest bezpieczniej podróżować z lekkim bagażem.

Odchodzę.

Może się skarżyć, ile chce; nie ma dowodu, że to nie był wypadek.

Trzy tygodnie później zjawiam się w hotelu blisko miejsca, gdzie Miles zniszczy sobie życie, wiążąc się z Bellą, i proszę o pokój z widokiem na kościół.

Wczesnym popołudniem, jest oczywiście piękny słoneczny zimowy dzień, przybywają wystrojoni goście. Wypatruję przez okno Nate'a. Kiedy dostrzegam go stojącego obok matki i drobnej ciemnowłosej kobiety – bez wątpienia Tary – gardło mi się ściska i nie mogę powstrzymać łez.

W szarym garniturze, z różową różą w butonierce, wygląda jak wyjęty z reklamy. Pomaga matce poprawić wielki kremowy kapelusz, a Tara przygląda mu się czule.

Bella przyjeżdża konnym powozem. Jest dziesięć minut spóźniona. Z mojego punktu obserwacyjnego wygląda bajecznie – prawdziwa księżna. Trzyma bukiet różowych i białych róż. Jej długa koronkowa biała suknia mieni się. Błyski złota przykuwają moją uwagę, kiedy bierze ojca pod rękę i idzie w kierunku wejścia do kościoła. Przeżywa wszystko, czego ja zawsze chciałam, ale nigdy nie osiągnęłam.

Wycieram oczy chusteczką higieniczną; mam zadanie do wykonania.

Przed rozpoczęciem pracy studiuję plan rozmieszczenia gości i proszę o rewir na końcu sali, daleko od głównej grupy weselników. Jestem w ciemnobrązowej peruce, moich

niebieskich szklach kontaktowych i okularach dla pełnego bezpieczeństwa. Zostałam poinstruowana, żebym upięła włosy do góry, związałam je więc w koński ogon, ale wypuściłam kosmyki z boku twarzy. Czuję się całkowicie bezpieczna, bo nikt nie będzie mi się przyglądał, skoro piękna Bella jest królową balu.

Ja należę do niewidocznego personelu.

Nikt nie będzie w stanie mnie zapamiętać. Słyszałam, że zeznania naocznych świadków są często niewiarygodne.

Ludzie pamiętają, żeby mi uprzejmie podziękować, kiedy podaję im miseczki posypanego bułką tartą makaronu zapiekanego w sosie serowym i naparstki gęstej zupy pomidorowej, a potem filet mignon z młodymi kartoflami. Nalewam wino i wodę, po czym okrążam stół z koszykiem pieczywa i proponuję dodatkowe bułeczki.

Jestem jak w pracy, tylko na twardszym gruncie.

Przed deserem roznosimy kieliszki szampana.

Stoję z tyłu i ściskam butelkę szampana, Miles bez końca dziękuje i czyta przyprawiającą o mdłości dedykację, którą napisał dla Belli. Jest „szczęściarzem”, a ona „jedną na milion”.

Wychodzę dyskretnie do bocznej sali i nalewam sobie kieliszek szampana. Trudno słuchać tych wszystkich bzdurnych i fałszywych słów. Widzę, że w kuchni po drugiej stronie korytarza jest spokój. Wszyscy wykorzystują ten czas na zrobienie sobie przerwy lub dokończenie sprzątanía. Rozglądam się po sali, w której jestem. Oprócz prezentów i mnóstwa płaszczy dostrzegam tort – o dziwo, bardzo tradycyjnie wyglądający: biały z młodą parą na szczycie. Ale jest wielki, pięciopiętrowy, i stoi na stoliku na kółkach, wygląda więc na to, że ma być demonstracyjnie wtoczony i zrobić wrażenie.

Niewiele myśląc, przewracam go. Upada na dywan. Powstrzymuję chęć wbicia w niego noża lub rozdeptania go. Młoda para jest przywalona obsuwającym się lukrem i waniliowym biszkoptem.

Kiedy wracam do głównej sali, drużba właśnie wygłasza mowę pełną zwyczajowych anegdot o studenckich wyskokach.

Powinnam zawczasu go wytropić – mogłabym dodać pikantne szczegóły do jego opowieści. Widzę, że kierownik cateringu z ponurą miną odprowadza na bok organizatora wesela.

Kilka minut później obaj biorą Bellę na stronę. Przyglądam się, jak gwałtownie unosi rękę do ust i na jej twarzy maluje się zrozumiałe rozczarowanie. Ma szczęście – gdyby było łatwiej zbliżyć się do niej, straciłaby suknię albo urodę.

Kiedy podaję następne danie, opisane w menu jako „trzy desery do wyboru” – sernik cytrynowy, lody z wiórkami czekoladowymi i minibiszkopt czekoladowy – a potem kawę, mam dosyć. Kwaśny szampan źle działa na mój pusty żołądek i wszystko zaczyna być nierealne. Ignoruję prośbę koleżanki, żebym włączyła się do śledztwa personelu w sprawie zniszczenia tortu.

– Pewnie zrobiły to jakieś dzieciaki – mówię, udając, że jestem zaabsorbowana specjalnym życzeniem jednego z gości.

W momencie, gdy zamierzam zrezygnować z pracy, symulując chorobę, didżej zaczyna się przygotowywać. Postanawiam poczekać do pierwszego tańca, a potem wyjść.

Wymykam się i wypijam ukradkiem następny kieliszek szampana. Muszę jakoś przetrwać ostatnią część tego dnia, a po dwóch kieliszkach raczej nie zamienię się w moją matkę. Czuję, jak alkohol przenika mi do krwiobiegu, łagodzi ból i samotność.

Może Amelia nie była taka głupia.

Światła przygasają, gdy Bella i Miles wchodzi na parkiet na pierwszy taniec przy piosence Davida Bowie *The Wedding Song*. Utwór się kończy i gardło mi się ściska, kiedy Nate otacza ramieniem Tarę i prowadzi ją delikatnie w kierunku młodej pary. Państwo Yorke. To nazwisko nie pasuje do Belli tak dobrze, jak Goldsmith, jakoś nie wygląda jak Bella Yorke.

Trudno mi oddychać, odsuwam więc krzesło od pustego stolika i stawiam je z boku przy zasłonach. Marynarka Milesa wisi na oparciu pobliskiego krzesła. Przeszukuję ją dyskretnie. Telefon. Portfel. Wyjmuję go i wkładam do swojej torby. Obserwuję dalej.

Przypominam sobie szkolną zabawę tamtego wieczoru, kiedy zakochałam się w Nacie. Biorę głębokie oddechy, nie chcę teraz o tym myśleć. To nie jest właściwy moment. Ale duszę się, widząc,

jacy szczęśliwi są Nate i Bella, otoczeni swoją równie szczęśliwą rodziną.

W dniu śmierci Willa chciałam mieć po prostu kilka chwil spokoju. Ale od tamtej pory nie zaznałam go.

Plusk nie w pełni do mnie dotarł.

To ogrodnik próbował mi pomóc uratować Willa. Nigdy nikomu tego nie powiedział, bo usiłował mnie chronić. Pozwolił mi udawać przed matką, że widziałam upadek Willa i że natychmiast zareagowałam. Że wzywałam pomocy, ale po prostu wszystko stało się za szybko. Każde kłamstwo po jakimś czasie staje się prawdą. Nigdy nie powiedział, że byłam leniwa lub niedbała albo że zapewne się zdrzemnęłam.

Jeszcze zanim zajrzałam do basenu, wyczułam, co się stało. Pobiełam, zesłam na dół. Pochyłość w kierunku głębokiego końca była strasznie śliska. Długi patyk leżał obok moich stóp. I jego buty i skarpetki nie do pary, bo zawsze je zdejmował, zanim się zbliżył do wody. Szukanie go w mętnej wodzie zajęło kilka cennych sekund. Złapałam go, ale wysunął się z mojego uścisku.

Ogrodnik zobaczył, że pędzę na dół, domyślił się wszystkiego i też przybiegł.

To on wyciągnął Willa, nie ja. Patrzyłam, jak usiłuje ożywić bosonogą kupkę mokrego ubrania. Woda wyciekała spod niego i spływała po pochyłości do ciemnej toni. Wrzeszczałam, kiedy starał się uratować mojego brata, za którego byłam odpowiedzialna. Mój krzyk brzmiał o wiele gorzej niż cokolwiek, co kiedykolwiek wyszło z jego niewinnych małych ust.

Reszta tamtego dnia to tylko strzępy wspomnień, oprócz wyrazu oczu matki na mój widok. Najpierw myślałam, że chce mnie przytulić, ale tylko stała z opuszczonymi rękami.

A potem upadła na podłogę i zaszlochała.

Przekonałam się, że w pewne dni można żyć z poczuciem winy. W inne ogarnia cię ono – jak smutek – bez ostrzeżenia,

niepohamowane, i zżera.

A najgorsze, że nie możesz z tym nic zrobić.

Nie możesz zmienić tego, co się stało. Nigdy. To siedzi w tobie, jest częścią ciebie, dusi cię.

We wszystkich moich snach i nocnych koszmarach zawsze chciałam mieć wehikuł czasu, żeby cofnąć się w przeszłość i naprawić swoje błędy. Kiedy poznałam Bellę, myślałam, że mam szansę pójść inną drogą – że pewnego dnia się otrząsnę i będę żyła normalnie, dzięki temu, że znajdę w niej oparcie. Pragnęłam tego.

Kiedy odmówiła, los dał mi drugą szansę w osobie Nate'a. To on sprawił, że uczepiłam się możliwości bycia kimś innym, niż się obawiałam – wyjąłowego, pustego wcielenia samej siebie. A na zewnątrz, robota.

Czuję strach, który nigdy mnie nie opuścił do końca. I obawiam się, że bez jakiejś dużej zmiany – czegoś cudownego, na czym będę mogła się skoncentrować – nigdy się go nie pozbędę.

Bo przy braku miłości i akceptacji pozostaje tylko smutek i nienawiść.

Wstaję i idę w kierunku parkietu. Zatrzymuję się. Jestem tak blisko życia, które mogłoby być moje, że mogłabym wyciągnąć rękę i wziąć Nate'a w ramiona. Tańczy z Bellą. Stoję na uboczu i przyglądam się. Trudno mi oddychać.

Skup się.

Zmuszam się do odejścia. Zostawiam wszystkich w ich bajce.

Na dworze wita mnie pożądany chłód.

– Dobrze się pani czuje, moja droga? – pyta jakiś starszy mężczyzna z papierosem.

– Nie – odpowiadam. – Miałam romans z panem młodym. Powiedział, że mnie kocha, ale...

Wzruszam ramionami.

Robi wielkie oczy.

– Niemożliwe. Z Milesem? To mój bratanek. Coś takiego. Na pewno...

Znów wzruszam ramionami.

– Przykro mi. Gdybym wiedziała... Chodzi po prostu o to, że mnie zranił. Bardzo.

Odchodzę i zostawiam za sobą nieprzeznaczone dla mnie życie.

W drodze powrotnej do hotelu mijam bezdomną w wejściu do sklepu z butami. Wyjmuję całą gotówkę Milesa i daję jej.

Musi być tego co najmniej dwieście funtów; jakieś małe dobro wyniknęło z czegoś złego. Wyrzucam portfel do śmietnika.

O świcie, po bezsennej nocy, zbieram swoje rzeczy i wymeldowuję się z hotelu.

Zamiast pojechać do domu, jadę do Dorset. Najpierw parkuję w centrum Dorchester. Esemesuję do Babs, że niedługo u niej będę, i wchodzę do kwaciarni. Czekam niecierpliwie, aż młoda kobieta zrobi cztery bukiety i zwiąże każdy sznurkiem. Dodaje przymocowany do patyka balon w kształcie misia i umieszcza go w pęku białych goździków.

Kiedy dzwonię do drzwi Babs, jest już w zapiętym płaszczu.

– To dla ciebie – mówię i wręczam jej najdroższe kwiaty, wiązanekę brzoskwiniowych i żółtych róż.

Upiera się, że włoży je do wazonu, zanim wyruszymy na cmentarz.

Zaczynamy od Williama Floriana Jasmina. Babs odmawia modlitwę, a ja przepraszam go milcząco.

Powinam go pilnować. Powinam być lepszą starszą siostrą.

Potem idziemy do matki. Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobić, opisuję więc kwiaty, które kładę obok tabliczki.

– Jakie kwiaty lubiła najbardziej? – pytam Babs, bo nagle uświadamiam sobie, że nie wiem.

– Lubiła wszystkie – odpowiada Babs, dygocząc.

– Wracaj do samochodu – mówię i wręczam jej kluczyki. – Włącz ogrzewanie. Niedługo przyjdę.

Nie protestuje.

Patrzę, jak idzie na parking. Potem szukam nagrobka ogrodnika, który próbował uratować Willa i chronił mnie. Na jego grobie nic

nie ma, nawet wazony są puste. Kładę ostatni bukiet na ziemi.

Michael John Simpson 1946 – 2004

Umarł na raka płuc, kiedy byłam w szkole. Amelia od niechcenia wspomniała o tym, gdy kiedyś przyjechałam do domu w przerwie semestralnej. Rozpłakałam się.

– Dziękuję za starania – mówię głośno.

Nie korzystam z propozycji Babs, żebym została na noc, i wychodzę od niej.

Muszę wrócić do siebie i popracować nad planami, mimo że aplikacja już nie działa. Nate musiał zaktualizować swój telefon i nie przeniósł wszystkiego. Albo została jakoś usunięta.

Zmienił też wszystkie hasła. Musi być coś, o czym jeszcze nie pomyślałam. Po prostu musi.

Wpadam na to wczesnym rankiem. Jest to tak oczywiste, że aż siadam w łóżku: Nate jest mi wciąż winien miesiąc miodowy.

Ale na razie będę musiała brać tylko te loty, które zostaną. On leci niedługo do Whistler – przypominam sobie dokładną datę, którą zobaczyłam w tamtej teczce w domu Milesa. Wpisuję ją do swojego telefonu i udoskonalam pomysły. Znów muszę zmienić taktykę, bo czyny zawsze przemawiają głośniejszym niż słowa.

Ale jedno jest pewne: unieważnienie małżeństwa odpada. Nowa mantra przychodzi mi do głowy.

Jeśli kogoś kochasz, uwolnij go.

Jeśli wróci, jest twój. Jeśli nie, zmusz go.

Zwijam włosy w węzeł i spinam klipsami, a potem znów maluję usta szminką, którą wzięłam z toaletki Belli. Biorę głęboki oddech, uśmiecham się do swojego odbicia w lustrze, otwieram drzwi toalety i wchodzę do kuchni w pierwszej klasie. Wykorzystałam swoją pozycję ambasadora bezpieczeństwa, żeby zapewnić sobie tutaj stanowisko, argumentując, że nie będę mogła przedstawić wszystkich punktów widzenia, jeśli nigdy nie dostanę szansy pracy w każdej kabinie pasażerskiej. Po sprawdzeniu zgodności kateringów z menu podpisuję potwierdzenie, że to zrobiłam.

– To cześć, miłego dnia – mówi jeden z wesołych kateringowców i odchodzi do następnej kuchni na kolejną rundę sprawdzania.

Liczę kołdry, dresy i torby z upominkami reklamowymi, żeby mieć pewność, że jest po jednym komplecie na pasażera, i wkładam jasnoróżowe goździki do zamontowanego w kabinie srebrnego wazonu. Po skończeniu przygotowań czytam listę pasażerów. Mimo znajomego ukłucia ohydnej, odrażającej, gorzkiej zazdrości zachowuję spokój. Przypominam sama sobie, że choć to nie są idealne okoliczności – bo nikt inny nie musiałby walczyć ze świeżo upieczoną mężatką – wszystko idzie zgodnie z planem.

Zostało mi kilka przeszkód do pokonania, co zamierzam robić metodycznie, krok po kroku.

– Załoga kabinowa, przygotować drzwi do odlotu.

Polecenie szefowej, które dochodzi z głośników, oznacza, że drzwi ładowni są uszczelnione, cała dokumentacja jest gotowa i ostatnie drzwi pasażerskie zostały zamknięte. Uzbrajam moje drzwi przez zaryglowanie rynien ratunkowych i sprawdzamy się nawzajem z członkiem załogi naprzeciwko. Cofamy się. Widzę



przez okno, jak rękaw lotniskowy się składa. W tym momencie świat po raz kolejny kurczy się do wielkości wnętrza samolotu. Jesteśmy uwięzieni; zdani na łaskę pilotów, żywiołów, techniki i wspólnej wiary, że bezpieczeństwo i konstrukcja maszyny nie zawiodą.

Kołujemy w kierunku pasa startowego i dołączamy do czekającego szeregu. Samoloty ruszają pojedynczo. Przychodzi nasza kolej. Zawracamy w prawo. Stop, a potem narastający huk, nagły wzrost mocy i ciąg do przodu, gdy koła toczą się coraz szybciej i maszyna nabiera prędkości. Unosimy się w powietrze. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak informacje o naszym locie znikają – niczym pękająca bańka mydlana – z monitorów w hali odlotów już tysiące metrów poniżej.

Po sprawie.

Zajmuję się przygotowaniem jedzenia. Dwójka moich kolegów, Martin i Nicky – odpowiedzialni za obsługę kabiny – proponuje drinki i zapisuje zamawiane potrawy, które potem podgrzewam, kładę na talerze i przybieram. Cytryna i natka pietruszki do łososia, świeża mięta do jagnięciny. Kiedy podajemy kawę i herbatę, wpadamy w turbulencje – dość typowe zdarzenie. Po zakończeniu obsługi i sprzątnięciu szklanek, kieliszków, talerzy i resztek jedzenia Martin i Nicky opuszczają zastawy w oknach, a ja przyciemniam światło.

Staję z tyłu, przy wejściu do kabiny, i obserwuję. Jest cicho i ciemno, oprócz poświaty ekranów. Kilka osób śpi – wyglądają jak przykryte kołdrami bryły – a jeden pasażer trzyma szklankę whisky lub porto. Szum klimatyzacji zagłusza odgłos silników. Ktoś chrapie. Wdycham woń zimnego jedzenia, spoconych stóp i ludzkich gazów, która miesza się z odświeżaczem powietrza i „eau de boeing” – charakterystycznym zapachem wnętrza samolotu. Spokój.

Moi koledzy mają przerwę. Jestem sama.

Rządę. Kontroluję.

Daję sobie chwilę.

Widzę bok głowy Tary. Ma ciemne długie proste włosy; ładne – lśniące jak w reklamie telewizyjnej. Zamykam oczy, biorę kilka

głębokich oddechów i przebiegam w myślach moje plany, ale przypominają mi się przykre słowa: sformułowania z urzędowych pism z kancelarii Jamesa Harringtona. Te z pozoru niewinne kartki papieru mają dużą moc prawną – wyraźnie oznajmiają początek końca. Za kilka miesięcy Nate’a i mnie nie będzie nic łączyło. Bolesna świadomość tego sprawia, że podejmuję decyzję. Nie mam nic do stracenia.

Wchodzę do kabiny; wykładzina dywanowa tłumi odgłos kroków. Moim celem jest szafa ubraniowa z przodu. Otwieram ją, jakbym czegoś szukała. Na lewo ode mnie jest siedzenie 1A, jedno z ulubionych miejsc VIP-ów i celebrytów. Dzisiejszy lot nie jest wyjątkiem: ten fotel zajmuje kanadyjski aktor telewizyjny. Ogląda film i skubie resztki sera i kruchych ciasteczek. Pasażer z prawej strony, starsze wcielenie Nate’a, czyta „Financial Times”. Na siedzeniu za nim śpi spokojnie matka Belli i Nate’a, Margaret. W przyszłym roku ja będę tak podróżowała, popijając szampana lub dżin z tonikiem. Zamykam cicho szafę i odwracam się. Bella siedzi prosto i grzebie w torebce. Miles na wpół leży i ogląda film w słuchawkach z redukcją szumów. Na jego bocznym stoliku stoi nietknięty kieliszek porto. Ogarnia mnie złośliwa radość.

Staję obok niego, macham lekko ręką i uśmiecham się.

Zaczyna mnie uprzejmie odprawiać, jakby myślał, że jestem usłużną stewardesą, która dba o jego wygodę, ale nagle robi zdezorientowaną minę. Siada prosto, zdejmuje słuchawki i patrzy na moją plakietkę z imieniem.

Rozpromieniam się.

– Miles! Miles Yorke!

Bella podnosi wzrok.

– Zwykle nie pijesz porto – mówię trochę głośniejszym głosem niż to konieczne.

Gapi się na mnie i nie może wykrztusić słowa.

Bella też się gapi.

Nie mogę się oprzeć pokusie, żeby posunąć się dalej.

– Doleję ci. Lubię się zajmować naszymi specjalnymi klientami.

Biorę nóżkę jego kieliszka między palce, chwytam go za stopkę i szybko podnoszę. Czerwony płyn ochlapuje spodnie Milesa.

– Ojej, bardzo przepraszam. – Zasłaniam usta wolną ręką. – Zapraszam do kuchni, znajdę coś do wytarcia.

Po drodze z kabiny mijam fotel Nate'a. Nie patrzy w górę. Miles jest tuż za mną. W pustej kuchni cmokam go tylko w policzek, ale odsuwa gwałtownie głowę.

– Moja żona – Bella – jest na pokładzie! O co w tym wszystkim chodzi, do cholery? Okłamałaś mnie. Mówiłaś, że pracujesz w biurze podróży.

Nie mogę się rozpraszać wyjaśnianiem, że linie lotnicze odgrywają znaczącą rolę w organizowaniu podróży.

– Masz szczęście, że poświęcam ci czas. Potraktowałeś mnie nie fair. Ty i Nate jesteście do siebie bardziej podobni, niż myślicie.

Patrzy na mnie.

– Nate?

– Tak, Nate.

– Nie Nick? O, mój Boże. – Milknie. – Oszukiwałaś mnie. Od samego początku. Dlaczego?

Za jego plecami pojawia się Bella.

– Miles, kochanie, masz już wyczyszczone spodnie?

Miles odwraca się gwałtownie na dźwięk jej głosu.

– Prawie.

Moczę serwetkę pod kranem, wyciskam ją i wręczam mu. Wyciera prawe udo bardziej energicznie niż to niezbędne.

Bella przygląda mi się.

– My się znamy, prawda? Ze szkoły. Nazywasz się Elizabeth Price. Byłaś na tamtym przyjęciu w Bournemouth.

Miles niepotrzebnie usuwa plamę. Ma ciemnoszare spodnie, na których nie widać portu.

– Stephanie wspominała, że odwiedziłaś ją w siłowni.

– Może drinka? – proponuję. – Jeśli nie, to będę musiała was przeprosić, bo mam pracę.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że Miles zwykle nie pije portu? – pyta Bella i odwraca się do niego. – Nie latasz aż tak często.

Postanawiam pomóc mu wybrnąć z tego. Na razie.

– Jestem jego klientką.

– Ty? Klientką Milesa?

Niedowierzenie w jej głosie irytuje.

Miles podnosi wzrok.

– Była – tłumaczy. – Choć nawet nie, to za dużo powiedziane. Nic nie doszło do skutku po naszym pierwszym spotkaniu. Ale jestem zdezorientowany. Myślałem, że masz na imię Juliette.

– Teraz tak.

– Dlaczego wybrałaś firmę Milesa? To nie może być przypadek. Robiłaś to w szkole. Wszędzie za mną łączyłaś, naśladowałaś mnie, kradłaś mi ubrania, kosmetyki. Podlizywałaś się moim przyjaciółkom.

Miles wygląda, jakby miał zwymiotować.

– Miles, kochanie, czy ona nie zadawała ci osobistych pytań, kiedy przyszła do twojego biura? Nie miałeś żadnych podejrzeń?

– Nie. Dlaczego?

– Bo mam złe przeczucia.

Zaciskam pięści. To nie jest taka rozmowa, jaką sobie wyobrażałam. Spodziewałam się po Belli wstydu lub strachu. Czegokolwiek. Bo chyba nawet ona nie może oczekiwać, że wyjdzie z tego czysta jak łąza. Zerkam w kierunku niskiego schowka, w którym jest krótki łom. Używa się go w wypadku pożaru do podważania paneli, żeby je otworzyć. Jest ciężki i zakończony niebezpiecznym hakiem.

– Przepraszam...

Wszyscy troje patrzymy w prawo. Stoi tam pasażer, ten kanadyjski aktor.

Wracam do swojego zawodowego „ja”.

– Czym mogę służyć?

– Mój ekran się zawiesił.

– Pójdę zobaczyć – mówię i wchodzę za nim do kabiny. Udamę zainteresowanie problemem i wciskam kilka przycisków.

– Zresetujemy system – obiecuję.

Uśmiecha się.

– Dziękuję, będę wdzięczny.

W drodze na koniec kabiny kucam przy siedzeniu Tary. Pokazuję na migi: „Cześć”.

Zatrzymuje film – najnowszą komedię romantyczną – i

zdejmuje słuchawki z uszu.

– Cześć – odpowiada z wahaniem.

Widzę, że rozpaczliwie stara się nie pokazywać, że zerka w dół na moją plakietkę z imieniem.

– Juliette. Pamiętasz? W zeszłym miesiącu leciałyśmy razem do Aten. A może do Kairu? Wszystko jedno. Co u ciebie?

– Dobrze, dziękuję.

Wciąż wygląda na zdezorientowaną. Ma pełne prawo, bo nigdy nie leciałyśmy razem. Kiedy usiłuje przywołać nieistniejące wspomnienie, wskazuję Nate'a, który patrzy na mnie.

– Nowy facet?

Tara uśmiecha się szeroko.

– Tak.

Robię ponurą minę.

– To powodzenia. Na twoim miejscu byłabym ostrożna.

Nate zdejmuje słuchawki i siada prosto. Wciąż patrzy na mnie. Nigdy się nie zastanawiałam nad wyrażeniem „spiorunować wzrokiem” – aż do tej chwili. Teraz rozumiem, co ono znaczy, bo Nate ma taką minę, jakby chciał mnie udusić. Wstaję, żeby nie zdążył zareagować, i idę do kuchni. Dogania mnie, wyprzedza długimi krokami i łapie za ramię.

Bella i Miles przerywają wyraźnie dyskusję i gapią się na nas.

– Co ty wyrabiasz? – pyta Nate. – Po co rozmawiasz z moją dziewczyną?

Strącam jego rękę.

– Jestem w pracy. Wyglądało na to, że przydałby jej się drink.

– Złamałaś naszą umowę.

– Jak? Nic na to nie poradzę, że jesteś pasażerem tego samolotu. Przesiądź się do klasy ekonomicznej, jeśli ci to tak przeszkadza. Poważnie. Z tyłu jest mnóstwo wolnych miejsc.

– To nie przypadek, i to jest cholernie irytujące.

Wzruszam ramionami.

– Myśl sobie, co chcesz. To najwyraźniej zrządzenie losu.

– Więc ty też ją znasz? – pyta go Bella.

– O, znamy się z Nate'em bardzo dobrze – odpowiadam za niego.

Tara dołącza do nas. Za jej prawym ramieniem jest aktor.

– Przepraszam – mówię do niego, żeby go ubiec. – Przywrócenie działania pana ekranu potrwa chwilę. Sprawdzę ponownie za pięć minut.

Wygląda, jakby chciał jeszcze o coś poprosić, ale rezygnuje. Wchodzi do toalety. Wszyscy milczymy do momentu, kiedy rozlega się dźwięk ryglowanego zamka. Podchodzę do interkomu nad siedzeniem służbowym, łączę się z kierownikiem technicznym i proszę o zresetowanie zdefektowanego ekranu. Potem dołączam do grupki w kuchni.

Tara przywiera do ramienia Nate'a.

– Mówiłam, że mam złe przeczucia co do tego wszystkiego – zwraca się Bella do Milesa. – Prawda?

Miles przytakuje. Unika kontaktu wzrokowego ze mną.

– Co się dzieje? – pyta Tara.

– Chodzi o to, że on lubi dużo młodsze dziewczyny, prawda, Nate?

Nate podnosi rękę, jakby zamierzał mnie spoliczkować. Bella łapie go za ramię.

– Poprzesz mnie, Bella, prawda? Pamiętasz, co mówiłaś w szkole? „Nie przejmuj się tym, co o tobie gadają, Elisabeth. Bądź ponad to” – cytuję ją, naśladując jej głos.

– Myślałem, że w szkole nie znałaś Belli tak dobrze – stwierdza Nate.

– Powiedziałam, że wszyscy ją znali.

– Wciąż nie kojarzę, o co chodzi – wtrąca się Tara.

Wskazuję Bellę.

– Zapytaj ją.

– No, dokuczałyśmy jej trochę, bo przespała się w szkole z jakimś chłopakiem, kiedy miała zaledwie piętnaście lat. Reszta z nas udawała, że też – żeby się popisać lub sprawiać wrażenie doroślejszych – ale ona zrobiła to rzeczywiście. Jak to ona. Zawsze musiała pójść o krok dalej.

Teraz Nate wygląda, jakby dostał mdłości.

– Trochę dokuczałyście? – mówię. – A tamte straszne zdjęcia na mojej ławce i ciągle przezwiska, to co? Puszczalska, ździra, pinda,

nieudacznica, frajerka. A były jeszcze gorsze. Chwaliłyście się swoimi chłopakami i imprezami. To częściowo z twojego powodu myślałam, że zachowuję się jak dorosła. Że robię coś, za co będziesz mnie szanowała. Ale było wręcz odwrotnie.

– Nie zwalaj wszystkiego na mnie – warczy Bella. – Chyba jesteś samodzielna? Nikt cię do niczego nie zmuszał.

– Powiedziałaś mi, że ten chłopak zawsze będzie mnie uważał za bezwartościową. Że mężczyźni nie żenią się z łatwymi kobietami. Ale myliłaś się. On to zrobił. To była miłość na całe życie, tak jak mówiłam temu. Powiedz im, Nate. Powiedz im o naszym ślubie.

Cisza. Wszyscy patrzą na niego. Milczy i gapi się tylko na mnie, jakby wierzył, że jeśli wszyscy postoiemy tu wystarczająco długo, surrealistyczne spotkanie się skończy, a on obudzi się w jakimś pięciogwiazdkowym hotelu bez żadnej trudnej sprawy na głowie, poza taką, gdzie pójść pobiegać lub co zjeść na śniadanie.

– Jesteście małżeństwem? – pyta Bella. – I wtedy...? O, Boże. – Zasłania ręką usta i kręci głową, jakby to było dla niej za wiele. – Nathan?

Tara też odzyskuje głos.

– Jesteś jej mężem? – zwraca się do Nate'a.

Widzę, że puszcza jego ramię.

– Nie. Tak. Niezupełnie. Dlatego nigdy o tym nie wspomniałem. To było w Vegas. Jest unieważniane.

– Co nie zmienia faktu, że się stało – zauważam.

Drzwi toalety się otwierają. Wszyscy milkniemy, kiedy wychodzi aktor.

– Pana ekran już powinien działać – mówię, usiłując przypomnieć sobie jego nazwisko. – Może drinka?

Przygląda się scenie przed sobą i kręci głową.

– Nie, dziękuję.

Znika.

– Zaraz – mówi Tara. – Muszę to sobie wszystko poukładać w głowie...

– Wygląda na to – wtrąca się Miles – że Nate i Juliette mają do omówienia mnóstwo niedokończonych spraw. Może zostawimy

ich samych?

Bella zgadza się. To oczywiste. Teraz, kiedy wie, że znęcała się nade mną z powodu postępowania rodzonego brata, nie może się doczekać, kiedy stąd wyjdzie, żeby połączyć wspomnienia z jej obecną wiedzą. Wyobrażam sobie, jak wciąż usiłuje przekonać sama siebie, że wcale nie była aż tak złą dziewczyną. Ale Tara nie pali się do wyjścia. Kręci głową, gdy Bella próbuje wyprowadzić ją z kuchni. Nie rusza się z miejsca, tylko kilka razy odrzuca włosy do tyłu.

Nate podchodzi do barku i częstuje się minibuteleczką koniaku. Pije prosto z niej. Tara i ja obserwujemy go. Przełyka, robi wydech, odstawia miniaturkę na bok i przeczesuje włosy rękami.

– To jest ta twoja była dziewczyna, o której mi mówiłeś? – pyta go Tara. – Ta, która nie chce zostawić cię w spokoju?

– Nie była dziewczyna, tylko obecna żona – poprawiam ją.

Tara patrzy na mnie, jakby to wszystko była moja wina. Nate podchodzi do niej i szepcze jej coś do ucha. Tara posyła mi pogardliwe spojrzenie i idzie do najbliższej toalety. Drzwi się zamykają i zapala się lampka, że zajęte. Nate i ja jesteśmy sami. Podchodzę do drzwi po prawej stronie i podnoszę zasłonę w oknie. Horyzont nad ciemnymi chmurami oświetla daleki niebiesko-pomarańczowy blask. Nate łapie mnie za ramiona, obraca i przysuwa twarz do mojej. Czuję od niego koniak.

– Co jest, kurwa? – pyta. – Nie chodziło tylko o mnie, tak? Wciągnęłaś w to Bellę. Jak śmiesz sugerować, że lubię młode kobiety? Ty też zawiniłaś.

– Wmawiaj to sobie dalej. I puść mnie.

Robi to.

Wzdycham i próbuję jeszcze raz.

– Ożeniłeś się ze mną, Nate. Przez ciebie twoja siostra zrobiła w szkole z mojego życia piekło. Jesteś mi coś winien. Ona też. Chcę żyć długo i szczęśliwie i zapewnisz mi to.

– Jeden błąd. Jeden głupi, bezmyślny błąd, który popełniłem wiele lat temu. Jedna chwila lekkomyślności.

Mówi głośno, ale jakby sam do siebie.

– Dla jasności, jedynym błędem, jaki popełniłeś, było myślenie,



że się poddam.

Otwiera barek wózkowy i sięga po następną miniaturkę. Mam ochotę zatrzaskać drzwiczki i przyciąć mu rękę.

– Rozwiązaniem tej sytuacji jest jej akceptacja – ciągnę. – Nie odejdę. Pogódź się z tym i wszystko będzie dobrze. Ale jeśli dalej będziesz ze mną walczył, zapłacisz za to. Miłość boli. Przyzwyczaj się do tego. Ja musiałam.

– Sądziłem, że jeśli będę postępował fair, w końcu zmądrzejesz. Nie mam nic więcej do dodania.

– W porządku. Pójdę na policję. Powiem, że mnie zmusiłeś. Ta cała sprawa z nieletnią stanie się wtedy dużo poważniejsza.

– To idiotyczny pomysł! Dlaczego miałabyś za mnie wyjść, skoro cię napadłem?

– Bo przeprosiłeś i obiecałeś mi to wynagrodzić. Bo mimo twoich wad – a wierz mi, że jest ich wiele – kocham cię.

– Poddaję się, Juliette – mówi. – Upadasz coraz niżej. Nie skutkują ani prośby, ani groźby, ani przemawianie ci do rozsądku.

Samo to, że nazywa mnie Juliette, ostrzega, że usiłuje wywołać u mnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Ale nie tracę cierpliwości.

– I nigdy nie poskutkują – odpowiadam spokojnie.

Nagle sprawia wrażenie zrezygnowanego. Jakby rzeczywiście się poddał. Wzdycha głośno i odwraca się, żeby odejść. Jest w tym coś, że odwraca się do mnie plecami, jakaś nieodwołalność brutalnego i lodowatego końca naszego małżeństwa, jeśli tego natychmiast nie powstrzymam. I to mnie prowokuje. Rozglądam się i wyciągam z uchwytów gaśnicę, żeby go walnąć. Najwyraźniej coś wyczuwa, bo odwraca się i wyrывa mi ją tak gwałtownie, że upadam. Ból w prawym ramieniu jest przez chwilę okropny. Czuję podmuch zimnego powietrza z chłodziarek i skupiam się na bałaganie pod wózkami – łyżeczka do herbaty, oliwka i korek – a potem podnoszę wzrok i widzę przerażoną minę Tary, która na mnie patrzy.

Jest też jakiś pasażer – wyraźnie zdezorientowany starszy mężczyzna. Nate próbuje pomóc mi wstać, ale sama się podnoszę,

masując ramię.

– Wszystko w porządku? – pyta mężczyzna.

Kiwam głową.

– Chyba tak.

– Pójdę po kogoś z pani kolegów – proponuje.

– Nic mi nie jest – mówię – ale dziękuję. Porozmawiam z kimś, jeśli uznam to za konieczne.

Pasażer wygląda niepewnie, ale podchodzi do stojaka z czasopismami, przegląda niespiesznie tytuły i co chwilę ostentacyjnie zerka na nas przez ramię.

Patrzę na Tarę.

– Chcemy zostać sami.

Wygląda na rozdartą, ale Nate kiwa do niej głową. Tara posyła mu zdumione spojrzenie i idzie z powrotem na swoje miejsce.

– Zerwij z nią – mówię, mocując z powrotem gaśnicę. – Postawię na swoim, co powinnam zrobić dawno temu. Jeśli czegoś żałuję, to tego, że nie walczyłam o ciebie wystarczająco twardo. Zbyt szybko uległam presji, jaką wywieraliście na mnie ty i James. Ale dosyć tego. Powiedz jej, że to koniec, niech wraca następnym samolotem do Londynu. Uprzedź swoją rodzinę, że dołączę do was w Whistler na coś w rodzaju zapoznawczej miniprzerwy w miesiącu miodowym.

– Nie ma mowy.

– Dobrze – odpowiadam i wyliczam na palcach, co na niego mam. – Seks z nieletnią, wymuszony lub nie – twoja rodzona siostra będzie świadkiem – plus cudzołóstwo i napaść, którą właśnie widziała twoja dziewczyna i jedna postronna osoba. I nie zapominaj, że mogę pokazać każdemu zdjęcia naszego niedawnego radosnego ślubu. Mogę zrobić z tego niezłą historię, wierz mi. – Przybieram smutną minę i żałosny ton głosu. – Wybaczyłam mu przeszłość, bo był taki skruszony... Ale nie powinnam dać mu się namówić na szybki ślub, bo jak się okazało, uznał, że może dalej igrać z moimi uczuciami. Nigdy nie wiedziałam, na czym stoję. To było straszne. – Z powrotem nadaję mojemu głosowi normalne brzmienie. – Jak myślisz, komu uwierzą?

- Nie Kocham cię.
- Postaraj się bardziej.

Mam dosyć proszenia, błagania i bycia cierpliwą. To żałosne. Nate nie ma wyboru. Chcę po prostu to wszystko rozwiązać, żebyśmy mogli dalej prowadzić spokojne życie.

- Idź i porozmawiaj z nią – mówię spokojnie. – Marnujesz czas.
- To nie fair, narzucać jej to w powietrzu. Porozmawiam z nią, kiedy będziemy sami. Wyjaśnię jej odpowiednio sytuację. To nie jest też fair wobec mojej rodziny.
- Bez dyskusji. Koniec kropka. Nie prowokuj mnie.

- Muszę mieć czas, żeby się zastanowić – odpowiada, milknie i dodaje po wyraźnym namyśle: – Proszę. Posłuchaj, ja wiem. Rozumiem. Ale nie pojedziesz z nami do Whistler. Chcę mieć czas na rozmowę z rodziną. Sam. Zgódź się przynajmniej na to. – Znów milknie. – I tak masz najwyżej trzydziestogodzinne nocowanie. Nie byłoby to dla ciebie takie fajne.

To może lepiej, że Nate nie zna w tej chwili moich najbliższych planów. Postanawiam ujawniać tylko to, co konieczne. Bo faktycznie, nie miałyby to żadnego uroku, gdybym została oficjalnie przedstawiona jego rodzicom przy karuzeli bagażowej lub w zatłoczonej hali przylotów. Od teraz wszystko musi być jak należy i w dobrym stylu. Zamierzam zrobić w Whistler efektowne wejście, które będzie niezapomnianym wydarzeniem.

- Tylko pozbądź się Tary – mówię. – Będę cię informowała na bieżąco o naszych planach na przyszłość.

Nate podchodzi wolno do fotela Tary i ogląda się na mnie. Widzi, że patrzę na niego, i siada naprzeciwko niej. Pochyla się do przodu. Wracam do kuchni, ale obserwuję ich z drugiej strony. Nate wygląda tak, jakby bardzo się starał ją uspokoić.

Wszystko idzie ku dobremu.

Martin i Nicky wracają z przerwy, ale nie ma mowy, żebym ja zrobiła sobie wolne. Za dużo muszę mieć na oku. Udaję, że czytam gazetę i co chwilę patrzę na kabinę. Stale się przesiadają, jakby grali w komórki do wynajęcia, i zawzięcie dyskutują.

Proszę Nicky, żeby dyskretnie doręczyła Milesowi złożoną kartkę, „bo prosił o radę, jaki prezent zrobić żonie”. W

rzeczywistości proponuję mu spotkanie.

Chwilę po otrzymaniu wiadomości Miles przychodzi do kuchni w klasie ekonomicznej.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – pytam. – Oczywiście, że tak, oboje to wiemy. Wygłupiłam się.

– Mam mało czasu – mówi. – Bella będzie mnie szukać.

– Przyłączam się do was wszystkich w Whistler. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek poza tobą wiedział o tym wcześniej. Musisz mi tylko pomóc. Być bratnią duszą. Im bardziej będziesz się starał być po mojej stronie, tym mniej będziesz się musiał obawiać, że cię sypnę.

– Proszę, nie... – zaczyna.

– Zrobiłam zdjęcia w twoim domu. I sfotografowałam cię śpiącego w Tokio. Więc chyba umowa stoi?

– Nie mogę. Proszę. Wiem, że miałaś trudną przeszłość, ale Belli jest przykro. Ona na to nie zasługuje.

Boże, co za mięczak. Wzruszam ramionami i idę z powrotem przejściem w kierunku dziobu samolotu.

– Zaczekaj! – woła.

Kilkoro pasażerów patrzy na nas.

– Dobrze – mówi. – Nie podoba mi się to, ale niech będzie.

Kiedy zbliżam się do kuchni, czuję zapach świeżej kawy. Martin i Nicky są już zajęci obsługą. Każdy zamawia gorące jedzenie i w ostatniej chwili robi zakupy bezcłowe.

Zaglądam kilka razy do kabiny, ale cała szóstka wpatruje się teraz w ekrany, jakby dzięki temu, że koncentrują się na innym świecie, mogli ignorować obecny.

Ale wiem aż nadto dobrze, że od rzeczywistości nie ma ucieczki.

Kiedy zaczynamy się zniżać, odnajduje mnie Bella.

– Możemy zamienić słowo?

– Powinnaś mieć zapięty pas – mówię i wskazuję podświetlony znak.

Ignoruje tę uwagę.

– Sprawy chyba się trochę skomplikowały. Wygląda na to, że nieumyślnie miałam w tym swój udział. Przepraszam za szkołę... wiesz, w związku z Nathanem. Uważam, że wszyscy możemy

uznać, że po prostu byliśmy bardzo młodzi i niedojrzali.

Nie odpowiadam.

Wydaje się ośmielona moim brakiem reakcji, bierze głęboki oddech i ciągnie dalej.

– Chodzi o to, że Tara to miła osoba. Ona i ja bardzo się przyjaźnimy. Zostaw ich, daj im prowadzić dalej własne życie. Chyba nie chcesz Nathana po tym, jak się zachował? Zaslugujesz na kogoś lepszego.

– W szkole mówiłaś co innego.

– Jeszcze raz przepraszam. Trochę głupio wyszło.

Martin przerywa nam.

– Musi pani usiąść i zapiąć pas.

Bella posyła mi spojrzenie, które mówi: „no to wszystko załatwione”, i odchodzi.

Kiedy podchodzimy do lądowania w Vancouver, raz jest mi gorąco, raz zimno. Ale wmawiam sobie w kółko, że Nate w końcu zrozumiał. Problem w tym, że nigdy nie mogę mu całkowicie ufać, przy jego skłonności do zmiany zdania. To jego ostatni sprawdzian; jeśli zawiedzie, będę musiała zastosować ostrzejsze środki.

A co do żalostnej próby przeprosin Belli – zachowała się tak, jakby wyjaśniała jakieś drobne nieporozumienie. Jestem na nią bardziej wściekła niż kiedykolwiek.

Wyglądam przez okno, ale w ciemności widzę tylko rozproszone światła. Wiem z poprzednich dziennych lotów, że jesteśmy nad rozległą przestrzenią wody, a za nią widać w oddali majestatyczne zaśnieżone szczyty gór.

Kiedy koła dotykają ziemi i samolot wytraca prędkość, ogarnia mnie podniecenie i tęsknota.

Już niedługo.

Myślę, że wreszcie postawiłam Nate'a w takiej sytuacji, w jakiej chciałam. Moja nieustępliwość i pomysłowość wkrótce się opłaci.

Samolot zatrzymuje się. Staję przy drzwiach wyjściowych ze szczerym uśmiechem na twarzy.

Tara wychodzi pierwsza. Nie ogląda się za siebie.

Rodzice Nate'a są następni, za nimi Miles i Bella.

I w końcu Nate.

Łapię go za ramię.

– Więc wszystko załatwione, tak?

– Tak.

– I zobaczę cię w domu za tydzień? Bez Tary?

– Muszę iść.

Wychodzi. Patrzę, jak znika za rogiem rękawa lotniskowego.

Mija wieczność do wyjścia ostatniej osoby. Ruszam za nią.

Idę według strzałek i napisów po francusku, angielsku i chińsku, a potem razem z resztą załogi przechodzę przez kontrolę paszportową. W drodze po bagaż przystaję, bo widzę, jak Tara wspina się na palce i całuje Nate'a w usta. Wstrzymuję oddech i czekam, co będzie dalej. Tara odwraca się i przechodzi przez cło. Patrzę na pozostałą piątkę, stłoczoną wokół wózków bagażowych. Miles i Nate zdejmują jedną po drugiej walizki z krążącej taśmy.

Idę w kierunku starannie ustawionego rzędu bagaży załogi i znajduję swoją walizkę. Odwracam się i napotykam spojrzenie Milesa. Macham do niego wesoło i odchodzę w stronę cła.

– Dzień dobry – mówię z uśmiechem do urzędnika.

– Witamy w Kanadzie. Miłego pobytu.

– Dziękuję, taki zamierzam mieć.

Wychodzę z wysoko uniesioną głową. Automatyczne drzwi zamykają się za mną.

Natychmiast dostrzegam siedzącą Tarę. Udaje, że czyta książkę. Podnosi wzrok, ale szybko spuszcza go z powrotem. Przydałyby się jej lekcje aktorstwa. Dochodzę do autobusu dla załogi, ale gdy kierowca ładuje mój bagaż, zachowuję się tak, jakbym coś zgubiła. Ignoruję jęki kolegów, że są wykończeni i żebym się pospieszyła, i z powrotem przechodzę przez jezdnię w kierunku przylotów.

No oczywiście: cała szóstka wsiada do furgonetki. Najpierw

rodzice – jakie to miłe i pełne szacunku – a potem pozostała czwórka, łącznie z Tarą.

Chyba uważają mnie za idiotkę. Może taka jestem, skoro śmiałam mieć nadzieję, że tym razem Nate mnie zrozumie.

Kręcę głową. Powinien już lepiej mnie poznać. Stoję i patrzę, jak ich samochód odjeżdża.

Myślę, że wszystko jest w porządku. Powinni się zastanowić, bo Nate właśnie nie zdał egzaminu.

Dosyć tego. Miarka się przebrała.

Czerwone cyfry rozświetlają czarną jak smoła ciemność. Jest 1.38 w nocy. Tkwię tutaj, uwięziona w małym apartamencie hotelowym w śródmieściu Vancouver, bo pierwszy autobus do Whistler odjeżdża dopiero wczesnym rankiem. Leżę i jeszcze raz przeżywam przeszłość. Wszystko to zatruło dziesięć lat mojego życia. Zakładając, że dożyję siedemdziesiątki, zmarnowałam jedną siódmą. I po co? Żeby spróbować poznać jakiegoś przeciętniaka? Zgodzić się na byle jakie życie? No tak.

Nie mogę się uspokoić, zapalam nocną lampkę, wkładam kapsułkę kawy do ekspresu i siadam po turecku na łóżku. Przeglądam swoje plany, ich korekty i zdjęcia. Upewniam się jeszcze raz, że mam klucz do domku wakacyjnego w Whistler – jedną z wielu rzeczy, jakie wzięłam lub dałam do skopiowania, kiedy byłam u Nate’a, bo doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba być przygotowaną na każdą ewentualność. Popijam kawę i liczę, ile mam gotówki. Kończę, wstaję, biorę prysznic i zamawiam do pokoju kanapkę klubową.

Pakuję się i krzątam, aż wreszcie przychodzi czas, żeby wyjść. Wkładam jeszcze do sejfów laptop, telefon, paszport i identyfikator. Muszę mieć lekki bagaż.

Drzwi do pokoju zamykają się za mną z kliknięciem. Jestem doskonale ubrana na zimę, włożyłam wełnianą czapkę, rękawiczki i ocieplacz szyi. W plecaku i worku marynarskim mam cały strój narciarski – spodnie w dyskretnym szarym kolorze w granatowe prążki, taką samą kurtkę, odblaskowe gogle i buty.

Autobus przyjeżdża punktualnie.

Siadam z tyłu za młodą australijską parą, która nie wykazuje



żadnego zainteresowania moją osobą. Zasłaniam twarz tak, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, i udaję, że drzemię. Nie wyróżniam się, bo inni pasażerowie też śpią.

Jest ciemno i szyby są zaparowane, wycieram kawałek mojej i wyglądam na dwór. Reflektory oświetlają śnieg i lód wokół szosy Sea to Sky. Od czasu do czasu kierowca informuje głośno, że mijamy jakieś niewidoczne charakterystyczne miejsce: park, wodospad, las.

Gdy prawie dwie godziny później dojeżdżamy do kurortu, świt odsłania pocztówkowy krajobraz: zaśnieżone, upstrzone drzewami góry z prostokątnymi połączeniami narciostad.

Kiedy wysiadam, czuję nerwowe wyczekiwanie. Stoję bez ruchu, gdy inni tłoczą się wokół, żeby zabrać sprzęt narciarski z przyczepy. Wdycham kilka razy lodowate powietrze, przecinam jezdnię i idę chodnikiem w kierunku wakacyjnego domku, który zapamiętałam najlepiej podczas oglądania Google Maps. Mogłabym podjechać autobusem, ale to tylko dziesięć minut spaceru. Trochę ryzykownie zakładam, że wszyscy wstaną wcześniej – biorąc pod uwagę różnicę czasu – i będą gotowi w momencie otwarcia wyciągów. Potrzebuję trochę czasu, żeby się rozejrzeć, nie wpadając na nikogo.

Początek jest dość łatwy. Chodnik oczyszczono i posypano żwirem; brudny śnieg piętury się wzdłuż krawężnika. Przechodzę przez most nad wolno płynącą rzeką. Ale zdjęcia, które oglądałam, zrobiono w lecie, więc trasa nie jest dokładnie taka, jak sobie wyobrażałam. Wybieram złą ulicę, zawracam i poznaję zakręt na drodze. Kiedy widzę willę w stylu alpejskim, jestem pewna, że trafiłam. Jej numer to potwierdza. Jest cofnięta od jezdni i ma krótki podjazd, który posypano żwirem.

Mijam dom z boku, skręcam za nim i wspinam się ścieżką w stronę lasu, ostrożnie stawiając kroki, bo ziemia jest zmarznięta. W połowie zbocza przystaję, kładę torbę, opieram się o jodłę, wydaję butelkę wody i piję. Budynek jest ładniejszy niż na zdjęciach. Drewniane ściany sprawiają, że stapia się z otoczeniem. Przez wysokie okna widzę przestronny salon i jadalnię. Sople zwisają z krawędzi drewnianych okiennic.

Wysoko nad tymi pokojami są dwa duże balkony. Poniżej, pod zadaszeniem, są ławki, stos polan i stojaki na sprzęt narciarski: narty, kijki i buty. Rozglądam się dookoła. Na lewo ode mnie jest jeden z wyciągów, a w oddali zaśnieżone góry. Na prawo stoją podobne do tego domy.

Ani śladu ludzi.

Mimo grubych rękawiczek mam zamarznięte ręce, stopy też. Ale czekam jeszcze trochę i słucham cichego szumu wiatru między drzewami. W końcu uznaję, że mogę bezpiecznie wrócić na dół. Kiedy chowam torbę za stertą drew, dostrzegam tylne wejście. Mam nadzieję, że klucz Nate'a będzie pasował, ale typ zamka jest zupełnie inny. Muszę okrążyć willę i wspiąć się bezczelnie po schodach do frontowych drzwi.

Pukam, gotowa do ucieczki, ale nikt nie przychodzi.

Ze strachem wpycham klucz do zamka; jest mi trochę niewygodnie w rękawiczkach, dzięki Bogu pasuje. Wchodzę.

Cisza. Światło wpada przez duże okna.

Rozglądam się wokół: wysoki belkowany sufit, lśniące marmurowe i szklane powierzchnie, przytulny salon z czerwono-pomarańczowymi kanapami i dużymi poduszkami do siedzenia.

Złość mnie bierze, bo wyobrażam sobie, jak doskonale bym tu pasowała.

Gniew sprawia, że ryzykuję dalsze oględziny. Wchodzę na górę, otwieram i zamykam każdą sypialnię, aż w końcu trafiam na pokój Nate'a. Nie mogę znieść myśli, że dzieli go z Tarą. Dostaję zawrotów głowy i mdłości. Myślałam, że jestem psychicznie przygotowana, ale widok dowodu rzeczowego jest jak cios w brzuch. Nawet się do końca nie rozpakowała; część jej ubrań wciąż jest w walizce, choć ubrania Nate'a są starannie powieszane.

Mam wielką ochotę zniszczyć wszystkie jej rzeczy. Żeby się uspokoić, otwieram odsuwane drzwi balkonowe i wdycham głęboko zimne powietrze. Omijam przykryte jacuzzi i opieram się o drewnianą balustradę. Patrzę na piękną zalesioną okolicę i znajduję wzrokiem miejsce, gdzie wcześniej stałam. Wokół wciąż jest pusto. Zerkam w dół. Balkon jest dużo wyżej, niż mi się

wydawało z zewnątrz. Nie uciekłabym tędy, gdyby nagle wrócili. Ta myśl mobilizuje mnie do działania, wchodzę więc z powrotem do ciepłego wnętrza.

Przeszukuję torbę Tary i znajduję coś przydatnego: rachunek za zamówione lekcje jazdy na nartach. To cenna informacja, bo zamierzam ją odszukać i powiedzieć jej, dlaczego powinna wyjechać. Musi wiedzieć, że z ich związku nic nie wyjdzie. Nie mogę się powstrzymać i szybko przetrząsam rzeczy Nate'a. Bardzo mi brakowało dostępu do jego świata. To odurzające, jak powrót do narkotyków.

Wracam na dół, wychodzę tylnymi drzwiami i zostawiam je niezaryglowane. Zabieram torbę z kryjówki i wkładam strój narciarski na ubranie. Jest tu mnóstwo zapasowych nart i kijków, co oszczędzi mi konieczności ich wypożyczenia. Wybieram parę, która wygląda na odpowiednią dla mnie, wpycham stopy w buty narciarskie i reguluję zapięcia.

Idę z powrotem w kierunku Whistler i staję w długiej kolejce.

– Gdzie są szkółki narciarskie? – pytam kasjerkę, płacąc za jednodniowy karnet na wyciąg. – Są jakieś stoki do nauki?

Wręcza mi mapę i wskazuje stację Olympic na górze Whistler.

Przechodzę do innej kolejki i czekam w rzędzie singli – to historia mojego życia – aż w końcu dołączam do grupy w jednym z wagoników-gondoli i wysiadam na pierwszej stacji. Szaleństwo. Jaskrawe kolory narciarskie wypełniają okolicę. Szukanie Tary jest trudne. Ale zamierzam ją znaleźć, bo taki mam plan i muszę do niej podejść, kiedy będzie sama. Przyglądam się innej grupie, ale słońce odbija się od bieli śniegu, wszyscy są w goglach, w kominiarkach narciarskich i kaskach.

W południe daję sobie spokój. Policzki mnie szczypią i wargi mi spierzchły. Na szczycie stoku mam moment zawahania, zanim odepchnę się kijkami. Ale kiedy ruszam, zapominam o strachu i nerwowym wyczekiwaniu. Ogarnia mnie radosne podniecenie i łapię rytm. Obserwuję własny cień, ciemny kształt na białym tle, i ledwo zdaję sobie sprawę z obecności innych narciarzy.

To surrealistyczne uczucie, że jestem tutaj, a dziś w nocy będę leciała z powrotem do Londynu.

A Tara będzie pozbawiona złudzeń i załamana.

Po kanapce i kawie wracam do willi.

Kilka par nart więcej stoi opartych o ścianę z tyłu, wspinaczka na zbcze, żeby pozaglądać do środka nie wydaje się mądra; byłabym za bardzo widoczna. Powoli, cicho, sprawdzam tylne drzwi. Ustępują. Otwieram je tylko na tyle, żeby móc wejść. W środku są buty na stojakach i bezładna sterta rękawiczek, kasków i gogli. Serce mi wali, gdy stoję u stóp schodów i nasłuchuję. Wszyscy są na górze, łącznie z Tarą. Strzępy rozmowy dolatują do mnie wśród brzęków sztućców i porcelany.

– Wspaniałe przedpołudnie.

– Ktoś się wybiera po południu na inną górę?

– Nie można sobie było wymarzyć lepszej pogody.

Modłę się w duchu, żeby Tara oznajmiła, że jest zmęczona, zostanie i zdrzemnie się, ale nic z tego. Kiedy zbierają się hałaśliwie do wyjścia, wymykam się na dwór i chowam w lesie za grubym pniem drzewa trochę na lewo od domu. Domyślam się, że pójdą na narty w innym kierunku. Bella i Miles ruszają pierwsi, rodzice za nimi. Nate i Tara zostają w środku. Usiłuję stłumić w sobie złość i zazdrość, zmuszam się do spokoju, bo czuję, że tracę panowanie nad sobą. Wiem, że jeśli nie wytrzymam, to tam wtargnę. I jeśli zobaczą ich razem, to pęknę.

Wyłaniają się po pół godzinie. Każda bolesna chwila wzmaga moją nienawiść do Tary.

Śledzę ich, co jest łatwe, bo idą blisko siebie. Tara jest w pomarańczowej kurtce i takiej samej czapce. Nate po dżentelmeńsku niesie jej narty i swoje. Stają w kolejce do gondoli. Robię to samo, wsiadam do następnego wagonika i wysiadam w tym samym miejscu, co przedtem. Nate towarzyszy swojej wkrótce byłej dziewczynie w drodze na jej lekcję. Spóźniła się. Gdy tylko dołącza do grupy starych i młodych, mężczyzn i kobiet, Nate opuszcza gogle, poprawia narty, macha do niej uniesionym kijkiem i odjeżdża.

Obserwuję ją. Instruktor demonstruje pozycje. Widzę, jak Tara z całych sił stara się dopasować do Nate'a i jego rodziny, zadowolić ich, co jest żalosne. Mam ochotę podjechać do niej na nartach i

powiedzieć, żeby darowała to sobie, bo traci czas. Mnie zajęło to dziesięć lat ciężkiej pracy. Kilka dni na oślich łączkach gównu jej da. Jest beznadziejna. Za ostrożna. Za bardzo się boi.

Podchodzę do narciarza w takim samym niebieskim stroju jak instruktor Tary.

– Przepraszam, nie wie pan, o której kończą się lekcje?

Wskazuję jej grupę.

– Zwykle godzinę przed zamknięciem stoków.

– – Dziękuję – mówię i patrzę na zegarek.

Zostało półtorej godziny. Autobus do Vancouver odjeżdża za niecałe trzy. Jeśli nie zdążę, nie odleczę. Byłoby niedobrze.

Dla rozgrzewki zjeżdżam dwa razy z najbliższego stoku i przygotowuję się psychicznie do tego, co mam jej powiedzieć. Kiedy grupa się rozchodzi, wsiadam do gondoli przed Tarą, żeby poczekać na nią na dole.

Wysiada, wyjmuje narty z bocznego uchwytu i niesie je niezdarne. Śledzę ją. Postanawiam porozmawiać z nią w mniej zatłoczonym miejscu. Idzie wolno, jakby coś ją bolało. Staje w kolejce do autobusu, co na chwilę zbija mnie z tropu. Waham się, po czym postanawiam iść dalej, żeby ją zaskoczyć, kiedy dojedzie do domu.

Kilka minut później widzę przejeżdżający obok autobus. Cholera. Przyspieszam, jak mogę, chociaż buty obcierają mi kostki. Ale nie ma jej na drodze do willi. Podchodzę do domu z tyłu. Czuję narastający strach, bo ona musi tam być, a mnie zaczyna brakować czasu na rozmowę. Nate i pozostali wrócą wkrótce po zamknięciu stoków, jeśli nie wcześniej.

Kiedy pozbywam się nart, widzę, jak śnieg zsuwa się z jednej – nie mojej – i spada na ziemię. Jedna para. Musi należeć do Tary. Zmieniam buty, zdejmuję rękawiczki narciarskie i wkładam cieńsze. Wspinam się na zbocze, żeby sprawdzić, czy to ona jest w domu, i czy na pewno sama. Zaglądam do środka. W salonie jest pusto, ale potem... super! Jest sama. Na balkonie. Obserwuję ją. Zrzuca szlafrok i wchodzi do jacuzzi. Widzę, jak kładzie się na plecach. W obawie, że stracę okazję, prawie biegnę z powrotem na dół.

Tylne drzwi są zaryglowane; najwyraźniej jest ostrożna. Znów jestem zmuszona wejść od frontu.

W środku cisza. Wspinam się na górę i otwieram drzwi do pokoju Nate'a. Widzę przez szybę tył jej głowy, a z boku kieliszek białego wina, telefon i dwa małe głośniki. Odsuwam szklane drzwi. Dźwięki z lokalnej stacji radiowej górują nad bulgotem wody w jacuzzi. Podchodzę bliżej. Tara wygląda na całkowicie odprężoną, ma zamknięte oczy. Mogłabym wepchnąć jej głowę pod powierzchnię i przytrzymać. Zamiast tego stoję bez ruchu. Jasnoczerwony kostium kąpielowy mieni się wśród białych bąbli. Biorę jej telefon. Kiedy wyłączam muzykę, Tara otwiera gwałtownie oczy i odwraca szybko głowę. Siadam na brzegu jasnoniebieskiego jacuzzi poza jej zasięgiem.

– Cześć, Tara.

Gapi się na mnie.

– Co tu robisz?

Macham do niej przyjaźnie.

– Jak leci? Nie dziwię się, że tu mokniesz, założę się, że wszystko cię boli. Pamiętam, jak to było, kiedy uczyłam się jeździć na nartach. Ale to wszystko na nic, wiesz. Cała ta ciężka praca i wysiłek.

Szuka wzrokiem telefonu.

Podnoszę go.

– Może ja się tym zaopiekuję?

Gramoli się z wanny i sięga po ręcznik.

– Oddaj mi to!

– Nie tak prędko. Musimy pogadać o Nacie. On nie ma jaj, żeby ci to powiedzieć, więc ja to muszę zrobić. Nadal jesteście razem. Jesteś po prostu tą drugą.

Wyciera się do sucha.

– On twierdzi co innego.

– Jestem jego żoną. Wiesz o tym. I jeszcze o czymś – widziałaś, jak mnie zaatakował w samolocie. Był wściekły, bo chciał, żebym o nas milczała, żeby trzymać to w tajemnicy przed tobą. Zawsze chce, żeby wszystko było tak, jak sobie życzy, na jego warunkach. Taki jest. A ty mu na to pozwalasz.

Tara zмага się z rękawami, kiedy usiłuje wciągnąć na siebie biały szlafrok. Gdy już ma go na sobie, wydaje się bardziej pewna siebie.

– Kłamiesz. Wiem, że on zamierza wystąpić o wydanie ci zakazu zbliżania się do niego.

Nie reaguję, żeby nie dać jej satysfakcji, choć to bolesna wiadomość. Wciąż trzymając jej telefon, zrzucam plecak i wyjmuję zdjęcie z Vegas. Unoszę je, żeby zobaczyła, że Nate wyglądał normalnie.

Zerka na nie szybko, a potem patrzy mi w oczy.

– To nic nie znaczy. On mówi, że ty wszystko przekręcasz. Nie możesz kupić jakiegoś weekendowego pakietu spa albo zarejestrować się na stronie randkowej, jak ktoś normalny? A teraz oddaj mi mój telefon. Lada chwila wszyscy wrócą. Na twoim miejscu zniknąłabym stąd.

Chowam zdjęcie, trzymając jej telefon nad wodą.

– Nie! Nie zrobiłam zapasowych kopii zdjęć.

Idzie do mnie, więc wstaję i cofam się o krok w stronę balustrady.

– Posłuchaj, Juliette... – mówi i urywa. – To do niczego nie prowadzi,

Ignoruję ją.

– Spakuj swoje rzeczy i chodź ze mną.

– Po co?

– To jedyny sposób. Możesz napisać do Nate’a, że z nim zrywasz, a potem wyjdziemy razem. Oddam ci telefon, gdy będziemy w samolocie. Tu nie ma dla ciebie miejsca.

Patrzy za siebie w kierunku pokoju, potem odwraca się i zerka na dół, jakby rozpaczliwie chciała, żeby pojawił się Nate niczym rycerz w lśniącej zbroi.

To mi przypomina, że tracę cenny czas.

Próbuję ostatni raz.

– Nie możesz być z Nate’em, bo on nie jest twój. To proste.

– Oddaj mi telefon. Zadzwonimy do niego, a potem usiądziemy we troje i porozmawiamy jak należy.

– Nie – opowiadam z uśmiechem.

Nie odzywamy się obie przez chwilę, w końcu muszę przerwać to milczenie.

– Nikt nigdy nie będzie go kochał tak jak ja.

Gapi się na mnie. Chyba widzi, że mówię poważnie i że nigdzie się nie wybieram. Ale jednocześnie ja uzmysławiam sobie, że Tara nie posłucha głosu rozsądku. Powie Nate'owi, że tu byłam.

Podchodzi do mnie, krople wody kapią jej z mokrych włosów na twarz. Próbuje złapać mnie za prawy nadgarstek, żeby odebrać mi telefon, ale jestem od niej wyższa i mogę go trzymać wysoko. Przechyliłam się przez drewnianą balustradę. Sięga po telefon i...

Robię to – jedyną rzecz, jaka mi pozostała. Prostuję się i odpycham ją.

Mam wrażenie, że cały czas wiedziałam, że dojdzie do czegoś takiego.

Tara przez chwilę jest zdumiona, wytrzeszcza oczy. Łapie mnie za ramię, ale się wyrywam. Wrzeszczy, kopie i znów próbuje mnie chwycić. Ale dwa silne popchnięcia i nie ma jej. Potężny łomot, jakby pękał lód.

Patrzę w dół, ciężko dysząc.

Nie rusza się. Spokojna. Królowna Śnieżka.

Jej mokre włosy tworzą półwachlarz na białej zmarzniętej ziemi, lewa noga jest niezgrabnie wygięta do tyłu, głowa zwrócona w moją stronę. Nos wygląda na zakrwawiony. Oczu dobrze nie widzę; wydają się na wpół otwarte. Wychyliłam się – niezbyt daleko, ale tyle, ile ona by pewnie mogła – i pstrykam kilka zdjęć zimowego krajobrazu za nią. Śnieżne czapy leżą na gałęziach drzew, jest cicho i spokojnie. Upuszczam telefon. Łąduje blisko niej.

Może teraz, kiedy Nate sobie uświadomi, że nie jest mu pisane szczęście w miłości, doceni to, co zawsze zbyt szybko odrzucał. Jestem godna zaufania i stała w uczuciach, nie to, co inne. Zawsze taka będę. Rozglądam się dookoła. Zostawiam wszystko tak, jak jest, i zbiegam na dół do tylnych drzwi.

Spieszę się. Biorę torbę i wspinam się ścieżką, żeby móc z góry popatrzeć na Tarę. Nachodzi zmierzch, jestem ciekawa, kiedy ją zauważą.



Patrzę na zegarek; autobus powrotny do Vancouver jest za czterdzieści dwie minuty. Ciemność zapada i wkrótce potem widzę błyski latarek czołowych, gdy pozostali wracają do domu, zajmują się nartami i butami, nieświadomi, że zaledwie kilka metrów od nich leży Tara. Obserwuję ich.

W środku zapalają się światła. Po kilku minutach wszyscy siedzą wokół baru śniadaniowego i piją wino. Nate bierze telefon. Słyszę, jak telefon Tary dzwoni, i widzę, jak świeci w ciemności, a potem gaśnie. Znieruchomiła, obserwuję Nate'a i jego rodzinę, jakbym oglądała jakiś reality show. Jedno miejsce jest puste. Patrzę na nie i wyobrażam sobie, że jest zarezerwowane dla mnie.

Chcę móc do nich dołączyć. Pragnę rozpaczliwie zmienić scenę przed sobą, żeby zobaczyć tam siebie i żeby się zakończyła słowami: „A potem żyli długo i szczęśliwie”.

Odchodzę. Na głównej drodze wkładam kaptur i szczelnie owijam szyję szalikiem.

Kiedy czekam na autobus, czuję się tak, jakbym była wieki poza domem. Śnieg zaczyna padać.

Po dwudziestu minutach, gdy zaczynam już trochę panikować, widzę światła autobusu. Nie mam czasu na żadne opóźnienia.

Siedzę bezpiecznie w środku, zamykam oczy, myślę o martwej Tarze i przypominam sobie, że to ona do tego doprowadziła. Opanowuje mnie inna myśl: Nate jest znów tylko mój. Oczywiście będzie wstrząśnięty, ale dojdzie do siebie. Ona raczej nie była miłością jego życia. I może da mu to do myślenia. Bo gdyby zerwał z Tarą – tak jak się zgodził – to nadal by żyła. Gdyby wróciła samolotem prosto do Londynu, nie zginęłaby w niecodziennym wypadku – podczas robienia zdjęć.

To jego wina, nie moja.

Kiedy autobus wjeżdża do Vancouver, zostaje mi niecała godzina.

Łapię taksówkę i ograniczam rozmowę do minimum. Każę kierowcy zatrzymać się przecznicę dalej. Wrzucam buty do dwóch oddzielnych śmietników i wracam pieszo do hotelu.

Idę do swojego apartamentu, modląc się, żeby nikogo nie spotkać. Wyjmuję rzeczy z sejfów, biorę prysznic, pakuję się i odpowiadam na esemesowe zapytanie Babs o podróż.

„Dramat. Cały czas spędziłam w łóżku ze strasznym przeziębieniem. Czułam się fatalnie. Xxx”.

Pobudzona przyływem adrenaliny, zjeżdżam windą do holu i dołączam do reszty załogi.

Chwilę przed cofnięciem nas od terminalu kapitan oznajmia, że będziemy opóźnieni, bo trzeba odlodzić samolot. Ale po godzinie, kiedy unosimy się w powietrze, czuję ulgę, że odważyłam się to zrobić. Przyszłość z natury jest niematerialna. Jednak gdy odzyskasz kontrolę nad sytuacją, wszystko jest możliwe. Właśnie tego dowiodłam.

Na wysokości prawie jedenastu tysięcy metrów, kiedy jesteśmy otoczeni chmurami i oddzieleni od realnego świata, rosnąca odległość pomaga mi się koncentrować na tym, co muszę zrobić następnie.

Drzwi samolotu się otwierają, a ja trochę spodziewam się czekającej na mnie policji.

Ale nic się nie dzieje.

I gdy wyjmuję klucze i wchodzę do mieszkania, jestem już pewna, że nic się nie stanie.

Przez trzy wolne dni mam wypełniony czas.

Dzwonię do Babs i mówię, że jestem znowu z moją jedyną prawdziwą miłością. Nate po powrocie będzie wykończony z powodu szoku. Ale poradzimy sobie. Piszę do Jamesa Harringtona mejla, że Nate i ja zamierzamy kontynuować nasz związek, kiedy Nate wróci z nart.

Myślę też dużo o Willu. Ale pociesza mnie trochę wspomnienie,

jak spokojna była Tara.

Przygotowana na każdą ewentualność, wysłałam do Nate'a wiadomość, że nie mogę się doczekać naszego spotkania w środę.

Nie odpowiada.

Nie korzystam z Internetu, żeby nie ulec pokusie wygooglowania informacji o Tarze.

Dzień przed planowanym powrotem Nate'a – zakładając, że będą mogli przylecieć zgodnie z rozkładem – zastanawiam się, czy w ładowni będzie ciało Tary i jadę do rejestru zgonów, żeby sprawdzić, czy jest nekrolog.

Śmierć Tary została uznana za nieszczęśliwy wypadek w czasie wakacji, co częściowo jest prawdą. Wszystkich, którzy ją znali, zaprasza się do udziału w nabożeństwie żałobnym.

Nie pójdę, ale wyślę kwiaty.

Lilie, oczywiście.

Nate nie przylatuje w środę do domu.

Dzwonię, że nie wezmę następnego rejsu, bo jestem chora, i czekam cały dzień. Krążę niespokojnie i spulchniam poduszki do siedzenia. Układam inaczej jabłka w misie na owoce i to samo robię z jedzeniem w pełnej lodówce i szafkach. Minimuffinki czekoladowe stoją porządnie z boku. Czyszczę szczotką ubrania w szafie, zwłaszcza moją ulubioną sukienkę. Piję kawę w kubkach od Nate'a i przesuвам palcami po magnesach na lodówce. Duże oprawione zdjęcie ślubne zajmuje honorowe miejsce wśród ozdób i wazonów.

Diabeł tkwi w szczegółach.

W czwartek, po wielu godzinach obserwowania, jak Tęcza pływa w akwarium, słyszę głosy – Nate'a i dozorczy – a potem klucz w zamku. Wstaję, wyglądzam sukienkę i uśmiecham się, gotowa być jego ramieniem do wyplakania się. Jego opoką.

Towarzystwą życia.

– Cześć, kochanie – mówię. – Dlaczego nie odpowiedziałeś na moją wiadomość? Martwiłam się o ciebie.

Upuszcza torbę. Jest blady.

– Przykro mi z powodu Tary. Usłyszałam o tym w pracy – ale to ty powinienesz mi powiedzieć. Wyglądasz na wykończonego. Wejdz dalej. A przy okazji, zrobiłam kilka zmian, przemieściłam parę rzeczy, ale na pewno przyznasz, że teraz jest lepiej.

– A moje klucze? – pyta.

Wytrzymuję jego spojrzenie.

– Wyjęłam ci je z kieszeni marynarki w samolocie.

Nigdy nie udowodni, że zabrałam je z Whistler, bo tam nie byłam. Zabronił mi przyjechać.

Patrzy. Nie ogarnia wszystkiego. To dobrze, bo od teraz nie będzie lekko. Albo będzie. Jego wybór. Lepiej, żeby był niepewny. Ludzie są bardziej ulegli, kiedy się boją. Miles też będzie się bał, gdy zaproszę jego i Bellę na kolację. Będzie musiał ją namówić, żeby przyszła, żeby mnie tolerowała. Może nawet będzie miła; pochwali moje jedzenia – takie rzeczy.

– Nie ma mowy. Nic z tego.

– Tak się umówiliśmy – przypominam spokojnie, ale zdecydowanie.

I tak będzie. Bo jak powiedziałam mu w nagraniu wideo, dziewczyna oddała serce chłopcu i ich los został przypieczętowany. Naprawdę powinien uważnie słuchać, bo nie można zmienić przeznaczenia.

Nate został zaplanowany dla mnie w momencie, gdy zobaczyłam jego zdjęcie na nocnym stoliku Belli w szkole. Dowodzi tego to, że podświadomie odszukał mnie nad rzeką. Uratował mnie przed samą sobą, przed mrokiem i poczuciem winy. A jednak cienie tamtego wieczoru pozostały; niewidoczne kłębowisko szarości i czerni nadal mnie otacza.

Nate był mi winien miłość i szacunek. Wciąż jest i zawsze będzie mi to winien.

Nie rusza się z miejsca, podchodzi więc do drzwi i zamykam je. Jesteśmy sami. Tylko my we dwoje.

Marzenie się spełnia. Wszystko załatwiłam i połączyłam nas z powrotem.

Dobrze zrobiłam, że byłam wytrwała i nie zgadzałam się na mniej. Zaczynamy od początku; mamy całkiem nowe porozumienie.

Tylko tak może zawsze być.

## Podziękowania

*Napisanie podziękowań było trudne, bo muszę podziękować tylu osobom, że nie wiedziałam, od kogo zacząć. Po długich rozważaniach (zrobiłam mnóstwo list w obawie, że niechcący kogoś pominę) postanowiłam po prostu spróbować wyrazić głęboką wdzięczność najlepiej jak potrafię.*

*Bardzo dziękuję Sophie Lambert, mojej niesamowitej agentce, która jest mądrą, życzliwą i jedną z najbardziej zaangażowanych w to, co robi, ciężko pracujących osób, jakie kiedykolwiek spotkałam. Dzięki za Twoją fantastyczną wnikliwość, cierpliwość, genialne wskazówki i urzeczywistnienie mojego marzenia. Jestem bardzo wdzięczna również Alexandrowi Cochranowi, Emmie Finn, Alexandrze McNicoll, Jake'owi Smith-Bosanquetowi i oczywiście zespołowi C+W Agency.*

*Następne wielkie podziękowania składam cudownej trójce znakomitych redaktorek z Wildfire – Kate Stephenson, Alex Clarke i Elli Gordon – wspaniałemu zespołowi o niespożytej energii i zapale, który jest również niewiarygodnie wnikliwy. Praca z nimi to prawdziwa przyjemność i jestem wdzięczna, że należę do tej rodziny. Te podziękowania należą się również zespołowi Headline – Viviane Basset, Becky Hunter, Frances Doyle, Ellie Wood, Becky Bader, Siobhan Hooper, Sarze Badhan oraz Shan Morley Jones i Rhian McKay – za jego eksperckie oceny i spostrzegawczość.*

*Podjęcie decyzji, że zostanę pisarką, i droga do tego zajęły mi wiele lat. Powoli zaczęło mnie to wciągać. Uczestniczyłam w festiwalach literackich, chodziłam na kursy i spotkania z autorami, i to jest dobry moment na specjalne wyróżnienie Jenny Ashcroft, która udzielała mi wsparcia i wielkiej pomocy i fantastycznie potrafiła słuchać. Dziękuję również Emily Barr i Craigowi Greenowi za życzliwe dodawanie mi otuchy. To wszystko było bardzo cenne.*

*Wyróżnienie i podziękowania należą się również mojej*

nauczycielce twórczego pisania, Nicky Morris, która zachęciła mnie do rozwijania umiejętności pisarskich i pierwsza dodała mi takiej pewności siebie, że czytałam głośno swoją pracę. Mile wspominałam opowieści we wtorkowe wieczory. Dziękuję też wszystkim moim pozostałym przyjaciołom, którzy są utalentowanymi pisarzami, i pełnej zaangażowania grupie, która prowadzi fantastyczne Hampshire Writers' Society; organizowane przez nich imprezy są atrakcyjne i naprawdę warto w nich uczestniczyć.

W 2014 roku zrezygnowałam z latania i zapisałam się na kurs powieściopisarstwa w Faber Academy. Tam, pod umiejętnym kierunkiem Richarda Skinnera (bardzo dziękuję za zachęcanie mnie, żebym „szła dalej” i dodawanie mi pewności siebie i wiary w mój literacki instynkt), nie tylko dużo się nauczyłam, lecz również miałam szczęście dołączyć do pewnej niezwyklej grupy. To paczka utalentowanych, pomocnych, wspaniałomyślnych pisarzy. Nadal regularnie się spotykamy, cieszymy wspólnie z naszych sukcesów i wzajemnie wspieramy w trudnych okresach, które są nieuniknione – wino też często jest! Jeszcze raz Wam dziękuję: Lauro, Fiono, Mio, Joe, Rose, Rohanie, Antonio, Jess, Rogerze, Maggie, Philu i Helen. Za wszystko.

Jestem bardzo wdzięczna moim pierwszym czytelnikom, Geraldine (która przeczytała całą książkę kilka razy), całej mojej grupie z Faber, oraz – za ich pomoc i rady – Amandzie, Ianowi, Lindsayowi, Royowi i Walterowi. Dziękuję Wam za wspaniałomyślne poświęcanie mi czasu i mądre, cenne opinie.

Mój mąż ani razu nie zakwestionował mojego pragnienia zostania pisarką. Nigdy. A musiało go to kusić wiele razy. Dziękuję Ci za niezachwianą wiarę we mnie, wsparcie i miłość. I za moich trzech synów, którzy mi uświadamiają upływ czasu i konieczność spędzania go z osobami ważnymi oraz wypełnianie go robieniem rzeczy, które mają znaczenie.

Wyrazy wdzięczności i wielkiej miłości dla reszty mojej rodziny: mamy, taty i siostry. Za ciągłe wzbudzanie we mnie wiary, że mogę coś osiągnąć. I dla moich teściów za niekwestionowane wsparcie. Doceniam opiekowanie się dziećmi przez obie strony i jestem za to

*bardzo wdzięczna, bo bez tej pomocy nie mogłabym chodzić na kursy i imprezy, które doprowadziły mnie tu, gdzie jestem. Czuję ulgę, że Wasza wspólna wiara to umożliwiła.*

*Prawie ostatnie, ale oczywiście nie mniejsze podziękowania dla moich wielu cudownych, pomocnych, życzliwych, zabawnych, oddanych, wspaniałomyślnych przyjaciół, których część jest rozproszona po całym świecie, ale zawsze w moim sercu. Bez Was życie nie byłoby takie fajne – zmusiliście mnie do wyjścia z mojej skorupy. Zrobiłam listę (kolejną!), ale była o wiele za długa, mogę więc tylko napisać, że bardzo Wam dziękuję za wszystko, za dzielenie się doświadczeniami, za bycie ze mną. Zawsze. Sami wiecie. I za wiarę, że potrafię napisać książkę. Dziękuję też wszystkim moim latającym przyjaciołom, byłym i obecnym. Zawsze będę tęskniła za koleżeństwem i duchem współpracy w liniach lotniczych.*

*Nie jest to wyczerpująca lista podziękowań – mogłabym ją ciągnąć jeszcze długo. Ale ponieważ kiedyś muszę skończyć, to moje ostatnie podziękowania kieruję do czytelników; bardzo Wam dziękuję, że wybraliście tę książkę do przeczytania.*